

Mark Canter

Zesłani do raju

Down to Heaven

Wstęp do dziennika sir Waltera Raleigha, 1595

Zapise na pokładzie „Lwiątko” w czas wyprawy w poszukiwaniu Eldorado, na rzece, zwanej Orinoko W kraju, którego dziewictwa nigdy ręka ludzka nie skalala, wznosi się góra, tryskająca pięknem białej kościelnej wieży. Ponad nią przewalają się spienione wody rzeki mocarnej, jakowa wszelako nie kala zboczy onej, a upada na ziemię czyniąc huk straszliwy, napelniając parne powietrze głosem tysiąca dzwonów spiżowych. Powiadają, iż dyamenty, a wszelakie insze bezcenne kryształy na wierchu onego górzyszczu pospolity żołnierz obaczyć może, jako i więcej bogactw, miast cudnych, świątyń zdobnych złożonymi obrazami, niżli Cortez odnalazł w Meksyku czy Pizarro w Peru. Azali co owa góra skrywa we wnętrzu swym, tegoż zaprawdę umysłem nie dane mi objać, albowiem żaden z mych ludzi, jako i ja sam, nie wespnie się na wierchołek onej, gdyż drogi nijakiej do przebycia uwidzić nie można.

Rozdział 1

Mason Drake otworzył oczy i zobaczył palącego się pilota. Płomienie zwinnie biegly po kurtce lotniczej martwego mężczyzny, czerwony nylon stopił się, włosy na przedramieniu zmieniły się w popiół.

Mason, przypięty pasami do fotela, wyleciał przez przednią szybę helikoptera. Fotel leżał teraz przechylony na jedną stronę, wciśnięty w grząskie bagno. Mężczyzna zakrztusił się spalinami lotniczego paliwa; chciał wyswobodzić się z pogiętego aluminium i potrzaskanego pleksiglasu, lecz nawet uniesienie powiek wydawało mu się zbyt wielkim wysiłkiem.

Stracił przytomność.

Zbudził go kobiecy krzyk. Splunął krwią, wciągnął w płuca przesycone spalenizną powietrze; ostry ból przeniknął do samych trzewi. Prawy bark, prawdopodobnie zwichnięty, pulsował gwałtownie. Kilkanaście jardów dalej zachłanne płomienie pożerały ciało pilota, jakby było kartką papieru. Mason wzdrygnął się i odwrócił głowę. Smród oleistego paliwa i spalonego mięsa przywiodły wspomnienie napalmu. Płonących dzieci. Szarpnięciem spróbował uwolnić się z pasów i zwymiotował.

Kobieta krzyczała, wzywając pomocy. Rozpoznał jej głos i nagle zdał sobie sprawę, że to nie Wietnam. W Wietnamie nie było aniołów – nie było Tree Summerwood.

Odpiął pasy krępujące mu ramiona, wyślizgnął się z głębokiego fotela, zapadając w zimny, czarny muł, i ruszył w kierunku wraka, przy każdym kroku wyszarpując długie buty z zasysającego bagna. Klamka wyjścia awaryjnego na uchylnych drzwiach ani drgnęła. Kopnął ją raz, potem drugi. Jeszcze mocniej. Drzwi ustąpiły, a podmuch czarnego dymu oślepił go na kilka sekund. Jakieś ciało przyciśnięte do wewnętrznej strony drzwi osunęło mu się bezwładnie w ramiona. Martwa kobieta. Poczul ukłucie w sercu.

– Tree?

Bandolierzy z rolkami filmowymi krzyżowały się na klatce piersiowej kobiety. Lisa, fotograf. Odetchnął z ulgą i puścił ciało; bagnista woda zachlapała mu twarz.

– Tree, gdzie jesteś? – zawołał w zadymione trzewia wraku.

– Mason, o Boże, tutaj! Nie mogę się ruszyć. – Zakasłała gwałtownie.

Ruszył na czworakach po lewej ścianie helikoptera, która teraz była podłogą. Palce napotkały szczupłą rękę, śliską od krwi. Pociągnął lekko do siebie. Ręka poddała się ze straszliwą łatwością, oddzielona od ciała. O mały włos ponownie nie zwymiotował.

– Do cholery, Tree! Gdzie jesteś?

– Tutaj. Pod wręgą. Barry leży na mnie, oni wszyscy nie żyją.

Przeczołgał się do części ładunkowej, odsuwając na boki sprzęt wideo i kartony z jedzeniem w puszkach. Lewa ręka natrafiła na owłosione nogi. Barry był potężnym facetem. Mason

dźwignął go jedną ręką, aż na czole wystąpiły mu żyły, a prawy bark eksplodował wszechogarniającym bólem. Ściągnął zwłoki z Tree. Częściowo.

– Złap mnie za rękę. – Wyciągnął dłoń w gęstym dymie.

– Nie mogę, moja ręka... coś z nianie tak. – Zaniósł się kolejnym atakiem kaszlu.

Zebrał siły i przesunął ciało martwego mężczyzny, uwalniając Tree. Z trudem podniosła się na nogi.

– Uciekajmy, uciekajmy stąd! – zawołała.

Mason chwiejnym krokiem wyszedł z kabiny, ciągnąc za sobą Tree. Zeskoczył w bagno, a następnie odwrócił się.

– Pospiesz się. – Wyciągnął ku niej rękę. Jej lewa dłoń była zmasakrowana. Zauważył brak kciuka. – O, Boże – jęknął. Wyobraźnia podsunęła mu błyskawicznie żywy obraz: Czternastoletnia Teresa w białej szyfonowej sukience gra Brahmsa na wielkim, czarnym fortepianie. Podsunął się bliżej i podtrzymał ją, kiedy zeskakiwała na ziemię.

Brnęli przez mokradła, oddalając się od płonących szczątków helikoptera. Nie uszli daleko, kiedy silna eksplozja powaliła ich na kolana.

– Schowaj głowę! – krzyknął, osłaniając dziewczynę własnym ciałem.

Kawałki aluminium, stali i włókna szklanego spadały deszczem na wody bagna. Zaledwie kilka cali od miejsca, gdzie kulili się, czekając na koniec wybuchu, plusnęło coś zwęglonego i dymiącego: damski but traperski z gore-texu. Odwrócił głowę i patrzył na pomarańczową, płonącą kulę. Odgłos grzmotu nie zdążył jeszcze przebrzmieć, kiedy but nabrał wody i poszedł na dno.

Świat ucichł. Mason poczuł, jak dzwoni mu w uszach, a serce łomocze w gardle. Tree utkwiała w nim przenikliwy wzrok. Miał nadzieję, że jego oczy nie wyrażają strachu i bólu, jakie czytał wyraźnie w jej spojrzeniu.

Miliony owadów, żab i ptaków znowu zaczęły buczeć, kumkać i szczebiotać. Mason wyobraził sobie, jak dziewięć tysięcy stóp poniżej wierzchołka góry, na którym stali objęci, skaczą pośród gałęzi szczekające małpy, skrzeczą ary, huśtające się i fruujące pod baldachimem tropikalnego lasu, pomrukujące jaguary przemykają w nieprzebranych chaszczach.

Tam, w dole, krople deszczu w zetknięciu z bujną roślinnością zmieniały się natychmiast w parę. Ale tu, na górze, lodowaty deszcz, zmieszany z piaskiem, siekł nieprzyjemnie skórę. Mason przez wiele długich lat przystosowywał się do tropikalnego upału nizin; teraz stał, dygocząc, na królującej pośród chmur wyspie.

Tree Summerwood skryła twarz w mokrej koszuli przyklejonej do szerokiej piersi Masona Drake'a. Silnymi palcami delikatnie wyczuł jej morelowe warkocze. Na szczycie gigantycznej mesy nazywanej Kameleon-Tepui, łkanie dziewczyny wtapiało się w amazoński gwar.

Rozdział 2

Długi pas bagniska szerokością nie dorównywał piłkarskiemu boisku, więc po kilku minutach dotarli na stały ląd. Przystanęli, odpoczywając, na piaszczystym brzegu, pokryci do pasa czerwonawoczarnym szlamem wydzielającym słodkawą woń zgnilizny. Mason odwrócił się, chcąc zbadać zranioną rękę Tree, lecz zauważył, że pokrywa ją gruba warstwa mułu. Poczul ucisk w żołądku. Niedobrze.

– Upadłam – usprawiedliwiła się, spoglądając mu w oczy. Skrył prawdziwe odczucia.

– Daj, obejrzę ją. – Z trudem uniosła lewą rękę, opierając ją na prawym przedramieniu. Podniósł gładki, płaski kamyk i ostrożnie startł z ręki warstwę szlamu. Skrzywiła się i syknęła przez zaciśnięte zęby, spoglądając z niepokojem, gdy spod ciemnego mułu wyjrzało czerwone mięso.

Odrzucił na bok kamyk i przyjrzał się ranie. Ułamana kość u podstawy kciuka sterczała z mięśnia. Delikatnie odwrócił dłoń. Ogień opalił ranę, co w tym przypadku należało uznać za szczęśliwy traf, ponieważ poszarpane naczynia krwionośne zostały przypalone. Doświadczenie podpowiadało mu, że infekcja w tropiku była murowana – nawet jeśli nie zażywało się błotnych kąpielii – a zakażenia kostne bez należytej kuracji, zwykle kończyły się śmiercią. Z żalem pomyślał o apteczce pod siedzeniem, teraz niewątpliwie roztrzaskanej w drobny mak.

– Musimy przemyć tę ranę – zaopiniował w końcu, marszcząc brwi. – Zabrzmi to obrzydliwie, ale najlepsze, co możemy w tych warunkach zrobić pod względem medycznym, to przemyć ją moczem.

– Co takiego?

– Świeży mocz jest sterylny...

– Nasiusiać na nią?

– Musimy ją jakoś oczyścić. Zerknęła na mokradła.

– A może...

– Woda z bagna? Roi się od zarazków, a właśnie je musimy spłukać. Odwróciła wzrok.

– Hej, Tree, tak trzeba. To nie pora na zażenowanie. Potrząsnęła głową.

– Nie jestem zażenowana. Nie o to chodzi...

– Cóż, ja jestem, więc zróbmy to od razu. – Rozpiął rozporek płóciennych szortów. – No, dobra. Będzie szczypało jak cholera.

Tree jęknęła głucho i szarpnęła rękę w tył, kiedy żółtawy strumień zalał ranę.

– Postaraj się jej nie odsuwać...

– Aua, to pali, to mnie pali.

– ...Może uratować ci życie.

– Auaaaa! – Ponownie szarpnęła rękę do tyłu. Schwycił mocno jej nadgarstek.

– Przepraszam. Jeszcze kilka sekund. – Resztki czarnego szlamu spłynęły na ziemię, obmywane ciepłym moczem. Tree zamknęła oczy. Drżała.

Mason zapiął rozporek.

– Potrzeba ci teraz tęgiej dawki tetracykliny i morfiny – zaopiniował. – A ja powinienem zszyć skórę nad kością.

– A ja powinnam być w sanatorium, zażywając gorącej kąpieli. Ale jesteśmy tutaj, sami na tepui.

Mason skinął głową i powiódł wzrokiem po płaskowyżu. Tepui było olbrzymią masą, ukształtowaną niczym góry stołowe o stromych, pionowych zboczach na południowo-zachodniej pustyni amerykańskiej, lecz znacznie większą. Mesy Monument Valley w Arizonie i Utah wystrzeliwały ku niebu, osiągając ponad trzysta metrów wysokości; tepui dorzecza Amazonki były dziesięciokrotnie wyższe i sterczały wysoko ponad chmurami skrywającymi szmaragdowy dach lasu tropikalnego.

Ponad sto tepui, których połowy nikt, jak dotąd, nie odkrył, rozciągało się na olbrzymim obszarze od południowo-wschodniej Wenezueli aż po granicę z Gujaną. Jedyne głębokie rowy oceaniczne widziały mniej istot ludzkich niż te odległe, nie do przebycia góry dżungli. A każde tepui, z uwagi na wielowiekową izolację, rozwinęło unikalny ekosystem, z odmianami fauny i flory, jakich nie można spotkać na żadnym innym tepui ani nigdzie indziej na Ziemi.

Mason zmrużył oczy przed zacinającym deszczem. Z każdej strony majaczyły głazy z piaskowca, niektóre wielkości chatek, inne ogromne jak katedry. Skały zostały wyrzeźbione przez wiatry oddziaływające na nie od dwóch miliardów lat.

Skulili się po zawietrznej stronie pokrytego mchem czerwonego głazu z owalnymi oknami na górze i wydłubanym przez wichur łukowatym wejściem u podstawy. Przycupnęli na kamiennej półce, która wyrosła z dna Oceanu Spokojnego, jeszcze zanim w jego wodach pojawiły się pierwsze trylobity. Srebrne porosty oplatały skałę niczym osobliwe graffiti, akcentowane od czasu do czasu zielonymi roślinami. Bromeliady o rubinowych gardłach i spiczaste trawy wystawały z każdej łatki piaszczystej gleby pod ich stopami.

Mason rozważał położenie, w jakim się znaleźli. Okaleczona ręka Tree przestała krwawić, więc to raczej jego wybity bark wymagał natychmiastowej interwencji lekarskiej. Na domiar złego przegryzł lewy policzek i napuchnięta rana pod dotykiem języka przypominała surową wołowinę. Nic takiego, pomyślał, o ile nie zacznie ropieć. Brakowało im apteczki z przyborami pierwszej pomocy, pożywienia, wody pitnej, nieprzemakalnych ubrań, schronienia i materiałów potrzebnych do rozpalenia ognia. Byli przemoczeni, a ponieważ noc zapowiadała się na przenikliwie wietrzną, istniała ewentualność wychłodzenia. Te wszystkie okoliczności mogły ich zabić, zanim zdolają to zrobić zarazki.

Tratwa jest naszą jedyną nadzieją na przetrwanie.

- Musimy dostać się do Tratwy – odezwał się Mason. – Będziemy posuwać się powoli, ale...
- Wiem. Musimy ją znaleźć przed zapadnięciem zmroku.

Tratwa, przenośna, biologiczna stacja badawcza, wyglądała jak gigantyczna, pneumatyczna tratwa ratunkowa. Została zaprojektowana i zbudowana w 1981 roku przez Korporację Farmaceutyczną Halcyon w San Diego w Kalifornii i przetransportowana w częściach w następnym roku do Canaima w Wenezueli, gdzie złożono ją i nadmuchano. Olbrzymim helikopterem przetransportowano ją drogą powietrzną na szczyt góry i umieszczono na kilku głazach, na których wspiera się jak na kolumnach. Dwaj wenezuelscy członkowie grupy, Domingo Cruz, zwany Domino, zoolog, oraz Lynda Loyola, entomolog pozostali na Tratwie, podczas gdy helikopter powrócił do bazy w Canaima po resztę biologów.

Oprócz biologicznego laboratorium Tratwa została zaopatrzona w radia, sypialnie, żywność, ubrania i wystarczającą ilość artykułów medycznych dla siedmioosobowej grupy naukowej przebywającej podczas realizacji czteromiesięcznego projektu badawczego na Kameleon-Tepui. Przenośne laboratorium zostało nawet wyposażone w balony napełniane gorącym powietrzem, dzięki czemu członkowie grupy mogli odbywać krótkie wycieczki w inne partie gór, aby poznawać ich mikroklimaty i ekosystemy.

Misja grupy badawczej miała na celu zebranie i zbadanie niezwykłych gatunków roślin i zwierząt w celu znalezienia nowych związków organicznych, przydatnych do produkcji leków. Tuż przed porą deszczową stacja miała zostać przetransportowana helikopterem z powrotem do bazy, a następnie na inne tepui – na kolejny sezon badań z nową grupą naukowców.

Mason wygrzebał z kieszeni kompas. Szkiełko było pęknięte, lecz igła obracała się swobodnie i najwyraźniej działała bez zarzutu.

– Skręciliśmy na południe, aby lepiej się przyjrzeć tamtej wiosce, ale nie sądzę, żebyśmy za bardzo zbiegli z kursu – powiedział. – Spadaliśmy po spirali. Domyślam się, że wciąż znajdujemy się na zachód od Tratwy; przy odrobinie szczęścia okaże się, że to nie dalej niż kilka kilometrów.

Tree oparła okaleczoną rękę o brzuch, kołysząc łagodnie ciałem.

– Możliwe, że Domino i Lynda widzieli katastrofę helikoptera – odezwała się z nadzieją w głosie. – A już na pewno słyszeli wybuch.

– Taak, ale nie mają pewności, czy ktoś przeżył. – Mason wskazał głową w kierunku popołudniowego słońca. – Postąpiliby niemądrze, rozpoczynając poszukiwania na piechotę, gdy zmierzch niedaleko. Mogliby wezwać pomoc przez radio. Kiedy do nich dotrzemy, zaszyję ci rękę. Powinno wystarczyć, zanim sprowadzimy helikopter, żeby ewakuował nas do szpitala. – Spojrzał na ranę i zacisnął zęby.

– Myślisz to samo, co ja – stwierdziła. – Zabranie nas z tej góry może potrwać tydzień, a nawet więcej.

– Na tym polega problem. Najbliższy śmigłowiec to prawdopodobnie Wenezuelska Straż Narodowa z bazy w Luepa. Będą musieli kilkakrotnie tankować w drodze do Canaima, tak jak my. Siedem czy osiem przystanków.

– Ale jeśli dostanę antybiotyk na Tracie, powinien mi pomóc.

Skinął głową, odwracając od niej wzrok. Przerazały go zakażenia kości. W ten sposób stracił wielu swych indiańskich pacjentów. *Staphylococcus aureus* przeżerał się skutecznie przez szpik kostny – jeden z bardziej ponurych sposobów, w jaki dżungla potrafiła uśmiercać żywe istoty.

Krople spadały znacznie wolniej ze skały ponad ich głowami.

– Przystaje padać – odezwała się Tree. – Chodźmy. Potrząsnął głową.

– Mój bark. Będziesz go musiała nastawić, w przeciwnym razie nigdy nie przejdę tej odległości.

– Powiedz mi, jak to zrobić.

– Jedną ręką nie będzie ci łatwo.

Złapała go mocno za przedramię i ścisnęła z całej siły.

– Hej, to ja, przypominasz sobie? Jestem teraz równie silna... – Oczy błyszczały jej uczuciem.

Spojrzenie Tree chwyciło go za serce i otworzyło pieczołowicie zamkniętą kryptę wspomnień, z której wydobył się obraz: Mason miał dziewiętnaście lat, Tree osiemnaście, ścigał ją na szczyt opustoszałej latarni w Indian Mound Beach; obydwójce śmiali się w głos, gdy pędziła po spiralnych schodkach ponad jego głową. Stuk butów uderzających o metalowe stopnie rozbrzmiewał echem w ceglastej tubie, a serce odpowiadało mu łomotem w piersiach. Jej Iniana sukienka falowała niczym czerwony żagiel; urzekał kontrast białej bawełnianej bielizny z opalonymi udami. Nie zdołali dotrzeć na szczyt, skąd roztaczał się romantyczny widok na morze; kochali się na stojąco, na schodach, jej ciało wciskało się w zardzewiałą poręcz; okrzyki niewysłowionej rozkoszy wzmocnione jakby w megafonie.

Mason zdobył się na uśmiech. Tree była wciąż równie zgrabna i silna jak wtedy, gdy rozpadło się ich małżeństwo po powrocie z Wietnamu. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata. Potem nie widzieli się przez osiem lat, aż tydzień temu zmarł, kompletnie zaskoczony, gdy stanęli twarzą w twarz w Canaima. Po raz wtóry zastanowił się, czy dołączyła do grupy badawczej dlatego, że on pełnił funkcję lekarza grupy. „Mam tylko nadzieję, z uwagi na jej dobro, że nie kocha mnie tak bardzo, jak ja wciąż ją kocham”.

Ból w barku wyrwał go z zamyślenia.

– No, dobrze. Połóż się na plecach naprzeciwko mnie. Ułóż lewą nogę wzdłuż mojej ręki.

Usadowili się na skąpanej deszczem piaszczystej ziemi; maleńkie różowe grzybki wyrastały spomiędzy kamyków, a ich zgniecione łebki wydawały z siebie intensywną woń piżma.

– Dobra – odezwał się Mason. – Oprzyj prawą stopę pod moją pachą i pociągnij ramię do

siebie, powoli, pod niewielkim kątem od mojego tułowia.

– Tak?

– O cholera by to... tak. Właśnie tak. Oooo, k... – Wessał mocno powietrze w płuca. – Ciągnij... Eee... – Jęknął przeciągle. – Ciągnij, aż poczujesz, że kość zaczyna zmieniać położenie... Aaaa... przestań, przestań, przestań! – Rozdziawił usta z bólu i zamknął mocno oczy, aż łzy wypłynęły spod powiek. – Chyba... – wyszeptał, napinając mięśnie na klatce piersiowej – ...chyba nic z tego.

– Mason, jesteś największym twardzielem, jakiego kiedykolwiek znałam. – Dyszała ciężko z wyczerpania i bólu.

Zaczerpnął głęboki oddech, po czym wypuścił powoli powietrze z płuc przez zaciśnięte usta.

– No, dobra. Jeszcze raz – westchnął. – Tym razem pociągnij dwa razy, tak mocno jak przedtem, i ciągnij dalej, nawet jak będę wrzeszczał, żebyś przestała. Kiedy górna część barku znajdzie się na jednej linii z kością obojczykową, trzymając stopę w tym samym miejscu, przekręć mi ramię w kierunku mojego boku.

Zacisnęła palce na jego prawym nadgarstku.

– Gotowy? – Zaciągnął się powietrzem i skinął głową. Tree napała stopą na pachę i pociągnęła, mocno i równomiernie. Mason wrzasnął i wbił potylicę w piach, na którym leżał.

– Idzie! – zawołała. – Zsuwa się w dół. Idzie.

Zagryzł zęby, zatrzęszczały nieprzyjemnie. Tree przekręciła ramię do wewnątrz, rozległ się głośny chrzęst, kiedy staw barkowy wskoczył z powrotem na swoje miejsce.

Mason przez długi czas leżał, dysząc i sapiąc. Potem zagwizdał głośno, przeciągle.

– Czuję się jak astronauta. Widziałem gwiazdy, galaktyki. – Usiadł z krzywym uśmiechem i potarł nastawiony bark. – Ale co za ulga.

– Wszystko już będzie dobrze?

– Wygoi się. Zwykle trwa to jakiś miesiąc. – Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. – Dzięki. Jesteś dzielna, jak zawsze. – Sposób, w jaki na niego patrzyła, kazał mu przełknąć głośno ślinę. Spuścił wzrok. Plamy krwi z rany na ręce zaschły na mocnych, szarych, wełnianych rajtuzach. – Żałuję, że nie mogę ci bardziej pomóc z ręką.

– Żyjemy. Teraz tylko to się liczy. – Wstała i pociągnęła go na nogi. – *Vamosos*. Zwróciła się w kierunku błędnącego wschodniego nieba na poszarpanym horyzoncie.

W milczeniu ruszyli przed siebie, stąpając ciężko w zimnym, siąpiącym deszczu. Wiatr zamarł, lecz od czasu do czasu jakieś spóźnialskie, silne podmuchy gwizdały przeciągle, wirując w skalistych labiryntach. Każdą wystającą powierzchnię okrywał gruby płaszcz mchu, porostów i grzybów. Oczy Masona podążyły za szeroką, połyskującą wstęgą błękitnozielonych alg, która wiła się wzdłuż ściany kanionu jak pomalowana rzeka. To tu, to tam przysadziste drzewo figowe, ozdobione dyndającymi żółtymi orchideami, albo karłowata jacaranda falująca

fioletowymi kwiatami wyróżniały się pośród niezmiernych konturów skał.

Mason sprawdził położenie na kompasie i dotknął łokcia Tree.

– Myślę, że w tę stronę. – Przepięli się korytarzem prowadzącym w górę na bardziej otwartą przestrzeń. – No, teraz powinno być łatwiej.

Pod stopami skrzył im się różnobarwny dywan jaspisów i obsydianów, lśniących niczym czarne szkło. Tree stąpała nad kryształem kwarcu wielkości cegły.

– Raj dla geologów – stwierdziła.

Mason przypatrywał jej się przez moment. Oślaniała rękę, trzymając ją blisko przepony brzusznej; od czasu do czasu, gdy potknęła się o jakiś kamień, ramię ocierało się o udo. Wtedy jęczała cicho. Skóra nabrała ziemistego koloru – wiedział, że było to spowodowane bólem. Dotrzymywała mu jednak kroku i nic nie wskazywało na szok pourazowy. Na razie. Jutro będzie o wiele paskudniej, jeśli nie dotrą dziś wieczorem do Tratwy.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Czuję w rękę wrzenie, jakby bulgotała lawa w kraterze. A twój policzek? Przesunął językiem po głębokiej ranie i skrzywił się.

– Mógłbym założyć kilkanaście szwów, wewnątrz i na zewnątrz, lecz przede wszystkim trzeba włączyć w nas sporo tetracykliny.

– Mason, co się stało tam na górze? Gapiłam się na tę wioskę, Lisa filmowała wodospad. A potem wszystko, ludzie i sprzęt, zaczęło fruwać po całej kabinie, objając się o ściany.

– Cholerny ptak – odezwał się. – Olbrzymi. Chyba kondor. – Chciał rozłożyć ramiona, żeby pokazać rozstaw skrzydeł, i jęknął z bólu, jaki wciąż tlił się w sztywnym barku.

– Może harpia? – powiedziała. – Największy gatunek w Amazonce. Potrafią wisieć w powietrzu jak kolibry, porywać małpy z drzew.

– Taak, no cóż, ten okaz wystrzelił prosto z wioski, jak pocisk ziemia-powietrze, a potem rzucił się na nas... Mógłbym przysiąc, że nas zaatakował. Niewątpliwie uderzył w tylny wirnik. Poczulem to uderzenie, a potem Juan stracił kontrolę nad maszyną.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Chodziłam z Lisa do Harvardu – powiedziała Tree. – Barry’ego poznałam w Monteverde.

Mason skinął głową.

– Juan kilkakrotnie woził mnie helikopterem wzdłuż Orinoko, gdy organizowałem kliniki w wioskach. Cholernie dobry pilot. – Oczyma wyobraźni zobaczył go w płomieniach i poczuł ulgę, że Juan umarł bardzo szybko. – Znałem Lisę z czasu, kiedy nakręciła historyjkę dla GEO na temat mojej pracy z Wawajeros.

Tree westchnęła.

– Kiedy zobaczyłam cię na okładce... wybuchnęłam płaczem na środku ulicy. To wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się na pewno, że żyjesz.

– Przykro mi. – Pokręcił głową. – Szczerze mówiąc, pisałem do ciebie. Kilkanaście razy przez te wszystkie lata. Większość z listów odkładałem na bok, na jakiś czas, mając nadzieję, że pewnego dnia te słowa rozwiną się w jakąś doskonałą epistołę. – Potarł ręką gęste, czarne kędziory. – Nawet raz napisałem po hiszpańsku – dodał. – W końcu ten też podarłem.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Angielski, hiszpański, co za różnica? Listy, których się nie wysyła, mówią mi tyle, co *nada*.

– Masz rację. Wiem. Nie liczą się, jeśli ich nie wysyłałem. Ale cała sprawa w tym, że nawet gdybym znał sto języków, to i tak nigdy nie znalazłbym odpowiednich słów, aby wyjaśnić, dlaczego musiałem odejść.

Szli dalej.

– Było w nas tyle miłości, Mason... miłości, o jakiej mnóstwo ludzi może tylko marzyć przez całe życie. Sam mi to kiedyś mówiłeś.

– Tree – odparł miękko. – Coś się wydarzyło...

– No, tak. „Coś się wydarzyło w Wietnamie”. Wiele razy już to mówiłeś. A ja cię naprawdę słyszę. Naprawdę. Wiem, że musiało to być dla ciebie coś strasznego, coś przekraczającego wszelkie wyobrażenie. Ale nigdy mi nie powiedziałeś co... Ta przeszłość nawiedza cię jak nocne mary, wstydzisz się czegoś, co miało miejsce wiele lat temu, a nie pozwolisz sobie pomóc. Złamałeś mi serce, Mason. Osiem lat... a to wciąż w tobie siedzi, jak przenikliwy ból...

Utkwił wzrok gdzieś w oddali i głośno przełknął ślinę.

– Pewnych rzeczy nigdy nie będę ci w stanie wynagrodzić. Ale... cóż... chyba to już kiedyś mówiłem: Nie potrafię tego naprawić. Są po prostu rany, które nigdy się nie zagoją.

Kluczyli pośród głązów. Mason usłyszał, jak Tree cicho popłakuje. On również załkał, lecz bezgłośnie, w zakamarku ukrytym głęboko w sercu. Od czasu gdy powrócił z Wietnamu, nigdy nie uronił łzy. Takiej prawdziwej, która spływa po policzkach i oczyszcza duszę. Wewnątrz zamkniętego szczelnie zakamarka czuł teraz, jak oczy nabrzmiewają mu od łez, które jednak nie miały gdzie spłynąć. Brakowało im ujścia. Były uwięzione. Nikomu nie wolno wejść do tej krypty. Nawet Tree. Nawet jemu samemu.

Jedno jest pewne, Tereso Diano. Gdybyś wiedziała, co zrobiłem w Wietnamie, nigdy byś mi nie wybaczyła.

Przecisnęli się bokiem między dwoma sięgającymi głów głazami. Na płaskiej granitowej półce skalnej leżał olbrzymi, martwy ptak z rozpostartymi skrzydłami. Miał odrąbane nogi na wysokości ud; ciemna posoka barwiła pomarańczowe grzyby porastające szary kamień.

– Boże, to ten ptak, który w nas uderzył – odezwał się Mason. Przyspieszyli kroku. – Popatrz na rozpiętość jego skrzydeł: chyba dwa metry albo i więcej.

– To harpia – powiedziała Tree. – Samica. Są większe od samców.

– Dlaczego nas zaatakowała?

– Nie jestem pewna – odpowiedziała. – Chyba wlecieliśmy na jej terytorium. Są niebezpieczne, kiedy bronią swoich jaj i młodych. To najpotężniejszy drapieżnik w świecie ptaków.

– Nie wątpię. – Podniósł padlinę. – Waży około dziesięciu kilogramów, a zrzuciła helikopter ważący dwie i pół tony.

– Dziesięć kilogramów pędzące z prędkością dwustu kilometrów na godzinę o szponach większych niż pazury grizzly – odparła. – Ucięło jej nogi, kiedy wyciągnęła szpony ku zdobyczy.

Mason skinął głową.

– Zderzenie najwidoczniej doprowadziło do pęknięcia śmigła ogonowego, a moment obrotowy z głównego śmigła spowodował, że zaczęliśmy wirować jak szaleni. Z ponurym szacunkiem położył ptaka z powrotem na skale.

– Chodźmy dalej – westchnęła. – Dzisiaj nów. Kiedy słońce schowa się za górami, będzie tu ciemno jak w atramencie.

Przez jakieś pół godziny kontynuowali wędrówkę na wschód, aż dotarli do wąskiej skały o grzbiecie w kształcie schodków, prowadzących do płaskiej platformy na szczycie. Regularne stopnie wyglądały, jakby wyrzeźbiła je czyjaś ręka.

– Doskonale – odezwał się Mason. – Erozja zbudowała nam wieżę obserwacyjną. Być może wypatrzę stamtąd Tratwę.

Kiedy dotarł na szczyt, natychmiast dostrzegł fluorescencyjną pomarańczową barwę laboratorium kontrastującą ze szkarłatem nieba.

– Tree! – zawołał na dół. – Widzę ją. Jest niedaleko, mniej niż pół kilometra.

– Och, dzięki Bogu!

Złożył dłonie i zawołał z całych sił w kierunku Tratwy:

– Hej! Domino! Lynda! Nadchodzimy! Nastawcie kawę, *mis amigos*. Odpowiedziało mu echo własnego głosu. Dlaczego nie włączyli dla nas reflektorów iluminacyjnych?

Zagwizdał przenikliwie na palcach.

– Lynda! Domino! Tu Tree i Mason. Idziemy do was.

– Nie słyszą cię! – krzyknęła Tree. – Pospiesz się, zaraz zapadnie zmrok. Stojąc w punkcie widokowym, obrócił się i powiódł oczami po horyzoncie.

Na zachodzie niebo przybierało złowróżbny, aksamitnoczarny kolor, a uformowane na kształt kowadła chmury kłębiły się, sunąc w kierunku wzniesienia. Na tej długości geograficznej parszywa pogoda miała zwyczaj pojawiania się ukradkiem i błyskawicznie.

Zszedł na dół i złapał Tree za rękę.

– No dobrze, naprawdę musimy się ruszać. Szybko. Goni nas potężna chmura burzowa.

Zerknęła przez ramię.

- Aha. Skąd ona się wzięła?
- Wygląda na to, że prosto z piekła.

Wdrapując się na skalne półki i omijając ogromne monolity, w atmosferze złowieszczej ponurości dotarli do Tratwy. Nadmuchana neoprenem struktura tworzyła ośmiokątny pierścień. Nylonowe pasy między ożebrowaniem podtrzymywały sypialnie. Na zewnętrznym pierścieniu, na platformach obserwacyjnych, zainstalowano ramy, na których można było zainstalować sieci do chwytania owadów, ptaków i nietoperzy. Budynek z włókna szklanego, w centrum zawierał w pełni wyposażone laboratorium z dwoma generatorami napędzanymi benzyną oraz baterie akumulatorowe.

Z każdej strony Tratwy widniał biały napis HARVEST, a pod spodem: OŚRODEK BADAWCZY HALCYON. W dolnej części głównego laboratorium wykonany odręcznie napis głosił: *Witamy letnią ekipę naukową: Grudzień – Marzec 1982*. Pod klapą w podłodze dyndała nylonowa drabina z aluminiowymi szczeblami.

Tree stanęła u podstawy drabiny i zadarła głowę.

– Lynda! Domino!

Mason złożył dłonie i wrzasnął:

– Hej! Musicie nam pomóc. Trzeba wciągnąć Tree na górę. Jest ranna. Odwrócił się do niej.

– Dlaczego nie odpowiadają?

– Szszszsz. – Przytknęła palec do ust. – Posłuchaj. Generatory nie pracują. Chyba nikogo tam nie ma.

Mason spróbował po hiszpańsku.

– *Necesitamos su ayuda! Mueven sus cosas!* Potrzebujemy waszej pomocy! Ruszcie tyłki!

Tree zmarszczyła brwi.

– Nikogo nie ma. Prawdopodobnie wyszli nas szukać.

Niebo rozpadło się na kawałki. Krople deszczu uderzyły głucho w gumową tratwę, odbijając się jak pokruszony marmur.

– Grad – jęknęła Tree, tuląc się do Masona.

– Cholera. Wejść na górę – postanowił. – Przyniosę zastrzyk przeciwbólowy i jakoś spróbuję cię tam przetransportować.

– Przynies też kilka latarek. Ciemno jak w... Trudno odróżnić szczeble.

– Dobry pomysł. Nakieruję też reflektor punktowy z jednej z platform zbierających.

Wspiął się po drabinie, walcząc z przenikliwym bólem w sztywnym barku. Popchnął klapę i wszedł do ciemnego laboratorium. Macając rękoma ścianę, natknął się na dużą latarkę. Dała się zdjąć z lekkim kliknięciem. Przeczesał pomieszczenie jasnym promieniem.

Widok, jaki ujrzał, sprawił, że zaczęło mu dudnić w uszach wraz z pierwszym uderzeniem pioruna.

Rozdział 3

Krwawe ślady, odciski rąk, wytyczyły ścieżkę wzdłuż przeciwległej ściany laboratorium, zjechały w dół, tworząc na podłodze czerwonawobrazowe plamy, które poprowadziły światło latarki do nieruchomego ciała. Lynda Loyola leżała rozpostarta twarzą w dół, rękami zakrywając głowę, jakby chciała uchronić się przed atakiem.

– Lynda!

Mason w trzech skokach przemierzył ośmiokątne pomieszczenie i ukląkł nad ciałem. Błyskawica za wysokimi oknami oświetliła ściany błękitnobiałą poświatą. Grzmot przetoczył się ciężko, wprowadzając w wibrację aluminiową podłogę, podczas gdy grad wybijał oszalały rytm, tłukąc niemiłosiernie o dach. Ostrożnie obrócił głowę Lyndy. Światło latarki wdarło się w głąb czarnych, pustych oczodołów. Na czole, policzkach i szyi widniały głębokie bruzdy, a w niektórych miejscach mięso zwisało w nieregularnych plastrach, ukazując żółć tłuszczu, czerwień mięśni, biel kości.

Mason instynktownie puścił głowę; rąbnęła bezwładnie na podłogę. Na miłość boską! Co tu się stało?

Tree zawołała z dołu.

– Mason, co tam się dzieje?

Błyskawica eksplodowała w pobliskim zgrupowaniu głazów, wyrzucając grad roztrzaskanych kamieni w powietrze. Kształty i cienie w laboratorium skoczyły pobudzone do życia. Mason przesunął promień latarki wokół pomieszczenia w gorączkowym poszukiwaniu.

– Domino?

Jasne koło pośrodku snopu światła drżało. Zaczepnął głęboki oddech i uspokoił rękę. W pokoju panował chaos. Potrzaskany sprzęt laboratoryjny walał się po blatach i podłodze, a porozbijane radia leżały na stercie w jednym z ośmiu kątów pomieszczenia.

– Mason! – zakrzyknęła Tree. – Odezwij się.

Jeden, dwa, trzy zygzaki błyskawicy rozdarły ciemności nocy; przestraszona sowa zaskrzeczała z pobliskiego kąta.

– Nie ruszaj się stamtąd, Tree! – zawołał. – Mamy tu, eeee, mamy tu pewien problem. Muszę to sprawdzić.

– Co za problem?

– Eeee... najgorszy z możliwych. Uważaj na siebie. Wygląda na to, że może tu być jakieś dzikie zwierzę...

– Czy wysilasz się, żeby mnie nastraszyć, czy mówisz poważnie?

– Zaczekaj! – krzyknął Mason. Miał nadzieję, że to rzeczywiście było jakieś zwierzę. Nie dopuszczał do siebie innej ewentualności: Domino Cruz oszalał i zamordował swoją partnerkę.

Przeszedł się po laboratorium. Kamera wideo leżała na ziemi, roztrzaskana na kawałki za pomocą metalowego mikroskopu. Żadne zwierzę tego nie zrobiło.

Ani śladu Domina. Jedne z uchylnych drzwi stały szeroko otwarte. Wetknął głowę i wyjrzał na zewnątrz, oświetlając latarką drugą połowę Tratwy. Wbudowane trójnogi pod wideo, reflektory punktowe w stacjach zbiorczych, sypialnie o kopułach na kształt grzybków, wszystkie kabiny i ciemne kąty wynurzały się z mroku. Puste.

Przeszedł przez laboratorium do znajdujących się po przeciwnej stronie drzwi.

– Domino! – zawołał. Kule gradowe sprawiały, że zbiornik na deszczówkę wyglądał niczym kosz na piłki golfowe. Ani śladu żywej duszy.

Błyskawica rąbnęła w uformowane na kształt pagody skupisko skał kilkaset stóp od Tratwy. Aluminiowe panele podłogowe zahuczały od przewalającego się grzmotu.

– Mason?

– Tak – odpowiedział, przeszukując szafkę. Znalazł jasnożółty materiał ogniotrwały mający za zadanie stłumić ewentualny pożar. – Nie ma tu Domina.

– A Lynda?

Nasunął materiał na zwłoki Lyndy.

– Miała wypadek.

– Ale już w porządku?

– Lepiej zejść na dół i wtedy porozmawiamy.

Zszedł po drabinie i zobaczył, jak dygocze na całym ciele z szeroko otwartymi, wypełnionymi przerażeniem oczami. Przyciągnął ją do siebie i przez chwilę tulił w ramionach. Gradowe kulki odbijały się głucho o piaszczystą ziemię, a lodowate podmuchy wichru szarpały warkocze kobiety. Mason powiedział, co zastał w laboratorium; nie wspomniał o okaleczeniu ciała Lyndy, ograniczając się do przypuszczenia, że to morderstwo.

Tree sapnęła głucho.

– Ale co się stało z Dominem... – Wzdrygnęła się. – Dziś rano przez radio sprawiał wrażenie takiego jak zawsze. Nawet się do mnie przystawiał.

– Cały Domino. Nigdy nie przepadałem za gościem.

– Cóż, skoro czas na wyznania: Ja nie mogę go znieść. O mało co nie odrzuciłam propozycji dołączenia do tej ekipy, kiedy się dowiedziałem, że on jest członkiem. Osiem miesięcy z Domino sapiącym mi do ucha, brrr, ale to po prostu jego *machismo*. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy... – Skrzywiła się. – Co sprawiło, że stracił nad sobą kontrolę?

– Może Lynda powiedziała mu, że ma maluśkiego *pinga*? – rzucił pytająco. – Nie wiem. Ale nasze nadzieje na ratunek wyglądają cholernie nieciekawie.

Błyskawica wyrwała się z ciemności i przemknęła przez nieboskłon; grzmot tłukł się pośród głązów przez ponad minutę. Mason zerknął na drabinę.

– Musimy tam wejść, by schronić się przed burzą i trochę się przespać. Jutro poszukamy w tym bałaganie tetracykliny. Pojemniki na deszczówkę dostarczą nam wody pitnej. Musimy się zorientować, co ocalało z naszego sprzętu, i coś wymyślić. – Uścisnął jej ramię. – Ty wejdiesz pierwsza. Postaram się unieruchomić drabinę i asekurować cię, w miarę możliwości, z dołu.

– Złapiesz mnie jak spadnę? Przecież cię zmiażdżę.

– Nie martw się. Nic z tych rzeczy.

– Ważę teraz prawie siedemdziesiąt kilo.

– Całkiem ci z tym do twarzy – stwierdził. – Dawniej byłeś za chuda. No, ruszaj do góry.

– Trochę się martwię, co będzie, jeśli cię przygniotę.

– Nie spadniesz. Puszczaj rękę i przerzucaj na następny szczebel. Wykorzystuj nogi. No, dalej.

Tree rozpoczęła wspinaczkę po drabinie, a Mason całym ciężarem ciała zawisł na nylonowej konstrukcji. Nie spuszczał oka z Tree, kiedy pokonywała szczebel za szczeblem, jęcząc z bólu przy najmniejszym poruszeniu okaleczoną ręką. Zatrzymała się na górze, żeby złapać oddech, a potem przerzuciła ciało przez klapę wejściową.

Kiedy wczuł się do laboratorium, Tree leżała na podłodze, zbyt wyczerpana, by utrzymać się na nogach. Zniknął na chwilę w sypialni i powrócił z kilkoma ręcznikami i dwoma zrolowanymi śpiworami, zapakowanymi w przeciwdeszczową kurtkę z kapturem. Pomógł Tree wydostać się z przemoczonych ubrań i wytrzeć się do sucha. Wślizgnęła się do zielonego nylonowego śpiwora, trzymając okaleczoną rękę na zewnątrz. Zamknął na zamek błyskawiczny wypełniony włóknem śpiwór jak kokon. Złożony w kostkę ręcznik posłużył zamiast poduszki. Następnie usiadł ciężko, opierając się plecami o ścianę, i zakrył twarz dłońmi.

Błyskawica zamigotała daleko na horyzoncie, a po jakimś czasie rozbrzmiał odległy grzmot; burza ustępowała, pozostawiając pod sobą bezkسیężycową dżunglę. Na szczycie góry żaby drzewne, cykady i świerszcze uruchomiły hałaśliwy silnik, lecz ich goście – dwoje ludzi – przez dłuższą chwilę milczeli.

– Mason, proszę, przytul mnie – powiedziała w końcu Tree.

Na czole mężczyzny pojawiła się głęboka bruzda, kiedy ruszył przez ciemność w stronę jej głosu.

– Jeszcze ci zimno?

– Boję się.

– Jestem tu. – Usiadł obok i położył jej rękę na ramieniu gestem pocieszenia.

Przytulisz się do mnie? Tylko tej nocy. Proszę. Bardzo cię teraz potrzebuję. Westchnął. Chciał i nie chciał, żeby do tego doszło. Niechętnie zdjął z siebie przemoczone, zimne ubranie i wślizgnął się do jej śpiwora. Mierząc sześć stóp, przerastała go o dwa cale. Jej ciało wydawało

się niezwykle gładkie w zetknięciu z jego zarośniętą klatką piersiową i nogami. Nie, nie była zimna. Była ciepła, przyjemnie ciepła. Ciepła ciepłem lata. Pomyślał, jak wiele razy łączyli się podczas gorących, letnich dni ich romansu. Zdał sobie sprawę, że od czasu rozwodu ani razu nie doznał takiego ciepła. Nawet na nizinach, kiedy pot skapywał mu z brody, gdy podawał szczepionkę dziecku Wawajero.

Łzy nabrzmiały, wypełniając po brzegi tajną kryptę jego duszy. Nie zasługuję na to, żeby kiedykolwiek jeszcze czuć wewnętrzne ciepło.

Zakrył dłońią oczy i sen ogarnął go w jednej chwili.

Rozdział 4

Tree otworzyła oczy przed świtem, kiedy Mason rozpiął śpiwór i wyskoczył na zewnątrz. Pomimo jątrzącej się rany zasnęła ponownie. Kiedy obudziła się po raz drugi, słońce wspięło się już w jednej czwartej na niebo. Czyste, suche ubrania z jej osobistych zapasów leżały schludnie poskładane na podłodze obok głowy.

Usiadła.

– Mason?

– Jestem tutaj. – Wszedł do laboratorium przez uchylne drzwi; ciemnoniebieski wełniany sweter nadawał morski odcień jego oczom. Obserwowała jak, niczym kamery w studio portretowym, rejestrują jej nagość.

Nagle poczuła się zażenowana i naciągnęła na małe piersi zielony nylon. Jego ręce i usta kiedyś pieściły te piersi. Dlaczego teraz zakrywam przed nim swoje ciało? Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do wstania. Słońce wpadające strumieniami przez wysokie okna ozłociło jej smukłą sylwetkę. Płowa delta między udami chwyciła promienie niczym mieniące się złoto.

Mason zamrugał i przelknął głośno ślinę. Odwrócił się. Na składanym stole walały się tranzystory i tablice połączeń z kilku potłuczonych odbiorników radiowych.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że jestem za chuda – odezwała się do jego barczystych pleców.

– Nigdy tak o tobie nie myślałem. Wciągnęła na siebie bieliznę.

– Ale zeszłej nocy powiedziałaś...

– Po prostu... wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek – odparł. – To oczywiste, że pracowałeś nad sobą.

Uśmiechnęła się za jego plecami, wchodząc w czarne dzinsy i podciągając je zdrową ręką.

– Trzy razy w tygodniu siłownia. W wolne dni osiemset metrów pływania. – Skrzywiła się, przekładając okaleczoną rękę przez rękaw zielono-czarnej flanelowej koszuli w kratę.

Zerknął przez ramię.

– Czekaj, pomogę ci ją zapiąć. – Podeszedł i zaczął zapinać guziki. Piegi pokrywały górną część drobnych piersi. „Jak posypane cynamonem,” szeptał kiedyś między pocałunkami. Szukała jego wzroku, lecz nie odrywał go od swych palców zapinając flanelę nad jej łonem.

Podeszedł do stołu i przyniósł jej baton rodzynekowo-granolowy.

– Śniadanie. Znalazłem całą paczkę w sypialni Barry’ego.

– Myślałam, że nie cierpisz granoli.

– I rodzyneków. Nie przypominaj mi. Wygląda na to, że to nasze jedyne pożywienie nie wiadomo na jak długo. Dziś rano, szczerze mówiąc, nawet mi smakowało. *La salsa mejor en el mundo es el hambre.*

– Najlepszą przyprawą na świecie jest głód – przetłumaczyła. – Marquez? Potrząsnął głową.

- Jeszcze dalej wstecz.
- Borges? Neruda? Zamiótł ręką powietrze.
- Do tyłu.
- Och – odezwała się. – Cervantes.

Skinął głową. Tree zębami zerwała opakowanie batonika i odgryzła kawałek.

- Mmmm. – Żuła z zamkniętymi oczami. Mason uśmiechnął się.

- Pamiętam. Prawdziwa granolowa panienka.

Tree ugryzła kolejny kęs i przytrzymała opakowany koniec batona w zębach, wsuwając jednocześnie ranną rękę do rękawa wełnianego swetra. Jęknęła. Nad brwiami Masona pojawiła się znajoma bruzda.

- Jak ręka?

- Fatalnie. – Opuchnięte ciało przybrało purpurowoczną barwę. – Nie przestaje się jątrzyć.

– Szczerze mówiąc, to pozytywny symptom. Znaczy, że nie jest przerwane krążenie w uszkodzonym miejscu.

- A więc dopóki boli jak cholera, nie ma się czym martwić?

- Cóż... – Przesesał dłonią czarne kędziory. – Mam dobre i złe wieści.

- Najpierw te złe. Radosne akcenty lubię zostawiać na koniec.

– Dobrze. Nie ma teteracykliny. Ani morfiny. Ani nawet aspiryny. Cała apteczka po prostu wsiąkła.

Pokręciła głową zdumiona.

- Brakuje też mnóstwa innych rzeczy. Nie ma gaśnic, noży, maczet...

- Co w takim razie pozostało?

– To, co zostało, jest porozbijane na kawałki, w większości. Generatory gazu nie działają. Baterie również. Awaryjne transpondery rozbite w drobny mak. Dakronowa powłoka balonu, ta na gorące powietrze, jest w strzępach. – Umilkł.

- O, Boże... a teraz dobre wieści.

– Chyba to dobra wiadomość. Domino tego nie zrobił. A przynajmniej nic nie wskazuje, by to on zamordował Lyndę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chyba jakaś inna cholerna harpia. Dziś rano znalazłem martwego ptaka w sieci na nietoperze.

- Zbieg okoliczności?

- Nie. Twarz Lyndy – westchnął. – Nie potrafię ci tego opisać... to musiała być ta harpia.

- To zbyt dziwne. – Spojrzała na miejsce, gdzie zeszłej nocy leżały zwłoki ich koleżanki.

– Włożyłem ciało do śpiwora i zaniósłem do sypialni – odezwał się Mason. – Dopóki nie przetransportuję na dół, na skały, i nie pogrzebię. – Wyjął długie białe pióro. – Spójrz na to.

Znalazłem je pod zwłokami.

Tree wzięła pióro do ręki.

– Lotka. Szerokie pióro. Drapieżnik. Ten ptak był albinosem.

– Harpia?

– Nie jestem pewna. Ale niewykluczone. – Pokręciła głową. – Mason. Trudno mi w to uwierzyć.

Skinął w kierunku uchylnych drzwi.

– Przekonaj się. Jestem pewien, że tej harpii nie było w sieci zeszłej nocy. To nie jest albinos. Myślę, że chciała nas zaatakować, ale złamała szyję w sieci.

– Ptaki nie rozbijają odbiorników radiowych.

– Cóż, wiadomo. Dzieje się tu coś niewiarygodnego, co nie daje mi spokoju. Nie wiem, jaki jest w tym udział Domina. Ale na tej górze nie ma nikogo oprócz nas. A może się mylę?

– Do diabła, Mason. – Zbliżyła się do niego; na karku pojawiła jej się gęsia skórka. – Jesteś specem od amazońskich plemion. Czy mógłby to być napad Indian Yanomorduro?

– W każdych innych okolicznościach wykluczyłbym podobną ewentualność. Yanomorduro boją się tepui, szczególnie tego. Mówią o żółtych wiedźmach, które jakoby najeżdżają ich wioski i porywają młodych chłopców. Ale... jeśli Domino nie rozwalil naszego sprzętu, zrobił to ktoś inny.

– Gdzie jest Domino? – zapytała. Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Czy zeszłej nocy rana na rękę krwawiła? Uniosła okaleczoną dłoń, wystawiając spalone mięso na światło dnia.

– Chyba nie.

Dotknął świeżego strupa na policzku.

– Moja chyba też nie. Dziś rano zauważyłem ślady zaschniętej krwi na szczeblach drabiny. Domino schodził tamtędy. – Wskazał w dół, na klapę.

– Uciekał przed harpią? Może – zastanowiła się. – A zatem on również jest ranny. Powinniśmy go poszukać!

Zastanawiałem się nad tym, ale to chyba nie najlepszy pomysł. Szczególnie w twoim stanie i kiedy nie wiemy naprawdę, jaki jest jego udział w tym wszystkim. Wie, gdzie jest Tratwa, prawdopodobnie postara się wrócić na własną rękę. Według mnie powinniśmy tu zostać, bo wewnątrz laboratorium będziemy bezpieczni w razie, gdyby więcej ptaków chciało wypróbować na nas pomysł Alfreda Hitchcocka. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się pozbiierać wystarczającą ilość części z tych potrzaskanych odbiorników i skonstruować jedno działające radio.

– No, dobrze. Brzmi to całkiem sensownie. – Wyciągnęła z kieszeni dzinsów napoczęty batonik i uchyliła drzwi. – Pójdę się przyjrzeć tej harpii. Przecież istnieje jakieś wytłumaczenie.

Chwycił ją za ramię i odwróciła się.

– Tree... – Usta otworzyły mu się i zamknęły, lecz nie wypowiedział nic więcej. Westchnął.

– To najbardziej romantyczna rzecz, jaką usłyszałam od ciebie w ciągu ostatnich ośmiu lat.

Spuścił wzrok.

– Przykro mi...

– Hej! Dokuczam ci tylko. – Ścisnęła jego dłoń i wyszła.

– Uważaj na siebie. Nie, zaczekaj, idę z tobą.

Odkręcił cylinder mikroskopu i zważył go w ręku niczym stalową pałkę. Następnie podążył na uginający się pod ich stopami gumowy pomost, biegnący z laboratorium do połączenia zewnętrznego pierścienia. Pomarańczowy neopren pachniał jak gigantyczny kombinezon nurka. Po jednej stronie cylindrycznej struktury nylonowy sznurek oplatał rząd aluminiowych pachołków, tworząc barierkę.

Przed nimi w stacji gromadzącej nietoperze Tree ujrzała zwisającą harpię z rozpostartymi skrzydłami. Głowa ptaka przeszła przez oko sieci, szyja trzasnęła jak zapalka. Mason miał rację. Dziób zwierzęcia umazany był krwią. Słupy z siecią ze szklanego włókna ugięły się pod ciężarem; nogi harpii zwiślały z boku tak, że nie było ich widać.

Tree podniosła ptaka, szukając śladów krwi. Do każdej nogi przymocowana była skórzana obrączka z rzemieniem długim na piętnaście centymetrów, zakończonym mosiężnym pierścieniem. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i cofnęła się z głuchym jękiem. To niemożliwe.

Mason stanął obok niej.

– Co to jest?

Powiodła oczami po horyzoncie. Dokoła rozpościerał się poszarpany teren, jak krajobraz księżycowy, pełen mchu, kwiatów i hałaśliwych owadów pośród pokruszonych skał.

Mason przytrzymał nogi ptaka, wpatrując się uważnie w skórzane rzemienie.

– Co to, u diabła...

Tree poczuła zarówno zdumienie, jak i przerażenie.

– Teraz wiem, w co wdepnęliśmy – wyszeptała.

Rozdział 5

Odwiązała skórzane rzemienie z nóg harpii i trzecią, mniejszą obrączkę ze złotym dzwoneczkiem. Jej zielone oczy błyszczały w porannym świetle. Potrząsnęła dzwoneczkiem i pokręciła ze zdumieniem głową.

– Ojciec miał rację – stwierdziła. – To prawda. Oni tu są. Ale nigdy, nawet w najdzikszych snach, nie spodziewał się, że taka kolonia do dziś istnieje.

– Kto? – odezwał się Mason. – Kto tu jest?

Spojrzała ku niebu i zrolowała naoliwiony rzemień w palcach. Szare chmury na horyzoncie zniżyły się ku zachodowi.

– Wejźmy do środka.

– Idź pierwsza.

Kiedy wszedł za nią przez uchylne drzwi, obróciła się i podniosła jeden z rzemieni z mosiężnym pierścieniem.

– To się nazywa pęto. – Następnie zadyndała obrączką z dzwoneczkiem. – A to sygnalizator. Wyciągnął rękę.

– Mason, to był tresowany ptak łowny, ćwiczony przez handlarzy, którym dostarczał mięsa. Widzisz te pierścienie? Pęta są zamocowane na stałe. Do nich przymocowuje się smycz przywiązaną do gniazda.

– Sokolnictwo? Kiwnęła głową.

– Wynalezione w Chinach cztery tysiące lat temu.

– Ale... kto wytresował te ptaki?

– Chińscy sokolnicy. Pokręcił głową.

– Pogubiłem się.

– Eldorado. Chińczycy. Mój ojciec chciał rozwiązać ten problem.

– Zaraz, zaraz. Cofnijmy się kawałek. Zacznij od początku.

Tree przechadzała się w tę i z powrotem po laboratorium, słowa popłynęły strumieniem z jej ust.

– No, dobrze. Tuż po śmierci mojej matki przeprowadziliśmy się z ojcem z Oksfordu do Nankinu, gdzie miał dostęp do zapisków dynastii Ming. Myszkował po pokojach pełnych pergaminów w poszukiwaniu informacji o żeglarzu odkrywcy Zheng-He. Pamiętasz Zheng-He? Opowiadałam ci o nim.

Skinał głową.

– Chiński Magellan.

– Właśnie. Czy wspominałam ci kiedykolwiek, dlaczego ojciec odesłał mnie razem z Gibem z Nankinu do Indian Mound Beach?

Wzdrygnął się na wspomnienie imienia jej brata. Gibraltar Summerwood. Najlepszy przyjaciel, o jakim człowiek może marzyć. Mason przełknął ślinę i wcisnął żal głęboko na dno duszy.

– Sądziłem, że twój ojciec badał tam artefakty. – Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Lecz nie rdzennie amerykańskie. Indianie Chochomoc trudnili się handlem tak, jak większość plemion z wybrzeża. Wymieniali bloki soli na szmaragdy i turkusy z ludami tak odległymi, jak Inkowie z Peru.

– Czytałem o tym. Pływali olbrzymimi czołnami po Zatoce. Spotykali się z handlarzami z całego świata. To niesamowite.

– No cóż, jakiś archeolog stamtąd przeczytał pracę mego ojca i napisał do niego do Nankinu o pewnych znaleziskach, które wyglądały na chińskie. Nazajutrz lecieliśmy samolotem na Florydę.

– Artefakty z samych Chin?

– Nie. Z samej Ameryki Południowej. – Zadzwoiła złotym dzwoneczkiem. – Widzisz? Starożytni Chińczycy wyruszyli w podróż morską do Nowego Świata. Oto sprawa, nad którą pracował mój ojciec.

– Pokaż mi go. – Mason wyciągnął rękę. Dzwoneczek wydawał się ciężki jak na dwa centymetry długości; możliwe, że został odlany z prawdziwego złota. Boki, pokryte runami, bardziej ozdobnymi niż kilkusetletnie chińskie ideogramy, które Gib uczył go odczytywać. Wykaligrafowane znaki zawirowały niczym oliwa rozlana na wodzie. Poczuł, jak serce łomocze mu w piersiach, gdy starał się zapanować nad natłokiem myśli.

– Na początku piętnastego wieku Zheng-He dowodził największą flotą świata – wyjaśniła Tree. – Złota Flota, ponad dwieście jednostek płynących razem.

– Hiszpańska armada to przy niej karzełek.

– Nie tylko pod względem liczebności – zauważyła. – Wiele następnych stuleci nie oglądało tak ogromnych okrętów admiralskich: dziewięciomasztowe, sto pięćdziesiąt metrów długości, każdy z pięciuset żołnierzami i marynarzami na pokładzie.

Mason zagwizdał cicho.

– „Santa Maria” wyglądałaby przy takim jak szalupa.

Misja Zheng-He polegała na nawiązaniu kontaktu z obcymi cywilizacjami i przekazaniu podarunków od chińskiego cesarza. Podczas pierwszej wyprawy opłynął afrykański przylądek, sto lat przed Magellanem, i powrócił do cesarza z żyrafą, lwami, lampartami, końmi arabskimi i słoniem.

– Co niewątpliwie wywarło niemałe wrażenie na cesarskim dworze.

– Większe, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Uznali żyrafę za niebiańskie zwierzę zwane qilin, jedno z czterech świętych stworzeń – obok smoka, feniksa i żółwia – z chińskiej mitologii.

Cesarz sfinansował sześć kolejnych wypraw. Zheng-He odkrył Morze Arabskie i Ocean Indyjski, i powrócił z jeszcze bardziej egzotycznymi skarbami. Zarzucił kotwicę u wybrzeży Australii, trzysta lat przed kapitanem Cookiem. Lecz jego tajemna misja polegała na odnalezieniu Wysp Nieśmiertelnych i sprowadzeniu do kraju Ling-Chih, grzyba nieśmiertelności.

– Aha, to dlatego cesarz dawał pieniądze.

– Owszem. Ale posłuchaj: w trakcie ostatniej wyprawy Zheng-He pożeglował do Indii i zmarł na morzu. Złota Flota rozdzieliła się. Odkryli Sri Lankę i Indonezję. Po roku statki powróciły do ojczyzny. – Jej usta wykrzywił półuśmiech. – Wszystkie oprócz jednego.

Mason skinął głową.

– Teraz zaczyna mi się rozjaśniać.

– Ko T'ung Jen, dowódca, natrafił na Czarny Strumień, my nazywamy go Prądem Japońskim, i pożeglował w kierunku baśniowych Zachodnich Lądów. Jego statek wiozł żołnierzy, marynarzy, kozy, świnie, kurczaki, zioła, nasiona, drzewa owocowe... oraz młode dziewczęta.

Mason wyczuł, że jego twarz wyraża zdumienie.

– Dość, aby założyć kolonię.

– Był rok 1432. Niektórzy archeologowie są przekonani, że dopłynął do Nowego Świata, sześćdziesiąt lat przed Kolumbem. Znalaziono kilka artefaktów, które potwierdzają tę opinię, ale nikt nigdy nie natrafił na ślady chińskiej kolonii. Życiową ambicją mojego ojca było właśnie jej znalezienie.

Mason obrócił dzwonek w dłoni.

– Chińscy osadnicy w Ameryce Południowej – wymamrotał – przed Kolumbem...

Mój ojciec miał pewną teorię, która mówiła, że legenda o Eldorado, którą hiszpańscy konkwistadorzy znali z ust tubylców, nie dotyczyła tylko złotego króla w złotym mieście ukrytym w dorzeczu Amazonki. Eldorado było złotą rasą – Ko T'ung Jen i jego ludzie. Skinęła głową.

– Mój ojciec spędził wiele lat, badając historię Eldorada, opartą na zapiskach ponad dwudziestu ekspedycji, począwszy od Pizarra, aż do Humboldta. Doszedł do wniosku, że ta kraina leży tutaj, w obrębie tepui, między rzekami Orinoko a Uraricoera na północy i południu oraz rzekami Paragua i Caura na wschodzie i zachodzie.

– Ale przecież nie na szczycie tepui. Znajdujemy się na wysokości trzech tysięcy metrów. – Zamiótł rękami dokoła. – Nic, tylko skały. Nie ma tu miejsca na założenie kolonii. Czym by się żywili? Mchem?

– A zatem w jaki sposób wytłumaczysz to? – Odebrała mu dzwoneczek i pierścień. – Prostokątny kształt dzwonka to klasyczny styl Ming. Widzisz ten napis? Nazywa się *t'ien-shu*,

Czyli „pismo chmur”

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Pismo chmur to mistyczny tekst używany wyłącznie przez taoistycznych kapłanów. Nawet mój ojciec nigdy nie nauczył się go odczytywać.

– A Gib potrafił? – Tak.

– Oczywiście. Wcale się nie dziwię.

Mason miał trzynaście lat, kiedy spotkał Giba, który był dwa lata od niego starszy i osiem cali wyższy. Natychmiast się zorientował, ku swej ogromnej uldze, że nie jest jedynym bystrym dzieciakiem we Wszechświecie, a nawet nie jest nim w Dixon County.

Gib mówił kilkoma dialektami chińskiego, a jego angielszczyzna miała urokliwy brytyjski akcent. Mason nie znał dotąd żadnego chłopaka czytającego inne książki poza obowiązkowymi lekturami szkolnymi, nie mówiąc już o przedkładaniu powieści nad film. Gib pożerał książki, jak mewy połykają ostrygi. Interesowały go idee, opinie przelatywały mu przez otwarty umysł niczym świetliki; co więcej, potrafił prowadzić dysputy na temat: nauka czy poezja, mistycyzm czy sprawy doczesne. W pamiętne popołudnie, kiedy poznali się w wiejskiej bibliotece, przegadali ze sobą trzy godziny, siedząc na zimnych marmurowych schodach. Mason odniósł wrażenie, że oto spotkał brata bliźniaka, nieważne, że przyszli na świat z dwóch różnych łon – pomyłka w transporcie – bezsprzecznie łączyła ich więź duchowa.

Życie stało się jeszcze bogatsze i ciekawsze. Najlepszy przyjaciel Gibraltara, jego siostra Teresa, wdzięczna i zgrabna, również czytała książki. Mówiła płynnie po chińsku. Wspaniale grała na fortepianie. Śpiewała pieśni Joan Baez lepiej niż Joan Baez i tańczyła tańce Marvinu Gaye z niezrównaną gracją. Wkrótce Gib, Tree i Mason tworzyli nierozdzielny trójek.

Kiedy Mason skończył siedemnaście lat, nastąpiła trzecia, największa niespodzianka. Pewnego wieczoru zbliżył się do schodów starej kamiennej rezydencji, gdzie Tree siedziała, brzdąkając na swej cygańskiej gitarze. Uniosła powieki, skąpane w delikatnej, czerwonej poświacie, i uśmiechnęła się akwamarynowymi oczami. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że ta piękna dziewczyna w żółtej letniej sukience jest kimś wyjątkowym.

Wzdrygnął się i powrócił do teraźniejszości.

– ...ojciec szukał jedynie ruin – kontynuowała Tree. – Może jakichś Indian z domieszką obcej krwi, posługujących się swoistym narzeczem lekko naznaczonym dialektem mandaryńskim, nie żywej kultury chińskiej.

– Nie wyobrażam sobie, jak grupa ludzi mogła przeżyć w tym miejscu bez pożywienia i zapasów – stwierdził Mason. – Nawet miesiąc, że nie wspomnę... ile? Pięćset lat?

– Ale ta tresowana harpia jest dowodem...

– Mogła przylecieć z nizin. – Podniósł brwi i pstryknął palcami. – Oczywiście.

Jej twarz zapłonęła nagle.

– Ta dolina.

– Ten pierwszy ptak wleciał z tej doliny. To musi być tam. Tam właśnie należy szukać kolonii.

– Dobry Boże! – Opadła ciężko na stołek, a dzwonek w jej dłoni zadzwieczał cicho. – Znaleźliśmy Eldorado.

Mason przypomniał sobie strzępy rozszarpanego mięsa – wszystko, co pozostało z twarzy Lyndy. – Mam wrażenie, że bardzo nie chcą zostać odnalezieni.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Wicher trzepał w szklane włókno z zajadłym sykiem. Spojrzał na szczątki radiostacji na blacie stołu, a potem przeniósł wzrok na Tree.

No, dalej, Mason, przestań się okłamywać – pomyślał. Nawet, gdyby udało mu się złożyć przenośne radio, połamana główna antena ograniczała jego zasięg, utrudniając połączenie się z Canaima, skąd operator mógłby przekazać wiadomość do bazy Straży Narodowej w Luepa. A gdyby nawet mu się udało, minie tydzień albo więcej, zanim jakiś helikopter zabierze ich z wierzchołka tej góry. Do tego czasu ręka Tree zamieniłaby się w worek ropy, a infekcja przeniknęłaby do mózgu.

Przejechał zębami w przód i w tył ponad dolną wargą. Ona umrze, jeżeli czegoś nie wymyślisz – pomyślał.

Rozwagał terapię za pomocą robaków – standardowy sposób leczenia zainfekowanych ran podczas pierwszej wojny światowej, przed wynalezieniem antybiotyków. Indianie Wawajero przeprowadzali podobne zabiegi, używając małych gąsienic. Kiedy rana Tree zaczęłaby gnić, mógł pozwolić, by obsiadły ją muchy. Larwy rosnąc, zjadałyby martwą, zakażoną tkankę. Kiedy krew nabrałaby czerwonej barwy, oznaczałoby, że te małe skurczybyki zabrały się do zdrowej tkanki; wtedy przemyłby ranę. Larwy mogły ją uchronić przed gangreną – ale równie dobrze mogłaby umrzeć na malarię albo jakąś inną zarazę przenoszoną przez muchy.

Taak, powiedział do siebie. Kłębowisko larw ogryza rękę Teresy Diany. Prawdopodobnie rzuciłaby się w najbliższą przepaść.

Zerknął na nią i potarł się po brodzie.

– Czytałem kiedyś, że starożytni Chińczycy mieszały różne zioła z miodem i czosnkiem, używając tej mikstury jako antybiotyku.

Skinęła głową.

– Mieli najbardziej wyszukane środki farmaceutyczne w Starym Świecie. – Zmarszczyła brwi. – Zaraz, zaraz, Mason. Znam to spojrzenie. Nie myślisz poważnie...

– To jedyny sposób, żebyśmy poradzieli sobie z tym twoim cholernym odkryciem. – Podniósł dzwonek; promienie słońca odbijały się od złota, a maleńkie serce zabręczało melodyjnie. Czy Lynda słyszała muzykę rozszarpujących szponów? Zacisnął pięść na dzwonku i odezwał się sztywno.

– Musimy zejść do tej doliny i poprosić naszych ewentualnych zabójców o pomoc.

Rozdział 6

Opuścili Tratwę o świcie i ruszyli na zachód w kierunku wioski, którą dwa dni temu dostrzegli z helikoptera. Kiedy dotarli do punktu obserwacyjnego na skale, słońce wzbilo się już ponad urwistą krawędź tepui. Mason wspiał się na górę i spojrzał w dal.

– Stąd widzę tylko obrzeża doliny – zawołał na dół wskazując na południowy zachód. – Wygląda na jakieś pięć kilometrów. Jeśli nie zwolnimy tempa, możemy tam dojść przed zmrokiem.

Okaleczona ręka nabrzmiała jak ryba nadymka, a tętniący ból nie pozwolił Tree zmrużyć oka poprzedniej nocy. Mason tulił ją, siedząc oparty o ścianę. Jakiś czas po północy dziewczynę ogarnęła silna gorączka; to dygotała, to znów ociekała potem. Podawał jej wodę ze stopionego gradu, przecierał czoło i chłodził ciało wilgotnymi ręcznikami. Nie mówili zbyt wiele, lecz obecność Masona i rytm jego oddechu były dla niej jak bezpieczna boja na ciemnym morzu nocnych godzin.

Przed świtem Mason spuścił po drabinie ciało Lyndy zawinięte w śpiwór, zawlókł je do płytkiego rowu i obłożył kamieniami, gdy Krzyż Południa zamigotał nad horyzontem.

Następnie wziął Tree na plecy i zszedł z nią po drabinie. Pociła się w chłodnym, górskim powietrzu z gorączki, bólu i wyczerpania, ale przerażała ją sama myśl o ściągnięciu wełnianego swetra.

Powietrze pachniało przyjemnie, smakowało mchem i wilgocią. Piach chrzęścił pod butami. Nawoływania i śpiewy ptaków przerywało od czasu do czasu niskie jodłowanie, które wznosiło się, aż do kilkakrotnych ostrych krzyków – jakiś gatunek małpy z Nowego Świata, nie był to jednak głos, który Tree potrafiłaby rozpoznać. Górskie kwiaty koloru karmazynowego i indygo, nie większe niż dzwoneczki, to tu, to tam ubarwiały skalne półki, przeplatane pasteloworóżowymi i błękitnymi grzybami. Mimo zawrotów głowy i osłabienia zauważyła, że wciąż zachwycają ją największe huby, jakie kiedykolwiek widziała, dwumetrowe półkola, grube i pomarańczowe, niczym ser Cheddar.

Czubkiem buta zawadziła o skalny występ; Mason złapał ją za ramię i pomógł odzyskać równowagę.

– Możemy tu odpocząć, jakąś minutkę – powiedział, pomagając jej usiąść. Podał jej resztkę wody, jaką zabrał z Tratwy w plastikowym pojemniku. Woda przesiąknęła smakiem polistyrenu, lecz nie miało to dla niej znaczenia; pragnienie zbyt mocno przenikało komórki ciała. Pociągnęła dwa powolne łyki i oddała prowizoryczny bukłak.

Mason przed połknięciem zatrzymał na chwilę wodę w ustach.

– Właśnie się zastanawiałem – powiedział, biorąc kolejny, niewielki łyk – jak bliski był twój ojciec osiągnięcia celu.

Kiwnęła głową.

– Czytasz w moich myślach...

– Czy udało mu się wejść na szczyt góry, czy też zginął tam, na dole, w dżungli?

– Yanomorduro?

– Myślałem raczej o malarii, tyfusie, dundze...

Tree wyobraziła sobie ojca: siwowłosy, dostoyny i niezwykły, uosobienie brytyjskiego naukowca odkrywcy. Doktor Huxley Summerwood zrezygnował z funkcji honorowego dziekana Wydziału Badań Orientalnych w Oksfordzie, aby poświęcić się poszukiwaniu Eldorada. Kiedy miała dwanaście lat, zostawił ją i Giba w Indian Mound Beach na Florydzie, a sam przewędrował dorzecze Amazonki, szukając śladów chińskiego osadnictwa. Pierwsza ekspedycja zabrała mu sześć miesięcy, podczas których ona wraz z Gibem musiała znosić zrzędliwą pannę Thurmond – gospodynię domu, a równocześnie zastępczą babcie. Tree miała do ojca wielki żal, że porzucił ich, że nie uczestniczył w jej licealnym życiu i po jego powrocie za wszelką cenę starała się wytrwać w tym nastroju. Kochała go jednak zbyt mocno i zalała się łzami na widok wymizerowanego, kuśtykającego mężczyzny, który przechodził przez bramkę na lotnisku.

Rok później ojciec opuścił ich ponownie, wyruszając na drugą wyprawę w poszukiwaniu Eldorado. Nigdy nie powrócił.

Czy zabiła go harpia? Tutaj, gdzie jego marzenie było w zasięgu ręki? Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, że odnalazł legendarną krainę? Czy też ona pierwsza go znalazła?

Tree odetchnęła głęboko i wstała.

– Jestem gotowa. Chodźmy.

Słońce minęło zenit, kiedy wreszcie ujrzeli obrzeża doliny. Zbocza wystrzeliwały prawie pionowo ponad tysiąc metrów ku bujnej zieleni sklepienia. W połowie granitowej ściany ze szczeliny skalnej wybuchał pod ogromnym ciśnieniem wodospad. Spieniona, biała kipiela wyskakiwała znad skały na sześć metrów, by następnie, zatoczywszy łuk, runąć z grzmotem na dno doliny, znajdujące się daleko poniżej. Tęcze parami i trójkami tańczyły wdzięcznie w wirującej wodnej mgle.

– Zapiera dech – stwierdził Mason. – Popatrz na tę zielen: gęsty las tropikalny.

– Mglisty las – poprawiła, obserwując, jak plamy zieleni otwierają się i zamykają pośród wirującej kipieli. – To zupełnie inny ekosystem, zawsze chłodny i mglisty, a nie ciepły i mokry. To niesamowite odkrycie – numer czwarty.

– Czwarty?

– Znane są tylko trzy takie lasy na świecie: dwa na Kostaryce i jeden w Nikaragui. Zdążyliśmy tylko pobieżnie zorientować się w wielkiej różnorodności przedziwnych gatunków zwierząt, jakie w nich zamieszkują. A każdy mglisty las jest jedyny w swoim rodzaju.

– A zatem ten szczególnie powinien obfitować w niezwykle gatunki.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Pewne geologiczne wskazówki. Ta dolina była kraterem wulkanu. Pradawna. Spójrz na te urwiska, tak strome, że sprawiają, iż ten las na dole jest pewnego rodzaju wyspą genetyczną. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że są tam gatunki, które ewoluowały w tym ekosystemie przez miliony lat w idealnej izolacji, jak torbacze w Australii. Kto wie, co mogłaby tam odkryć ekipa badawcza?

– Gdybyśmy nadal byli taką ekipą – westchnęła Tree, zwalczając nagłą falę smutku i strachu.

Mason, na czworakach, przechylił się ponad krawędź.

– Problem w tym, jak dostaniemy się na dół bez spadochronów.

– Musi tam prowadzić jakaś ścieżka, ta kolonia jest w dole. Ostry gwizd i skrzek kazał im błyskawicznie spojrzeć w górę. Keeee-yawk! Kee-kee! Kee-kee!

– To harpia! – wrzasnęła Tree.

– Schowaj się za mną. – Mason rozejrzał się szybko dookoła i podniósł z ziemi kamień wielkości piłki bejsbolowej.

Ptak wzbił się ku słońcu.

Mason przesłonił oczy ręką.

– Nie widzę jej.

– Tam!

Czarny punkt nurkował wprost na nich.

Mason zamachnął się i cisnął kamieniem w ostatniej chwili. Ptak wykonał zwinny unik i ponownie poszybował spiralą ku górze.

Tree gorączkowo szukała wzrokiem jakiegoś schronienia. Nieopodal leżał głaz w kształcie stołu, tworzący coś w rodzaju pieczary. Schwyciła Masona za rękę.

– Schowajmy się pod nim.

– Dobra, biegnij, biegnij. Ja za tobą.

Popędziła w kierunku płytkiej jaskini, słysząc za sobą okrzyk wojenny harpii.

Kee-yee! Kee-yeeeeeeee!

Runęła na plecy i odpychając się nogami, wpełzła do jaskini – Wchodź! Wchodź! – wrzeszczał Mason, spoglądając przez ramię w górę. W ostatniej chwili dał nura głową w dół.

Drapieżnik przeleciał obok, tnąc i rozszarpując szponami luźną dzianinę obszernego swetra Masona. Przez chwilę wisiał u wejścia do pieczary, wzbijając skrzydłami tumany piachu i pyłu. Wydając przenikliwy pisk, który wbił się jak sztylet w gęste powietrze, odleciał kawałek, aby usadzić się na kamiennym gnieździe.

Podniósł błękitnoszare skrzydła, prezentując je w całej okazałości, i błysnął czarnymi

koralikami oczu.

– Wciśnij się głębiej – stęknął Mason, popychając ją barkiem i biodrem.

– Nie mogę – wysapała, czując zawrót głowy. – Dotykam do tylnej ściany.

Ciężki ptak opadł na ziemię i niezdarnie podskoczył w ich kierunku z napiętymi, muskularnymi piersiami i zwiniętymi ogromnymi skrzydłami. Zbliżał się, robiąc po trzy krótkie skoki. Dzwoneczek zawieszony u nogi ożywał za każdym razem: Dzyń dzyń dzyń. Dzyń dzyń dzyń. Dzyń dzyń dzyń.

Tree rozdziawiła usta, przypominając sobie walkę kogutów, którą widziała w Juarez w Meksyku. Koguty przystępowały do ataku w ten sam niezdarny sposób, po czym eksplodowały furją skrzeków, strosząc pióra i rozsiewając krew. Koguty były cztery razy mniejsze od tej samicy harpii.

– *Zu kall* – zawołała Tree po chińsku. – Odejdź!

Mason sięgnął w dół, poluzował sznurowadła traperskiego buta i zdjął go jednym szarpnięciem. Wsadził dłoń do środka, ściskając but za skórzany język.

Harpia wyskoczyła w powietrze, drapiąc szponami. Mason odparował atak butem, lecz natychmiast stracił swoją tarczę, która uwięzła w silnych szponach. Drapieźnik zaatakował but również dziobem; kawałki skóry zafurkotały w powietrzu. Po kilkunastu sekundach ptak odleciał kilka jardów dalej, usiadł na głazie i odwrócił się. Świdrował ich błyszczącymi czarnymi ślepiami.

Mason ściągnął drugi but.

– Trzymaj. – Wręczył go Tree. – Przygotuj się, żeby nim rzucić.

– Co zamierzasz zrobić?

– Złapać go. Zbliża się.

Mason skulił się i kiedy napastnik zaatakował drugi but, wyskoczył z jaskini i runął na ptaka. Harpia uskoczyła i Mason, chybiwszy, padł na kamienie. Drapieźnik podskoczył do góry, bijąc skrzydłami.

– Uważaj!

Przeturlał się i wyciągnął rękę ku skózanemu paskowi, który zwisał z nóg harpii. Zacisnął dłoń wokół pęta, ściągnął ptaka na ziemię i przygwoździł go swym ciałem; potężne skrzydła starały się wyzwolić z uwięzi. Ściskając skórzany rzemień, Mason podniósł się na kolana, machnął ręką w przód i w tył, jakby wbijał młotkiem kołek w wejściu do jaskini. Ptak zatoczył łuk i rąbnął o skałę. Mason wstał i harpia ponownie zatoczyła łuk ponad jego głową. Czaszka roztrzaskała się, a czerwony pył pokrył bladożółty piaskowiec.

Mason cofnął się na chwiejnych nogach. Mięśnie twarzy drgały mu silnie, a klatka piersiowa unosiła się i opadała z wysiłku. Tree wydostała się spod skalnej półki i podbiegła, aby objąć go ramionami. Jej czułość sprawiła, że przechylił się, usiadł ciężko na ziemi, pociągając dziewczynę

za sobą. Następnie opadł na plecy dysząc ciężko. Tree usiadła obok.

– Jak, do cholery... mamy... rozmawiać... rozmawiać z nimi... jeżeli ciągle...

– Szszszsz. – Tree uniosła rękę. Wiatr przyniósł ze sobą odór zgniłego mięsa. – Co to za smród?

Mason pociągnął nosem i skrzywił się.

– Cuchnie jak śmierć. Wstawaj. – Wstali z trudnością. – Nie podoba mi się to.

– Co to jest?

– Nie wiem, ale odnoszę wrażenie, że nic dobrego. – Rozejrzał się dookoła, zatrzymując wzrok na stromych zboczach głębokiej doliny. – Jak, do diabła, zejść z tego urwiska?

Tree jęknęła głucho i schwyciła go za rękę. Jaszczur wielkości aligatora wczołgał się na wierzchołek głazu i zastygł nieruchomo ponad nimi. Język wysuwał się i chował niczym śliski, czerwony bicz. Stwór zniżył trójkątny łeb, chrząknął i zasyczał. Skórzana uprząż więziła silne łapy, a żelazna kolczatka otaczała pierścieniem szyję.

– O cholera – stęknął Mason i cofnął się, popychając Tree za siebie. – Smok z Komodo. Nie mogę w to uwierzyć. Żyją tylko w Indonezji.

– Chińczycy dopłynęli do Indonezji.

– Niech to diabli! Co jeszcze mają, słonie bojowe?

Gigantyczny gad spojrział na nich z góry, oczy przewracały mu się jak piłki, osadzone w czarnej skórze o wyglądzie guzowatej opony. Obnażył zęby i zasyczał, wypuszczając smród zgniłej padliny. Tree zebrało się na mdłości i z trudem zdławiła w sobie nagłą chęć wymiotowania.

Spojrziała za siebie na wejście do doliny.

– Może uda nam się spuścić po tym zboczu?

– Ale ty nie możesz. Twoja ręka. Nie zostawię cię.

Smok ześlizgnął się i wijącym ruchem rozciągnął się na całą długość, a następnie zjechał na ziemię z ciężkim łupnięciem. Tree i Mason cofnęli się, stając zaledwie metr od krawędzi urwiska. Mason, napinając mięśnie, zasłonił sobą Tree, która przylgnęła do niego, czując, jak przerażenie skręca jej żołądek.

Smok z Komodo ruszył do przodu paskudnym, szurającym chodem, kręcąc masywnym trójganiastym łbem, wysuwając długi na stopę język, jakby smakował zapach ciepłokrwistej ofiary.

Rozdział 7

Zza skalnej ściany wyłoniła się drobna postać Chinki ubranej jak wojowniczka. Szczeknęła ostro i gigantyczny jaszczur zawahał się. Kobieta podbiegła i przypięła smycz do kolczatki. Szarpnęła mocno w tył i gruba szyja ścisnęła się. Smok opadł na brzuch i zamknął oczy, wtedy poluzowała obrozę.

Tree i Mason wpatrywali się w kobietę szeroko otwartymi oczami. Miała na sobie karmazynowe, jedwabne, obcisłe spodnie, a na nich również karmazynowa spódniczka do kolan. Ruchome płytki z czarnej skóry utwardzanej lakierem ochraniały jej klatkę piersiową, niczym zachodzące na siebie łuski pancernika. Żelazny topór wystawał zza zdobionego skórzanego pasa z pochwą miecza o podwójnym ostrzu. Jedną pięść zaciskała na smyczy, w drugiej dzierżyła owalną, drewnianoskórzaną tarczę, mierzącą połowę wysokości kobiety. Na lśniącej, pokrytej czarnym lakierem powierzchni tarczy wił się jasnozielony chiński smok. Półmetrowy pióropusz ze szkarłatnych piór ary wieńczył czarny hełm w kształcie żołędzia. Z gładkiego podbródka zwisała sztuczna broda z kręconych czarnych włosów.

Stała kilka metrów od nich, jak sparaliżowana, przenosząc wzrok z Tree na Masona i z powrotem. Wkrótce dołączyło do niej sześć kolejnych wojowniczek. Zamarły podobnie jak pierwsza. Wszystkie nosiły sztuczne brody.

– *Wo men zai he pin li* – odezwała się Tree w dialekcie mandaryńskim. – Przybywamy w pokojowych zamiarach.

Podniosła się powoli, rozkładając ręce, ukazując puste dłonie. Wcześniej przygotowała wstęp:

– Jesteśmy naukowcami, nie wojownikami ani zwiadowcami. Przybyliśmy na tę górę tylko po to, aby poznać jej rośliny, ptaki i owady. Nie mieliśmy zamiaru nikogo skrzywdzić. Najpokorniej przepraszamy za naruszenie waszej *fung shui*, naturalnej harmonii. Po tysiącuroć przepraszamy. – Wyciągnęła okaleczoną dłoń. – *Zraniła* mnie własna, niechwalebna *karma*. Teraz błagam was o wybaczenie i litość. *Jiu ming a qu bu qu yisheng* – Pomóżcie, zaprowadźcie mnie do swego lekarza.

Grupa kobiet zafalowała i najstarsza z nich wystąpiła z szeregu. Jej sztuczna broda była gęściej sza i spleciona w krótki warkocz. Spojrzała na Tree i otworzyła szeroko oczy.

– *Lung-Hu* – wyszeptała, a następnie pochyliła głowę w stronę swoich wojowniczek. – *Lung-Hu!* – syknęła.

Pozostałe odkrzyknęły chórem:

– *Lung-Hu!*

Dowodząca skłoniła się w pas, dotykając czołem ziemi u stóp Tree. Właścicielka jaszczura obwiązała sobie smycz kilkakrotnie dokoła przedramienia i skłoniła się głęboko, przyciągając

łeb gada do piachu. Pozostałe wojowniczkę podążyły za ich przykładem, pabrękując lakierowaną zbroją i żelaznymi ostrzami.

Rozdział 8

Ścieżka prowadziła prosto w dół, do szczeliny w płaskowyżu. Gęsty rząd bambusów otaczał pęknięcie w ziemi. Tree i Mason przechodzili już wcześniej koło tego miejsca, lecz nie dostrzegli dziury w kształcie ły.

Dwie wojowniczkę, podtrzymując Tree, pomogły jej wejść do przepaści. Żelazne złogi w ścianach z piaskowca zabarwiały pomarańczowymi smugami rdzy naturalne schody prowadzące w dół głębokiej studni. Dowodząca niosła grubą świecę zamkniętą wewnątrz ceramicznego pojemnika; zdjęła z haka na ścianie pochodnię wykonaną z bambusa i wełnianych paków moczonych w smole, podpaliła ją i ruszyła przed siebie, unosząc żółte światło wysoko ponad głowę. Opiekunka jaszczura zamykała pochód; nawet z odległości kilku metrów Tree wyczuwała cuchnący oddech gada.

W skałach dokoła widniały geody. Tree wyciągnęła rękę i dotknęła kamiennej buły wielkości piłki do koszykówki; otworzyła się i płomień pochodni zamigotał na purpurowych kryształach ametystu, które wyjrzały z głębokiej misy.

W miarę schodzenia wzrastał szum bystro płynącej wody, by w końcu przemienić się w dudniący grzmot. Mgła pełzła po ścianach pieczary, skraplając się i kapiąc. Dotarli do podziemnej rzeki w pobliżu skalnej szczeliny, gdzie woda eksplodowała niepoohamowanie, zalewając z łoskotem dolinę poniżej. W pęknięciach skały migotał błękit dnia. Naturalny kamienny most, utworzony wiele wieków temu, kiedy wodospad wydrążył dziurę w piaskowcu, zataczał łuk nad rzeką. Dwie wojowniczkę idące po bokach Tree pomogły jej przejść przez most.

Kiedy postawiła stopę na przeciwległym brzegu, ugięły się pod nią kolana. Kobiety złapały ją w ostatniej chwili. Dowodząca podbiegła szybko i krzyknęła im prosto do ucha kilka rozkazów, przekrzykując ryk spienionej wody. Jedna z nich położyła na ziemi tarczę przypominającą płytkę skorupę żółwia. Skinęła na Tree, żeby w niej usiadła. Następnie obie wojowniczkę podniosły ją w tej swoistej lektyce i grupa ruszyła stromą ścieżką w dół.

Tree zerknęła na Masona; na jego twarzy malowało się zdumienie.

Kiedy zaskoczyła go w Canaima, oświadczając, że ona również jest członkiem grupy Harvest, była pewna, że poznała prawdę kryjącą się w tych oczach, mimo szoku spowodowanego jej widokiem po ośmiu latach. To nie była jakaś miłość. To była ta miłość. Ta miłość, która przeniknęła ją do głębi, sięgając samej duszy.

Myślami powróciła do listów Masona z baz w Da Nang, Quang Tri, Phu Loc i Hue, które czytała w swej sypialni w Harvardzie, w Cambridge. Uduchowione i namiętne, twarde i wrażliwe, smutne i zabawne.

Pudełka po butach zapełniały się wynurzeniami z głębi duszy. Listy czasami przybywały dwukrotnie, albo i więcej, w ciągu tygodnia. W czerwcu 1970 roku uczynił krótką wzmiankę na

temat jakiejś wielkiej niespodzianki. Następnie na jej dwudzieste pierwsze urodziny przesłał zwój papieru ryżowego zapisany ręcznie miłosnym wierszem... po chińsku. – Gib dawał mu lekcje prawie codziennie przez cały rok, a umiejętność konwersacji rozwinął w Chinatown w Sajgonie, tak że posługiwał się płynnie jej drugim językiem. To była tylko część niespodzianki: W postscriptum poprosił ją o rękę, również po chińsku.

Skakała po łóżku w sypialni, aż popękały listwy. Potem wysmarowała naprędce list z własną niespodzianką: *Mi amor, te llevo en el alma. Por supuesto te voy a casar* „Kochany, noszę cię w swej duszy. Oczywiście, że cię poślubię”. Uczyla się hiszpańskiego u prywatnego nauczyciela przez rok i posługiwała się prawie płynnie jego drugim językiem. Taka synchronizacja towarzyszyła ich miłości od dnia, kiedy po raz pierwszy rozpostarła skrzydła i wzleciała.

Lecz nieco później tego samego lata Gib został zabity w walce. Listy Masona urwały się gwałtownie.

Sześć miesięcy później wrócił do Stanów i wzięli cichy ślub w Indian Mound Beach. Nie był to jednak prawdziwy Mason. Nie ten człowiek, z którym kochała się na plaży, wciśnięta między kadłuby katamaranu; albo na balkonie latarni morskiej w ciepłym, letnim deszczu; albo na chłodnej posadzce letniego domku, gdzie zapach jaśminu mieszał się z ich własnymi pachnidłami; czy też w stu innych sytuacjach, kiedy pograżali się w ogniu namiętności.

Nie był to już Mason, z którym gadała do świtu o Whitmanie, Klimcie, Ellingtonie i Aileyu, o uniwersalnych imperatywach poezji, sztuki, muzyki i tańca.

Pomyślała o nocy, kiedy siedząc w swym gniazdku miłości na latarni, sączyli wspólnie z butelki najlepszego Caberneta z zasobów jej ojca. Księżyc w pełni obmywał morze srebrzystą poświatą; patrzyli na delfiny wyskakujące, to znów nurkujące w wodną toń.

– Myślę, że delfiny czczą Boga – powiedział miękko, łaskocząc drapiącym podbródkiem jej piegowate ramię. – Ich Bóg ma otwór na czubku swej Wiecznie Uśmiechniętej Twarzy.

Taki był prawdziwy Mason Drake.

Człowiek, który przywłókł się z Wietnamu, zamknął mocno serce, przepelnione po brzegi smutkiem i goryczą. Po rozwodzie nigdy nie uronił łzy. Ona wyplakała się za nich oboje.

Ból wyszarpnął Tree z przeszłości, każąc skupić się na chwili obecnej. Ogień w ręce pulsował wraz z uderzeniami serca. Ścieżka opadała ostro przed nimi.

W niektórych miejscach schody zostały ręcznie wykute, lecz większa część szlaku wykorzystywała naturalne wyłomy skalne i kształty kamieni. Cienie tańczyły wzdłuż nieregularnych ścian. Przez pewien czas szlak wił się w gęstwinie gigantycznych białych kryształów wielkości jodeł.

Straciła poczucie czasu, kiedy przeszli przez kamienny tunel, a sklepienie otworzyło się na replikę nieba. Weszli do pomieszczenia dostatecznie dużego, aby pomieścić wieżę Eiffla. Jasna kula migotliwego światła na dalekim końcu pomieszczenia oświetlała wejście do pieczary

i płaską kamienną podłogę.

Po wyjściu z pieczary Tree natychmiast zrozumiała, że znajdują się dokładnie pod wodospadem. Spadając z wysokości ponad tysiąca metrów, rzeka zamieniała się w chmurę wodnego pyłu. Na samym dole wodospad był, ni mniej ni więcej, tylko ciężkim, kłującym deszczem. Wojowniczką przytrzymała drugą tarczę nad jej głową jak parasolkę i zanurzyli się po kolana w szerokim, płytkim strumieniu, który pienił się pod naporem wodnego pyłu.

W pobliżu zamajaczyła olbrzymia kamienna ściana, równie wysoka jak otaczający ją las z twardego drewna. Grupa weszła do pachnącego zielonego tunelu utworzonego ze zwieszających się uszu słonia – roślin o liściach wielkości wanny. Kwiaty jak rajskie ptaki rozpościerały swe skrzydła w wirującej mgiełce. Dzikie orchidee wystawały to tu, to tam, tworząc niesforną tęczę, niektóre wielkie jak dzban na mleko, inne maleńkie jak naparstek. Szlak prowadził pod wysokimi drzewami mahoniowymi, tekowymi i hebanowymi; każde drzewo stanowiło ogród samo w sobie, gałęzie gęsto porastał mech, paprocie, bromeliady, begonie, filodendrony i porosty.

Tree zawirowało w głowie od szalonych kolorów i bogatych zapachów, a tkwiąca w niej dusza botanika analizowała jednocześnie przeróżne gatunki. Rozpoznawała większość z nich: drzewa żelazne, drzewa atlasowe, bambusy, palmy, epifity, lecz wiele roślin było dla niej zupełnie nowych.

Rozejrzała się, szukając źródła wysokiego, melodyjnego szczebiotu, i dostrzegła żabę wielkości paznokcia kciuka, o wspaniale czerwonej skórze, która jaśniała w wodnej mgie niczym neon. Natychmiast nazwała ten nowy gatunek: *Rana rudolfensis* – żaba Rudolfa.

Za jakiś czas ścieżka doprowadziła ich do niewielkich kolistych drzwi wykonanych z solidnego kawałka różowego jadeitu. Na powierzchni widniały rzeźbione postaci tygrysa w chmurach i smoka otoczonego płomieniami; głowa jednego stworzenia znajdowała się w ogonie drugiego, jakby ścięły się w kolistym tańcu.

Dowodząca zagwizdała przenikliwie melodyjny zlepek nut i w chwilę później okrągłe drzwi uchylły się. Wojowniczki niosące Tree położyły tarczę na ziemi; jedna kobieta przecisnęła się przez wejście i odwróciła się, aby podnieść skorupę i przenieść ją jak nosze.

Tree zniżyła głowę. Kiedy ją ponownie podniosła, znalazła się w niebie.

Rozdział 9

Patrzyła na miasto tak piękne, że musiała potrząsnąć głową, aby upewnić się, czy to nie zwidy wywołane gorączką.

Woskowane papierowe lampiony z jasnokolorowymi jedwabnymi flagami zwieszały się z ulicznych słupów wzdłuż szerokich alei, biegnących pośród szpaleru drzew wiśniowych i mimoz. Ogrody daktylowe i śliwowe, fontanny i mosty w kształcie półksiężyca zdobiły centrum miasta. Wszystko to stanowiło zaledwie tło dla klejnotów architektury: bogato zdobionych świątyń z werandami podtrzymywanymi przez spiralne kolumny; pałaców o czerwonych, emaliowanych kolumnach i przestronnych komnatach na powietrzu; strzelające ku niebu pagody o siedmiu, ośmiu czy dziesięciu oktagonalnych piętrach, z których każde miało szkarłatny dach, kryty dachówką dwułukową, niczym spódniczka z płomieni; planetarium o kopule z migotliwego złota; podwójne i potrójne dachy o szklistych gontach – niebieskie, żółte i czerwone – ukształtowane jak morskie fale, na grzbietach których sadowiły się lwo-psy z brązu. Tree wodziła wzrokiem wzdłuż kolumnad prowadzących do innych ulic i pałaców, świątyń i pagód w tej wielowarstwowej pajęczynie wykwintności.

Aleje odchodziły promieniście od centrum, w kierunku którego niosły ją wojowniczkii. Wyrastał tam gęsty gaj bananowy otaczający świątynię, która zdawała się wykwitać z ziemi niczym biały kwiat lotosu. Pełna wdzięku architektura zaskoczyła Tree. Nie był to tradycyjny styl chiński ani kambodżański, indiański czy też japoński, lecz mieszanina ich wszystkich. To tu, to tam przyciągał wzrok osobliwy kształt łukowatego wejścia, imponujący portal, minaret, kojarzący się z klasyczną azjatycką formą, ale budowla jako całość miała unikalny charakter. Wyglądało to tak, jakby jakiś ponadczasowy czarodziej zebrał arcydzieła sztuki rękodzielniczej Zaginionego Miasta, Angkor Watu, Tadź Mahalu i ogrodów Kioto i rzucił im wyzwanie, aby zademonstrowały swoje style architektoniczne, starając się przyćmić wszystkie inne.

Zerknęła na Mazona i ich spojrzenia spotkały się. Sprawiał wrażenie porażonego widokiem.

– To niezwykle – wyszeptała. Skinął głową.

Wojowniczkii poniosły ją chodnikiem z cegieł obok przyciętych jałowców i grusz, a następnie przez okrągłe drzwi. Wejście otwierało się na krótki przedsionek, który dalej przechodził w dużą komnatę w kształcie globu; wkleśnięte ściany połyskiwały porcelaną cielistej barwy. Ścienne płytki od podłogi aż po sam sufit pokrywała kaligrafia chmurowego pisma, zbyt wyszukana i zdobiona, aby Tree udało się ją rozszyfrować. Kanapy sięgające kostek u nóg, z pikowanymi, bawełnianymi materacami, ze stosami wyszywanych satynowych poduszek stały w różnych miejscach na polerowanej drewnianej podłodze z płytek czerwonego, żółtego, różowego i brązowego mahoni.

Przyprawiający o zawrót głowy zapach drzewa sandałowego unosił się w pomieszczeniu

i Tree dziwiła się, dlaczego w powietrzu nie ma dymu od intensywnej woni kadzidelka. Weszły przez bramę na wewnętrzny dziedziniec i wtedy odkryła źródło szczególnego aromatu – gaik miniaturowych drzewek: sandałowe, goździkowe, muszkatołowe i cynamonowe – otaczały oczko wodne z rybami, pełne wspaniałych pomarańczowych i złotych *koi*, białych lili i czerwonych kwiatów lotosu.

Kilkanaście kobiet w kolorowych kimonach siedziało na trawie, słuchając kwartetu grajków; żadna nie nosiła sztucznej brody. Wojowniczkę położyły tarczę na ziemi. Ostatni akord drżącej struny zamarł w ciszy, a oczy wszystkich zwróciły się, aby spojrzeć na dwoje nieznanym. Postać w masce na przedzie grupy wstała i Tree poczuła siłę władzy, która rozniosła się po dziedzińcu niczym niewidzialny sygnał. Oddział wojowniczek zniżył się do ziemi w zsynchronizowanym ukłonie. Tree poszła za ich przykładem i dotknęła czołem wilgotnej trawy. Pachniała słodyczą i zielenią.

Jakieś ręce zaklaskały ostro i wszyscy podnieśli się na jedno kolano.

Twarz kobiety zakrywała ceramiczna maska bóstwa, wykrzywionego w grymasie gniewu. Jej piersi unosiły się i opadały pod żółtymi jedwabnymi szatami i Tree przypomniała sobie, że w starożytnych Chinach wyłącznie członkowie rodziny cesarskiej nosili żółty kolor. Maskę połyskiwała czarnymi i białymi emaliowanymi pasmami; jedno oko było uwydatnione, a drugie zamknięte i pomalowane na czerwono.

Na szatach widniał motyw białego tygrysa: futro, kły i pazury wyszywane z dbałością o oddanie szczegółu. Tygrysy zdobiły też białe długie rękawy leżącej się satyny, a na dużym złotym pierścieniu na kciuku widniała pieczęć z przegowanym drapieżnikiem.

Na czubku czarnych włosów kobieta miała kunsztowne przybranie, naszpikowane setkami błyszczących kryształów. Misterna konstrukcja przypominała Tree odwrócony żyrandol; gdyby klejnoty były tym, na co wyglądały, ten jeden stroik mógłby złamać holenderski monopol na diamenty.

Dowodząca oddziałem zwróciła się do kobiety w masce, tytułując ją cesarzową, Matką Synów.

– Znalazłyśmy tych dwoje w górnym piekle – powiedziała dialektem mandaryńskim. – Jej skóra jest biała jak alabaster, oczy zielone jak jadeit... czy ona jest Lung-Hu?

Tree udało się zrozumieć wypowiedziane słowa, ale nie pojmowała, co ma na myśli wojowniczka, mówiąc Lung-Hu – Smok-Tygrys.

– Zielony Smok i Biały Tygrys to tylko symbole – odpowiedziała kobieta w masce. – Nie powinnaś traktować tego tak dosłownie. Przeprowadź do mnie tę kobietę.

Dowodząca zerwała się na równe nogi i podtrzymując silnie Tree, pomogła jej wstać. Postąpiły kilka kroków do przodu.

Tree była gotowa powtórzyć wstęp, jaki wygłosiła wojowniczkom, lecz błysk w ciemnym

oku ostrzegł ją, aby trzymała buzię na kłódkę.

Ruchem szybkim jak myśl cesarzowa wyjęła ostrze skrywane w rękawie, schwyciła sweter Tree i przecięła go od talii do szyi, odsłaniając piersi.

– Hej! – Krzyk Masona natychmiast został stłumiony jękiem bólu.

– Od góry jest Tygrysem – powiedziała cesarzowa. – Lecz nie znajdziecie Smoka-Tygrysa na dole.

Tree głośno przełknęła ślinę, nie wiedząc, jak zareagować. Starła się oddychać możliwie jak najciszej.

– Zdejmij jej ubranie – nakazała cesarzowa.

Dowodząca wyjęła z pochwy własny sztylet i wyciągnęła rękę, chcąc rozciąć Tree dzinsy.

– Zaczekaj – odezwała się Tree w języku mandaryńskim. – Proszę, zapytaj mnie o wszystko, co chcesz wiedzieć. Odpowiem szczerze.

Wśród wojowniczek i odzianych w kimona kobiet rozległ się szmer zdumienia.

Dowodząca wyszczerzyła zęby w nerwowym uśmiechu.

– Mówi naszym językiem. Tak jak Lung-Hu.

Cesarzowa odepchnęła wojowniczkę na bok, wsadziła nóż od wewnętrznej strony pasa dzinsów i przecięła je do krocza. Materiał rozszedł się z suchym trzaskiem.

Tłum zachichotał na widok czerwonej bawełnianej bielizny. Nawet cesarzowa śmiała się tak, że widać było wyraźnie wykrzywione w uśmiechu usta za gniewną ceramiczną twarzą.

– Ubranie wewnątrz ubrania – szydziła. – Jak pudełka w pudełkach. – Dwoma kolejnymi cięciami poradziła sobie z majteczkami.

Tree stała w rozciętym swetrze, z dzinsami zwisającymi z kolan. Bielizna leżała w trawie. Czowała się bardziej oszołomiona i przestraszona, niż onieśmielona.

– Widzicie? – odezwała się cesarzowa. – Jest zwyczajną kobietą. Chociaż kolor jej włosów jest niespotykany, jak brzoskwinie z księżycą, ona nie jest Lung-Hu.

Tree dostrzegła, że wszystkie oczy utkwione są w jej morelowopłowym łonie. Na twarz wystąpił jej silny rumieniec. Cesarzowa podniosła ręce do tłumu.

– Czyż nie mówiłam wam? Święta Hermafrodyta może narodzić się tylko ze mnie albo kogoś z mego rodu. Lung-Hu nie przybędzie nagle z zewnętrznych piekieł, lecz zostanie zrodzona z mego łona.

Tłum zakrzyknął:

– Matko Synów! Matko Smoka-Tygrysa! – po czym ponownie skłonił się w pas. Tree przemogła zażenowanie, podciągnęła dzinsy do talii, uklękła i dotknęła czołem trawy.

Kłaśnięcie. Wszyscy przyklękli na jedno kolano.

– Ten samiec jest dla nas bardziej użyteczny. – Cesarzowa skinęła, aby przyprawdzono do niej Masona. Ruszył niepewnie do przodu, pocierając kark ręką. Kiedy stanął obok Tree, rzucił

jej spojrzenie, które, jak wiedziała, miało zakomunikować: „Nie martw się”, lecz mięśnie jego szczęk drgały, zdradzając obawę.

Cesarzowa otworzyła mu usta i sprawdziła uzębienie. Łzy napłynęły mu do oczu, a rana w policzku zaczęła krwawić, lecz nie wydał z siebie żadnego jęku. Niewielki gest ręką i Mason został rozebrany do pasa. Kobiety w pomieszczeniu sapnęły na widok ciemnego futerka na torsie. Cesarzowa ścisnęła grube mięśnie klatki piersiowej Masona i przebiegła palcami wzdłuż muskularnych ramion. Skinęła i dowodząca oddziału rozcięła płócienne szorty i bieliznę. Mason stał nagi.

Wśród kobiet przebiegł szmer i westchnienie na widok, jaki odsłonił się przed nimi.

– Ta Hung – odezwała się cesarzowa. – Wielkie Źdźbło. Może będzie ojcem moich kolejnych synów?

Tłum zawiwatował.

– Matko Synów, dawczyni Lung-Hu!

Cesarzowa podniosła rękę i zapadła cisza. Zwróciła głowę w kierunku Tree. Szczeknęła krótki rozkaz:

– Wygnajcie ją do górnego piekła, skąd przyszła. Dowodząca skinęła głową i schwyła białą kobietę za ramię. Pomieszczenie wypełnił dudniący głos.

– Jedną chwilę, wojowniczo.

– Tree ponownie wyczuła aurę władzy. Nawet cesarzowa zdawała się czuć respekt dla barczystej kobiety w skórzanej zbroi; gęsta czarna broda, przyklejona do podbródka, sięgała prawie do kolan. Miała na sobie karmazynowe, jedwabne szaty z wyszytym rozwścieczonym zielonym smokiem. Nie smokiem w stylu europejskim, jakiego opisywali bracia Grimm, lecz *Lung*, czyli klasycznym chińskim smokiem z głową wielbłąda, rogami łośa, uszami byka i długimi kocimi wąsami. Oczy miał okrągłe, nie skośne ani w kształcie migdała, a zatem dla Chińczyka były to oczy demona.

Kobieta podeszła dużymi krokami, stanęła przed cesarzową i wykonała niedbały ukłon, zwykle skinienie głowy.

– Witaj, cesarzowo Feng.

– Witaj, dowódco Yu Lin.

– Dlaczego nie poinformowano mnie natychmiast o tym, co zaszło?

– Było pewne, że twoje liczne oczy powiadomią cię o tym najszybciej. Czyż nie usłyszałaś tych wieści i nie przybyłaś tu czym prędzej?

Yu Lin spojrzała gniewnie, a następnie przeniosła wzrok na Tree.

– Czemu aż tak się spieszyć i odrzucać kwiat śliwy? – powiedziała Yu Lin. – Za twoim pozwoleniem, cesarzowo, wezmę ją jako moją niewolnicę.

Cesarzowa spojrzała Tree prosto w oczy.

– Jeśli sądzisz, że sobie z nią poradzisz, dowódco, rób jak chcesz.

– O pani, jesteś nadzwyczaj łaskawa.

– A twoje komplementy są przezroczyście jak kwarc.

Yu Lin wyjęła ze skórzanej torby smycz z utkaną jedwabną obrozą. Wsunęła ją przez głowę białej kobiety i przywiązała drugi koniec smyczy do pasa między mieczem a sztyletem.

Tree poczuła, że kręci jej się w głowie i zbiera na wymioty. Zrób to, rozkazała sobie, zaryzykuj. Lecz wszystko wewnątrz niej zeszywniało. Rzucę swoje życie na szalę. Krępa wojowniczką delikatnie pociągnęła za smycz, aby przyciągnąć do siebie Tree, która stała jak wryta, myśląc intensywnie. Ostre szarpnięcie smyczą i obrozą zacisnęła się na jej gardle niczym pięść oprawcy.

Tree schwyciła smycz i mocno szarpnęła ją w dół, cofając się. Yu Lin zatoczyła się, z trudem odzyskując równowagę, a gdy smycz obwisała, Tree rozszerzyła obrozę i rzuciła na trawę.

– Nie będę niczyją niewolnicą – oświadczyła głośno najczystszy mandaryńskim dialektem.

– Ja również jestem Matką Synów.

Rozdział 10

Tłum wydał z siebie głuchy jęk i cofnął się o krok. Tree odniosła wrażenie, że wszyscy w pomieszczeniu oczekują na reakcję cesarzowej, zanim zaczerpną kolejny oddech.

Proszę, przyjmij dobrze, błagała w myślach cesarzową, och, proszę, przyjmij to dobrze. Serce waliło jej tak głośno, że zastanawiała się, czy cesarzowa je słyszy. Yu Lin patrzyła gniewnie, z ręką zaciśniętą na rękojeści miecza.

– Wasz barbarzyński świat jest całkowicie odmienny od naszego – rzekła cesarzowa. – Musimy najeżdzać plemiona u podnóża góry, chwytac tubylców i sprowadzać ich do naszego miasta, by móc reprodukować. Lecz nawet kiedy udaje im się zapłodnić nasze kobiety, rodzą się wyłącznie córki.

Wyłącznie córki. Żadnych mężczyzn. Miasto kobiet. Wojowniczeki. Tree omal nie upadła od nagłego olśnienia. To zagubione miasto, które Indianie nazywali Manoa, konkwistadorzy Eldorado, a jego mieszkańcy Jou P'u T'uan, było siedzibą największego plemienia południowoamerykańskiego.

Oczy Tree objęły dziedziniec pełen kobiet o orientalnej urodzie, muzyków, służących i wojowniczek i zrozumiała, że stoi pośród legendarnych Amazonek.

Od czasu gdy Pizzaro najechał Peru, konkwistadorzy słyszeli opowieści o wielkim plemienu żyjącym w głębi lądu. Plemienu wojowniczych kobiet. Indianie twierdzili, że chłopcy i mężczyźni byli często wykradani do celów rozrodczych przez społeczność złożoną wyłącznie z kobiet.

Ojciec Tree wspominał o hiszpańskim odkrywcy, nazwiskiem Francisco de Orellana, który żeglował szeroką i potężną rzeką w 1539 roku, poszukując Eldorado. Wyprawa napotkała grupę jasnoskórych kobiet o długich włosach, które strzelały do mężczyzn z łuków. Dziennik zakonnika ekspedycji, Gaspara de Carvajala, podawał, że tubylcy nazywali te kobiety *Coniupuyara*, a sam zakonnik opisywał je jako wysokie i krzepkie, „walczące tak, jak dziesięciu indiańskich mężczyzn”. Zakonnik nie mógł wyjść z podziwu i zdumienia: „Była pośród nich niewiasta, której strzały docierały na śródkręcie jednej z naszych brygantyn, pozostałe celowały w burty, tak że obie nasze jednostki wyglądały jak jeżozwierze”.

Hiszpanie doznali sromotnej porażki i salwowali się ucieczką w dół rzeki. Orellana nazwał rzekę *Amazona*, ponieważ spotkanie to przypomniało mu grecką legendę o Amazonkach. Wraz z ocalałymi członkami załogi popłynął do Atlantyku największą rzeką świata, którą cały zachodni świat nazywa dzisiaj Amazonką.

Tree pojęła teraz prawdę kryjącą się za legendą o Amazonkach. Zrozumiała, że społeczność ta składa się wyłącznie z kobiet, nie z wyboru, ale z uwagi na jakiś tajemniczy defekt, powodujący monoseksualne poczęcia.

– Pozwólcie mi zostać w Jou P’u T’uan – poprosiła. – Nie jako niewolnicy, ale jako żonie mego męża, a ja dam wam wielu synów.

Tu i ówdzie rozległy się podekscytowane okrzyki.

– A zatem twierdzisz, że jesteś mi równa?

– Nie, cesarzowo. Jestem nikim. Wyciągam ręce, aby dotknąć twoich stóp lotosu.

– Ale twierdzisz, że możesz rodzić synów? Nawet tutaj, w Mieście Córek?

– Tak, wasza wysokość. Jest, jak mówisz: nasze światy bardzo się różnią. Tam, skąd pochodzę, nawet najzwyklejsi ludzie, bez żadnych zasług, tacy jak ja, mogą rodzić dzieci płci męskiej.

Cesarzowa postąpiła krok naprzód i przesunęła delikatnie opuszkami palców po gładkiej skórze policzka Tree, wyczuwając jej kształtny nos i zarys pełnych ust. Zdobiona klejnotami nakładka, niczym długi, wąski napastrzek, chroniła czterocalowy paznokiec jej małego palca. Znak najwyższej rangi.

Tree wyczuła jej smutek.

– Wierzysz, że zostaniesz Matką Synów, tutaj, w Błogosławionym Mieście? – odezwała się cesarzowa. – Jak sobie wyobrażasz rodzenie synów, nie zapłaciwszy owej straszliwej ceny?

Tree poczuła suchość w ustach. W co ja się wpakowałam?

– Proszę, wybacz mą ignorancję, wasza wysokość, jako że w istocie przybywam z daleka. – Zwilżyła spierzchnięte usta językiem. – Nie rozumiem, dlaczego mówisz o cenie.

Cesarzowa sięgnęła do tyłu głowy i odwiązała maskę. W powietrzu dało się wyczuć olbrzymie napięcie. Powoli odsłoniła twarz. Odrażającą twarz, przywodzącą na myśl pole bitwy pełne kraterów. Różowe blizny zmieniły się w guzy i połączyły niczym stopiony воск, zalepiając lewe oko. Po uszach nie zostało śladu. W miejscu gdzie kiedyś znajdował się nos, zionął teraz ciemny otwór ponad zniekształconymi ustami.

Tree odwróciła wzrok i zwalczyła w sobie mdłości. Co tu się, u diabła, dzieje?

– Żadna kobieta z Błogosławionego Miasta, która nie poświęci się nożycożębom, nie może rodzić synów. Tylko cesarzowa ma ten honor. – Wskazała długim, ostrym paznokciem na twarz Tree, prawie dotykając jej nosa. – Czy chcesz zostać moją następczynią?

Tree z trudem zapanowała nad instynktownym odruchem ucieczki. Przez kilkanaście długich sekund nie wiedziała, czy siła woli zwycięży w walce z przerażeniem. W końcu zaczerpnęła powietrza i zmusiła się do spojrzenia na oszpeconą twarz.

– Twoje poświęcenie jest chwalebne i przynosi zaszczyt twym przodkom – odezwała się przez ściśnięte gardło. – Pomimo to prawdą jest, że ja, będąc zupełnie nieważną istotą w porównaniu z tobą, również mogę rodzić synów – nawet tutaj, cesarzowo, nie powtarzając twego szlachetnego poświęcenia. – Wyciągnęła rękę do Masona. Podszedł do niej, złapał ją i przyciągnął do siebie. Zastanawiała się, na ile rozumie chińską wymianę zdań. – On jest moim

mężem. Razem dawaliśmy synów każdej ziemi, na której postawiliśmy stopy – przyszedł jej do głowy tytuł pewnej bajki – od wschodu słońca do zachodu księżyca. – Zatoczyła ręką szeroki łuk.

Tłum zamruczał głośno. Poszarpane usta zbieleły, kontrastując z poczerwieniałą od blizn twarzą.

– Jak wielu? – Jej głos drżał. – Jak wielu synów zrodziłaś?

Co powinnam powiedzieć? – myślała Tree. – Muszę zrobić z siebie niestrudzoną maszynę do rodzenia dzieci płci męskiej – ale nie mogę okazać się lepsza i sprawić, że straci twarz wobec ludu. Ilu ona mogła urodzić synów? Nawet nie potrafię stwierdzić, ile ma lat.

Tree odchrząknęła.

– Czterech.

Cesarzowa zakołysała się do tyłu, jakby od podmuchu niewidzialnego wiatru. Przez zgromadzone przebiegł jeszcze głośniejszy pomruk, a potem zapadła cisza, niemal materialna, która zalała cały dziedziniec.

Cholera. Tree wstrzymała oddech. Miała mniej niż czterech synów.

– A powiedz mi, barbarzyńska kobieto, ilu twoich synów przetrwało i osiągnęło wiek dorosły?

Dobra, popraw się teraz. – Tylko jeden.

Cesarzowa westchnęła i Tree ponownie wyczuła smutek, który owinał się wokół niej szczelnym kokonem.

– Z twoim nienaruszonym pięknem – westchnęła cesarzowa – ślubujesz rodzić mężczyzn na ziemi kobiet. To wielce zadziwiające. Dumne. Jednak widzę, że łączy nas pewien ponury fakt: śmierć pozostawiła ci tylko jednego syna.

Tree spuściła oczy.

– Miej litość nad bólem matki – wyszeptwała.

Lśniąc błękitny motyl *Morpho* przeleciał między nimi; wydawało się, że słyhać trzepot skrzydeł w cichym powietrzu. Woda pluskała ponad skałkami w stawku ryb *koi*.

– Niezbadane są dzieła Tao... – odezwała się wreszcie cesarzowa.

– Tak, pani – Tree pochyliła nisko głowę. – Reguła Niebios... niezgłębiona. Odetchnęła z ulgą, kiedy cesarzowa wsunęła maskę z powrotem na twarz i rozejrzała się po pomieszczeniu, wodząc po pełnych napięcia obliczach.

– Wyczuwam drżazgę zwątpienia, jaką wbiłaś we wszystkie serca. Możesz zostać. Szczerze mówiąc, musisz zostać, żebyś i ty, i wszyscy moi poddani wiedzieli, że ten świat jest inny od świata, z którego przybyliście. W Błogosławionym Mieście urodzisz tylko córki. Tutaj jest tylko jedna Matka Synów.

Dowódca Yu Lin zdjęła dłoń z miecza.

– Dziękuję, wasza wysokość – odezwała się Tree z ogromną ulgą.

– Yu Lin! Niechaj posłaniec zwoła niezamężne dziewczęta i sprowadzi je tu natychmiast – poleciła władczyni, po czym zwróciła się do Masona: – Nieznajomy musi wybrać żony.

– Co ona powiedziała? – szepnął Mason.

– Musisz wybrać sobie żony.

– Pieprzyć to!

– Właśnie o to chodzi.

– Wyjaśnij, że jesteś moją jedyną żoną.

– Nie wiem, jak bardzo możemy liczyć na łut szczęścia.

– Powiedz jej. – Ale...

– Powiedz jej, Tree. Musisz to zrobić. W przeciwnym razie gra skończona. Tree skłoniła głowę przed cesarzową, Mason poszedł jej przykładem.

– Niebiańska wysokość, mąż mówi, że ja jestem jego jedyną żoną – powiedziała w dialekcie mandaryńskim. – On nie chce żadnej innej.

Jej słowa wywołały reakcję wśród zebranych kobiet.

– Dopóki mój syn Meng-Po nie stanie się mężczyzną, kobiety Błogosławionego Miasta będą niezamężne. Muszą mieć partnera, żeby rodzić dzieci. Czy w waszym świecie jest inaczej?

– My również musimy mieć partnera, aby rodzić dzieci, cesarzowo.

– Przynajmniej są rzeczy, które nie różnią się pod tym samym słońcem – odpowiedziała sentencjonalnie kobieta w masce. – A zatem co jest nie w porządku z tym mężczyzną? Wasz ciemnoskóry kompan, który przybył tu przed wami, zachowuje się jak paw wiosną. Wybrał sześćdziesiąt żon.

– Domino?

– Tak, Do-Min-O. Nie mówi naszym językiem, papie jak małpa. Ale z chęcią posiadał wiele panien.

– Co ona mówi o Dominie? – wyszeptał Mason. – On żyje?

– Jest tutaj. Ma sześćdziesiąt żon.

– Powiedz jej jeszcze raz, że ja chcę być tylko z tobą.

– Córkó Niebios, mąż nalega, że chce tylko mnie. Nie chce żadnych innych żon.

– Dlaczego jest taki samolubny? – zapytała cesarzowa, a diamenty zwisające z żyrandola na jej głowie odezwały się melodyjnie. – To nienaturalne. Czy pszczoła w sadzie wiśniowym odrzuca wszystkie kwiaty, wybierając jeden?

Tree potrząsnęła głową.

– Nasze zwyczaje nakazują mężczyznom i kobietom poślubić tylko jednego partnera.

– Ale... żadnych podrzędnych żon? Żadnych konkubin? Niewolnic?

– Nie, cesarzowo. Tylko jedna żona dla każdego męża; jeden mąż dla każdej żony.

– To zupełnie nie cywilizowane. W jaki sposób może przetrwać społeczeństwo o tak sztywnych regułach?

Tree wzruszyła ramionami.

– Taki jest zwyczaj w barbarzyńskim świecie.

– Czy ty również masz zwyczaj odrzucać tych, którzy są w potrzebie? Nasze panny nie mają mężów, a mój syn ukończył dopiero jedenaście słońc.

– Błogosławione Miasto potrzebuje samców. Tak jak obiecałam, mąż i ja damy ci synów.

Tłum zawrzał gniewnie.

Cesarzowa wypuściła powietrze z płuc.

– Jak sobie życzysz – powiedziała. – Jak mogę wyrwać cię z błędu, w którym tkwisz?

Tree złożyła ręce w geście modlitwy. Mason poszedł za jej przykładem. Pokłonili się, dotykając czołami trawy. Cesarzowa klasnęła i wstali.

– Posłuchaj mnie. Jeśli za trzy księżyce nie będziesz brzemienna, zostaniesz wypędzona do piekła powyżej – ostrzegła. – A jeżeli będziesz brzemienna i zrodzisz córkę, ty i dziecko zostanieie rzucone na pastwę nożycozębnych.

Tree otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz ciemny błysk w oku za maską ponownie kazał jej zachować milczenie.

– Jest również oczywiste, że obydwójce potrzebujecie nauki – kontynuowała cesarzowa. – A więc, pomimo waszej arogancji, dam wam możliwość ucywilizowania się. Powiedz swojemu samolubnemu mężowi, że musi wziąć drugą żonę. Kogoś, kto go uświadomi w różnych sprawach. Z pewnością jedna dodatkowa kobieta nie wyczerpie jego męskości. Wszyscy mieszkańcy Błogosławionego Miasta muszą znać swoje miejsce. W hierarchii leży harmonia. Alternatywą wobec harmonii jest śmierć.

– Tak, cesarzowo – Tree pochyliła z szacunkiem głowę. Mason skłonił się i wyszeptał:

– Mówi za szybko. Nie nadążam. Tree przetłumaczyła.

– O, nie! – jęknął. – Co zrobić, by moja druga żona mnie nie znalazła?

Rozdział 11

Cesarzowa wykrzyczała rozkazy i za chwilę Tree wraz z Masonem stali odziani w karmazynowe jedwabne szaty. Na ubraniu Tree widniał biały tygrys, Masona – zielony smok.

– Przeprowadźcie panny – padł suchy rozkaz.

Na dziedzińcu kobiety zaczęły ustawiać się w rzędzie przed Masonem. Niektóre wyglądały na dwunasto-, czternastolatki, lecz większość miała od dwudziestu do trzydziestu kilku lat. Miały na sobie zwiewne jedwabne szaty w różnych kolorach i fasonach: kimona, sari i przepaski jak u Malajów; niektóre były ubrane w powiewne, drapowane stroje, które wydawały się zupełnie nowe. Wyszywane białe tygrysy spozierały z różnych części ubioru wszystkich kobiet; duże koty albinosy, opasujące wiotką kibić, maleńkie kotki wielkości etykietek przyszywanych do koszul. Jedwabne i papierowe kapelusze fantastycznych kształtów, niczym chińskie zamki zdobiły głowy większości kobiet, z wyjątkiem tych, które nosiły kunsztowne peruki czy wyszukane fryzury.

Niektóre kobiety mijaly Masona, nie podnosząc wzroku. Inne posyłały mu zalotne spojrzenia. Stał z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy kilka uśmiechnęło się powabnie, albo czyniło prowokujące ruchy oczami i ustami. Niewiasty, przeszedłszy obok niego, obchodziły wodne oczko i stawały na przeciwległym brzegu, czekając na pozostałe, znajdujące się jeszcze na dziedzińcu.

Uroda kobiet wywarła na Tree ogromne wrażenie. Chociaż większość miała oczy w kształcie migdałów, ich rysy przypominały bardziej typy polinezyjskie niż chińskie – odzwierciedlenie wieloetnicznego rodowodu. Ojcowie tych kobiet byli tubylcami z indiańskich plemion, lecz nie tylko. Tree przypomniała sobie, że Ko T'ung Jen miał na pokładzie Persów, Hindusów i Europejczyków, oczywiście oprócz chińskich żeglarzy i kobiet. Chociaż dostrzegła kilka par jasnych oczu i włosów, wszystkie kobiety wyglądały jak siostry z jednej, olbrzymiej rodziny z South Sea Island.

Pomyślała kwaśno, że gdyby nie znajdowała się w tak zaskakującej i niepewnej sytuacji, nie wspominając o niebezpieczeństwie, mogłaby czuć się zagrożona tym tłumem oszałamiających urodą kobiet. Wiele lat doświadczenia pełnych podziwu męskich spojrzeń wyrobiło w niej pewność siebie – lecz tamtych facetów nie otaczał tłum egzotycznych piękności.

Zdecydowała się wziąć udział w wyprawie i spróbować na nowo rozniecić namiętność, która kiedyś łączyła ją i Masona. Kochankowie, których tak często zmieniała od czasu rozvodu, jedynie wzmagali jej tęsknotę za byłym mężem i marzeniami o wspólnym życiu. Ryzykowała rozczarowanie, nawet złamane serce, walcząc o odzyskanie go. Teraz narażała życie, podczas gdy Mason dokonywał wyboru drugiej żony pośród czarujących azjatyckich księżniczek.

Ostatnia z dziewcząt, mniej więcej szesnastoletnia, bardziej zaokrąglona niż większość

rywalek, przeszła powoli obok Masona; biały tygrys na plecach jedwabnej szaty poruszał się w rytm zmysłowo kołyszących się bioder. Pozostałe kobiety, które nie prezentowały swych wdzięków, dołączyły do tłumu stojących za stawem. Ich proste, zgrzebne, wełniane ubiory i nieśmiałe zachowanie świadczyły, że są to służebne albo niewolnice panien. Nawet tym służącym nie brakowało urody.

Jedna z nich wyróżniała się, i to nie tylko dlatego, że o głowę przerastała pozostałe kobiety, wzrostem dorównując Tree. Proste czarne włosy spływały po plecach, sięgając talii, tak lśniące, że światło dnia połyskiwało na nich niebieskawą barwą. Atramentowa czerń włosów otaczała bladą, gładką skórę owalnej twarzy o ciemnoniebieskich oczach przepelnionych zdumieniem. Tree pomyślała, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziała. Ich spojrzenia zetknęły się na chwilę, służąca spuściła wzrok na ziemię.

Zebrane niewiasty wpatrywały się w Masona, oczekując wyboru.

– Pomóż mi, Tree.

– Nie mogę. To zależy od ciebie.

– Jeżeli ona się dowie, jesteśmy skończeni.

– Nie możemy więc jej na to pozwolić.

– One oczekują twojej decyzji, barbarzyńco – usłyszeli głos cesarzowej.

– Mason – ponagliła Tree – wybieraj.

Ktoś popchnął błękitnooką służącą, która, straciwszy równowagę, wdepnęła jedną stopą do stawku. Tłum wybuchnął śmiechem. Błękitnooką wyszła z wody i opuściła nisko głowę, kryjąc twarz za zasłoną włosów.

– Zapytaj, czy mogę wybrać którąkolwiek z nich.

– O to przecież chodzi. – Zapytaj ją.

Tree zapytała.

– Tak, każda z nich może zostać jego żoną – padła sucha odpowiedź.

– Wybieram tę. – Mason wskazał na błękitnooką. Śmiech utonął w absolutnej ciszy.

– Nie mam ochoty na żarty – rzuciła cesarzowa.

– Nie podoba jej się twój wybór – wyjaśniła Tree.

– Powiedziała, że mogę wybrać każdą, więc wybieram ją.

– Mój mąż pragnie wziąć sobie za drugą żonę tę błękitnooką kobietę – powiedziała Tree.

Napięcie w pomieszczeniu stało się namacalne, jakby nagle wyssano tlen z powietrza. Tree z trudem przełknęła ślinę.

Zdawało się, że minęło wiele minut, zanim władczyni przerwała ciszę.

– Przyprawdźcie pannę młodą do męża.

Kilka kobiet stojących z przodu popchnęło ją brutalnie. Wpadła do wody, spoglądając lękliwie na Masona i na tłum.

Mason podszedł do skraju stawu i wyciągnął rękę.

– Nie przejmuj się tymi wariatkami – odezwał się po angielsku. – Chodź do mnie. Nie skrzywdzę cię.

Ruszyła przez wodę i pomógł jej wyjść na brzeg. Nie podnosiła głowy, kuląc się w sobie. Mason wyprostował ją, aż stanęła, patrząc mu w twarz. Mokre włosy opadły jej na piersi niczym czarny wodospad na chińskim obrazie.

Tree podeszła i położyła kobiecie rękę na ramieniu.

– Jak się nazywasz?

– Hsiang K'un-Chien – odpowiedziała, unikając ich wzroku.

– Jesteśmy obcy w waszym świecie – wyjaśniła Tree – ale nie chcemy ci zrobić nic złego. – Uśmiechnęła się ciepło, ich oczy spotkały się. Tree przypomniała sobie błękitne, powiewne szaty Maryi na witrażu – okno przy ołtarzu, Pierwszy Kościół Episkopalny w Indian Mound Beach. Takie właśnie były uduchowione oczy K'un-Chien. Właśnie takie.

– Jej imię oznacza Perfumy-Ziemi-Niebios – przetłumaczyła Masonowi.

– Tak, zrozumiałem. – Zwrócił się do cesarzowej. – Hsiang K'un-Chien jest drugą żoną – odezwał się po chińsku, wyraźnie wymawiając każde słowo. – K'un-Chien nauczy nas reguł panujących w Błogosławionym Mieście, wasza wysokość.

Obrzydliwa maska skineła powoli.

– Niech i tak będzie, zgodnie z wybranym przez was losem – odpowiedziała. – Ale jeśli obydwie żony za trzy księżycy nie będą brzemienne, barbarzyńco, obydwie zostaną wypędzone, a ja osobiście zrobię z ciebie eunucha. – Odwróciła się i opuściła dziedziniec, ciągnąc za sobą świętę, niczym wielobarwną smugę dymu.

– O co chodziło z tymi brzemiennymi? – zapytał. – Ten dialekt jest tak cholernie archaiczny...

– Powiedziała, że siedzimy po uszy w gównie.

– Tak właśnie myślałem. Z deszczu pod... – wypuścił powietrze z płuc, jakby chciał pozbyć się napięcia. – Jak ręka?

– Strach jest dobrym środkiem przeciwbólowym. Szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałam o ranie. – Oparła się o niego ciężko. – Ale teraz naprawdę zaczynam czuć się słabo, Mason.

Położył sobie ramię Tree na barku i podtrzymał ją jedną ręką, obejmując z tyłu. Odwrócił się do K'un-Chien.

– Czy możesz nas zaprowadzić do lekarza? Pierwsza żona jest ciężko ranna.

– Mężu, ja jestem lekarzem. – K'un-Chien złączyła ręce przed łonem i pochyliła nisko głowę. Czarne włosy spłynęły na trawę niczym noc.

– Mamy szczęście – westchnął Mason i uśmiechnął się do Tree, próbując wlać w jej serce otuchę.

Tree nie oceniała tego szczęścia zbyt wysoko. Zyskali jedynie na czasie, dopóki nie stanie się dość silna, by pomyśleć o ucieczce. Zajście w ciążę w ogóle nie wchodziło w rachubę. Od powrotu z Wietnamu Mason był impotentem.

Rozdział 12

Biała, aksamitna mrówka była wielkości bagiennej osy. Masonowi wydała się podobna do kęsających mrówek, które Wawajeros nazywali *veinticautos* – dwadzieścia cztery – ponieważ ich jad powodował straszliwą gorączkę, trwającą dwadzieścia cztery godziny. Indianie bali się ich bardziej niż skorpionów. Masona ukąsiły trzykrotnie i za każdym razem krwawy bąbel w miejscu ukąszenia palił tak straszliwie, że dziwił się, iż nie czuje woni spalonego ciała.

K'un-Chien wzięła chińskie pałeczki, delikatnie schwyciła mrówkę i wyjęła ją z drewnianego pudełka wyłożonego liśćmi kuczukowca. Mason zadrżał przypominając sobie, że *veinticautos* były gładkie, czarne, a nie mechate i białe.

– Ufam jej – powiedziała Tree, siadając ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko K'un-Chien i Masona, na utkanej z łodyg ryżu macie, przykrywającej klepisko bambusowej chatki. Skinęła głową do K'un-Chien, która położyła mrówkę na ranie.

Mrówka nie traciła czasu. Raz po raz kąsała zakażoną tkankę.

– Ooooo. Jak zimno – odezwała się Tree. Mason wypuścił powietrze z płuc.

– Zimno? To dobrze.

– Zaczyna mi drętwieć. Och, cóż za ulga. – Uśmiechnęła się do K'un-Chien, która spuściła powieki. – Ból odchodzi. Czuję, jakby... jakby ktoś przykładał mi lód, a tam, gdzie dojdzie zimno, przestaję czuć rękę.

– Nazywamy je zimny-sen – wyjaśniła dziewczyna. Schwyciła mrówkę koniuszkami pałeczek, przeniosła ją z powrotem do pudełka i zamknęła wentylowane wieczko.

– To wspaniałe – stwierdził Mason. – Chętnie bym się dowiedział, jaki to środek uśmierzający zawiera ten jad. Halcyonowi by się cholernie podobało. Domyślam się, że musi go być bardzo niewiele – kilka miligramów w najlepszym razie. Może jeszcze mniej? Ma bardzo silne działanie.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała Tree. – Muszę przez chwilę odpocząć.

Położyła się na plecach i podgięła kolana, żeby zmieścić się na macie. K'un-Chien uklękła przy jej głowie i zaczęła masować skronie długimi, zgrabnymi palcami. Twarz Tree rozluźniała się pod wpływem wprawnego dotyku. Mason delektował się widokiem dwóch pięknych kobiet z przeciwnych krańców świata: jednej o ciemnoniebieskich oczach i prostych, czarnych jak lukrecja włosach, drugiej o oczach zielonych jak morska woda i jasnych lokach, spienionych jak szampan.

– Och, jak dobrze... masz cudowny dotyk... Ślad uśmiechu przemknął przez twarz K'un-Chien.

– To dla mnie zaszczyt – odpowiedziała miękko.

Jedynym meblem w maleńkim pomieszczeniu była duża mahoniowa skrzynia

z kilkunastoma szufladami o różnych kształtach, każda opatrzona chińskimi ideogramami. Mason wstał, aby przejrzeć zawartość. Rozpoznał napisy: *żeń-szeń, nasiona lotosu, pyłek pszczele* i znalazł w szufladach to, czego się spodziewał. Większość z nich mieściła nieznane mu zioła; *nietoperznik, diabelski ślimak, błyskawnik, smokowiec, miesięcznica i ognisty mech* – te go zaintrygowały; wewnątrz znalazł rozmaite aromatyczne proszki, gałązki, liście, korzenie, płatki, pyłki, mchy i suszone grzyby. Kilka szuflad zdawało się mieć związek z hydrauliką: *odwodnienie, nawodnienie, wypróżnianie, zaparcia*. Jedna, wielkości pocztówki, posiadała etykietkę stwierdzającą wprost: *wymiotować aż do pusta*. – Może innym razem – mruknął. *Kulki Feniksa* okazały się lepкими zielonymi kulkami sproszkowanych ziół, oblepionych krystalicznym miodem. Palce natknęły się na kredę w kolorze kasztanowym, nazwaną *tonik lonowy*; dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że jest to zakrzepnięta krew menstruacyjna.

K'un-Chien ułożyła głowę Tree na rzeźbionym drewnianym podglówku i wstała, aby podpalić węgle w niewielkim, żelaznym piecu z rusztem. Wodą z tykwy napełniła błękitny ceramiczny dzbanek do herbaty i postawiła go na piecu. Następnie włożyła pokrytą strupami rękę Tree do misy pełnej płynu o barwie mleka i kwaśnym zapachu, przypominającym Masonowi sos do pleśniowego sera.

– Ból minął – usłyszał senny głos Tree.

– Tak się cieszę. – Ukląkł obok i pogładził jej włosy. – Miejscowe środki przeciwbólowe zwykle nie bardzo sprawdzają się w przypadku infekcji, ponieważ ropa otacza końcówki nerwów i blokuje działanie leku. Ale to coś...

– Tak szybko – zachwyciła się Tree. – Działa świetnie.

– Właśnie po to powstał Harvest – powiedział. – Takie odkrycie...

– Nie jest warte życia naszych kolegów.

– Nie, oczywiście że nie. W żadnym razie. Ale... przepraszam... chyba zawsze myślę o Wawajeros... co zrobić, żeby choć trochę ułatwić im życie. Myślałem sobie, że może mogliby hodować te mrówki zimny-sen i eksportować ich gruczoły jadowe do Stanów.

Mason dołączył do projektu Harvest z zamiarem odkrycia i wykorzystania miejscowych leków dla Korporacji Farmaceutycznej Halcyon, co mogłoby prowadzić do rozwoju przemysłu farmaceutycznego w wioskach, stanowiąc źródło dochodu dla Wawajeros. Posiadając wystarczające środki, mogliby skutecznie bronić się przeciwko firmom przemysłu drzewnego. Wtedy przestano by wywozić codziennie ciężarówkami ich leśną ojczyznę, zaprzestano by wycięcia lasu, co zmuszało ich do ciągłej ucieczki w kurczącą się dżunglę. Potrzebował również funduszy na zbudowanie pływającej kliniki, która służyłaby wielu indiańskim wioskom; coś na zasadzie statku szpitalnego HOPE, lecz na skalę rzeczną.

Mason przyznawał sam, że jego największym pragnieniem było znalezienie sposobu, aby wykorzystać umiejętności i wiedzę, jaką posiadał, do odpokutowania za to, co zrobił

w Wietnamie. Ale jak wiele należało dokonać? Co był winien Gibowi?

Nie proszę o przebaczenie, pomyślał, tylko o możliwość odpokutowania zbrodni.

Tree dotknęła jego karmazynowego stroju.

– Nie chciałam cię dotknąć – powiedziała. – Chodzi o to, że... nie przejmuj się tak bardzo, znam cię, Mason. Pamiętaj, musimy przez to jakoś przejść.

– Zgadza się. Masz rację, kochanie. – Jej oczy rozwarły się szerzej i Mason odwrócił wzrok. Nazwał ją tak z przyzwyczajenia, lecz było zbyt późno, żeby się poprawić. Kochanie. Najdroższa, jedyna. Przepraszam, że cię zawiodłem, Tree.

Patrzył na K'un-Chien, zafascynowany jej wprawą w leczeniu, jakiego nigdy nie widział i o jakim nie słyszał. Przeląła parującą wodę z dzbanka do drewnianej misy z ciemnymi trzypłatowymi liśćmi, purpurowymi z jednej, zielonymi z drugiej strony. Podczas zaparzania wzięła łydęgę szczeciniastego chwastu i zaczęła oczyszczać zmiękczonej tkanekę rany, zdrapując martwe i zakażone ciało, aż do krwawoczerwonych mięśni.

– Wcale nie boli – stwierdziła Tree, kiedy krew zabarwiła na jasnoróżowo mleczną miksturę.
– Ale fakt, że wygląda fatalnie.

K'un-Chien sprawdziła temperaturę herbatki koloru whisky i włożyła rękę rannej do głębokiej misy, poruszając nią ruchem okrężnym. Woda pociemniała. Kiedy wyjęła rękę, rana wydawała się czysta, a krwawienie ustało. Następnie posypała ranę pomarańczową chmurką zarodników z grzybiej purchawki; niemal natychmiast mokra powierzchnia stwardniała, pokrywając się suchą, podobną do skorupki, powłoczką, osłaniając tkanekę jak opatrunek.

Pokiwała z zadowoleniem głową, po czym odwiązała kwadratowy pakunek liści bananowca, zawierający czarną pastę o zapachu smoły. Wyjęła jedną z lepkich zielonych kulek Feniksa, pokryła ją grubo pastą i skinęła na Tree, aby połknęła w całości. Tree popiła kilkoma łykami świeżej wody z żółtej tykwy.

Mason gwizdnął cicho.

– Co ja bym dał, żeby znać aktywne składniki wszystkich specyfików. W tych szufladach leży farmacja, o jakiej Zachód nawet nie śnił.

– Brrr. – Tree wywaliła język z obrzydzeniem i sięgnęła po więcej wody. – Smakuje równie paskudnie, jak zachodnie leki, a nawet gorzej.

K'un-Chien spreparowała drugą smolistą kulkę dla Masona. Włożył ją sobie daleko na język i połknął, po czym zacisnął mocno powieki i wzdrygnął się.

– Ostrzegłam cię – uśmiechnęła się Tree.

– Wolałbym już zjeść granolowy baton.

K'un-Chien przytrzymała mocno szczękę Masona i położyła na ranie na policzku mrówkę zimny-sen. Kiedy jad przeciwbólowy zaczął działać, zaszyła krawędzie rany, zamykając ją z zewnątrz i od wewnątrz jedwabną nicią, nawleczoną na niezwykle ostrą, zakrzywioną igłę

z gładkiego czarnego ciernia.

W rogu pomieszczenia stał niewielki ołtarzyk w kształcie zadaszono szalasu. W niszy leżało czarne lakierowane pudełko, strzeżone lusterkiem *pa kua*, które miało odbijać zło. K'un-Chien otworzyła pudełko i wyjęła pojemniczek wykonany z zielonego bambusa umoczonego w wosku. Wieczko podskoczyło do góry z kliknięciem i wewnątrz chaty natychmiast wypełniło się gryzącym, słodkim zapachem gnijącego kompostu. Zanurzyła miedzianą łyżkę i wyjęła połyskujący, żółty szlam.

– Jakaś mulasta pleśń? – zapytał Mason.

– Też mi to przyszło na myśl – dodała Tree. – *Ling-Chih* – wyjaśniła zdawkowo K'un-Chien.

– Mason, o Boże!

– *Ling-Chih*, pamiętasz? Grzyb nieśmiertelności. Szukały go wielkie floty.

– Taak, ale... daj spokój. To tylko mit.

– Oczywiście. Ale antropologowi by się to strasznie podobało: Lecznicze grzybki biorące swą nazwę od legendarnego archetypu. Szkoda, że mój ojciec nie żyje i tego nie widzi.

Pokiwał głową.

– Miejmy tylko nadzieję, że twoja rana zagoi się po tym i oczyści. Żeby tylko nie wdało się zakażenie. Jak tylko ci się polepszy, musimy, do diabła, wynosić się z tego miasta.

K'un-Chien delikatnie dotknęła policzka Tree i jej głos zmiękł, jakby mówiła do małego dziecka.

– Tak mi przykro. Będzie palić. Proszę, nie obawiaj się. Płomienie wkrótce znikną i będziesz widziała bardzo wyraźnie.

– Ale przecież całe ramię mam odrętwiałe. Jak może mnie palić?

– Nie, pierwsza żono, płomienie nie ogarną ciała – zaprzeczyła K'un-Chien. – Ogarną umysł.

Rozdział 13

K'un-Chien pokryła jej rękę żółtym jak chrom szlamem. W ciągu kilku sekund Tree poczuła w ustach przejmująco wilgotny smak, jakby jadła przemokłe liście.

– Czuję to w ustach – podzieliła się spostrzeżeniem z Masonem.

– Te cząsteczki muszą być superprzenikalne – stwierdził. – To tłumaczy woskową powłokę na tym pojemniku.

K'un-Chien podniosła głowę swojej pacjentki i położyła ją sobie na kolanach. Tree zamknęła oczy. Towarzyszyło jej dziwne odczucie pustki i coraz lżejszej głowy.

Nagle pojawiły się płomienie.

Czerwony żar zrodził się w środku wewnętrznego wzroku. Uchyliła powieki, sądząc, że Mason trzyma jakąś świeczkę w pobliżu jej twarzy. Ucisnął jej dłoń.

– Jestem tu.

Kiedy ponownie zamknęła oczy, ogień rozkwitł karmazynowa różą, migotliwą i sypiącą gradem iskier. Teraz poczuła jego gorąco i myśli zaczęły spalać się w tej jasności. Straciła jakiegokolwiek poczucie orientacji w przestrzeni, a jej puste ciało przeobraziło się w ulotną chmurę odczuć. Wkrótce potem zniknęło.

Tree jęknęła.

– Nie walcz z tym – poleciła K'un-Chien. – Pozwól, żeby gorąco i światło zawładnęły tobą; poddaj się im jak kochankowi.

Ogień rozrastał się koncentrycznie w płomiennych płatkach, w samym centrum poszerzając białą intensywność. Głębokie warstwy pamięci i wyobraźni parowały jak wrząca woda.

– Tak, tak, uwolnij wszystko – szepnęła K'un-Chien. – To nie śmierć. *Ling Chih* odkrywa twą nieśmiertelną esencję.

Im bardziej udawało się Tree rozluźnić, tym większy ogarniał ją ogień. W końcu poddała się całkowicie, ulegając rozszerzającej się, wibrującej światłości.

Róża płonęła na wskroś wysokości i szerokości jej umysłu, rozpuszczając ograniczenia, spalając ostatnie ślady osobowości, aż z Teresy Diany Summerwood pozostało jedynie czyste uczucie, nieskończona studnia światła i dźwięku. Stała się ze wszech miar osobliwa – chór jasności, promienna harmonia.

Następnie ogarnęło ją poczucie ogromnej szybkości. A w chwilę później nagła, wyraźna wizja:

Patrzyła, jak jej ręce brzdąkają na nieznanym instrumencie z drzewa różanego, który przypominał trzymaną poziomo cytę. W głębokim pudle rezonansowym widać było rzędy kryształów kwarcu, od rozmiarów ziarnka grochu aż do wielkości palca, dźwięczących współczująco przy każdym szarpnięciu struny, tworząc wielowarstwową harmonię, muzykę

dźwięcznych klejnotów.

Przyjrzała się swym dłoniom zdumiona, jak wspaniale zagoił się lewy kciuk. Nawet nie mogła znaleźć blizny. Potem przypomniała sobie, że straciła go podczas katastrofy helikoptera. Nie powinna mieć tego kciuka. Mimo to nowy palec szarpał basowe struny grubości strun harfy.

Zabrzmiał jakiś piękny głos, czysty i dźwięczny jak obój, a kryształowe zawtórowały mu współczująco. Odwróciła się i ujrzała śpiewającą K'un-Chien, wtórującą jej na qin, klasycznej chińskiej cytrze o siedmiu strunach. K'un-Chien uśmiechnęła się do niej, patrząc ciepło i poufale; przepłynął między nimi prąd, jakby Tree była z cynku, a K'un-Chien z miedzi.

Tree stopniowo powróciła do zewnętrznej świadomości, gdzie leżała na plecach z głową na kolanach K'un-Chien, na macie z łądyg ryżowych w maleńkiej chatce krytej słomą. Otworzyła oczy.

– Miła drzemka? – spytał Mason. – Zgasłaś jak światło.

Usiadła i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz tylko pokręciła głową ze zdumieniem.

K'un-Chien skinęła głową.

– Miałaś wizję.

– Tak... wizję... ale nie rozumiem jej.

– Przed tą wizją czy czułaś, że lecisz bardzo szybko?

– Tak, tak. – Spojrzała na Masona. – Czułam się jak sygnał pędzący przez miliardy drutów telefonicznych z prędkością światła. Ale nie mam pojęcia, jak jej to powiedzieć.

– Pędziłaś na zewnątrz – zapytała K'un-Chien – czy czułaś, jakbyś wybuchała do wewnątrz?

– Na zewnątrz. Ekspłodowałam. – Tree rozpostarła szeroko ręce. K'un-Chien skinęła głową.

– Kiedy lecisz do wewnątrz, spotykasz swych przodków i starożytnych. Kiedy lecisz na zewnątrz, widzisz swą przyszłość.

– Ale... moja ręka. Znowu miałam kciuk. K'un-Chien uśmiechnęła się.

– Bardzo dobrze. To oznacza, że grzybek poślubił twoje *chi* – twoją siłę życia – i zrodził nowy kciuk.

– Nowy kciuk?... – zapytał z niedowierzaniem Mason.

Tree schwyciła go za rękę.

– W wizji grałam na... na instrumencie podobnym do cytry. Nie tylko moja ręka się wygoiła. Ja miałam kciuk. Nietknięty kciuk.

Mason wzruszył ramionami.

– To był sen.

– Nie, to miało zupełnie inny wymiar niż sen. Taki rzeczywisty.

– Ale twój kciuk... jego po prostu nie ma.

– Najpierw grzyb poślubia siłę życiową danej osoby – przerwała im K'un-Chien – a potem

czyta osobiste Pismo Święte, aby zregenerować stare organy, albo zbudować nowe.

Tree i Mason wymienili między sobą zdumione spojrzenia.

– K'un-Chien, czy chcesz przez to powiedzieć, że ten grzyb umożliwia regenerację żywej tkanki?

– Tak, mężu. Grzyb rozbudzi *chi*, aby urósł nowy kciuk, według jej osobistego Pisma Świętego.

Brwi Masona wygięły się w łuk.

– Czy to prawda? A jeśli... mój Boże, jeśli to prawda... K'un-Chien spuściła wzrok.

– Mężu, nie okłamywałabym cię.

– Nie, nie, oczywiście że nie. Wierzę ci. – Mason zwrócił się do Tree. – Wytłumacz jej, że nie chciałem jej obrazić. Po prostu... nic, czego do tej pory się nauczyłem podczas studiów medycznych, nie może się z tym równać. Umiejętność tworzenia nowej tkanki. To... to...

– Czy innym osobom odrosły palce? – zapytała Tree. K'un-Chien roześmiała się.

– Nogi, pierwsza żono. Ramiona. O ile ktoś już nie umarł, może wyhodować sobie wszystko.

Tree rozdziawiła usta, a Mason musiał podeprzeć się na macie rękami.

– Mój Boże – wyszeptał. – To więcej... Tree, co my tu odnaleźliśmy? – Podniósł rękę Tree, aby się jej lepiej przyjrzeć. Większość szlamu została zaabsorbowana przez ciało, pozostawiając matową, żółtą powłoczkę.

– Mówiłaś, że grzyb czyta osobiste Pismo Święte danej osoby – odezwała się Tree do K'un-Chien. – Co znaczy – „osobiste Pismo Święte”?

– Najbardziej podstawowe, wewnętrzne Pismo Święte, które mówi częściom ciała, jak się naprawić i odbudować. Mason pstryknął palcami.

– DNA – stwierdził. – Ona mówi właśnie o tym. W jakiś sposób... ja nie mogę, niech się zastanowię... – Podskoczył i zaczął przechadzać się, zataczając niewielkie kręgi po małym pomieszczeniu. – W jakiś sposób DNA w grzybku działa tak, jak genetyczny włącznik...

– Reprogramuje DNA w jądrze komórki... – dodała Tree.

– I reaktywuje te same geny, które doprowadziły do wzrostu komórki. Taak. Regeneracja kończyn. Salamandry potrafią to robić. Nawet króliki zostały do tego zmuszone za pomocą elektrochemicznej stymulacji. W jaki sposób? Pomyśl o tym.

– Myślę, a od tego myślenia kręci mi się w głowie.

– Faceci prowadzący badania nad rakiem badali pleśniaki błotniste od wielu lat, próbując dowiedzieć się, jak reprogramują własne geny, aby aktywować tak różne fazy wzrostu w cyklu życiowym – powiedział podekscytowany Mason. – Przez jakiś czas są jak zwierzęta i mogą się przemieszczać, przez jakiś czas są dużym, jednokomórkowym tworem z całym bukietem jąder komórkowych, następnie w pewnym momencie zmieniają się w owocujące ciało i mają

przeróżne kwieciste kształty. Genetyczne włączniki zmiany. Pleśniaki błotniste mogą uruchamiać sygnały jak dziecko bawiące się kolejką elektryczną.

Tree skinęła głową.

– Jeden z moich profesorów je badał. Sądził, że zasługują na własne królestwo – nie roślina, nie zwierzę. Jest ich pięćset gatunków.

– Pięćset jeden – poprawił i zerknął na bambusowy pojemnik z *Ling-Chih*. – Coś niesamowitego. To największe, najwspanialsze odkrycie w nowoczesnej medycynie. Przy nim penicylina wygląda jak... – przyspieszył kroku, zataczając coraz mniejsze koła, aż zatrzymał się, odchylił głowę do tyłu i wrzasnął: – Jaaahuuuuuu!

K'un-Chien uśmiechnęła się.

– Mąż jest zadowolony?

– Mąż jest... Mason, nazywaj mnie Mason. Jestem zachwycony. Podekscytowany. – Przyklęknął i schwycił K'un-Chien za ramiona. – *Ling-Chih* to najwspanialszy lek, doktorze.

K'un-Chien roześmiała się, ukazując idealnie białe zęby.

– Tak, May-Son.

Tree wciąż miała w umyśle żywy obraz swej wizji.

– Czyja naprawdę widziałam swoją przyszłość?

– Połączyłaś się z pajęczyną życia i podążyłaś jej nitkami do przyszłości. To, co zobaczyłaś, nie jest stałe tak, jak fakt, że słońce wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie. To bardziej przypomina patrzenie, jak mała strużka wody żłobi rów w piachu, a ty wybiegasz myślą w przyszłość i wiesz, że za trzy księżycy ten rowek zamieni się w małą zatoczkę.

– Brzmi to jak komputery statystyczne określające prognozę pogody. – Mason spojrzął na Tree. – Ona mówi, że doświadczyłaś wyniku o najwyższym prawdopodobieństwie, najbardziej prawdopodobnym punkcie kulminacyjnym z różnych możliwości, które w tej chwili rozchodzą się od ciebie.

– A więc to... istnieje duże prawdopodobieństwo, że to, co zobaczyłam, istotnie się wydarzy? – zapytała Tree K'un-Chien.

– Tak, pierwsza żono. Jeżeli nitki pajęczyny życia nie zostaną ponownie rozstrojone, zbiegną się w określonym miejscu i czasie, aby roztoczyć przed tobą wizję.

Tree wpatrywała się badawczo w oczy K'un-Chien, pamiętając emocjonalną treść wizji. Ich wzajemne stosunki były bezsprzecznie seksualne. Tree czuła się zdezorientowana, jakby jakiś cień psychiki czekał tylko na okazję, aby ją zdradzić. Nie należą do kobiet, które zakochują się w innych kobietach. Przynajmniej... no cóż, nigdy nie sądziłam, że taka jestem.

Nastawiła umysł tak, żeby miał się na baczności i skrzętnie omijał tę szczególną ścieżkę ku osobliwej przyszłości.

– Dlaczego cesarzowa nie użyła *Ling-Chih*, aby naprawić uszkodzenia swej twarzy? –

zapytał Mason.

K'un-Chien spochmurniała i odsunęła się nieco do tyłu.

– Tak mi przykro, nie chciałem powiedzieć niczego niewłaściwego – usprawiedliwił się Mason. – Wybacz mi.

K'un-Chien doszła do siebie.

– Muszę pamiętać, że nie znasz naszych zwyczajów, May-Son.

– Proszę oświeć mnie.

– Poprzez poświęcenie cesarzowa otrzymuje moc rodzenia dzieci płci męskiej. Gdyby uleczyła sobie obrażenia twarzy, poświęcenie przestałoby istnieć i żaden chłopiec nie mógłby się urodzić.

– Wybacz raz jeszcze – odezwał się Mason – ale w jaki sposób dokonuje się ten akt poświęcenia? Dlaczego cesarzowa tak wygląda?

– Rzeka przepływa przez ceremonialną izbę w Błogosławionej Świątyni...

– Tej świątyni, w której byliśmy dzisiaj?

– Tak. Nożycozębe mieszkają w tej rzece.

– Nożycozębe? – powtórzył Mason. – Jak wyglądają? K'un-Chien uniosła brwi ze zdumieniem.

– Oczami, May-Son.

– Niektórych zwrotów nie da się dokładnie przetłumaczyć – zwróciła się Tree do Masona. – K'un-Chien, opisz nam wygląd tych nożycozębnych.

– Ryby. Lśniące czarne łuski, wystająca dolna szczęka i zęby ostre jak brzytwa, jak trójkąty o ostrzach piły...

– Piranie – powiedział Mason. – Tree, ona mówi o piraniach. Wszystko jasne, dorzecze Orinoko jest jedynym miejscem na świecie, gdzie żyją. To ich naturalne środowisko.

Tree poczuła silny skurcz żołądka.

– Jak duże są te ryby? – zapytał Mason. K'un-Chien rozpostarła ręce na długość pół metra.

– Grube i ciężkie.

– Cholera jasna – jęknął Mason. – *Serrasalmus nattereri* – najbardziej drapieżny ze wszystkich gatunków piranii. Powinienem był się domyślić, kiedy powiedziała nożycozębe. Ich żłobkowane zęby zazębiają się tak ściśle, że Wawajeros używają ich kości szczękowych jako nożyczek.

– W pierwszy nów na początku swego panowania cesarzowa musi przejść rytuał ofiarny – wyjaśniła K'un-Chien. – Jest przeciągana na połączanej jedwabnej linie z jednego brzegu na drugi. Ryby kłębią się w rzece. Jej ciało jest szarpane silnymi szczękami. Woda pieni się od krwi.

– Coś strasznego – mruknął Mason.

– Lecz okaleczenia widać tylko na twarzy – zdziwiła się Tree. – Ręce i części ramion, które widziałam, wyglądały zupełnie normalnie.

– Resztę jej ciała chroni gruba skóra. Tylko twarz wystawiona jest na ataki.

– Chyba rozumiem – Mason spojrział na Tree. – To konfucjański motyw utraty twarzy, tyle że w fizycznym wymiarze.

Tree kiwnęła głową.

– Chodzi o wstyd, który ma być pokutą za całą społeczność, w tym przypadku matki, które nie mogą rodzić chłopców.

– Matka Synów musi zapłacić za władzę utratą urody – powiedziała K'unChien.

– Była kiedyś piękna? – zapytała Tree.

– O, tak, bardzo. Podobno już kiedy była małą dziewczynką, wszyscy spodziewali się, że właśnie ona zostanie wybrana. Tylko najpiękniejsza kobieta w Jou P'u T'uan może zostać cesarzową.

– Do diabła, to perwersja – wtrącił Mason. Tree westchnęła.

– Ugłaskanie. Odpokutowanie za władzę. „Zjedz tę dziewicę, O Góro Grzmotu, tylko nie pożeraj nas”. W całej historii, w każdej kulturze znajdujemy rozmaite formy składania ofiar – albo z ludzi, albo ze zwierząt.

Mason skinął głową.

– Tak jak powiedziałem. Do diabła, to perwersja.

– Nowa cesarzowa jest wybierana co dwadzieścia lat – wyjaśniła K'un-Chien. – Następny wybór padnie za trzy księżycy, w poranek jesiennego zrównania dnia z nocą.

Tree wzdrygnęła się, wyobrażając sobie przerażenie, jakiego musiały doświadczać wszystkie młode kobiety wybrane na cesarzowe; transformacja poprzez straszliwe okaleczenia z najpiękniejszej kobiety w mieście do najbardziej odpychającej.

Jej oczy z podziwem oceniły nieskazitelne rysy K'un-Chien, jak znawca sztuki patrzyłby na piękną rzeźbę. Czy są w tym mieście kobiety jeszcze ładniejsze? Mój Boże, a co, jeśli takich nie ma?...

– Cesarzowa – powiedziała jakby do siebie Tree. – Nawet jej długie włosy to tylko peruka.

– Zawsze się zastanawiałam, jak wyglądała, będąc w moim wieku – zamyśliła się K'un-Chien. – Nigdy nie widziałam jej twarzy bez tego kokonu blizn. Powiadają, że bardzo jestem do niej podobna.

Tree i Mason odezwali się chórem:

– Co powiedziałaś?

– Cesarzowa jest moją matką.

Rozdział 14

W wysokich oknach sypialni lśniły szyby z przezroczystego papieru, przyklejonego do zdobionych krat wykonanych z drzewa wiśniowego. Ramy okienne tworzyły istną menażerię kształtów: ptaki, ryby, kwiaty, półksiężycy i gwiazdy. Światło księżyca, sączące się przez biały papier, wypełniało koliste pomieszczenie srebrzystą poświatą urozmaiconą delikatnymi cieniami.

Na zewnątrz zadźwięczał ptak-dzwon, z daleka odpowiedział mu inny. Świerszcze i żaby skrzeczały, szczebiotały i piszczały. Wyjec wystraszył swym szczekaniem stado papug, wzbiły się w powietrze, skrzecząc zaciekle. Pod dyszkantową chmurą leśnych nut dudniący huk wodospadu rozbrzmiewał w soczyście zielonej dolinie o skalistych ścianach.

Tree i Mason, wpatrując się w siebie, leżeli na misternie rzeźbionym łóżku z bambusa. K'un-Chien spała na słomianej macie rozwiniętej na podłodze u stóp łóżka; bambusowe łby smoków wystawały ze stylizowanych chmurek wirujących ponad jej głową.

Tree i Mason mieli na sobie jedwabne piżamy: on zieloną, ona białą. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Chyba powinniśmy zacząć od podstawowego pytania – mówiła Tree. – Dlaczego tu rodzą się tylko kobiety?

Mason pokręcił powoli głową.

– Tak jak mówiłeś, może to być spowodowane jakimś czynnikiem środowiskowym – powiedziała.

– Może, ale zachodzę w głowę...

– A twoja teoria kwaśnej wody?

– Nieee. Teraz uważam to za bezzasadną hipotezę.

Wcześniej rozmawiali o technikach wybierania płci dziecka poprzez uaktywnianie jednego z dwóch typów spermy: gynosperm, czyli „dziewczynek,” silniejszych, o dłuższej żywotności, lecz wolniej szych pływaków; albo angiosperm, „chłopców,” słabszych, lecz szybciej pływających i liczniejszych. W warunkach ogólnie korzystnych dla spermy, jak lekko zasadowe środowisko pochwy, angiospermy mają tendencję wygrywania wyścigu w kierunku jajeczka, ponieważ są szybsze i mają przewagę liczebną. Lecz w nieco bardziej kwaśnym środowisku w pochwie i w dłuższym okresie czasu gynospermy zwykle zwyciężają z uwagi na większą wytrzymałość.

A zatem zasada była prosta: żeby począć chłopca, trzeba mieć stosunki w czasie owulacji, i to z głęboką penetracją dopochwową z tyłu – najlepszą pozycją zapewniającą wtrysk spermy do otworu szyjki macicy. Koniecznym warunkiem jest też orgazm u kobiety, który pobudzi wydzieliny zasadowe pochwy. Aby począć dziewczynkę, należy się kochać w pozycji na klęczkach dwa lub trzy dni przed owulacją, pominąć orgazm u kobiety i starać się o płytkie

wejście członka w momencie ejakulacji tak, żeby sperma musiała przebyć drogę kanałem pochwowym, eliminując większość „chłopięcej” spermy po drodze.

Mason stwierdził, że używając tych metod, para miałaby dziewięćdziesiąt procent szans na poczęcie dziecka określonej płci.

– A więc zastanawiam się – powiedział wcześniej – czy może tu działać jakiś czynnik uniwersalny, taki jak na przykład częste kąpiele w wodzie zawierającej duże ilości rozpuszczonego wapnia, co w efekcie działa jak kwaśny tusz, powodujący, że kobiety rodzą wyłącznie córki?

Teraz rozwinął tę teorię.

– To znaczy, że każda kobieta, która zaszła tu w ciążę, musiała wcześniej zażywać kąpieli albo, co bardziej prawdopodobne, brać natryski tuż przed stosunkiem. Trochę naciągnięty warunek, o ile nie jest to jakiś rytuał, stale powtarzany. Poza tym gdyby woda była kwaśna, miałyby kwaśny smak. Zauważyłaś tu kwaśną wodę?

Tree pokręciła przecząco głową.

– Zawsze jest słodka i przepyszna.

– Właśnie. – Westchnął. – Nie, nawet gdyby brały prysznic z octu, należałoby przypuszczać, że angiospermy od czasu do czasu zwyciężą, ponieważ jest ich o wiele więcej niż gynosperm.

– Ja rozważałam różne możliwości dietetyczne – poinformowała go Tree. – Jakiś rodzaj jedzenia...

– Działający jak silny hamulec wobec angiosperm? Hmm... Co to może być?

– Nie mam pojęcia.

– Wiesz, czytałem kiedyś pewne opracowanie; badania wykazywały, iż dieta obfitująca w wapno, a uboga w sól i potas zwiększa prawdopodobieństwo narodzin dziewczynek – powiedział. – „Chłopięca” dieta wygląda zupełnie inaczej: uboga w wapno, obfitująca w sól i potas. Kobiety miały stosować taką dietę przez minimum miesiąc przed próbą zajścia w ciążę. Na trzysta przebadanych kobiet osiemdziesiąt procent urodziło zgodnie z oczekiwaniami.

– Hej! Może właśnie o to chodzi?

– Na pewno nie nazwałbym tutejszej diety ubogą w sól. Po tych marynowanych śliwkach miałem takie pragnienie, że wypiłbym pół jeziora. Ta cała góra jest pełna soli. Kiedyś siedziała na dnie Pacyfiku.

– Może to coś w ich pożywieniu, zupełnie nieznanego zachodniej nauce? Skinął głową.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia: coś nieznanego.

– Mam pomysł – odezwała się żywo Tree. – Spróbujmy to ugryźć z innej strony. Co takiego ma lub robi cesarzowa, czego nie posiada ani nie robi żadna inna kobieta w Błogosławionym Mieście?

Mason podniósł wzrok.

– Taak, to dobra droga. Jak to się dzieje, że ona, i to tylko ona, może rodzić chłopców?
– Co takiego je, czego inne nie jedzą?
– Właśnie. Albo jaki jest rytuał płciowy, któremu podlega wyłącznie ona?
– A te cholerne nożycozębe? – skrzywiła się Tree. – Czy może być coś w ich ślinie albo, zaraz, coś w tej wodzie, coś wyjątkowego?

Mason usiadł prosto.

– Nie sędzę, żeby to było to, ponieważ rozszarpują jej twarz tylko raz...
– Brrr...
– ...a ta ofiara sprawia, że jest w stanie rodzić synów przez resztę życia. A więc nie chodzi o to, że ma kontakt z tą wodą albo wydzieliną ryb czy czymkolwiek przed każdym poczęciem.
– To prawda.
– Ale myślę, że podążamy właściwym tropem. Co ona takiego je, czego nie je nikt inny?

Tree pokiwała głową.

– Albo czego ona unika, na co wszystkie pozostałe kobiety są wystawione?
– Może K'un-Chien będzie wiedziała? Ale musimy uważać, w jaki sposób formułujemy pytania. Zdaje się, że ona bardzo mocno wierzy w poświęcenie matki.

Księżyc sięgnął zenitu i zniżał się powoli ponad zboczem góry. Kremowe światło spłynęło z pościeli, powoli zalało podłogę i wpełzło na przeciwległą ścianę, zanim którekolwiek z nich odezwało się słowem.

– Wydostanie się z tego miasta nie jest najtrudniejszym zadaniem – powiedział Mason. – Tylko bramy są strzeżone. Możemy obmyślić sposób przejścia przez mury.

– Ale jaki jest sens ucieczki do „górnego piekła”? – odpowiedziała pytaniem. – Przecież właśnie tam cię wypędzają, kiedy chcą, żebyś umarł powoli. Albo szybko w szponach harpii.

– Ciągle staram się obmyślić sposób na zreperowanie tego balonu – odrzekł. – Jest poszarpany u podstawy, ale górna część nie jest uszkodzona. Gdyby dało się zszyć lub skleić dół, moglibyśmy odpalić palniki i unieść Tratwę z wierzchołka góry. Wiatry wieją przeważnie w kierunku północnym, mielibyśmy spore szanse dotarcia do ziemi Wawajeros. Indianie pomogliby nam dostać się do najbliższego miasteczka.

– Ale nawet gdyby udało nam się wydobyć jakiś klej z żywicy drzewa czy czegoś podobnego, nie możemy przecież siedzieć i cerować balonu, odpędzając drapieżne ptaki.

– To prawda.

– Zrozum to wreszcie – Tree spojrzała mu prosto w oczy. – Muszę zająć w ciążę.

Rysy jego twarzy stężały.

– Naprawdę, Mason. Musimy spróbować. To dałoby nam kilka miesięcy na zaplanowanie ucieczki.

Spojrzał na nią w mglistym świetle. Jego szare oczy pociemniały jak chmury ciężkie od

deszczu. Przez kilka minut żadne z nich nie wypowiedziało słowa.

– Posłuchaj, to tepui jest praktycznie nie do zdobycia – powiedział wreszcie Mason. – Nie ma możliwości, żeby Ko T'ung Jen poprowadził ludzi i cały inwentarz po tych urwiskach. To oznacza, że musi być jakieś wewnętrzne przejście, wiodące z dżungli na górę, jakaś głęboka szczelina w skale, taka jak ta, która przywiodła nas tutaj. Jeżeli uda nam się ją znaleźć i wymknąć się stąd, do cholery...

– A Yanomorduro? – Tree musnęła dłonią włosy. – Jestem pewna, że uważaliby skurczoną głowę z falującymi blond lokami za prawdziwy skarb.

– Po kolei. Nie wszystkie niebezpieczeństwa naraz. Najpierw dowiedzmy się, jak zejść do dżungli. Może weźmiemy szaty i klejnoty od „żółtych wiedźm,” aby kupić sobie bezpieczne przejście przez terytorium łowców głów. Będziemy również potrzebowali broni: luków, włóczni, noży...

Tree wzdrygnęła się.

– To wszystko mnie przeraża.

– Jeśli dotrzemy do Caroni i będziemy podążać na północ wzdłuż brzegu, na pewno napotkamy wioskę Wawajeros – stwierdził z przekonaniem. – Dadzą nam jakieś czółno i pożywienie. A kiedy dotrzemy do rzeki Paragua, będziemy mogli ruszyć na wschód, do La Paragua. Albo jeszcze lepiej, jeżeli starczy sił, pociągniemy dalej na północ do Ciudad Guayana; to mniej więcej kolejne sto mil, ale mają tam niewielki pas startowy.

Tree westchnęła.

– Exodus, opuszczamy scenę. – Miała wrażenie, że Masonowi byłoby znacznie łatwiej po prostu rzucić ją na łóżko i posiąść; dwoje kochanków skąpanych w świetle księżyca. Takiej ucieczki potrzebuję dziś w nocy.

Nie odezwała się jednak ani słowem. Nie było sensu. Wiele lat temu, kiedy Mason po raz pierwszy powrócił z Wietnamu, nauczyła się czegoś. Im większy wywierała nacisk, żeby się z nią kochał, tym bardziej dystansował się wobec niej. Za każdym razem, gdy zaczynali się do siebie przytulać, albo robiło mu się niedobrze, albo wpadał w panikę i nie mógł złapać oddechu. Jakimś cudem kilka razy udał im się stosunek, lecz przypominało to raczej nieszczęsną parodię ich dawnych, namiętnych nocy. Mason miał kłopoty z potencją – ten sam Mason, który miał w sobie taki seksualny ogień, że nazwała go „nocnym ekspressem”. Wkrótce problemy pogłębiły się i niebawem w ogóle mu się nie udawało. Było jednak sprawą oczywistą, że zaburzenie miało źródła w sferze emocjonalnej, nie fizycznej: nawet teraz każdego ranka budził się z potężną erekcją.

Wietnam zniszczył kochanka, o jakim kobiety marzą, oczekując prawdziwego romansu życia. To oczywiście nie było największą tragedią. Wietnam złamał w nim ducha, najpiękniejszą męską duszę, jaką kiedykolwiek znała. Wietnam wreszcie zabił jej brata. A jakimś tajemniczym

sposobem śmierć Giba i śmierć ich małżeństwa splotły się nierozdzielnie ze sobą.

Przewróciła się na wznak i utkwiała wzrok w porcelanowych płytkach na suficie okrągłego pomieszczenia.

Płytki tworzyły powtarzający się wzór czterech swastyk, które przeciwstawiały się sobie i stanowiły wzajemne odzwierciedlenie ramion odwróconych w przeciwnych kierunkach. W swastyki wplecione zostało sześć gwiazd powstałych z dwóch nałożonych na siebie trójkątów.

Kiedy Mason po raz pierwszy zobaczył układ płytek powiedział:

– Co to, do cholery? Naziści i Żydzi?

– To nie to – odparła Tree. – Pamiętasz, ci ludzie żyją odizolowani od świata od 1400 roku. Nigdy nie słyszeli o drugiej wojnie światowej.

– Tak, wiem, ale skąd... Dziwny zbieg okoliczności.

– Te figury to archetypy, współistniały od zawsze – ciągnęła. – Swastyka to znak z sanskrytu oznaczający dobrobyt. Symbol szczęścia, obrazuje promienie słoneczne. Pojawia się nieustannie w sztuce hinduskiej i buddyjskiej. Nawet Indianie Hopi używali tego symbolu.

– A gwiazda Dawida?

– Podobnie. Cztery tysiące lat temu pojawiła się w sztuce azjatyckiej.

– No cóż, trzeba się będzie przyzwyczaić. Gdyby Barry tu był, padłby trupem na miejscu.

– Niewątpliwie. Za chwilę dodał:

– Przypomina mi to Giba. Właśnie takie rzeczy go fascynowały. Uśmiechnęła się.

– A myślisz, że skąd to wszystko wiem?

W pierwszą noc spędzoną w mieście wojowniczką przybyły do chaty K'unChien i odeskortały przybyłych do pałacu. Cesarzowa obwieściła wszem i wobec, że przybysze mają być traktowani jako honorowi goście Błogosławionego Miasta.

– Honorowi, dopóki nie spieprzymy zadania – stwierdził Mason z sarkazmem. – Na co zresztą liczy. Wtedy posłużymy za pokarm dla piranii.

K'un-Chien, jako druga żona Masona, otrzymała pozwolenie na zamieszkanie w pałacu. Po raz pierwszy od sześciu lat mogła spać na miękkim materacu położonym na drewnianym łóżku, we własnym pokoju, zamiast na wełnianej derce na klepisku zniszczonej chaty. Mimo to wolała spać na słomianej macie u nóg ich łóżka.

– Od dawna byłam odrzucona i samotna – westchnęła. – Teraz chciałabym spać u stóp moich dobroczyńców, do których należę.

Po kilku próbach zrezygnowali z namawiania jej do zmiany nastawienia.

K'un-Chien mogła do woli zażywać kąpiele w luksusowym źródle wewnątrz pałacu. Wolała jednak kąpać się sama, poza murami miasta, w skalnych sadzawkach, w pobliżu ujścia gorących źródeł, które napełniały miejskie łaźnie.

K'un-Chien z niezwykle wstydlivością podchodziła do swej nagości, co zdumiało Tree. Nie pasowało to do niewinności i widocznej w szczerych oczach i szerokim uśmiechu, języku ciała, miłości do świata. Taka nieśmiałość stanowiła kontrast ze wszystkim, co wyrażała tutejsza społeczność.

W ciągu dwóch tygodni od przybycia do Błogosławionego Miasta Tree widziała wiele kobiet kąpiących się nago w świetle dnia w podgrzewanych basenach; niektóre całowały się lub pieściły bez skrępowania, podczas gdy inne mijały je, spiesząc chodnikami, aby wypełniać swe codzienne obowiązki, i rzucając im nonszalanckie spojrzenia. Odnosiła wrażenie, że erotyczne zachowanie w miejscu publicznym było dla mieszkańców Błogosławionego Miasta czymś równie naturalnym, jak widok motyla spijającego nektar z orchidei w ogrodzie.

K'un-Chien była inna. Wydawała się jeszcze bardziej wstydliva, gdy chodziło o jej ciało, niż dziewczęta w okresie dojrzewania, które Tree pamiętała z obozu harcerskiego.

Z drugiej strony skromność K'un-Chien dotyczyła wyłącznie jej własnego ciała. Pewnego ranka Tree potajemnie obserwowała przez szparkę w drzwiach, jak K'un-Chien wpatruje się w nagość śpiącego Masona, gdy zsunęło się z niego prześcieradło. K'un-Chien stała rozluźniona, opierając ręce na biodrach, z twarzą rozjaśnioną uznaniem i niemalym zdumieniem. Nie jak uczennica w Luwrze, rzucająca ukośne, ukradkowe spojrzenia na Dawida, starająca się jednocześnie nie gapić na duży, marmurowy penis. K'un-Chien śledziła anatomie Masona powoli, z wyraźną przyjemnością, zapamiętując rysy i kształty, niczym twórca mapy znajdujący się na całkowicie dla siebie nieznanym terytorium.

Tymczasem czająca się w drzwiach Tree doświadczyła silnego ukłucia zazdrości. Potem zaczęła się zastanawiać, jak to jest, gdy dorosła kobieta, licząca prawie osiemnaście lat, nigdy dotąd nie widziała męskiego przyrodzenia. Nie, nie tylko przyrodzenia. W ogóle mężczyzny. Od czoła poprzez podbródek, szerokie plecy i klatkę piersiową, pofałdowany brzuch, gruby członek, muskularne uda i łydki, prężne stopy i palce u nóg. Obserwacja Masona oczami tamtej dziewczyny sprowokowała ciepłą wilgotność między udami Tree. Wstrzymała syklowie oddech i K'un-Chien podniosła wzrok, przerywając czar.

Mason zbudził się, dostrzegł widownię i naciągnął na siebie jedwabne prześcieradło.

– Co to, do diabła? Peep show na dzień dobry?

K'un-Chien nie zareagowała jak ktoś przyłapany na nieprzyzwoitości, lecz uśmiechnęła się bez najmniejszego śladu zażenowania.

Wszystko to wywołało u Tree straszliwe podejrzenie dotyczące surowej, dziwnej wstydlivości K'un-Chien: Może ona również nosi okropne, ukryte blizny tak, jak jej matka – lecz zniekształcające jej tułów, nie twarz? Ta myśl przyprawiła Tree o mdłości.

Wysoki zaśpiew małpy na zewnątrz, w świetle księżycy, przywołał Tree do terażniejszości – gdy leżała obok Masona w łóżku. Zamyślony odwrócił się na plecy. Powróciła wzrokiem na

sufit, a gwiazdy i swastyki na płytkach zaczęły się zamazywać i unosić nierealnie w powietrzu, w miarę jak pogrążała się w zadumie.

Tree myślała o wywołanej działaniem leku wizji dotyczącej ewentualnej przyszłości z K'un-Chien. Magnetyczne błękitne oczy przyciągnęły ją z erotyczną siłą, jaką wcześniej wyczuwała tylko u Masona. Wszelki opór równał się próbie płynięcia pod prąd rwącej rzeki. Wyjawszy jednak tę jedną krótką wizję, nie czuła pociągu seksualnego do K'un-Chien. Czuła jedynie zdezorientowanie i zdenerwowanie.

Położyła ciepłą dłoń na brzuchu, aby rozluźnić drżący kłębek nerwów.

Kiedyś, w Harvardzie, wraz z bardzo bliską przyjaciółką, Liz Julliard, spili się na Boone's Farm Strawberry Wine i tańczyły przy obfitej ilości Marvin Gaye i Jamesa Browna 45, aż dostały zawrotu głowy i upadły, śmiejąc się do rozpuku. Potem wyły do wtóru The Best of the Righteous Brothers „Łaknę twego dotyku”, aż niespodziewanie poczuły się straszliwie samotne i rozryczały się z tęsknoty za swymi chłopcami walczącymi w Wietnamie. Pocałunkami spijały sobie nawzajem łzy spływające po policzkach. Nastąpiła reakcja łańcuchowa i skończyło się na turlaniu po dywanie i obmacywaniu.

– Jak tylko Mason wróci, zjedzie cię, kobieto, właśnie tak.

– Mówi mi to, kochanie. Tak na to czekałam.

To była dziwna, słodka noc. Nie gorąca, nie ciężka. Tree czuła się później trochę głupio, ale na pewno nie czuła się winna. Nie uważała, że postąpiła źle. O ile się orientowała, Liz też nie przejmowała się tym epizodem. Na ostatnią Chanukę Liz przesłała jej kartkę ze zdjęciem swych nowo narodzonych bliźniaków.

Tree całym sercem kochała Liz i jeszcze kilka pokrewnych dusz, rozrzuconych po całej planecie. Ale nigdy nie wyobrażała sobie, żeby pragnęła kobiety. Ta kwiląca na dnie łona żądza, gdzie dusza gorączkowo domaga się, aby rzucić ciało w ramiona kochanka. Weź mnie, pieprz mnie – tak brzmiał głos tej żądzy. I to: Weź mnie, pieprz mnie – wzbudzali w niej tylko mężczyźni – a w szczególności Mason – w każdym razie zawsze tak sądziła.

A zatem co miała sądzić o swojej wizji?

Ode mnie będzie zależało unikanie tej szczególnej więzi z K'un-Chien. Dołączyłam do tej wyprawy, aby odnaleźć ponownie Masona, a nie żeby wpakować się w jakiś beznadziejny romans.

Nawet gdyby naprawdę chciała unikać K'un-Chien, kłopot polegał na tym, że ta dziewczyna była niesłychanie miła. Szczera, kochająca; po prostu nie można było jej nie ubóstwiać. Jak uzbroić serce przeciwko takiej osobie?

I dlaczego czuję taką zazdrość? Brrrr. Sama nie lubię ludzi, którzy są zazdrośni. Do cholery, jaw ogóle nie wierzę w zazdrość.

Tree codziennie przypominała sobie, że Mason jest impotentem – to absurd być zazdrosną,

jeżeli twój facet i tak nie może się pieprzyć z twoją rywalką.

Rywalizacja? Czyżbym w wieku trzydziestu dwóch lat rzeczywiście zniżyła się do zachowania w stylu licealistki?

Z drugiej strony Mason i K'un-Chien zapalali do siebie ogromną sympatią. A czy ona nie śledziła K'un-Chien, kiedy ta zachwycała się kogutem Masona? A czyż K'un-Chien nie była najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała, nawet w czasopiśmie... Boże, nawet na obrazach?

No, ładnie, ale zabrnęłam... kto mnie teraz wyciągnie z tego chaosu?

Zerknęła na Masona. Muskularne ramiona krzyżowały się na klatce piersiowej, otwarte oczy skierowane były do wnętrza duszy. Znów spędzi całą noc bezsennie, starając się obmyślić plan ucieczki.

Wzięła głęboki oddech, próbując otrząsnąć się z trosk zaprzatających umysł.

Mason przekręcił się na bok, twarzą do niej.

– Przysięgam ci, Tree – odezwał się, patrząc na nią szarymi niczym dym oczami. – Wyciągnę nas z tego. – Uniósł rękę i pogłaskał jej zmarszczone brwi silnymi palcami.

Tree przełknęła ślinę, czując kluskę w gardle. Rozumiała, że dla Masona „nas” oznacza teraz również K'un-Chien.

Rozdział 15

Mason i Tree siedzieli na mostku w kształcie półksiężyca ponad szmerzącym potokiem. Nogi zwisały im, dyndając nad bambusową krawędzią. Delikatny wiaterek gwizdał melodyjnie w gęstych liściach akacji, gdzie larwy żuków wywierciły dziury w zielonych łodyżkach, jak w fujarkach, z bukietami żółtych kwiatów. Tuziny metalicznobłękitnych motyli tańczyły ponad przejrzystą wodą, migocząc skrzydełkami. Ptak o purpurowym gardle musnął wodę, gasząc pragnienie, po czym odleciał.

Południowe słońce niespodziewanie rozbłysło poprzez mgłę, pojawiając się po raz pierwszy od wielu tygodni. Wraz z eksplozją światła miasto zamarło. Kobiety zrzuciły ubrania, pozwalając niecodziennemu gościowi dotykać swoich nagich ciał.

– Wspaniały pomysł – oświadczyła entuzjastycznie Tree, zdejmując kaftan przez głowę. Odbijające się od wody promienie rzucały iskry światła na jej twarz i piersi. Oczy błyszczały, przejrzyste i zielone, niczym Morze Karaibskie. Przechyliła głowę, wpatrując się w błękitną dziurę w chmurach. – Och, słońce, gdzieżeś się podziewało tak długo? Zaczynałam już czuć się jak paprotka w kafejce w Seattle.

Ciepło pieściło twarz Masona; rana na policzku zagoiła się na tyle, by mógł golić się bambusową brzytwą. Skrzyżował ręce nad głową i ściągnął czerwoną mandaryńską koszulę z jedwabiu, jaką uszyła dla niego K'un-Chien. Tree dotknęła jego mięśni, dotykiem równie miłym jak pieścizna słońca. Jego palce zapragnęły zagłębić się w złotą łąkę jej ciała, lecz nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu.

Spojrzał w dół na wodę. Różany jaspis uformował koryto strumienia wraz z wąskimi plażami, najeżonymi purpurowymi ametystami i różowym kwarcem. Moim obowiązkiem jest rozgryźć tę społeczność, znaleźć sposób przetrwania i ucieczki.

– Tree, rozbierzmy to raz jeszcze na czynniki pierwsze, od początku – zaproponował. – Postarajmy się to rozwikłać. O czym zapominamy? Co umyka naszej uwadze?

Wzruszyła ramionami.

– Jestem równie dezorientowana jak ty.

Mason, zmrużywszy oczy, spojrzał na lśniące w słońcu złote kopuły, pagody i strzeliste wieżyce.

– Co myślisz o tym kulcie Lung-Hu, Smoka-Tygrysa? – Co to oznacza?

– Smok i zielony kolor są tradycyjnymi symbolami *yang*, męskiej energii kosmosu – wyjaśniła. – Tygrys i biel reprezentują *yin*, siłę żeńską. Zielony smok, biały tygrys – te wizerunki są wszędzie.

– Dwie siły, *yin i yang*, uważa się za uzupełniające się przeciwieństwa w wiecznej, dynamicznej równowadze. Jednanie może istnieć bez drugiej – mówi się, że są cykliczne: kiedy

yin dojrzewa, zmienia się w *yang* i odwrotnie.

Pokiwał głową.

– Tańczący partnerzy, nie walczący ze sobą wojownicy. Taak, pamiętam jakieś mgliste fragmenty rozmów z Gibem.

– Jeśli popatrzysz na symbole *yin i yang* – jak na dwie splecione krople deszczu – zobaczysz, że ciemna kropla, *yin*, hoduje wewnątrz siebie jasną kroplę *yang*; a jasna kropla, *yang*, hoduje plamę ciemności.

– Interkonwersja.

– Co takiego?

– Interkonwersja: wzajemna konwersja chemicznych składników, jednego w drugi.

– Zgadza się. Na wielką skalę – dodała. – Mówi się, że ta wieczna interkonwersja podwójnych energii tworzy i kieruje całym wszechświatem materialnym – wszelkimi najróżniejszymi wartościami, procesami i sezonami w jego obrębie, *yin-yang* to kosmiczny silnik.

– A zatem Smok-Tygrys, mężczyzna – kobieta...

– Ludzkie wcielenie *yin-yang*. Cesarzowa nazywała to Świętą Hermafrodytą. Mówiła, że tylko przez nią mógł zrodzić się Smok-Tygrys.

Mason wpatrywał się w egzotyczne niebo, potrząsając głową. Na brzegu strumienia promienie słońca całowały rubinowe policzki roślin; koliber o skrzydłach jak szable tańczył przed nimi, chłuszcząc długim, cienkim dzióbkiem przepelniony kofeiną nektar. Buczący ptaszek przelatował z kwiatka na kwiatek, rozsiewając pyłek wraz z ładunkiem maleńkich roztoczy – przenoszonej drogą płciową choroby kwiatów.

– Wszystkie zachowują się, jakby Lung-Hu był swego rodzaju mesjaszem, zbawicielem – odezwał się Mason.

– Właśnie o tym myślałam – przyznała się Tree. – Jeżeli populacji grozi wyginięcie z powodu zbyt rzadkich narodzin chłopców, doskonałym ratunkiem byłby...

– Batalion osiemnastoletnich marines, którzy mogliby przychodzić osiem razy dziennie.

Nie o to przecież chodzi. W ostatecznym rozrachunku by nie pomogło. To namiastka, chwilowa wyręka, tak jak porywanie indiańskich mężczyzn z dżungli i wykorzystywanie ich do celów rozrodczych. Nawet jak zrobią setki dzieciaków, w dalszym ciągu mamy boom na dziewczynki. Społeczność w dalszym ciągu jest zagrożona i zależna od obcych.

– Do czego zmierzasz?

– Hermafrodyty. Mężczyzna i kobieta w jednym. Nie rozumiesz? Samowystarczalne społeczeństwo, złożone w większości z hermafrodytów. Mogliby się wzajemnie zapładniać. Po co porywać mężczyzn? Każdy członek populacji byłby męską, a zarazem żeńską istotą.

– To wykluczone. Fantazjujesz. – Czyżby?

– Tak się składa, że wiem coś na ten temat, ponieważ na zakończenie studiów pisałem pracę u profesora, który badał genetykę wśród rodzin zamieszkujących Appallachy. Widzisz, to, co większość ludzi nazwałoby hermafrodytą, to właściwie pseudohermafrodyta; zwykle osobnik męski, który jako płód przeszedł pomieszany rozwój płciowy, chociaż może być też kobietą. Nie są równocześnie mężczyznami i kobietami, lecz oscylują gdzieś między tymi dwoma rodzajami – niecałkowity facet, niecałkowita kobieta. Męski hermafrodyta nigdy nie mógłby zająć w ciąży – nie ma jajników ani macicy; a żeński pseudohermafrodyta nigdy nie mógłby nikogo zapłodnić, ponieważ brakuje mu funkcjonujących jąder.

– Rozumiem.

– Pamiętaj, że żeńska postać jest pewnego rodzaju biologicznym archetypem, wzorem dla wszystkich ludzkich embrionów.

– Tak, pamiętam to z biologii w koledżu. Pokiwał głową.

– Nie wątpię, że większość tych spraw jest ci znana.

– Nie, mów dalej. Minęło tyle lat, chętnie sobie przypomnę.

– A zatem dobrze: Embriologia 101 – zaczął poważnym tonem. – Męska postać jest modyfikacją początkowej ludzkiej postaci: żeńskiej. Jeżeli ta konwersja zostanie z jakichkolwiek przyczyn zablokowana, płód nie zmienia swej podstawowej formy i rodzi się forma żeńska. Bezpłodna, co do tego nie ma wątpliwości, ale żeńska forma.

Kiwnęła głową.

– Między piątym a siódmym tygodniem po poczęciu embriony jednej albo drugiej płci rozwijają generyczne gonady, które później stają się albo macicami, albo jądrami. Pokazano, że jeśli usunie się te generyczne komórki płciowe żeńskiego embrionu, dziecko mimo wszystko urodzi się płci żeńskiej. To znaczy idealnie żeńskie z wyglądu, ale bezpłodne.

– Brak macicy.

– Właśnie. Brak macicy, brak jajowodów, jajników. Ale na zewnątrz forma żeńska.

– Z pochwą. Mason skinął głową.

– Z pochwą kończącą się ślepym zaułkiem – dodał. – Fascynujący jest fakt, że jeśli usunie się generyczne komórki płciowe z męskiego płodu, dziecko, które się urodzi, będzie również bezpłodną kobietą. Będzie miało pochwę. A zatem, żeńską postać traktować można jako pierwotną.

Tree napisała w powietrzu ręką nagłówek z gazety: PRZEOBRAŻENIE EWY W ADAMA: PRAWDZIWA HISTORIA STWORZENIA.

Mason uśmiechnął się.

– Strasznie mi się podoba – stwierdziła Tree. – Kusi mnie, żeby dodać otoczkę metafizyczną. Kiedy po raz pierwszy czytałam na ten temat, dawno, dawno temu, w szczenięcych latach, traktowałam to jako naukową afirmację Bogini, Wielkiej Matki. Ona jest

pierwotną formą nas wszystkich, kobiet i mężczyzn.

– Cóż, to się również tyczy szopów praczy, zimorodków, węży i tak dalej. Wszystkie embriony kręgowców są z gruntu żeńskie. – Przerwał na moment. – Ale, oczywiście, poza laboratorium nie usuwamy nie zróżnicowanych komórek płciowych, a więc sprawy o wiele bardziej się komplikują.

– Podążam za tokiem twojego rozumowania.

– Jeżeli obecny jest chromosom Y, gonady zaczynają przeistaczać się w jądra około ósmego tygodnia. W przeciwnym razie zaczynają zmieniać się w macicę około trzynastego tygodnia. Niczego nie potrzebują do tej zamiany, robią to samoistnie. Ale musi nastąpić jakaś ingerencja, geny chromosomu Y, aby gonady zmieniły się w jądra.

– Może nastąpić błąd w trakcie procesu konwersji.

– Nie tylko wtedy, także wtedy, gdy jądra rozwijają się normalnie. Mężczyzna to coś więcej niż to.

– Byłoby dobrze, gdyby więcej facetów zdało sobie z tego sprawę.

– Oprócz gonad embrion wyposażony jest w inne tkanki, które mogą rozwinać się w penis, w pochwę albo w inne organy płciowe. Lecz te późniejsze zmiany nie wiążą się bezpośrednio z chromosomem Y, one pochodzą z męskich hormonów wydzielanych przez jądra. Bez męskich hormonów organy żeńskie rozwijają się samoistnie. Nadażasz?

Pokiwała głową.

– To długi marsz biochemiczny.

– Taak. A tylko jeden zmutowany gen wystarczy, aby zrujnować ten proces na każdym etapie. Niektóre męskie części mogą się rozwijać dobrze, ponieważ zależne są od hormonów, które pozostają nie zmienione. Ale męskie części, których rozwój zależy od uszkodzonego hormonu, albo zanikają, albo zostają zastąpione przez ich żeńskie odpowiedniki. A więc otrzymujemy genetycznych mężczyzn, którzy stanowią mieszankę niecałkowicie męskich i niecałkowicie żeńskich struktur: pseudohermafrodytów.

– Rozumiem.

– Szczerze mówiąc, jest taki typ genetyczny mężczyzn, którzy wyglądają jak kobiety. Brak owłosienia klatki piersiowej, brak męskiej budowy ciała, wysoki głos, brak penisa. Brakuje im receptora komórki dla testosteronu, więc chociaż ich wewnętrzne jądra produkują normalnie męskie hormony, nigdy nie stworzą męskich narządów.

– Wyglądają jak normalne kobiety czy są trochę inni?

– Wyglądają normalnie pod każdym względem. Nikt nie podejrzewa, że coś jest nie tak, aż do czasu gdy osiągną wiek dojrzewania i zaczną się martwić brakiem menstruacji. Wizyta u lekarza wystarczy, aby dowiedzieć się, że nie mają wewnętrznych żeńskich organów płciowych, tylko pochwę, która kończy się ślepym zaułkiem, oraz jądra ukryte w brzuchu albo

w kroczu.

– Boże, ale szok: „Przykro mi, Tiffany, ale tak naprawdę to jesteś Tom”.

– To bardziej niesamowite, niż możesz sobie wyobrazić. Jak się okazuje, typy z zablokowanym receptorem androgenów to uderzająco piękne „kobiety”. Są wysokie, długonogie, mają duże piersi, gładką skórę. Czy wiedziałaś, że testosteron może zwalczać trądzik?

Skinęła głową.

– Pamiętasz Rodney’a Blane’a? Brał testosteron, aby opanować pryszcze.

– Cóż, właśnie do tego zmierzam. Niektórzy pseudohermafrodytycy zostali modelkami.

– Żartujesz. Ale numer! A więc niektóre z tych gładkich, czarujących kociaków to w rzeczywistości mężczyźni, którzy nie potrafią odpowiedzieć na własny hormon płci. Niewiarygodne.

– Mężczyźni o zablokowanym androgenie prawie zawsze decydują się na życie jako kobiety...

– No pewnie, a dlaczego by nie? Jeśli wygląda się super w skórzanej mini...

– ...wychodzą za mąż i często wychowują adoptowane dzieci jak matki. Pochwa zwykle dobrze sprawdza się w czasie stosunków. Bez receptora testosteronu naprawdę są kobietami.

– To coś niesłychanego. – Tree z niedowierzaniem kręciła głową. Mglista biała zasłona przesłoniła słońce. Mason poczuł na twarzy i torsie miły chłód. Mógł teraz patrzeć na złote świątynie, nie mrużąc oczu. To tu, to tam miłośniczki kąpiei słonecznych powkładały sari, kimona i sarongi i powróciły do swoich codziennych czynności.

Tree zdrząła. Gęsia skórka pojawiła się na jej bladych piersiach, a brodawki napięły się i stwardniały. Przeciągnęła się, silne mięśnie zarysowały się nad żebrami i wsunęła znowu kaftan.

Oczy Masona chłoneły ze wzruszeniem piękno jej szczupłego ciała, lecz spojrzały w innym kierunku, gdy tylko głowa Tree wychynęła z ubrania. Wciąż ją kochał. Jednakże okazanie głębi tego uczucia byłoby nieuczciwe. Tylko wzmogłoby jej nadzieję, że wszystko może być tak jak wówczas, gdy jego serce było wolne. Nie. Musi zachować dystans. To był najlepszy sposób, w jaki mógł ją teraz kochać.

Zdjął koszulę z balustradki, narzucił ją na siebie i zapiął mandaryński kołnierzyk na podwójne pętelki.

– Tak czy owak, prawdziwy hermafrodytyzm to zjawisko niesłychanie rzadkie – odezwał się. – W literaturze podają niewiele takich przypadków.

Oczy Tree rozszerzyły się nagle.

– A więc to się naprawdę zdarza?

Taaak, ale zaczekaj. – Uniósł dłoń. – Prawdziwy hermafrodyta to trafiająca się jedna na

milion osoba, która rodzi się z jednym wewnętrznym jądrem i jednym jajnikiem. Oznacza to, że taki ktoś ma jednocześnie wszystkie żeńskie i męskie genitalia i że może zapładniać innych i również zachodzić w ciążę. O to ci chodziło, tak?

– Zgadza się. Święty hermafrodyta. Potrząsnął głową.

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Ale my nie wiemy prawie nic o ludzkim genomie i jego działaniu.

– Masz słuszość.

– No, dobrze. Być może ten trop gdzieś nas zaprowadzi – odezwała się Tree. – Te mieszane zestawy gonad u prawdziwego hermafrodyty. Czy one funkcjonują?

– Często tak.

– A więc to niezwykle ludzkie indywiduum produkuje zarówno spermę, jak i jajeczka.

– I właśnie tu jest haczyk. Trudność, aby prawdziwy hermafrodyta kogokolwiek zapłodnił, polega na tym, że podczas gdy androgeny zdają się nie wpływać na cykl kobiecy – te osoby mają co miesiąc menstruację – estrogeny powodują atrofię jąder.

– Twierdzisz więc, że to niemożliwe?

– Hmm... przypominam sobie, że czytałem o pewnym przypadku w dzienniku weterynaryjnym mojego ojca. Wiele lat temu, byłem jeszcze w liceum. Mój ojciec był oszołomiony. Domowy królik, prawdziwy hermafrodyta, zapłodnił samego siebie.

– No proszę. – No tak, ale...

– Cicho. Pomyśl chwilę. – Podniosła palec wskazujący. – Czy mógłby istnieć doskonały ludzki hermafrodyta, istota z kompletnymi organami płciowymi obydwu rodzajów?

Zmarszczył brwi.

– Czy to możliwe? – powtórzyła. Wzruszył ramionami.

– W sumie możliwe. Oczywiście. Natura ma niezmiernie możliwości. Ale... cóż, cała sprawa w tym, że wymagałoby to nadzwyczajnego kompromisu hormonów płciowych, żeby jądra nie ulegały atrofii.

– Tak jak dynamiczna równowaga *yin iyang*.

– Coś w tym jest...

– Rozmyślałam o tym cały dzień – przyznała. – Harmonia przeciwieństw, unia Hermesa i Afrodyty.

Potał dłonią podbródek.

– Ale pseudohermafrodyta to mutacja pojedynczego genu – odezwał się. – Według mnie, aby stworzyć istotę ludzką w pełni męsko-żeńską, należałoby mieć zlepek zmutowanych genów.

– Mów dalej.

– Cóż, czy pula genów jest tu rzeczywiście tak ograniczona, że prowadziłoby to do takich poważnych mutacji? Stwierdzenie, że zachodzenie w ciążę z krewnymi to prowokowanie

genetycznej tragedii, jest nieporozumieniem. Statystyka pokazuje, że dziecko z krewnymi pierwszej linii, na przykład, jest mniej ryzykowne, niż sądzi większość ludzi.

– Naprawdę? Skinął głową.

– Pomyśl o dynastiach faraonów, boscy władcy, którzy mogli zawierać związki małżeńskie wyłącznie w obrębie własnej rodziny. Kleopatra – Piękność Nilu – była córką siedmiu generacji małżeństw typu brat – siostra i sama poślubiła własnego brata.

– O tym Gib nigdy mi nie mówił.

– Profesor, z którym pracowałem, twierdził, że istnieje dwukrotnie większe prawdopodobieństwo, iż u dzieci z małżeństw z krewnymi pierwszej linii wystąpią dziedziczne defekty. Oznacza to około dwóch przypadków na sto urodzeń, zamiast jednego. Przechodząc zaś do innego gatunku: zanim wrodzone wady staną się powszechne u psów czystej rasy, hodowcy wielokrotnie mogą uzyskiwać potomstwo między rodzicami, dziećmi i rodzeństwem.

– Taak, ale działa tu również czynnik czasu. Pomyśl o progresji odziedziczonych cech na przestrzeni pięciuset lat. Co więcej, któż zna poziom pokrewieństwa kolonistów z epoki dynastii Ming w Chinach, społeczeństwa poligamicznego.

– Słuszne spostrzeżenie – stwierdził Mason. – Wiesz, jest znany taki jeden przypadek, małeńka populacja pseudohermafrodytów – w liczbie dziewięćdziesięciu, – w odległej wiosce rybackiej Republiki Dominikańskiej. Wszyscy pochodzą, przynajmniej z jednej strony, od tej samej pra-pra-prababki. Po kilku pokoleniach wszyscy stali się nosicielami wadliwego genu.

– A więc efekt pomnażał się wraz z każdą generacją. Skinął głową.

– Z tego, co sobie przypominam: jeden pseudohermafrodyta pośród dzieci założyciela kolonii, trzech pośród wnuków, czternastu pośród prawnuków, dwudziestu kilku wśród praprawnuków, a czterdziestu kilku wśród prapraprawnuków.

– A ile to jest? Zaledwie sześć generacji. Pomyśl tylko, jak z czasem mutacja genetyczna mogłaby replikować się w tak odizolowanej społeczności jak ta.

– Pamiętaj, to nie jest zamknięta pula genów – Mason pokiwał palcem. – One otrzymują regularne dostawy genów okolicznych Indian.

– To prawda. Ale ten zlepek genów, o ile jest przenoszony po stronie matki, dominuje.

– Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. – Przejechał ręką po gęstych, czarnych lokach.

– Biorąc pod uwagę czynnik czasu... pięć wieków.

Mason spojrzał na Tree z ogromnym szacunkiem, podziwiając jej inteligencję. Często podchodził do zagadnienia w sposób analityczny tak, jakby rozbierał konstelację na części, aby zbadać poszczególne gwiazdy, a następnie łączył kolejne fragmenty. Tree natomiast wolała ogarniać całość problemu; wystarczyło jej jedno spojrzenie na całą konstelację, by intuicyjnie przewidzieć, gdzie pojawiają się niewidzialne na razie ciała niebieskie. Zwykle znajdowała rozwiązanie szybciej od niego. Działając razem, byli jednak silniejsi niż każde z osobna.

Mason zastanawiał się, czy prawdziwy hermafrodyta będzie łączył oba typy umysłowości. Bardzo chciał spotkać taką zintegrowaną osobę.

– Tree, jesteś wspaniała – powiedział, kiwając powoli głową. – Tak, myślę, że mógł tutaj powstać taki Lung-Hu.

– Tak jak wszyscy w Błogosławionym Mieście. Oczekują narodzin swego zbawiciela.

Rozdział 16

K'un-Chien namydliła włosy mydłem z żeń-szenia z dodatkiem wonnego olejku jaśminowego; mokra grzywa spływała jej na plecy i dalej po talii, jak długa struga lśniącego, czarnego syropu.

Chmury pary wisiały ponad geotermicznym źródłem podgrzewającym basen. Wpływały do niego wody ze skalistych strumieni, mieszając lodowate wody z wrzącymi. Wybierając baseniki położone w różnych odległościach od geotermicznego ujścia, mogła decydować się na wybór z całej gamy temperatur.

Dno doliny opadało łagodnie w kierunku miasta, znajdującego się o godzinę drogi stąd; woda z bulgoczących źródeł pędziła w dół zbocza, rozlewając się po kanałach, które dostarczały miastu bieżącej wody, gorącej i zimnej, doprowadzanej do domów bambusowymi rurami.

K'un-Chien zwykle moczyła się w basenie niczym liść herbaciany tuż przy ujściu gorącego źródła, następnie, kiedy skóra przybrała jasnoczerwony kolor, płynęła ku jednemu z lodowatych stawków i tam nurkowała. Zanim chłód przeniknął do szpiku kości, przyprawiając ciało o dreszcze, powracała do gorącego basenu i zanurzała się w parującej wodzie.

Gdy w pobliżu znajdowali się inni amatorzy kąpiei, wkładała krótką, bawełnianą przepaskę biodrową, aby ukryć swą nagość. Przepaska nie przyciągała uwagi, jako że większość kąpiących się w źródłach nosiła podobne jako ochronę przed pijawkami, które żyły w umiarkowanie ciepłych wodach. K'un-Chien wybierała więc albo gorące, albo zimne jeziora, gdzie w odosobnieniu zrzucała odzienie. Tak czy owak, zawsze dbała, aby sarong leżał gdzieś pod ręką, by mogła go schwycić i owinać się nim na wypadek, gdyby ktoś się zbliżał.

Dzisiaj nie było w zasięgu wzroku ani jednego zwolennika kąpiei. Jakiś kilometr dalej grupa zbieraczy miodu dyndała na linowych drabinach mniej więcej w połowie Zachodniej Twarży: trzy osoby trzymały pochodnie, aby dym wypędził pszczoły z uli, a jedna wyciągała olbrzymie plastry miodu, wkładając je do kosza uplecionego z pasków bambusowych. K'un-Chien stwierdziła, że z tak daleka nawet jastrząb nie byłby w stanie dostrzec jej nagości; mimo to pozostała w sarongu, poruszając się zwinnie między stawkami.

Jak tylko potrafiła sięgnąć pamięcią, ojciec mówił jej, aby ukrywała swe ciało przed widokiem innych. Ostrzegał, że nie może nigdy dopuścić, aby ktokolwiek dowiedział się, kim jest.

– Kult Lung-Hu to szaleństwo – mawiał. – Jeżeli naprawdę zależy ci na mieszkańcach Błogosławionego Miasta, zrozumiesz, że ujawnienie twej tożsamości zrujnowałoby wszystko, co Ko T'ung Jen i twoi przodkowie zbudowali tutaj, zniszczyłoby mające nadejść generacje.

Nigdy nie wymazała z pamięci tych słów: Po prostu ujawnienie kim jest zniszczyłoby mające nadejść generacje. Dotrzymała obietnicy złożonej ojcu. Nikt o tym nie wiedział.

Teraz kiedy moczyła się w gorącym basenie, wonne mydło rozmiękło i spłynęło po wysokich, krągłych piersiach i subtelnej linii muskularnego brzucha. Jak dobrze czuła się w gorącej wodzie i jak ożywiony wydawał się dotyk jej własnych palców, kiedy myślała o Tree. Mimo wilgotnego gorąca gęsia skórka naznaczyła piersi, a brodawki wyprężyły się, stercząc ku górze. Ręce wałęsały się leniwie po łonie, a następnie ześlizgnęły się niżej. Zdumiał ją ogromny przypływ siły i żączy kłębiącej się poniżej pępka. A z okolicy brzucha siła życiowa rozprzestrzeniła się po całym ciele i duszy, przepelniając jej kobiecość i męskość. Miała ochotę krzyczeć, czując, jakby dusza wzlatywała ponad brzegi doliny i dalej ku gwiazdom. Jej duch. Cały. Nie tylko kobieca twarz.

Och, Tree. Zamknąwszy oczy, westchnęła niczym targana wiatrem trawa, marząc w zieleni.

Niespodziewanie uniosła powieki i rozejrzała się po okolicy. Nie mogą sobie pozwolić na bujanie w obłokach. To tylko potęguje ból. Boleśnie ścisnęło się jej gardło. Tree nie chce mnie. Jej oczy patrzą na mnie wrogo. Och, jak znieść tęsknotę, skoro to niemożliwe, żeby kiedykolwiek mnie pokochała?

Łzy wypełniły oczy w przypływie nagłej rozpacz, lecz zagryzła wargi i powstrzymała je. Muszę założyć napierśnik na serce. W przeciwnym razie na pewno dowiedzą się o mnie. Przyznała się przed sobą, że w chwilach, kiedy samotność zaczynała ją dusić, chciała, żeby odkryto jej tajemnicę, aby napięcie z nią związane w końcu zniknęło.

Zwiesiła głowę ze wstydem. K'un-Chien, jesteś głupia i stanowisz zagrożenie dla własnego ludu.

Kobalt na skalistym dnie basenu sprawiał, że przejrzysta woda lśniła najczystsza zielenią. Głębia koloru nie pozwalała zapomnieć o oczach Tree Summerwood.

Rozdział 17

Tree i Mason przechadzali się po zatłoczonych uliczkach rynku. K'un-Chien podążała za nimi w odległości kilku kroków. Tree wyrastała o głowę ponad ciemnowłose tłum; tylko K'un-Chien i Mason dorównywali jej wzrostem. K'un-Chien była o dwa centymetry niższa od Masona.

Jakaś kobieta, trzymająca pod pachami dwa kwiczące prosięta, wcisnęła się między nich, torując sobie drogę pod prąd rzeki przechodniów w wielobarwnych togach i kimonach. Inne nosiły na barkach jarzma, z których zwieszały się kubły koziego mleka lub klatki pełne kurczaków, świnek morskich czy szynszyli; inne niosły na głowach kosze pełne winogron, mandarynek, papai, guajaw, pastelowych kokonów jedwabników; kobiety ubrane w zgrzebne czarne piżamy ciągnęły ryksze z kobietami odzianymi w wykwintne, zdobione haftami jedwabie, z żółtymi orchideami i złotymi grzebieniami wetkniętymi wdzięcznie w czarne splety włosów. Dwie siostry bliźniaczki wcisnęły się do jednoosobowej rykszy i wyciągnęły jednocześnie szyje, wpatrując się i wskazując palcami na Masona i Tree. Na ramieniu każdej z dziewcząt siedziała amazońska papuga uwieńczona bzem.

Jou P'u T'uan – Błogosławione Miasto. Ukryte w wulkanicznej dolinie u podnóża niedostępnego płaskowyżu, piętnastowieczne miasto odgradzone od świata, spowite wieczne chmurami. Żadnego radia, telewizji; żadnych komputerów ani faksów, żadnych biperów, telefonów komórkowych – żadnych samochodów. Potomkinie kolonistów Ko T'ung Jena wiodły tu życie, jakby imperialne słońce nigdy nie zaszło nad dynastią Ming.

Tree zastanowiła się, co wie na temat Chin tamtej epoki. Słowo „Ming” powstało z dwóch ideogramów: słońca i księżyca. Okres panowania Ming, ostatniej z dynastii chińskich, był najjaśniejszym okresem w historii Państwa Środka, czasem rozkwitu kultury, gdy Chiny o wiele wieków wyprzedzały Europę w dziedzinie medycyny, odkryć geograficznych, sztuki i technologii.

Jeszcze przed nastaniem dynastii Ming, podczas gdy Europa wciąż przeżywała swe ciemne wieki, Chińczycy wynaleźli szkło, porcelanę, atrament, papier, jedwab, farby do tkanin, akupunkturę, proch, zegary, mapy gwiazd i kompasy magnetyczne. A prawa geometryczne trójkąta prostego zostały odkryte przez Chińczyków wiele wieków zanim Pitagoras zarząnął dwa tuziny wołów, aby podziękować Zeusowi za oświecenie go.

Następnie, pod koniec czternastego wieku, kiedy cesarze Ming wygnali Mongołów z powrotem za Wielki Mur i założyli nową stolicę w Pekinie, chińska sztuka i nauki osiągnęły szczyty, a Zheng He wypłynął w pierwszą z siedmiu wypraw odkrywczych.

Po dojrzewaniu nadchodzi okres gnicia, pomyślała Tree. Tuż po ostatniej podróży admirała He, Chiny wkroczyły w mroczny okres izolacji i upadku. Budowę pełnomorskich jednostek,

zdolnych do najdalszych rejsów po oceanach, uznano za zbrodnię, którą karano śmiercią. Tree doszła do wniosku, że kapitan Ko T'ung Jen przewidział polityczne zmiany oraz upadek kulturalny i wyruszył na starannie zaplanowaną, tajną wyprawę wraz z mężczyznami i kobietami o podobnych zapatrywaniach, aby założyć utopijne siedlisko w Nowym Świecie. To wspaniałe miasto było spadkiem, jaki po sobie pozostawili.

Pary spacerowały powoli, kobiety-smoki ze sztucznymi brodami pod rękę z kobietami-ty gry sami. Niektóre otwarcie przytulały się i całowały. Tree ciągle nie mogła przyzwyczać się do braku mężczyzn. Wszystkie funkcje, jakie zawsze kojarzyły jej się ze światem męskim, tu pełnione były przez kobiety: żołnierze, myśliwi, rzeźnicy, strażnicy, drwale, murarze, czeladnicy.

Uśmiechnęła się, widząc jakąś kobietę z wyższej sfery z dwoma służkami; kobieta miała na sobie najwspanialsze jedwabne kimono, jakie Tree kiedykolwiek widziała: ciemnoczerwone, pokryte wyszywanymi białymi chryzantemami, podkreślonymi złoconą nicią. Służki w zwykłych czarnych piżamach dorównywały urodą swej pani; jedna z nich miała jasnoszare azjatyckie oczy.

Tree przypomniała sobie po raz trzeci tego ranka, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo i że czas ucieka; jeśli nie zmuszała się, aby skupić uwagę na wiszącej nad nią groźbie, uroki i tajemnice miasta kusily, uwodziły. Spojrzała na panoramę strzelistych pagód, mosiężnych dzwonów w każdym rogu ośmiokątnych dachów; stupa o połączonych kopułach i świątyni zdobionych srebrnymi zawijaszami; długiego wodospadu mieniącego się niczym miliard koralików na tle urwiska z czerwonego kamienia. Upajające. Codziennie nowe doświadczenie czy odkrycie kusilo, aby zapomnieć o obecnym położeniu. W końcu poddała się całkowicie magii miasta.

Ling-Chih – grzybek nieśmiertelności – doskonały przykład czegoś zaczerpniętego żywcem z orientalnej baśni. Zerknęła na różowy kikut kciuka długości dwu centymetrów. Palec zdążył się już rozwinąć i widziała słabe zaczątki paznokcia. Dziś wieczorem poprosi K'un-Chien o mrówkę zimny-sen, aby ulżyła nieustannemu swędzeniu raptownie rosnącej tkanki.

Tree zerknęła do tyłu na K'un-Chien – piękność ubraną w prostą sukienkę. Druga żona zdawała się być osnuta enigmą tak, jak mgły spowijające chmurny las. Tree wiedziała, że nie wolno jej zapomnieć o niepokojącej wizji i konieczności osłaniania serca przed tą egzotyczną kobietą. Nie pozwoliła, aby K'un-Chien nazywała ją po imieniu tak, jak zwracała się do Masona. Tree była pierwszą żoną. Ich stosunki muszą pozostać jak najbardziej formalne.

Zazdrość, zamiast osłabnąć wraz z upływem czasu, nabrzmiała w miarę, jak rosła przyjaźń K'un-Chien i Masona. Co gorsza, Tree nie mogła jej nie lubić, a to sprawiało, że błędne koło toczyło się dalej: zazdrość, gniew na siebie za uczucie zazdrości, obsesyjna walka, aby położyć kres temu uczuciu, poczucie niższości, a co za tym idzie, zagrożenia ze strony nastoletniej

bogini, co budziło jeszcze większą zazdrość i skupienie na własnej osobie. Do tej nikczemnej mieszkanki dochodziła groźba, że zostanie wygnana do górnego piekła.

Tree położyła sobie rękę na brzuchu. Była prawie pewna, że rośnie w niej jakiś wrzód.

W razie czego zawsze mogę poprosić K'un-Chien, żeby mnie wyleczyła; ironiczna myśl, lecz jakże prawdziwa.

Patrzyła, jak K'un-Chien przesuwają się powolnym krokiem pośród tłumu, ruchy długich, czarnych włosów przypominały zamaszyste maźnięcia pędzla artysty na jasnym płótnie.

Hsiang K'un-Chien, Perfumy Ziemi-Nieba. Była miła. Uczynna. To, ponad wszystko inne, było zaletą jej uzdrowicielki. Mimo odrzucenia, jakie znosiła, kobiety z całego miasta przychodziły do niej potajemnie, aby je leczyła, a ona nie odmawiała nawet tym, które publicznie smagały ją zniewagami. W głębi tych wiosenno-błękitnych oczu Tree wyczuwała niezmierną siłę, starannie ukrytą przed światem zewnętrznym.

Mason spojrzał za siebie.

– K'un-Chien! – zawołał. – Bez ciebie nie mamy pojęcia, gdzie iść. K'un-Chien uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. – Tak, May-Son.

Po kilku tygodniach konsekwentnych postępów Mason porozumiewał się płynnie w języku mandaryńskim. Teraz z łatwością rozmawiał z K'un-Chien, stojąc przy straganie z wszelkiego rodzaju grzybami – dużymi, białymi purchawkami, maleńkimi, atramentowymi czapczkami psianek, grzybów ostrygowych, o kształtach, z których wielu Tree nigdy wcześniej nie widziała, nawet w podręcznikach botaniki. Żałowała, że nie ma przy sobie aparatu fotograficznego albo talentu do szkicowania jak Audubon.

– ...to te mgły – mówił Mason. – Jeżeli grzyby są dobre, przybywają tu, aby zginąć.

K'un-Chien zmarszczyła brwi.

– Tworzysz dziwne przysłowia, May-Son. Wielokrotnie zastanawiam się, czy chcesz mi dokuczyć.

Tree westchnęła. Na miejscu Masona, chyba bym się w niej też zakochała.

K'un-Chien wskazała na olbrzymią pomarańczową hubę, podobną do krążka Cheddara – ten sam rodzaj, jaki Tree dostrzegła na półce skalnej wysoko ponad doliną.

– A więc to jest jadalne – odezwała się z niedowierzaniem. Twarz i szyję siwowłosej sprzedawczynie pokrywała gęsta sieć zmarszczek, jak na blaszkach grzybów. Tree poprosiła ją, aby dała jej spróbować pomarańczowego grzyba. Miękki miąższ smakował jak pieczony, słodki ziemniak, pozostawiając w ustach ostry, miedziany posmak.

– No i jak? – zapytał Mason.

Tree przesunęła językiem po podniebieniu.

– Jakbyś ssał pensa.

– No to dziękuję.

K'un-Chien zorientowała się z barwy głosu.

– Tak. Ja też ich nie lubię. Podczas gotowania wydzielają słodki zapach.

W dwóch sąsiednich sklepikach oferowano dywany z wełny alpaki i guanako oraz futra szynszyli. Następnie cała trójka podeszła do rzędu straganów z żywnością; smakołyki – skwierczące, piekące się, smażone – wypełniały powietrze mieszaniną apetycznych aromatów.

Na orzechowym oleju skwierczały brązowe, owalne kształty rozmiarów brazylijskich orzeszków. Dużymi drewnianymi pałeczkami starsza kobieta dodała do nich, nie przestając mieszać, posiekany czosnek, imbir i małe ostre papryczki.

Mason rzucił pytające spojrzenie K'un-Chien.

– Poczwaraki jedwabnika – wyjaśniła.

Stara kucharka uśmiechnęła się, pokazując zęby, czerwono-czarne od żucia betelu. – Chcecie spróbować?

– Czemu nie? – odezwał się Mason biorąc usmażoną na chrupko poczwarkę jedwabnika i zatapiając zęby w skorupce. – Uuuuu. W środku są jak tłusty krem.

– Obrzydliwe. – Grymas na twarzy Tree mówił więcej niż słowa.

– Uważałaś, że księżycowe ciasteczka też są obrzydliwe, dopóki nie spróbowałaś.

– Mhm. – Tree kiwnęła głową. – I lodowata cola z pływającymi orzeszkami ziemnymi. Nauczyłeś mnie doceniać parszywą, biedną kuchnię Południa.

Mason wrzucił sobie resztę jedwabnika do ust, przeżuł go i połknął. K'un-Chien i stara kucharka zjadły po jednym, wypluwając skorupki na ziemię.

– Oho – bąknął Mason. – Powinienem był najpierw obserwować ekspertów. Przy następnym straganie na żelaznym grillu ponad żarem z węgla drzewnego piekło się kilka tarantuli wielkości tortilli.

– A to dopiero pająk! – krzyknęła Tree.

– Największy na świecie – wytłumaczył Mason. – Poluje na ptaki i myszy.

– Nietrudno uwierzyć. – Weźmy jedną.

– Chyba żartujesz.

– Nie odrzucaj, zanim spróbujesz. To przysmak Wawajeros. Są przepyszne.

Sprzedawczyni wrzuciła brązowego pająka na zagięty liść bananowca i podała go Masonowi. Z zaciśniętymi ustami dmuchnął głośno na owłosione odnóża. Przypalone włoski odleciały małą chmurką. Oderwał od tułowia nogę wielkości palca wskazującego, wyciągnął białe mięso i zaczął żuć z wyraźnym smakiem.

– Nie wiesz, co tracisz. Jak mam cię przekonać, żebyś spróbowała? Podał tłuste odnóże pająka K'un-Chien. Przełamała delikatną skorupkę i wyssała jasne mięso, które wyglądało jak mięso kraba.

Tree wywalila język z obrzydzeniem.

– No, dalej – zachęcił Mason. – Kiedyś mówiłaś mi, że w Nankinie próbowałaś psa i szczura...

– Nie wiedziałam, że to pies. Nigdy świadomie nie zjadłabym psa!

– No, cóż, to tylko zwykły pajak. Tylko na spróbowanie. – Podał jej odnóże. Tree wzięła je od niego i zdmuchnęła resztę sztywnych włosków. Zawahała się.

– Smakuje jak kurczak, czy mi się tylko wydaje?

– Szczerze mówiąc, smakuje jak grzechotnik. – Wyszczrzył zęby, po czym wsunął do ust kolejny kęs.

Tree odgryzła maleńki kawałek mięsa.

– Według mnie smakuje prawie jak krewetka. – Oddała z powrotem odnóże.

– O co chodzi? – zapytał Mason.

– Nie lubię krewetek. Pamiętasz?

– Zgadza się. Zapomniałem.

Tree poczuła się dotknięta. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Fakt, że Mason nie pamiętał, że nie lubi krewetek, nagle nabrał dla niej ogromnego znaczenia. On zapomina, kim jestem. Tak naprawdę nie zależy mu na mnie. Postąpiłam jak romantyczna idiotka, decydując się dołączyć do grupy badawczej. Nigdy go nie odzyskam.

Mason zrównał się z nią.

– Pogniewałaś się? Przyspieszyła kroku.

– No, co ty! Dlaczego miałabym się gniewać?

– Daj spokój, Tree. Nie bawmy się w podchody. Odwróciła się raptownie, spoglądając mu prosto w oczy.

– Słuchaj, jeżeli w ciągu kolejnych dwóch miesięcy nie zajdę w ciążę, wypędzą mnie i najprawdopodobniej umrę z głodu. Masz w zanadru jakiś błyskotliwy pomysł, w jaki sposób mam zajść w ciążę? A może raczej skupisz się na tym, jak zapłodnić drugą żonę?

Mason zerknął w tył na K'un-Chien. Najwyraźniej nie dosłyszała gniewnego tonu Tree.

– Rozumiesz? – ciągnęła Tree. – Bardziej przejmujesz się jej uczuciami niż moimi.

– Tak się składa, że ona żyje w kulturze, w której zwyczajne zniewagi, którymi my rzucamy na prawo i lewo, mogą oznaczać utratę twarzy.

– Hmm, ona nie mówi po angielsku.

– W porządku, ale nie wrzeszczmy tak.

Tree odwróciła wzrok. Czowała do siebie obrzydzenie, ale nie była w stanie opanować emocji. Trzymiesięczny termin na zajście w ciążę skurczył się do dziewięciu tygodni, a Mason nawet nie próbował się z nią kochać.

– Boże, nie chcę spowodować rozdzwiewku między wami, nowożeńcami. To byłoby okropne.

Mason dotknął jej ramienia, lecz rzuciła jego rękę, odwracając się tyłem.

– Kochasz ją, Mason? – zapytała przez ściśnięte gardło. Stał przed nią i spojrzał jej prosto w oczy.

– Co?

– Czy zakochałeś się w niej po uszy?

– Lubię ją. Bardzo ją lubię. Jest niezwykłą osobą. Nie uważasz?

– Pamiętasz, co czułeś do mnie przed Wietnamem? Czy kochasz K'un-Chien właśnie w ten sposób?

Mason westchnął i przełknął ślinę. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Zakochałem się w tobie, kiedy byłem młodym chłopakiem. Byłaś moją inicjacją. – Delikatnie podniósł jej brodę palcami. – Tree, byłaś moją towarzyszką w drodze do świata, w którym kwitną miłość i przyjemność, jak koniczyzna na słonecznych polach. W jaki sposób mógłbym kogokolwiek kochać w ten sam sposób, w jaki wówczas kochałem ciebie?

Tree płakała cicho.

– Ale czy czujesz to teraz, czy tylko pamiętasz, jak było kiedyś? Westchnął ponownie, głęboko.

– Jeśli mam być szczery, muszę przyznać, że pamiętam. To, co czuję teraz, to głównie... nie wiem... blokada. Nie czuję... – głos uwiązł mu w krtani.

– Mów dalej. Tak dobrze jest słyszeć, że znowu jesteś szczery.

– Moje serce... ono czuje... jakby zamknięto je w jakiejś pieczarze... jak piach pustynny w studni. – Wziął głęboki oddech. – Ale wciąż mi na tobie zależy, Tree. I nigdy nie będę nikogo kochał tak, jak wtedy ciebie.

Zaczęła szlochać i zakryła twarz dłońmi.

– Posłuchaj. Doszedłem do wniosku, że masz rację – powiedział. – Naprawdę powinniśmy postarać się, żebyś zaszła w ciążę.

Otworzyła szeroko oczy.

– Mówisz poważnie?

– Dziś w nocy. Spróbujemy dziś w nocy. Dołożę wszelkich starań.

– Mason! Tak czekałam, żeby to usłyszeć. – Zarzuciła mu ręce na szyję. Poczowała sprężystość i ciepło jego mięśni oraz rozkoszną woń męskości, zapach morskiego wybrzeża. Czyżby to była moja szansa?

– Nie mogłeś wybrać lepszego momentu – powiedziała. – Zeszłej nocy czułam lekkie klucie z lewej strony, to znaczy, że przechodzę owulację. Dzisiejsza noc będzie tą nocą. Och, Mason, to może się udać.

Mason osuszył jej łzy obszernym, zielonym rękawem jedwabnej szaty. Przytulili się znowu na długą chwilę, aż Tree poczuła, że jej pierś podnosi się i opada wraz z jego oddechem. Wtulona w silne ramiona miała wrażenie, że świat na powrót stał się całością pozbawioną

ostrzych kantów.

Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

– Nigdy nie miałam okazji ci powiedzieć... najpierw te nasze kłopoty... potem rozwód...

– Wiedziałem – odezwał się. – Nie musiałaś tego mówić.

– Wiedziałeś?

– Że pragniesz dziecka. Kryłaś to w sobie. Ale wiedziałem, jak bardzo kochasz dzieci; widziałem, jak się potrafisz z nimi bawić. Problem tkwił w tym, że ja nie mogłem ci ich dać. Wydawało mi się, że zniknięcie z twego życia będzie najlepszym podarunkiem, jaki mogłem ci ofiarować – abyś zaczęła od początku, założyła rodzinę z kimś innym.

Potrząsnęła głową.

– Mason, chcę twojego dziecka. Spuścił oczy.

– I wciąż mogę nie sprostać temu zadaniu.

K'un-Chien zrównała się z Masonem i Tree. W plecionej z trawy torbie dostrzegli dwa czarne jaja większe od grejpfrutów. Mason utkwiał w nich wzrok.

– Jaja emu?

– Mówiłam ci, że flota Zheng-He dopłynęła aż do wybrzeży Australii – przypomniała mu Tree.

Minęli stragany oferujące pancerniki, łuskowce i żółwie wodne gotowane w skorupach; twaróg sojowy i pastę ze sfermentowanej soi; pędy bambusa; wodne kasztany; orzechy liczi, mango, daktyle, granaty, banany, maniok, owoce chlebowe, trzcinę cukrową, wanilię, kakao, nasiona lotosu, wodne lilie oraz całe mnóstwo nieznanymi gatunków owoców.

Tree zatopiła zęby w purpurowej skórce owocu w kształcie gwiazdy i zacisnęła usta, czując, że nie może sobie poradzić z jego zjedzeniem. K'un-Chien roześmiała się i pokręciła głową. Pokazała Tree, jak rozerwać skórkę, aby dotrzeć kciukiem do jasnego, wilgotnego środka.

– Jedna gwiazda za drugą – powiedziała K'un-Chien, starając się włożyć soczysty miąższ prosto do ust Tree. Tree odmówiła i wyjęła owoc z jej palców. Dziewczyna nie dała poznać, jak bardzo poczuła się dotknięta. Odwróciła się, aby przygotować kolejny owoc. Tree zdumiała się, jak bardzo przejmuje się uczuciami K'un-Chien. Nie mogąc nic na to poradzić, jeżeli mam zachować dystans.

Tree ugryzła owoc i wyssała sok, który trysnął jej na język.

– Mmm... – Odwróciła się do Masona. – Smakuje jak miodowa lemoniada twojej mamy.

Mason zamknął oczy, pozwalając K'un-Chien nakarmić się owocem.

– Ho-ho-ho! – Palcem otarł cienką strużkę soku cieknącą mu po brodzie. – Nawet słodszy.

Gdzie kostki lodu?

K'un-Chien włożyła kilkanaście purpurowych gwiazd do torby i zapłaciła sprzedawczyni.

Mijali sklepy mięsne z tuzinami kurczaków zawieszonych do góry nogami, z pozbawionymi łbów świniami i kozami; opalizujące muchy nurzały się w lepkiej krwi. Tree nie rozpoznała jakiejś obdartej ze skóry padliny dopóki nie dostrzegła trzech silnych palców przednich łap i czterech tylnych: leniwiec. W bambusowych klatkach tłoczyły się żywe świnki morskie, szynszyle, krety, mrówkojady, myszy, szopy i nietoperze owocożerne, czekające na śmierć.

Nieopodal w trzech drewnianych wannach rozmiarów balii snuły się ryby o łuskach zupełnie przezroczystych; ich mięśnie i organy wewnętrzne były widoczne jak kluski w szklanym dzbanie. Tree rozdziawiła ze zdumienia usta, zafascynowana, widząc bijące czerwone serca wielkości żołądza.

– K'un-Chien, czy te ryby pochodzą z jaskiń wewnątrz góry?

– Tak, pierwsza żono. To dlatego szklane ryby nie mają oczu.

Kobieta o śniadej cerze i poplamionych betelem zębach, złowiła w sieć rybę długości stopy i wrzuciła ją do wypełnionego wodą wiadra z wieczkiem. Kolejnej klientce sprzedała grubą, przezroczystą salamandrę.

Na następnym straganie w żeliwnym kotle wrzała woda. Czarna ręka o długich palcach wystawała poza brzeg kotła. Tree wzdrygnęła się, mimo że jako mała dziewczynka widziała często w Nankinie sklepiki pod gołym niebem z gotowanymi małpami.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – westchnęła, patrząc na Masona. – Tak bardzo przypominają ludzi.

– Rozumiem cię. Czepiak. – Skrzywił się. – Obrzydliwe.

K'un-Chien podczas przygotowywania posiłków używała głównie ziarna zbóż, warzyw, owoców i orzechów. Tree lubiła sobie podjąć, ale kiepska była z niej kucharka. Mason miał swoje przysmaki, jak na przykład chili, lecz kiedy zaoferował pomoc K'un-Chien w gotowaniu, była tak zbita z tropu i zażenowana, że postanowił nigdy więcej się nie wtrącać. Wszystkie potrawy przez nią przygotowane były przepyszne i niepowtarzalne.

Tree poklepała się po silnych mięśniach brzucha, widocznych pod cienką warstwą tłuszczu. Kiedyś Mason często powtarzał, że ma niesamowicie seksowny brzusek. Na szczęście trudno było przytyć na chińskiej kuchni wegetariańskiej.

K'un-Chien wrzucała do torby figi, śliwy i różane jabłka, groch goa, słodkie ziemniaki, tamaryndy. Płaciła za produkty wspaniałymi szkarłatnymi strączkami, zawierającymi ziarenka zwane nasionkami miłości, rozmiarów i kształtu fasoli. Sprzedawczynie najwyraźniej wołały nasiona strączkowe niż ryżowe, a nasionka miłości, które posiadała K'un-Chien, miały szczególną wartość, więc nie musiała wydawać ich tak wiele jak inni kupujący. Tree zauważyła, że każdy strączek o różowych plamkach był wart tyle co tuzin gładkich, a wszystkie strączki K'unChien miały różowe cętki.

Kilka tygodni wcześniej Tree zagadnęła K'un-Chien o używanie strączków jako środka

płatniczego i w odpowiedzi usłyszała, że ich wartość jest ogromna.

Mason wzruszył ramionami.

– Tak jak indiańskie muszelki – zauważył – albo koraliki, albo uzębienie czy inne rzeczy, których prymitywne ludy używały zamiast pieniędzy.

W zażenowaniu K'un-Chien kryła się jednak wskazówka, która niepokoiła Tree na równi z wcześniejszą wizją. Zastanawiała się, czy nasionka mają coś wspólnego z seksem. Może jakiś rytuał? Czy to miała na myśli K'un-Chien? Te niskie kanapy z poduszkami w wewnętrznej komnacie świątyni w Błogosławionym Mieście – wątpiła, aby je wykorzystywano do drzemek w czasie uroczystości.

Czy nasiona miłości były jadalne, czy stanowiły jedynie miłosny symbol? Być może zawierały substancję hipnotyczną albo jakiś afrodyzjak. Jeśli tak, to może mogłyby pomóc Masonowi w zwalczeniu impotencji.

Tree ujęła jego dłoń. Mocny uścisk sprawił jej dużą przyjemność. Ciało przypomniało sobie ciężar jego ciała, siłę i ciepło, męską woń, smak warg i skóry. Poczowała ucisk w żołądku i przenikliwe pragnienie, gdy wyobraziła sobie łoża w świątyni i ich przeznaczenie.

– Co je tak ciekawi? – Mason zwrócił się do K'un-Chien, wskazując na grupę tłoczących się kobiet. Rozmawiały między sobą, krzycząc w podekscytowaniu, i wymachując garściami pełnymi pieniędzy z ryżowego papieru.

– Hazard.

– Zdażyłem się domyślić. Ale o co się spierają?

– Które *taotie* wygra bitwę.

– *Taotie*? – Mason spojrzał na Tree.

– Twarz potwora – przetłumaczyła, wzruszając ramionami.

– Przypatrzmy się bliżej – zaproponował i zaczął przeciskać się, aż dotarli na skraj zbiorowiska. Tree zerknęła ponad odzianymi w jedwabie ramionami. K'un-Chien została z tyłu.

Na wysokim stołku stała klatka z cienkich prętów bambusa. Wewnątrz niej ujrzeli dwa chrząszcze, każdy większy od jej dłoni, zataczające dokoła siebie kręgi niczym gladiatorzy. Rogi sterczały ponad otwierającymi się i kłapiącymi szczypcami. Ciach-ciach, ciach-ciach. Czarno-biały wzór na owadach przypominał wykrzywioną twarz potwora o okrągłych czarnych oczach wielkości pięciocentówki; prawdziwe oczy, wielkości główki od szpilki, osadzone były po dwóch stronach dzioba. Złożone pokrywy chitynowe na skrzydłach załamywały światło, mieniając się czerwiecią, zielenią, błękitem i złotem, gdy przeciwnicy krążyli dokoła. Ciach-ciach, ciach-ciach, ciach-ciach, ciach-ciach.

Jeden z chrząszczy ruszył do przodu i wsadził rogi pod lśniący brzuch przeciwnika, szukając sposobu, aby go przewrócić. Wśród części widowni rozległy się głośne wiwaty, inni jęknęli głucho.

Atakujący żuk zepchnął na bambusowe pręty rywala, który z trudem powstrzymał atak. Wtedy napastnik rozpostarł pomarańczowe skrzydła i z głośnym buczeniem podskoczył, przewracając przeciwnika na plecy. Potem opadł na leżącego chrząszcza, przyłożył szczypce do szczeliny między pancerzem a głową i obrócił je ostro. Głowa odskoczyła, odbijając się od odległej ścianki klatki.

Wiwaty, śmiech i jęki zawodu rozbrzmiały w tłumie. Pieniądze zmieniły właścicieli.

Tree poczuła mdłości. Po kilku krokach zdała sobie sprawę, że trzyma się kurczowo za szyję.

K'un-Chien popatrzyła na nią z tajemniczym, delikatnym uśmiechem.

– O co chodzi? – zapytała Tree.

– Pierwsza żona ma miękkie serce – odpowiedziała dziewczyna. – Nie lubi być świadkiem walki, nawet między żukami. Ja też nie.

– Tajowie wystawiają przeciw sobie ryby *betta* – stwierdziła Tree. – Meksykanie urządzają walki kogutów, Koreańczycy psów – to okropne.

– Przepraszam – odezwał się Mason po angielsku. – Zaciekawilo mnie coś. Ten gatunek chrząszcza nie jest znany.

– W każdym razie nie nam – odparła Tree. – Lynda powiedziała mi kiedyś, że siedemdziesiąt pięć procent wszystkich gatunków zwierząt żyjących na Ziemi to owady, a pięćdziesiąt procent wszystkich owadów stanowią chrząszcze. Możliwe, że był to gatunek, o którym nawet nie słyszeliśmy.

– Tak się składa, że wiem, iż chrząszcz Goliata jest największym z zarejestrowanych gatunków; waga niektórych osobników przekracza sto gramów, i jestem przekonany, że wyglądałyby mizernie obok tych dwóch buldożerów.

– A zatem spełniłyby się marzenia Lyndy – powiedziała Tree, myśląc o entomolożce z Wenezueli, zabitej przez harpię. Żal i strach dołączyły do mdłości, tworząc wyjątkowo nieprzyjemną mieszankę. – Muszę usiąść i chwilę odpocząć – zakomunikowała zboliałym głosem.

Podeszła do drzewa kapokowego i opadła ciężko w jego cieniu na jednym z korzeni mierzących metr wysokości. Mason usiadł obok niej. K'un-Chien uklękła przed Tree i schwyciła ją za prawą rękę. Ucisnęła mocno mięsień między kciukiem a palcem wskazującym.

– Auu! – jęknęła Tree, lecz nie cofnęła dłoni. K'un-Chien spojrzała na nią czułym wzrokiem.

– Boże, powinni wysyłać studentów medycyny do kogoś takiego jak ona – zwróciła się Tree do Masona.

Mason uśmiechnął się do K'un-Chien.

– Jej twarz wydaje mi się teraz podobna do twarzy aniołów Rafaela. Tych ze złotym

światłem emanującym z postaci.

Pulsujący prąd przeszedł przez ramię Tree i pomknął dalej, do żołądka. Mdłości zaczęły ustępować.

– Zdumiewające – odezwała się, kręcąc głową.

– To się nazywa *Doh-In* – wyjaśniła K'un-Chien.

Tree знаła to chińskie określenie. Oznaczało precyzyjny nacisk palca, tak jak akupunktura bez igieł. Po kilku minutach dolegliwości ustąpiły zupełnie.

– Mój ojciec zabrał mnie kiedyś do doktora w Nankinie, który praktykował *Doh-In* – powiedziała Tree, zerkając na czerwony ślad na ręku, w miejscu gdzie przed chwilą naciskała dziewczyna. – Wyleczył mnie z chronicznego bólu głowy. Ale nikt nigdy nie wyjaśnił mi, jak to działa.

K'un-Chien ukloniła się.

– Pozwól mi wyjaśnić, pierwsza żono.

– O tak, proszę.

– Kanałami wzdłuż ciała przepływają słabe strumienie energii – zaczęła. – Jeżeli taki kanał jest zablokowany, energia zostaje powstrzymana. – Zaciśnęła dłoń w pięść. – Skutkiem jest ból. – Poprzez masaż kluczowych punktów, nazywanych *tsubos*, wejścia do portu, wzdłuż kanałów energetycznych, można je odblokować, odbudowując harmonię albo naturalny przepływ w całym systemie. – Rozluźniła pięść, a jej szczupłe palce zatańczyły w powietrzu. – Ból przechodzi.

– To fascynujące. – Mason wydawał się podekscytowany. – Szkoda, że nie uczyłem się o tym na studiach.

K'un-Chien rozpromieniła się; wesole iskierki zatańczyły w szafirowych oczach. – Byłabym zachwycona, mogąc przekazać ci całą moją wiedzę, May Son. Mason wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A zatem od dzisiaj jestem twoim gorliwym uczniem.

Tree również się uśmiechnęła, zdając sobie jednocześnie sprawę, że z coraz większym trudem przychodzi jej zachowanie dystansu wobec tej miłej dziewczyny. Druga żona uosabiała esencję miasta. Była przeurocza.

Przymknęła powieki. Czy naprawdę mogłabym zakochać się w kobiecie? Szczerze mówiąc, nie była pewna. Wmawiała sobie, że to pytanie nie jest stosowne, gdyż K'un-Chien nie była osobą, którą chciałyby obdarzyć miłością. Chce być z Masonem.

Pamiętała, jak będąc w jej wieku, oddała swe serce łatwo i całkowicie. Okazało się to jednak niebezpieczne i szalone. Kiedy Mason odszedł z jej życia, poczuła, jakby straciła serce, jakby zostało ono uwięzione gdzieś poza nią, przywiązane do jego odległego życia.

W ciągu ostatnich kilku tygodni zdała sobie sprawę, że może nie odzyskać człowieka,

którego kochała. Swoje problemy zachowywał wyłącznie dla siebie. Bolesne momenty szczerości sprawiły, że czuła większą pustkę niż kiedykolwiek.

Teraz jednak, otwierając ponownie oczy i chłonąc uprzejmość K'un-Chien, poczuła, jak budzi się w niej nadzieja, nadzieja na odzyskanie czegoś bardziej istotnego niż miłość Masona – odzyskanie swojej dawnej osobowości, sposobu, w jaki kiedyś kochała świat, może naiwnie – ale głęboko i prawdziwie.

Patrząc w błękitne oczy dziewczyny, ponownie zaczęła postrzegać świat w ten sposób.

Tu nie chodzi o Masona. Chodzi o mnie. Tak naprawdę jestem tutaj, aby odnaleźć Tree Sumerwood.

To zrozumienie zbudziło w niej odwagę, jakiej nie czuła od lat.

Rozdział 18

Na tle targowego gwaru Mason wyłowił uchem szum odległego wodospadu. Przed nimi ceglany chodnik rozchodził się w kilku kierunkach. Jedna z dróg wiodła z powrotem do rezydencji pałacowej Masona i Tree.

Kwadratowy parter małego pałacu zwieńczony był dachem z jasnoblękitnych ceramicznych płytek, które unosiły się, to znów opadały faliście; usytuowane na tym lśniącym morzu piętro miało podstawę kolistą z krytym czerwonymi płytkami dachem w kształcie stożka; kolejny, trzeci dach koronował stożek, przypominający jasnożółty parasol. Na czubku powiewały wielobarwne wstęgi, mierzące dwadzieścia stóp długości; ożywiał je lekki wiaterek, omiatający otaczające urwiska.

Zbliżyli się do łukowatego wejścia. Dolna część, wykonana z solidnego mahoni, sięgała do wysokości klatki piersiowej; powyżej widniały delikatne płaskorzeźby, przedstawiające złote rybki pośród kwiatów lotosu.

K'un-Chien zatrzymała się przy drzwiach.

– Za twoim pozwoleniem, May-Son, chciałabym teraz odwiedzić mego brata. Wrócę wieczorem, mężu, aby przygotować ci wieczerzę.

K'un-Chien, nie potrzebujesz żadnego pozwolenia – odparł Mason. – Jesteś wolna. – Uśmiechnął się. – Rozumiesz? Nie jesteś moją niewolnicą ani służącą, jesteś... cóż, tak się składa, że jesteś moją żoną. Ale to nie oznacza, że jesteś moją własnością K'un-Chien spuściła wzrok i bąknęła cicho:

– Czyż nie spełniam twych oczekiwań, May-Son?

– Ależ oczywiście, że tak. Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś opacznie moich słów.

– Jeżeli żona nie należy do męża – ciągnęła K'un-Chien – to do kogo ona należy?

– Do ziemi... do życia. Do własnego serca. Głos dziewczyny zadrżał z lekka.

– Zanim mnie wybrałeś, May-Son, nie należałam do nikogo, z wyjątkiem mej samotności. Byłam banitką. Dobrze jest należeć do ciebie i pierwszej żony. Proszę, nie mów – głos jej się załamał – że... nie...należę do ciebie.

K'un-Chien zasłoniła twarz dłońmi i załkała. Podeszli do niej i przytulili mocno.

– Ciiiiiii – odezwał się uspokajająco Mason. – Oczywiście, że do nas należysz. Przyjaciele należą do siebie nawzajem. – Ucałował ją w czoło, wdychając głęboko jaśminowy zapach jej włosów.

Tree odsunęła luźne czarne kosmki spływające na twarz dziewczyny.

– Mason nie chciał powiedzieć, że cię odrzuca...

– Absolutnie nie – przytaknął z zapalem.

– Ja też nie – dodała Tree. – Może zachowywałam się wobec ciebie zbyt oficjalnie... Ale,

szczerze mówiąc, jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś.

– Pierwsza żona nie była zbyt oficjalna – odparła K'un-Chien. – Była najwspanialsza.

– K'un-Chien, ty jesteś moja – odezwał się Mason. – A ja jestem twój. I chcę, żebyś w moim towarzystwie czuła się zupełnie wolna. W naszym towarzystwie.

K'un-Chien wyrwała się z ich objęcia i skłoniła nisko.

– Dziękuję wam, May-Son, pierwsza żono. Za waszym pozwoleniem, postaram się jak najbardziej czuć się wolna.

Mason spojrzał na Tree i westchnął.

– Czy możesz mi pomóc i wyjaśnić jej, o co mi chodzi?

– K'un-Chien, Mason mówi, że nie chce cię powstrzymywać ani rozkazywać, nie chce być twoim panem. Według niego mamy równe prawa, aby przychodzić i odchodzić, gdzie chcemy, tak jak i on. Nie potrzebujesz jego pozwolenia.

K'un-Chien zmarszczyła brwi.

– Ale... on jest mężczyzną i jest starszy od nas... i... jesteśmy jego żonami. Czy oddawałby nam takie same honory, jakie oddaje swoim rodzicom?

– Ha! Mamuśka i ojczulek zawyliby, słysząc to – odezwał się Mason po angielsku. – Pamiętasz, jak się ścieraliśmy?

– Przestań mieszać tej biednej dziewczynie w głowie – poprosiła Tree. Mason zwrócił się do K'un-Chien:

– Szanuję cię tak samo, jak szanuje się prawdziwego przyjaciela. Tree kiwnęła głową.

Proszę, przyjmij naszą przyjaźń – powiedziała – jako równa nam. K'un-Chien potrząsnęła głową, lecz w kącikach jej ust błakał się słaby uśmiech.

– Tak dziwne rzeczy od was słyszę.

– To dlatego, że jesteśmy tylko niedouczonejmi barbarzyńcami. – Uśmiechnął się Mason. – Nie byliśmy wychowani w duchu K'ung Fu-Tse. – Imię Konfucjusza wypowiedział w języku mandaryńskim.

Gib tłumaczył mu kiedyś zasady sztywnej hierarchii społecznej panującej w starożytnych Chinach, a ustanowionej przez Konfucjusza dwa i pół tysiąca lat temu. Konfucjusz wydał rozporządzenie w sprawie odpowiednich zwyczajów dla całej rodziny i członków społeczeństwa. Posunął się nawet dalej, klasyfikując odpowiednie sposoby okazywania uczuć: pewna doza miłości dla ulubionego zwierzątka, inną ilością uczucia wolno było darzyć córkę, inną syna, starszego brata, młodszego brata, ojca, matkę i tak dalej. Doświadczenie uczucia albo okazywanie uczucia w sposób wykraczający poza te normy uznawano za hańbiące, jak pisał filozof, i prowadzące do naruszenia społecznego ładu i porządku, a w następstwie do ogólnego chaosu. Jego recepta na idealne społeczeństwo: „Wszystkie pod niebem wozy mają tę samą drogę, księgi to samo pismo, a postępowanie te same normy”.

Amerykę wzniesiono na anty etycznej zasadzie: „Przeszłość pozostawiamy za sobą” – twierdził Walt Whitman. Amerykanie zawsze wielbili swój kraj jako ziemię wszelkich możliwości, gdzie rzesze imigrantów zmieniały imiona, stacje i cele podróży, nie rzucając za siebie najmniejszego spojrzenia. W Ameryce niewiele ludzi potrafiłoby prześledzić swój rodowód, sięgając poza dziadków, niewielu na tym w ogóle zależało. I tutaj pojawia się pierwszy kontrast. W starożytnych Chinach kładziono nacisk na ciągłość, czcząc dziedzictwo i tradycję. Dokładano wszelkich starań, aby gorliwie naśladować to, co najlepsze, a to, co najlepsze, zawsze było tym, co istniało wcześniej – złotym wiekiem przodków.

Mason uśmiechnął się do K'un-Chien.

– Może nasze niekulturalne zachowanie, choć nieodpowiednie, mogłoby być uznane za bardziej spontaniczne albo zabawne?

K'un-Chien uśmiechnęła się, tym razem bez oporów.

– Tak, May-Son. To dziwne. Być może okazałoby się o wiele zabawniejsze.

– A teraz, za twoją zgodą – odezwał się Mason – chciałbym towarzyszyć ci podczas spotkania z bratem.

Oczy K'un-Chien rozszerzyły się.

– Jeśli wolisz iść sama...

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko. – Bardzo bym chciała, abyś poszedł ze mną. Wiem też, że Meng-Po byłby zachwycony, mogąc się z wami spotkać. – Skinęła do Tree. – Bywa bardzo samotny.

– Nie wątpię – Mason skinął głową. – Mnie również drażni, gdy nie widzę w mieście innych facetów.

– Masz pchły? – spytała K'un-Chien. – Mogę cię wyleczyć ziołowym proszkiem.

Tree roześmiała się.

– Nie, „drażnić” znaczy „przeszkadzać.”

Mason chichotał.

– Ciągłe zapominam, idiomy nie zawsze dają się przetłumaczyć.

– Z wielką przyjemnością spotkam się z twoim bratem – zapewniła Tree.

– Świetnie. A zatem prowadź, K'un-Chien – zaproponował Mason.

– Prowadzić? – K'un-Chien znowu pokręciła głową. – Bardzo dziwne. – Obróciła się na pięcie, a Tree i Mason podążyli za nią.

Po kilku minutach zatrzymała się i zwróciła do Masona.

– May-Son, bardzo dziękuję.

– Za co?

– Za to, że poprosiłeś mnie o zgodę, aby mi towarzyszyć. Przed dzisiejszym dniem, przed tobą, nikt nigdy nie prosił mnie o jakąkolwiek zgodę.

Wzruszył ramionami.

– Takie stosunki powinny panować pomiędzy przyjaciółmi. To naturalne, że i ty, i wszyscy ludzie powinni mieć prawo głosu w sprawach, które ich dotyczą.

– Tutaj nie ma bardziej nienaturalnej rzeczy niż takie rozumowanie – stwierdziła K'un-Chien. – To nawet zakazane.

– Ona ma rację – Tree wtrąciła po angielsku. – Wyjdzie nam wszystkim na dobre, Mason, jeśli utrzymamy w tajemnicy tę naszą małą rewolucję społeczną. *Si fueris Romae, Romano vivito more.*

Mason wiedział, że Tree ma słuszość. W Rzymie należy postępować według zwyczajów Rzymian, czyli jeśli wejdiesz między wrony, należy krakać tak jak one.

– Prywatnie, K'un-Chien, żyjmy jak wolne osoby. Na zewnątrz będziemy przestrzegać norm twojego społeczeństwa.

– Tak, May-Son. – K'un-Chien pochyliła głowę i kiedy ruszyła kilka kroków za nimi, sprawiała wrażenie wyraźnie rozluźnionej.

W końcu dotarli do mostu w kształcie półksiężyca, łączącego oba brzegi rwącego strumienia. Na dalekim końcu ścieżki z cegieł ujrzeni trójlistne, łukowate wejście do budynku zwieńczonego kopułą. Niewielka świątynia przypominała odwróconą rzodkiew zanurzoną w złocie.

Nad wejściem górowała rozkraczona dziesięciometrowa statua gniewnej wojowniczkii w napierśniku i spódniczce, z aureolą stylizowanych płomieni; olbrzymia, wysoko uniesiona granitowa pięść miała miażdżyć intruzów. Obok gigantycznych sandałów stały na straży dwie żywe strażniczki. Włócznie, skierowane ku dołowi, krzyżowały się w wejściu, oczy kobiet uważnie śledziły nadchodzących. K'un-Chien uniosła otwarte dłonie w kierunku strażniczek i rzuciła Masonowi i Tree porozumiewawcze spojrzenie. Natychmiast poszli za jej przykładem.

– Witaj – powiedziała K'un-Chien, zatrzymując się. – Przeprowadziłam barbarzyńskich gości, aby odwiedzili mego brata.

Strażniczka skinęła głową.

– Zbliżcie się.

Włócznie rozsunęły się i cała trójka przeszła pod kamiennym gigantem. Mason spojrział w górę, starając się przebić wzrokiem ciemności panujące pod olbrzymią spódniczką, i stęknął, czując pod żebrami łokieć Tree. Biodra Amazonki przesłaniała wyrzeźbiona w granicie przepaska.

Blade słupy koloru zielonej herbaty podtrzymywały wysokie sklepienia. Pośrodku komnaty stało coś, co przypominało Masonowi ogromną, połączaną klatkę kanarka. Na każdym rogu stała uzbrojona w włócznię strażniczka. Za pionowymi złotymi prętami mały Chińczyk w żółtej jedwabnej piżamie i czerwonych jedwabnych butach kuczał nad długim zwojem pergaminu,

ostrożnie kaligrafując długim pędzlem.

Obok chłopca, mażąc grube gryzmoły na własnym pergaminie, siedziało najpiękniejsze zwierzę, jakie Mason kiedykolwiek widział. Mason zerknął na Tree. Oczarowana, wpatrywała się w stworzenie rozszerzonymi oczyma.

Krótkie, cynamonowoczerwone futerko pokrywało całe ciało zwierzęcia oprócz twarzy o gładkiej, czarnej skórze i głowie ozdobionej gęstymi, białymi włosami. Odstające uszy i wielkie bursztynowe oczy nadawały mu komiczny wygląd, jakby wiecznego zdumienia. Białe opadające wąsy i broda splatały się w pasmo białego futerka na szyi, biegnąc dalej ku klatce piersiowej.

Nieznany gatunek, pomyślał Mason. Być może jakiś lemur, chociaż brakowało mu ogona typowego dla tej rodziny. A może kuzyn złotej lwiej małpy tamarin, chociaż i w tym przypadku brakowało ogona.

– Mały bracie, przyprowadziłam ci gości – zaanonsowała K'un-Chien. Chłopiec podniósł wzrok i z wrażenia otworzył usta. Odłożył pędzel na skorupę żółwia i uśmiechając się szeroko, dał znak ręką, by się zbliżyli.

– Witajcie, witajcie.

K'un-Chien dokonała wzajemnej prezentacji i wszyscy wymienili grzeczne ukłony.

– Wiele o was słyszałem i bardzo chciałem was poznać – odezwał się Meng Po – ale nie sądziłem, że doznam błogosławieństwa tak rychłej wizyty.

Wskazał kanapę wyłożoną poduszkami z wyhaftowanymi motylami i hibiskusami. Goście usiedli. Chłopiec przyciągnął mahoniowy stółek do prętów i usiadł na nim okrakiem. Wsunął rękę do tyłu.

– Kiki!

Zwierzątko rzuciło pędzel na pergamin, przeskoczyło zwój i wspięło się, aby usadowić się na ramieniu Meng-Po.

Oboje lustrowali Masona od góry do dołu. Mason wyczytał taką samą niewinność w dużych, czarnych oczach chłopca, jak w bursztynowym spojrzeniu jego futrzastego towarzysza.

– Jesteś mężczyzną – stwierdził Meng-Po. – Ja też.

– Tak, jesteśmy bractwem.

– Ach, mówisz ludzkim językiem. – Meng-Po poklepał się po kolanach. – Tak słyszałem. Dobrze, dobrze. Mam do ciebie tyle pytań związanych z waszym odległym krajem. – Podskoczył na siedzeniu. – To wielki dzień.

Mason odwzajemnił uśmiech.

– Dryfując po morzu kobiet, z ogromną ulgą spotykam mężczyznę, choć młodego. – Kiedy wypowiedział te słowa, zastanowił się, jak musi się czuć jedenastoletni chłopiec, który rzadko, o ile w ogóle kiedykolwiek, widział innego mężczyznę. Kto jest wzorem dla tego dzieciaka?

Ciocia Kwitnąca Wiśnia? Kuzynka Krew Księżycowa? Kto się z nim siłuje i zaczepia? Zrobiło mu się żal chłopca.

Meng-Po taksował wzrokiem Tree.

– Oczywiście mówiono mi o twoim niezwykłym wyglądzie – stwierdził. – Mówiono, że twoje oczy są kryształowozielone jak topazy, a włosy mają kolor miodu oświetlanego promieniami słonecznymi. Lecz teraz widzę, że te słowa nie lepiej oddają twe piękno, niż się ujmuje wodę.

– Hmm, dziękuję – Tree zarumieniła się lekko. – Nigdy nikt nie obdarzył mnie tak poetyckim komplementem.

Stworzenie podobne do lemura zeszło z ramienia chłopca i skierowało się do kwitnącego krzaka jaśminu, rosnącego w porcelanowej wazie z epoki Ming. Mason patrzył zafascynowany, jak odgryzło ostrymi zębami cztery pachnące kwiaty, po czym pospieszyło z powrotem na miejsce na ramieniu Meng-Po. Małpka rozpostarła długie, szczupłe ramiona, przez złożone pręty podając kwiaty Tree i mrugając przy tym bursztynowymi oczami rozmiaru mandarynek.

Meng-Po przejechał palcami po kosmyku białych włosów.

– Kiki chce dać te kwiaty do ogrodu.

Tree roześmiała się, biorąc jaśminowy podarunek.

– Dziękuję, Kiki. Och, jesteś słodki. Jesteś małą lalczką, prawda? Stworzenie obróciło się trzykrotnie na ramieniu Meng-Po, szczepiając razem długie palce.

– On cię lubi – powiedział z przekonaniem Meng-Po. – Rzadko jest tak otwarty dla gości. Tylko w stosunku do K'un-Chien zachowuje się równie przyjaźnie.

– Tree uwielbia zwierzęta – wyjaśnił Mason. – Może Kiki to czuje. Czy to „on”?

Meng-Po sięgnął ręką i palcami rozgarnął miękkie futerko, ukazując męskość stworzonka.

– Dziękuję przodkom. – Wzniósł oczy ku niewidocznemu niebu. – Dobrze jest mieć choć jednego męskiego przyjaciela.

– Jak nazywacie ten gatunek? – zapytała Tree.

– *Jindaoki*, małpka-mędrzec.

– Właśnie tak bym ją nazwał – Mason kiwnął z aprobatą głową. – Kiki wygląda jak mały, stary chiński mędrzec.

Meng-Po uśmiechnął się.

– Jego ojciec nazywał się Lao Tzu, a matka Guan In. Małpka-mędrzec podniosła krótki bambus, położyła go sobie na ramieniu, jakby to była lanca, i zaczęła maszerować sztywno dokoła zakratowanego królestwa. Mason rozszerzył oczy ze zdumienia. Meng-Po roześmiał się.

– Widzicie, teraz się popisuje, naśladowując dowódcę straży. Mason zagwizdał cicho.

– Tam, skąd pochodzę, nikt nigdy nie widział takiego stworzenia ani nawet o nim nie słyszał.

Nie ma tam małpek-mędrców? – zdziwił się Meng-Po. – Jak bezbarwny byłby mój świat bez słodkiego Kiki. – Chłopiec rozpostarł ramiona i małpka upuściła patyk i skoczyła prosto w jego objęcia. – Jest moim przyjacielem i powiernikiem. Kiedy zostanę cesarzem, uczynię z niego ministra zabawy. – Pocałował gładką czarną skórę na policzku małpki mędrca. – Czyż nie jesteśmy jak bracia, Kiki? – Zwierzątko zajazgotało, obnażając ostre, białe zęby, i odwzajemniło całusa.

– Wydaje się niesłychanie inteligentny – powiedziała Tree. – Nie znam innej małpy, która byłaby równie błyskotliwa jak twoja, nawet szympany.

– Szympan-sy?

– Bezogonowe małpy, takie jak Kiki, z ładu zwanego Afryką – wyjaśnił Mason. – Ponieważ nasi ludzie nie znają małpek-mędrców, szympany uważane są za najbardziej inteligentne z wszystkich małp. Teraz myślę, że cały czas byliśmy w błędzie.

– Mason, spójrz, to paznokcie, nie pazury – odezwała się Tree po angielsku.

– Zauważyłem – odparł. – Lemury i lori mają paznokcie i również nie mają ogonów. Czy to możliwe, że on jest jakimś nieznanym gatunkiem lori albo lemura?

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Jest taki piękny. Nie mogę wyjść z podziwu, jak bardzo przypomina małego człowieczka z długą białą brodą.

– Ciekawa jestem, czy Domino napotkał wcześniej tych ludzików. Zwariowałby chyba. To byłoby dla niego największe odkrycie, zrobiłby karierę.

– Domino jest prawdopodobnie zbyt zajęty swoim harem, aby bawić się w zoologa – odparł ironicznie Mason. – Sześćdziesiąt żon.

Meng-Po nastawił ucha, wsłuchując się w nieznaną mowę.

– Wasza mowa brzmi bardzo twardo – powiedział. – Jakbyś mówił ze swoich wnętrzności.

Mason zachichotał. Dla ucha Chińczyka germańsko-wikingowe tony angielskiego muszą brzmieć zadziwiająco szorstko. Mandaryński, podobnie jak wszystkie orientalne języki, był językiem tonicznym, w którym sama wysokość głosu nadawała znaczenie, tak że jedno słowo mogło mieć kilka różnych znaczeń w zależności od sposobu wymawiania samogłosek.

– Zgadza się – przyznał Mason. – Chiński jest bardziej śpiewny.

– Mały bracie, skończyłeś swój pergamin? – zapytała K'un-Chien.

– Prawie. Ten będzie najdłuższy i najlepszy.

– O czym piszesz? – spytał Mason.

– To księga poezji – odparł Meng-Po. – Czy w kraju, z którego pochodzisz lubią poezję?

Mason zerknął na Tree.

– My bardzo lubimy poezję.

– Powiedz nam jakiś wiersz, mały bracie – poprosiła K'un-Chien.

– To dla mnie rozkosz. – Meng-Po odchrząknął, zamknął oczy i odezwał się powolnym, melodyjnym tenorem:

– *Księżyc przez pręty Znaczą smugi na ciele O tygrysiach smach Ślicznie* – Tree klasnęła w dłonie. – Haiku.

– A więc barbarzyńcy wiedzą o haiku? – zapytał Meng-Po. – Przyszło do Państwa Środka zza morza, z Kraju Wschodzącego Słońca.

– Niektórzy z nas znają haiku. Pięć sylab w pierwszym wersie, siedem w drugim i znowu pięć w trzecim.

Meng-Po – wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Kiki wstał, zaklaskał w ręce i obrócił się trzykrotnie.

– Doskonale. Proszę, stwórz jakiś wiersz dla mnie. Tree położyła rękę na kolanie Masona.

– Tu jest poeta.

– No, dobrze – odezwał się Mason. – Mam dla ciebie haiku. Zarecytował:

Motyl przybywa Nie ma zaproszenia Kwiecie lotosu – Aaach – rozkoszował się Meng-Po z zamkniętymi oczami. – Bardzo ładny. Zróbmy wymianę.

Na suchych liściach Kuca zadartszy szaty Sikający mnich – Widzę, że masz poczucie humoru – powiedział Mason i wyrecytował:

Zatłoczony prom Cóż to za ohydny bąk Tylko ja wiem – czyj Meng-Po chichotał.

– A to zabawne. Strażniczki czasami handlują ze mną haiku, jeżeli proszę je dostatecznie długo, ale ich haiku są tak słabe, jak trzecia woda po herbacie.

– Zawsze lubiłem bawić się słowami – powiedział Mason. – Ale na pewno nie byłem tak dobry jak ty, kiedy miałem jedenaście lat.

– Kolega poeta zaszczycił mnie bardzo. – Meng-Po pochylił głowę. – Teraz chciałbym złożyć hołd pięknej pierwszej żonie.

Tree uśmiechnęła się i skinęła głową. – Jak najbardziej.

Brewki kociaka

Czy potajemnie pieszczą

Twe złote włosy?

– Oooo, podoba mi się! – krzyknęła Tree.

– Ładny.

Mason nie posiadał się ze zdumienia.

– Skomponowałeś to teraz, tak z głowy? Meng-Po roześmiał się szeroko.
– Oczywiście, tak jak poprzednie. Haiku musi być spontaniczne. – Jedna czarna brew wieńcząca oko w kształcie migdała wygięła się w łuk. – Chcesz powiedzieć, że twoje wiersze...
Mason zaczerwienił się.

– Ja... hmm...

– Och, rozumiem – odezwał się Meng-Po i spochmurniał.

– Wygląda na to, że przegrałeś w tym konkursie haiku, Mason – powiedziała Tree.

Ramiona Meng-Po zatrzęsły się i chłopiec wybuchnął śmiechem.

– Nabieram cię tylko.

– A więc nie ułożyłeś teraz tych wierszy? – zapytał Mason.

– Szczerze mówiąc, ułożyłem. Żartowałem jednak mówiąc, że mnie rozczarowałeś. Mimo że wyuczone na pamięć, uważam, że twoje haiku jest całkiem niezłe, jak na barbarzyńcę. – Uśmiechnął się. – Proszę, powiedz mi jeszcze jakiś. – Zamknawszy oczy, czekał.

Mason wyrecytował:

Pustka na plaży Kto widzi morską gwiazdę Wskazującą szlak?

– Ach. Ten był najlepszy. – Meng-Po, otworzył oczy. – Lubię wiersze o samotności. W pewnym sensie pomagają ją znieść. Czy mogę ci zadać pytanie?

– Chciałeś powiedzieć: dwa pytania, bo właśnie zadałeś pierwsze. Meng-Po zachichotał.

– Tak. Dwa pytania. Ty również potrafisz nabierać. Mason skinął głową.

– Pytaj.

– Co to jest gwiazda morska?

– Ach, tak. Zapomniałem, że nigdy nie widziałeś oceanu.

– Szwagrze – odezwał się Meng-Po, rozglądając się po swoim odizolowanym świecie – od czasu gdy skończyłem pięć lat, nie wyszedłem poza tę klatkę.

Tree i Mason wymienili spojrzenia.

– Niewątpliwie nie z własnego wyboru? – zapytała Tree.

– Dziecku nie pozostawia się wyboru – odparł Meng-Po.

– To brzmi smutno. – Tree pochyliła głowę.

Jeśli poczytacie wielkich poetów, zobaczycie, że smutek zainspirował najlepsze z ich haiku – stwierdził Meng-Po. – Pozwólcie mi skomponować teraz wiersz, aby uwiecznić ten szczególny moment rozkwitu smutku. – Przymknął powieki i delikatnie głaskał białą brodę Kikego. Następnie zadeklamował:

Blednąca róża Płatki spadają na dłoń Mą blednącą dłoń Mason domyślił się, że po śmierci braci Meng-Po uwięziono jak okaz zoologiczny, aby był bezpieczny aż do osiągnięcia męskości.

Chciał o tym porozmawiać z chłopcem, ale wyczuł, że to drażliwy temat. Polubił Meng-Po. Zamierzał tu wrócić i odwiedzić go ponownie, powymieniać się haiku. Być może, wtedy będzie mógł zapytać przedwcześnie dojrzałe dziecko o życie w tym mieście.

Kiki wydał z siebie dźwięk przypominający słowo cukierek w języku mandaryńskim – *bingtang*. Wyciągnął przed siebie małe, czarne łapki.

Mason uniósł brwi.

– Czy on powiedział właśnie to, co mi się wydawało?

– Och, ciągle skamle o jedzenie. Pękaty, mały Budda. – Palce Meng-Po przejechały po białym futerku, które zwieszało się niczym broda i zmieniało w jasną biel na cynamonowej klatce piersiowej Kikiego. Połaskotał małąkę mędrca po brzuchu.

– Bingtang – powtórzył Kiki – bingtang, bingtang. Tree opadła szczęka.

– To... to niewiarygodne – wyjąkał Mason. Meng-Po uniósł brew. – Że lubi łakocie?

– On umie mówić! – wyrzuciła z siebie Tree.

– Szymp-an-sy nie potrafią mówić?

Tree pokręciła tylko głową z oczami szerokimi ze zdumienia.

– Szimpansy nie posiadają strun głosowych przystosowanych do mówienia – wyjaśnił Mason. – Naukowcy próbują nauczyć szimpansy języka znaków. Ale ten przypadek jest wprost niewiarygodny.

Meng-Po uśmiechnął się.

– Kiki, powiedz „cześć” naszemu nowemu przyjacielowi, May-Son. Posłuchaj, Kiki: May-Son, May-Son.

Małpka-mędrzec zbliżyła się do prętów i wysunęła przez nie szczupłą łapkę. Mason ujął ją, uśmiechając się szeroko.

– Jesteś Einsteinem naczelnym, mały kolego – odezwał się po angielsku.

– Kiki, obserwuj moje usta – polecił Meng-Po. Zacisnął wargi i wypowiedział z naciskiem głoskę m. – Mmmmmmmaaaay-Son. Mmmmmmmaaaay-Son. May-Son.

Zwierzę zacisnęło wargi i powtórzyło bezbłędnie dźwięk m:

– Mmmmmmm.

– Coś niesamowitego! – Krzyknął Mason. – Fantastyczne!

– Mmmmmm-mmmmmm-mmmmmmmaaaay-Son! – powiedział Kiki. Mason i Tree podskoczyli ze zdumienia.

– Niesłychane! – wrzasnęli chórem.

Meng-Po roześmiał się. Kiki zaskrzeczał i wykonał kilka piruetów.

– Mmmmmmmaaaay-son. Mmmmmaay-son – powtórzyła małpka.

– Kiki, przywitaj się z Tree. – Meng-Po wypowiedział dobitnie: – T-rrrreee. Tree.

Małpka-mędrzec powtórzyła:

– T-rrr-eee. Trrreee. Trrreeeeeeee.

Tree klepnęła Masona po plecach i obydwójce roześmiali się głośno.

– Nie mogę w to uwierzyć – wykrztusiła.

– Mmmmay-son, Trrreeeeee – odezwał się Kiki. – Bingtang. – Wyciągnął łapki.

– Proszę, dajcie mu to – powiedział Meng-Po, sięgając do lakierowanego pudełka i wręczył Masonowi niewielkie ciasteczko z rodzynkami. – Uwielbia nagrody, kiedy coś zrobi dobrze.

– Kiki, zasługujesz na całą cukiernię – krzyknął Mason, podając ciasteczko. Małpka-mędrzec wzięła poczęstunek z dużej dłoni Masona szczupłymi, czarnymi palcami.

Tree podeszła do klatki.

– Jesteś najmilszą, najprzystojniejszą, najbardziej błyskotliwą małą małpką na świecie – powiedziała czule. – Czyż nie jest tak, Kiki? – Sięgnęła przez żelazne pręty i pogłaskała miękkie, cynamonowe futerko na grzbiecie stworzenia.

Kiki podniósł łepkę ze sterczącymi białymi włosami i popatrzył na Tree inteligentnymi bursztynowymi oczami. Opadające białe wąsy zadrżały, kiedy ją wachał, rozszerzając czarne nozdrza.

Następnie zrobił coś, czego żadne zwierzę nie potrafiłoby zrobić. Obdarzył Tree czułym, ludzkim uśmiechem.

Rozdział 19

Tree i Mason odprężyli się w gorącej źródlanej wodzie, rozkoszując się kąpielą i wzdychając co chwila.

Okragłe otwarte okna ciągnęły się dokoła wysokiego kopulastego sklepienia kolistej łaźni na tyłach pałacu. Okna nie miały zasłon, ale na tej wysokości nie było komarów. Za każdym portalem migotały gwiazdy, zaglądając przez rozdarcia w metalowej siatce, która okrywała woalem bezksiężycowe niebo. Lampy z olejem palmowym oświetlały dwa nagie ciała, rzucając delikatne, drgające żółte i złote światłocienie, perfumując wilgotne powietrze.

Parująca woda tryskała z pyska polerowanej mosiężnej ryby; druga metalowa ryba pluła lodowatym strumieniem do owalnego basenu. Tree przekreśliła jej płetwy grzbietowe, zamykając wodę. Uśmiechnęła się do Masona. Odwzajemnił się krzywym uśmiechem i wyglądał na mocno zdenerwowanego.

– Rozluźnij się. – Dotknęła jego ręki. – Byliśmy przyjaciółmi, zanim zostaliśmy kochankami. Dokonaliśmy tego już wcześniej. – Jej piersi zanurzyły się w wodzie, gdy zbliżyła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. – Ja nie tylko cię kocham, Mason – szepnęła mu wprost do ucha. – Ja cię lubię. Zawsze przede wszystkim będziesz moim przyjacielem. To ważne.

Z trudem przełknęła ślinę. Prawą ręką zaczęła masować mu plecy i szyję.

– Kochanie, wszystko dobrze – odezwała się. – Po prostu zrobimy, co w naszej mocy. Nic nie szkodzi spróbować.

Silne dłonie zsunęły się po bliźniaczych wzniesieniach z tyłu jej ciała, palce pieściły kontury każdego kręgu, masując napięte mięśnie.

– Mmmmm – westchnęła – twoje dłonie zawsze wiedzą, gdzie podążyć. Jak miło znowu czuć ten dotyk.

Tulili się do siebie w milczeniu. Paliwo w wonnych lampkach topniało, podczas gdy gorąca kąpiel i masaż działały jak uzdrawiająca magia. Tree czuła, jak pancerz Masona topi się pod jej palcami. Zasypała go pocałunkami, zatrzymując się na szyi. Słonawy pot okrył wilgocią jego skórę. Przymknęła oczy.

– Boże, całowanie cię wydaje się takie naturalne. Urodziłam się, aby cię całować.

Pocałunki podążyły wzdłuż jego szyi, aż usta znalazły dojście do jego ust, jego oddechu. Wargi rozchyliły się niczym płatki, a języki zatańczyły jak wygłodniałe pszczoły. Wstali, ociekający wodą, napełniając powietrze gorącą wilgocią.

Pochyliła głowę i szarpnęła ustami mokre włosy na klatce piersiowej Masona.

– Tree...

– Ciiii... Wszystko dobrze. Nie myśl o niczym. Żyj chwilą obecną.

Język zataczał kręgi wokół jego brodawek, aż nabrzmiały i stwardniały, niczym czerwone ziarna indyjskiej kukurydzy. Zbliżyła się i potarła je swoimi sterczącymi brodawkami. Uczucie pocierania jedwabiu o jedwab sprawiło, że zadygotała z rozkoszy.

– Tree, nie jestem pewien...

– Pssst. – Położyła palec na jego ustach, po czym musnęła je delikatnie wargami, by po chwili przycisnąć je łakomie.

Sztywna wieża wyrosła pomiędzy jego nóg.

– Widzisz? – odezwała się. – Możesz, kochanie.

Kładąc ręce na jego biodrach, kazała mu wysunąć się z wody, aż usiadł na wyłożonej płytkami podłodze. Nigdy dotąd nie wydawał się jej tak potężny, poorany żyłami. Jej palce pieściły go nieustannie, w miarę zsuwania się w dół. Gorące. Pulsujące. Lawirowała ustami, językiem i palcami. On poruszał się z lekka, wiedziony jej zakłębieniem.

Nawet stojąc w wodzie, czuła wilgoć między udami.

– Chcę cię mieć w środku. – Weszła po schodkach łaźni, wzięła za rękę i poprowadziła do szerokiej kanapy.

Popchnęła go zdecydowanym ruchem na plecy i trzymała w takiej pozycji, wpatrując się w jego szare oczy z siłą rozpierającej ją żądz i determinacji. Kropelki wody spadły na mocno zarysowane mięśnie klatki piersiowej Masona. Przełożyła ponad nim nogę i strużka wody spadła na jego sztywny członek. Ugięła nogi w kolanach i jęk rozkoszy wydarł jej się z gardła.

Napięła mięśnie brzucha, gdy jej wnętrze zacisnęło się na tym, za czym tak bardzo tęskniło. Po każdym powolnym ruchu ich włosy mieszały się razem – brzoskwiniowe i czarne – a ona opadała na niego całym ciężarem.

– Boże, tak – wyszeptwała. – Napelnij mnie. Nie przerywaj. Tak długo tego pragnęłam...

Niespodziewanie członek zwiotczał.

– Kochanie, wszystko dobrze – powiedziała, pochylając się i całując go w usta. – Rozkoszuj się chwilą, zapomnij o wszystkim, odczuwaj to w pełni.

Nie przestawał kurczyć się niczym przedziurawiony balon.

– Ja... ja... przepraszam.

– Nie mów. Nie mów nic. – Zniżyła usta ku penisowi, a jej włosy spłynęły na jego pofałdowany brzuch. Czuła w ustach, jak robi się pusty, nie ciężki jak przedtem. Starła się wykorzystać swą magię, lecz nikał coraz bardziej.

Mason zakrył dłonią oczy.

– Tree, ja po prostu nie mogę... Kiedy zbliżam się do ciebie, no wiesz, w ten sposób, wzbiera we mnie tyle smutku i wydaje mi się, że tonę. Seks jest wtedy spychany na samo dno. – Poblądł.

– Ja tonę, Tree. Nie mogę oddychać.

Obróciła się i usiadła na skraju kanapy.

– Ale czemu? Dlaczego w takiej chwili smutek? Przecież się kochamy, czyż nie?

– Gib...

– Gib nie żyje. Ja też go kochałam. Był moim bratem, Mason, on był moim bratem. Wciąż go kocham, brakuje mi go. Ale pozwoliłam mu odejść. Dlaczego ty nie zrobisz tego samego? On nie chciałby, żebyś go tak długo oplakiwał, przez tyle lat. Bardzo by mu się to nie podobało. Gdyby Gib stał tu obok nas, kopnąłby cię w tyłek.

Mason spuścił głowę, kręcąc nią niepewnie.

– Ty nie wiesz, co się wydarzyło – wyszeptał.

– Nie dbam o to, co się wydarzyło. To było wtedy, ta cholerna wojna. Teraz jest teraz.

Westchnął i ukrył głowę w dłoniach.

Tree chwyciła go za podbródek, szarpnęła nim z całej siły do góry i przycisnęła usta do jego ust. Kiedy Mason przerwał pocałunek, zasypała go gradem uderzeń pięściami po piersiach.

– Kochaj się ze mną. Pragnę cię teraz. Nie zatracaj się w przeszłości. Mason zakrztusił się i zaczął sapać jak astmatyk.

– Odsuń się. Pozwól mi wstać. Nie mogę oddychać. – Wyswobodził się z jej objęć i wyszedł chwiejnym krokiem z pałacowej łaźni.

Tree wstała, tupnęła nogą o posadzkę i wybuchnęła niepohamowanym wrzaskiem.

– Bardzo chciałbym się z tobą kochać, Tree. Chciałem tego od chwili, gdy cię ujrzałem.

Obróciła się i ujrzała Domina Cruza, opierającego się o framugę drugiego wejścia. Stała oniemiała. Mężczyzna wszedł do środka, a za nim weszło kilkanaście młodych dziewcząt, odzianych w szaty z emblematami tygrysa. Miał na sobie błękitny ubiór z zielonym smokiem na piersiach, podkreślonym złotosrebrnymi nićmi. Z jednego przekłutego ucha zwieszała się złota papryka, a na szyi dyndała figa – pięść z kciukiem wstającym z zaciśniętych palców, łaciński symbol płodności, przedstawiający penis wchodzący do pochwy. Domino był o głowę niższy od Tree, krępy i muskularny, o kwadratowej czaszce, grubej szyi i ogromnych czarnych włosach, spływających spod szerokiego nosa.

Tree otrząsnęła się z pierwszego szoku, podniosła z podłogi kimono i owinęła się nim dokładnie.

– Jak długo tu stałeś?

– Drzwi były szeroko otwarte, *amiga*.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Ciebie również miło widzieć, Tree.

– Do diabła. Przestraszyłeś mnie. Co tu robisz? Podglądałeś nas?

– Zupełnie przypadkowo, wierz mi. Wybacz, proszę. Ale rzeczywiście dowiedziałem się, że macie problem.

– To sprawa między Masonem a mną. Proszę, uszanuj naszą prywatność. Domino uniósł

ręce.

– Oczywiście. Dlaczego miałbym wtykać nos w wasze sprawy osobiste? – Zbliżył się do gorącego źródła i spojrzął na przejrzystą wodę. – Ładnie. Naprawdę ładnie. Mam taką we własnym pałacu. – Zachichotał. – Hej, jak ci się podoba w tym miasteczku?

– Próbujemy znaleźć sposób na wydostanie się stąd. Słyszałeś coś o szlaku, który prowadzi przez tę górę do dżungli?

– *Mierde*. Mnie się tak nie spieszy. Szczerze mówiąc, nie mam zamiaru stąd pryskać. Jestem tutaj jak bóg. – Rozpostarł ramiona w kierunku swego haremu. – To raj dla każdego z jajami. – Zmrużył czarne oczy. – To dlatego Mason chce stąd uciec, no nie? On nie jest prawdziwym mężczyzną. Służki mają oczy; krąży plotka, że jeszcze nie był w łóżku ani z tobą, ani z tą drugą.

Tree poczuła na twarzy gorący rumieniec.

– Mason jest najbardziej męskim facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, a spotkałam wielu takich pseudotwardzieli jak ty.

Domino odwzajemnił jej piorunujące spojrzenie.

– Nie spiesz się tak ze zniewagami pod moim adresem, *amiga*. Pamiętaj, ja ciebie nie potrzebuję, ale ty niewątpliwie potrzebujesz mnie.

– Do czego? Żeby pożyczyć od ciebie kolczyk?

– Chyba muszę powiedzieć to za ciebie. Masonowi nie staje. Potrzebujesz mnie, żeby zająć w ciąży. Drugi mężczyzna w tym mieście ma jedenaście lat. – Schwycił za rękę jedną ze swoich żon i przyciągnął ją do siebie. Białe szaty wydeły się na brzuchu młodej dziewczyny. – Spójrz. Zapłodniłem już osiemnaście żon. Osiemnaście.

– Spadaj stąd! – warknęła Tree. – Idź zapładniać kolejne. Mnie to nie interesuje.

Postąpił krok do przodu.

– Nie przesadzałem mówiąc, że jestem tu jak bóg. Mogę dostać wszystko, czego pragnę. Chcę cię od Canaimy. – Uśmiechnął się przez gęste wąsy. – Może powinniśmy zacząć zaloty?

Odepchnęła go mocno, kiedy sięgał do jej kimona, ale był od niej cięższy i nie przestawał napierać. Cofała się, aż oparła się o kanapę.

– Powiedziałaś ci – zasyczała. – Nie jestem zainteresowana. Zatrzymał się z bezczelnym uśmiechem na twarzy.

– Przemyśl to, Tree. Daj spokój. Po co odwlekać to, co nieuniknione?

W drzwiach pojawiła się K'un-Chien z napiętym cisowym łukiem. Cięciwa dotykała nosa, czubek strzały był wycelowany prosto w pierś Domina. Mięśnie przedramienia napięły się. Łuk nie drżał. Kobiety z haremu Domina stały nieruchomo, sparaliżowane strachem, z wyrazem przerażenia na twarzach.

– Nie jesteś tu mile widziany – odezwała się K'un-Chien niskim, spokojnym głosem. – Pierwsza żona chce, żebyś odszedł. Zrób to, proszę, natychmiast.

Domino odstąpił od Tree.

– Zaczekaj. Powiedz jej, że nie mówię zbyt dobrze po chińsku. Tree uśmiechnęła się chłodno.

– Mówisz językiem łuku i strzały?

– Taak, taak. Już mnie tu nie ma. – Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku łaźni, wlokąc za sobą liczny harem. Zatrzymał się w drzwiach i obrócił twarzą do Tree.

– Z tego, co widzę, czas przecieka ci przez palce. Kiedy zegar wybije godzinę zero, będziesz musiała przyjść i poprosić mnie, żebym cię przeleciał. Wtedy się nad tym zastanowię. Może, jak będziesz mnie błagać albo mi zapłacisz...

– Wynocha! – wrzasnęła.

Domino uśmiechnął się bezczelnie i wyszedł.

K'un-Chien opuściła łuk i spojrzała prosto w oczy Tree.

W tej kobiecie nie było ani śladu nieśmiałości czy słabości. Tree wydawało się, że patrzy w jasne, nieustraszone męskie oczy.

Odwróciła się plecami do K'un-Chien, przerywając silny strumień energii, jaki przepływał pomiędzy nimi. Opadła ciężko na skraj kanapy, ukryła twarz w dłoniach i załkała.

Nic się nie układało, a czas umykał nieubłaganie. Mason nie mógł się z nią kochać. Domino – ta świnią – miał rację. Ona naprawdę potrzebowała jego usług, aby zająć w ciąży. A co więcej, mimo emocjonalnego oporu, jej niepokojąca wizja seksualnej więzi z K'un-Chien spełniała się.

Rozdział 20

Mason kłęczał na drewnianej podłodze i ćwiczył kaligrafowanie, wodząc długim pędzelkiem po zwoju jedwabnego papieru.

– Doskonale – ocenił Meng-Po. – Radzisz sobie zaskakująco dobrze, jak na nowicjusza.

– Szczerze mówiąc, to nie jest moja pierwsza próba, ale nie mam w tym praktyki. Miałem przyjaciela, który nazywał się Gibraltar, brata Tree. On pokazał mi podstawy. Gib był wspinałym kaligrafem, wielkim malarzem.

– Dwie z trzech perfekcji.

– O tak, i dobrym poetą. Był doskonały we wszystkim.

– Człowiekiem oświeconym. Mason pokiwał głową i westchnął.

– Mój najlepszy przyjaciel. Został zabity w czasie wojny w kraju leżącym niedaleko Chin.

– Przykro mi – odezwał się delikatnie Meng-Po. – Taka jest karma.

– Tak, tak przypuszczam. Karma. Jego i moja.

Mason nie zmrużył oka przez całą noc, nie mogąc dojść do siebie po porażce z Tree; przytłaczała go wielka odpowiedzialność. Miał nadzieję, że czas spędzony z Meng-Po pomoże rozjaśnić mu umysł, by myśleć twórczo i obmyślić plan ucieczki. Uśmiechnął się do swego młodego przyjaciela. Towarzystwo tego chłopca koło niczym prawdziwy balsam.

Meng-Po upuścił trzy kropelki wody do kamiennego kałamarza w kształcie kwiatu lotosu. Miażdżył pałeczką sosnową sadzę zmieszaną z klejem zwierzęcym, aż mieszanka zmieniła się w tusz.

– Razem z Tree przebyliście długą drogę do Chung Kuo, Państwa Środka, ojczyzny moich przodków. – Zanurzył pędzelek z ludzkich włosów w lśniącym płynie w kałamarzu. – Ja osobiście nigdy nie widziałem niczego poza zboczami tej doliny.

Szybkim ruchem pędzelka narysował na białym polu gaj bambusowy, nakładając kleistą substancję nagłymi uderzeniami, malując rośliny w tradycyjnym porządku: łodygi, gałęzie, liście. Meng-Po nauczył Masona, że klasyczni malarze uznawali czerń za najważniejszy kolor i wiele pejzaży namalowano czarnym tuszem. Jego bambusowy gaj tętnił życiem.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem w Chinach – przyznał Mason. – Tree i Gib dorastali tam w mieście zwanym Nankin. Większość moich podróży dokonała się poprzez książki.

– To nas łączy. Czytałem wiele dzienników z wypraw nadwornych historyków różnych dynastii, począwszy od dynastii Shang aż po Ming. Dowiedziałem się o siedmiu wyprawach Floty Skarbów Zheng-He i wielkiej ekspedycji założyciela tego miasta, Ko T'ung Jen. Czy Nankin nie był jego domem?

– Tak, ojciec Tree fascynował się Ko T'ung Jenem. Przeprowadził się wraz z dziećmi z kraju nazywanego Anglią do Chin, aby zgłębić zapiski starożytnych dworów tego miasta. Był

przekonany, że Ko pożeglował do Nowego Świata i założył tam kolonię; lecz jego koledzy drwili z niego.

– Pewien mędrzec powiedział kiedyś: „Problem nie w tym, że ludzie po prostu nie wiedzą, lecz że wiedzą tak wiele rzeczy, które są nieprawdziwe”.

Mason rozejrzał się po pałacowej komnacie.

– Jestem pewien, że wielka szkoła wszystkowiedzących spokorniałaby na widok rzeczy z tego zadziwiającego miasta.

– Bez wątplenia i twój świat oferuje niespodzianki, które zadziwiłyby mieszkańców mego miasta.

– Młody nauczycielu, czy wolno mi zadać ci pytanie?

– Oczywiście. Pytaj, o co tylko zechcesz. To zachęci mnie do zadawania pytań tobie. O tak wielu rzeczach chciałbym się dowiedzieć.

– Dlaczego nie wolno ci wyjść poza obręb tej klatki?

Meng-Po westchnął i położył pędzelek na emaliowanej podstawie. Pogłaskał białe włoski Kikiego i zmienił miejsce na małej kanapie wewnątrz klatki.

Mason wyczuwał skrępowanie chłopca, ale za wszelką cenę chciał zrozumieć zasady działania tej szczególnej społeczności.

– Pytałem K'un-Chien, lecz odpowiedziała, że nie może o tym rozmawiać.

– May-Son, postanówmy, że między sobą możemy rozmawiać o wszystkim, lecz to, co tu powiemy, nie może się rozprzestrzenić niczym tusz w wodzie.

– To zrozumiałe, lecz chciałbym cię prosić o jeszcze jedno pozwolenie. Czy mogę dzielić owoce naszej dyskusji z jednym przyjacielem?

– Tree?

Mason pokiwał głową.

– Ufam jej od czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Musimy wspólnie przeanalizować i zrozumieć nasze położenie.

– Jej oczy płoną wielkim uczuciem, kiedy patrzy na ciebie – stwierdził Meng-Po. – Masz moje pozwolenie, aby podzielić się z nią naszą rozmową. Pod jednym warunkiem.

Mason przytaknął.

– Że odwiedzi mnie niebawem. Chcę mieć kolejną okazję, aby podziwiać jej włosy utkane ze wschodu słońca.

– Przybędzie po twoją poezję, kiedy przekażę jej te słowa. Meng-Po głęboko odetchnął.

– Chciałeś wiedzieć, dlaczego żyję odizolowany w strzeżonej klatce, wewnątrz strzeżonego pałacu. Odpowiedź skąpana jest w smutku. Kiedyś miałem dwóch starszych braci. Tego samego strasznego popołudnia utonęli wraz z moim ojcem. Ich śmierć pozostawiła jedynie jedno Wielkie Źdźbło w naszym społeczeństwie. – Oczy chłopca zamglily się. – Jak bardzo bym

chciał, żebym to nie był ja.

– Przykro mi z powodu tej straty – odezwał się Mason. – I chyba rozumiem: Twoi bracia umarli, więc musisz przebywać w tej klatce, z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

– Właśnie tak. Miałem pięć lat, kiedy zdarzyła się ta tragedia. Jeszcze tego samego dnia cesarzowa wydała rozkaz wybudowania tej klatki. Nie grozi mi tu żadne niebezpieczeństwo, chyba że sama ziemia pochłonie pałac.

Mason zagwizdał cicho.

– Sześć lat.

– Sześć lat, dwa księżycy, dziesięć słońc – dodał Meng-Po. – Mam to na moim *suan p 'an*.

Kiki zeskoczył na posadzkę i po chwili powrócił z chińskim abakiem. Kolorowe koraliki oznaczały kolumny jedynek, dziesiątek, setek, tysięcy, dziesiątek tysięcy.

– Dziękuję, Kiki. Nie potrzebuję go teraz. Proszę, odłóż na miejsce. Mason nie posiadał się ze zdumienia, gdy małpka-mędrzec odłożyła *suan p 'an* do szuflady w rzeźbionym mahoniowym biurku.

– Niebawem zostanie wybrana nowa Matka Synów, która zastąpi moją matkę. A kiedy osiągnę męskość, zostanę cesarzem. Poślubię następną Matkę Synów, aby urodziła możliwie jak najwięcej chłopców.

– Rozumiem.

– Ale dopóki nie osiągnę męskości, nie wolno mi opuścić tego złoczonego więzienia – westchnął Meng-Po, zamykając oczy.

Zapadła cisza. Mason zastanawiał się nad położeniem chłopca. Utrata starszych braci i brak innych mężczyzn w żeńskiej społeczności, to naprawdę smutne. Co więcej, Meng-Po był więziony przez całą młodość, oczekując swego przeznaczenia, czyli zaślubin co najmniej kilku setek panien. Niektórzy mężczyźni mogliby pomyśleć, że brzmi to wspaniale – spełnienie marzeń. Ale marzenia i rzeczywistość to odrębne królestwa. Prawdziwe życie z codziennymi obowiązkami z pewnością okazałoby się męczące – wyczerpujące pod względem fizycznym i emocjonalnym. Tak, przez jakiś czas taka sytuacja mogłaby przyprawiać o seksualne dreszcze. Ale w końcu, jak Mason przypuszczał, nuda i samotność przyćmiłyby przyjemność. Męskie triumfy stają się niczym wobec braku braci krwi i ducha.

– Opowiedz mi, Meng-Po, historię K'un-Chien. Być może, nie powinno to interesować cudzoziemca, ale od dawna dręczy mnie pytanie: Jak to się dzieje, że tak piękna istota pozostaje w stanie niełaski?

– To proste: K'un-Chien popadła w niełaskę, ponieważ to moi bracia umarli, a nie ona. Ona tam była, podobnie zresztą jak i ja, w ów dzień, kiedy się to wydarzyło. Gdyby zginęła, próbując ich uratować, pochowano by ją bez wstydu. Albo jeszcze lepiej, gdyby ich uratowała i zginęła zamiast nich, pogrzebano by ją z największymi honorami. A najlepiej, gdyby uratowała ich

przed utonięciem i sama również przeżyła, uważano by ją za wielką bohaterkę. Ale przetrwanie, podczas gdy bracia zginęli, uznano za godne pogardy.

Mason westchnął. Rozumowanie, opierało się na ideach Konfucjusza – Wielkiego Nauczyciela. Poczuł, jak żołądek przewraca mu się na drugą stronę.

– Teraz wszyscy pogardzają K'un-Chien – kontynuował Meng-Po. – Widzisz, wiele starszych dziewcząt zdążyło już w myślach poślubić mych braci i oczekiwało cierpliwie, aż staną się mężczyznami. Mój najstarszy brat, Yu Sheng, był starszy niż ja jestem teraz. – Pochylił głowę i przeczesał palcami miękkie futerko Kikiego; małpka-mędrzec ułożyła się wygodnie na jego kolanach, wydając z siebie niski, gardłowy dźwięk, podobny do mruczenia. – Teraz widzę, jak dziewczęta w ten sam sposób patrzą na mnie. Przynoszą mi podarunki...

– A K'un-Chien? Jak ona podchodzi do tego, co się stało?

– Czuje się winna, że przeżyła. To dlatego nie może znieść tego tematu. Chyba jestem jedyną osobą, która jej tego nie wypomina. Uratowała mnie. Próbowwała ratować naszych braci, lecz przeznaczenie wyrwało ich z jej rąk. – Westchnął ciężko. – Kocham ją. Nie tylko jest moją siostrą wraz z Kikim, jest moim prawdziwym przyjacielem.

Mason wetknął silne ramię pomiędzy pręty i pogładził czarne włosy na głowie chłopca.

– Proszę, dodaj do nich jeszcze pewnego barbarzyńcę.

Meng-Po nie podniósł oczu, lecz schwycił obiema rękami dłoń Masona, przycisnął ją do piersi i trzymał mocno, nie zwalniając uścisku. Milczał, lecz Mason czuł, jak serce łomocze chłopcu w piersiach, drobne ramiona drżą, a gorące łzy skapują na przedramię. Kiki poruszył się lekko, ucałował i poklepał głowę Meng-Po. Mason spróbował wyobrazić sobie wpływ, jaki miała tragedia na Meng-Po, K'un-Chien oraz całą społeczność.

– Pamiętaj, co powiedziałem ci w dzień naszego spotkania – szepnął Mason miękkim basem. – Ty i ja stanowimy bractwo.

Meng-Po podniósł załzawioną twarz do góry i spojrzał na Masona.

– Tak. – Pociągnął nosem i otarł policzki przewiewnym, żółtym rękawem. – Bractwo. Dziękuję ci, starszy bracie. – Ścisnął dłoń Masona, który uśmiechnął się, odwzajemniając uścisk.

– Opowiedz mi, jak to się stało, jeżeli chcesz o tym mówić.

– Mój ojciec wyprowadził nas poza mury miasta, żebyśmy popływali sobie w pięknym źródle. Zima jest suchszą porą roku, a to był wyjątkowy dzień. Słońce stało na niebie przez kilka godzin po południu – zaczął chłopiec. – Próbowaleś tego ciemnoczerwonego miodu, który sprzedają na rynku?

– Najlepszy, jaki kiedykolwiek jadłem, słodki i bardzo wonny, jak kwiaty.

– Kilka uli znajduje się poza murami miasta. Dają złoty miód – dobry, ale nie boski. Nie taki jak ciemny, czerwony miód. Według dziennika kapitańskiego Ko T'ung Jena, te ule zostały zabrane na wyprawę, aż z Państwa Środka.

– Z Chin.

– Tak. Wkrótce po przybyciu, w Roku Koguta, nasi zwiadowcy odkryli niebiański miód, robiony przez tutejsze dzikie pszczoły. Ale, jak z wszystkim co nadprzyrodzone, aby go zdobyć, trzeba sprostać wyzwaniu.

– To znaczy?

– Czerwony miód zbierany jest na Zachodniej Twarzy, w kilku jaskiniach, które zostały wykorzystane jako olbrzymie ule przez ogromne pszczoły, nazywane przez nas *Guan Di* – Bogowie Wojny.

– Brzmi groźnie.

– Tak, niesłychanie groźnie. Zbieracze miodu nauczyli się sztuki przetrwania, uodporniając się na bolesne użądlenia, a także pamiętając, by nie uderzać pszczół. Instynktowne rozgniecenie pszczoły jest śmiertelnym błędem.

– Co się wtedy dzieje?

– Zmiażdżona pszczoła wydziela odór, który błyskawicznie alarmuje pozostałe. Ich żołnierze kłębią się w oddziałach. Podążają za alarmującą wonią do celu i żądla, żądla, aż zwierzę, człowiek lub jakaś bestia przestaje krzyczeć.

– Czy to właśnie stało się z twoimi braćmi? Meng-Po potrząsnął przecząco głową.

– To stałoby się z moimi braćmi i ze mną, gdyby K'un-Chien nas nie uratowała. Szliśmy śpiewając i nie mogąc się doczekać widoku czystej, odświeżającej wody. Ścieżka do źródła biegnie u podnóża Zachodniej Twarzy.

– Trzysta metrów ponad nami, na skalnej półce, jakaś zbieraczka miodu musiała przypadkowo zmiażdżyć pszczołę. Rój dopadł ją w jednej chwili. Usłyszeliśmy krzyk i ujrzeliśmy ją okrytą pszczołami, ciemny, szamoczący się kształt. Odczepiła się od drabiny z lin i spadła jakieś trzydzieści metrów od nas. Kilka tuzinów pszczół żołnierzy skierowało się ku nam, a my popędziliśmy w kierunku wody. Dopadły nas i zaczęły żądlić, od stóp do głów. Ból był straszliwy, lecz wiedzieliśmy, że nie możemy walczyć z pszczołami. Pędziliśmy przed siebie. Tuż przy brzegu ojciec zaczął strzepywać z nas pszczoły, uderzając nas w plecy i w głowy. K'un-Chien krzyczała, żeby przestał, lecz on nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Był barbarzyńcą, tak jak ty, z dalekich stron.

– To okropne.

– Pszczoły uniosły się ponad martwą kobietą i niczym czarna chmura burzowa pomknęły ku nam. Przerażliwie głośnie brzęczenie wypełniło powietrze: Pamiętam odgłos miliona bijących powietrze skrzydełek, świdrujący mi w głowie. K'un-Chien dobiegła do trzciniowej łodzi stojącej na brzegu i ściągnęła ją na wodę, podczas gdy ja wraz z braćmi wskoczyłem w zimną toń. Ciemny kir otoczył mego ojca i nieszczęśnik upadł na kolana, na brzegu; nie wydał z siebie ani jednego okrzyku.

– Nie mogliście długo wytrzymać bez oddechu – wtrącił Mason. – Jak wydostaliście się na powierzchnię?

– K'un-Chien odwróciła łódź dnem do góry i schroniliśmy się tam, mając wystarczająco dużo powietrza do oddychania.

– Sprytne posunięcie. Meng-Po skinał głową.

– Ale moi bracia, pokąsani bardziej niż ja i K'un-Chien, nie mogli otworzyć napuchniętych oczu i wpadli w panikę, słysząc pszczoły hałasujące na zewnątrz łodzi. K'un-Chien uspokoiła nas silnym, spokojnym głosem. Wy tłumaczyła, że pod łodzią jesteśmy bezpieczni. Nurt przesunie nasze schronienie i po jakimś czasie pszczoły odlecą, a my będziemy mogli wydostać się na zewnątrz.

– Rzeczywiście.

– Jej plan niewątpliwie powiódłby się, gdyby nie nasza nieszczęsna karma. Widzisz, o kilka kilometrów w dół rzeki znajduje się miejsce, gdzie robi się jedwab. Jest tam młyn wodny do obracania krosien. Kiedy otwierają śluzę, woda kieruje się do stromego parowu, aż wreszcie spada na duże drewniane koło. K'un-Chien nie zdawała sobie sprawy z naszego położenia, gdy porwał nas wartki nurt. Pędziliśmy w kierunku obracającego się koła wodnego. K'un-Chien schwyciła mnie i moich braci i utworzyliśmy łańcuch, starając się dopłynąć do brzegu, lecz Yu Sheng i Hsiao Chu nie wytrzymali. Obydwu moich braci wciągnął rwący prąd pod koło. Zostali zmiażdżeni.

– Ale to nie była jej wina.

– Jest tylko kobietą. Powinna była umrzeć, ratując swych braci.

– Ale... uratowała ciebie. Nie mogła uratować ciebie i jednocześnie umrzeć, próbując ratować pozostałych braci. Musiała przetrwać, aby ściągnąć na brzeg ciebie.

– Właśnie dzięki temu pozostawiono ją przy życiu. W przeciwnym razie zostałaby wypędzona do górnego piekła.

Mason pokręcił głową.

– Za zbrodnię, że przeżyła, podczas gdy jej bracia zginęli.

– Została odsunięta od społeczeństwa, aby żyć w hańbie.

– Trudno mi pojąć fakt, że jej własna matka nie miała więcej współczucia.

– Szczerze mówiąc, nasza matka, cesarzowa, od samego początku stroniła od K'un-Chien. Odbierała dziecko stara akuszerka, a jak tylko mój ojciec oznajmił cesarzowej, że to dziewczynka, odwróciła się i powiedziała, że niemowlę nie należy do niej. Więc sam wychowywał K'un-Chien, we własnym pałacu. Była jego ulubionym dzieckiem i uczennicą.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem tego. Czy nawet Matka Synów nie rodzi od czasu do czasu córek?

– Oczywiście. Ale za każdym razem odrzuca córki. Każda kobieta w tym społeczeństwie

może mieć córki. Tylko Matki Synów mogą mieć synów. A moja matka jest wyjątkowa pośród nich, ponieważ jej przeznaczeniem jest zrodzić Lung-Hu.

– Skąd to wie?

– Miała wizję.

Mason pamiętał doskonale, co mówiła Tree po odurzeniu uzdrawiającym grzybkim.

– *Ling-Chih*?

– Tak. Cesarzowej wolno brać *Ling-Chih* w celu przepowiedni. Poza tym, używa się go wyłącznie do uzdrawiania.

– Ale kiedy używa się go do leczenia, pacjent również ma wizje, nieprawdaż?

– Tak. Wizje przeszłości oraz przyszłości. Ale tylko cesarzowej wolno zjeść *Ling-Chih* na początku każdej ciąży, aby poznać przyszłość synów. Ta wiedza uznawana jest za kluczową, ponieważ społeczeństwo nasze tak wielką wagę przykładają do mężczyzn.

Słowa te zdumiały Masona. Bingo! Oto jest: Ta jedyna rzecz, którą robi cesarzowa, a której nie robi żadna inna kobieta – zjada grzybek za każdym razem, gdy zachodzi w ciążę.

– A zatem czyż nie przewidziała, że dwóch jej synów utonie? – zapytał Mason.

– Nie. Za pierwszym razem, kiedy wzięła grzybek, zobaczyła, że to ona sama ma urodzić Lung-Hu, którego przyjście na świat zostało przepowiedziane w czasach panowania pierwszej cesarzowej. Za każdym razem powracała do tej samej wizji, w której była matką Smoka-Tygrysa. Nie przewidziała tragedii, jaka dotknie jej cesarską linię.

Mason siedział w milczeniu, trawiając to, co właśnie usłyszał. Odczuwał wielką ochotę podzielenia się tymi rewelacjami z Tree. Musieli znaleźć sposób, aby wykorzystać tę informację, być może, był to nawet klucz do ich przetrwania i ucieczki.

– Cesarzowa oczywiście musi ponownie zająć w ciążę, aby zrodzić Smoka-Tygrysa – odezwał się Mason.

– Tak – odpowiedział Meng-Po. – Dlatego ty i Domino jesteście dla niej tak ważni.

– Co takiego?

– Księżyc osiągnie pełnię za dwa dni. Wtedy ma miejsce ceremonia Ho Ch'i, podczas której wszyscy spożywają nasionka miłości. Tam, w świątyni, ty i Domino odbędziecie stosunek płciowy z Matką Synów.

Rozdział 21

Mason pospieszył z powrotem do pałacu. Chciał biec, lecz w ten sposób tylko zwróciłby na siebie większą uwagę. Mijające go pary lub grupy kobiet przyglądały mu się zdumione – anomalia w postaci mężczyzny pośród powodzi kobiet. Na widok okrągłych drzwi do pałacu ruszył lekkim truchtem. Przez dziury w misternych rzeźbieniach ujrzał przechadzającą się Tree. Kiedy otworzył drzwi, natarła na niego.

– Nie uwierzysz, czego dowiedziałam się od K'un-Chien! – krzyknęła wyraźnie podekscytowana. – Wiem już, gdzie jest to przejście do dżungli, poznałam tajemnicę kobiety-smoka i kobiety-tygrysa...

– To dopiero nowiny! Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, bo zaczyna nam się palić grunt pod stopami. Dziś wieczór powinniśmy dać nogę.

– Co się stało?

– Chodź, zajrzemy do ogrodów. Opowiem ci o wszystkim. Jestem zbyt zdenerwowany i nie mogę usiedzieć spokojnie.

Wyszli na zewnątrz. Wkrótce drobny kapuśniaczek i wilgoć zmieniły pofalowane włosy Tree w niezliczoną ilość loczków. Pospieszyli wzdłuż kolumnady przechodzącej w strome schody o bambusowej poręczy, wypolerowanej do połysku przez tysiące ludzkich dłoni. Stopnie prowadziły w dół do ogrodu wielkości kortu tenisowego, który zdawał się obejmować zasięgiem swych zielonych granic kilkanaście odmiennych ogrodów. W jednej części krzaki miały kształt ciał kochanków, w innej znajdował się prostokątny pas żwiru rozmiarów półtora na trzy metry, który zagrabiono we wzory równoległych linii otaczających kamienie; w centrum ogrodu pośród górskiego krajobrazu, miniaturowych szczytów i wodospadów szemrał potok; staw u podnóża małych gór przykuwał wzrok kolorową głową lwa i rybami.

Tree usiadła na kamiennej ławce niedaleko ulubionej części ogrodu Masona – lasu miniaturowych tropikalnych drzewek *bonsai*. Mason nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że za moment wyłoni się zza drzewa jaguar mierzący dwa centymetry i zacznie ocierać swe szorstkie futerko o ostrą korę wysokiego na trzydzieści centymetrów dębu.

Tree poklepała zachęcająco kamienną ławkę naznaczoną smugami czerwonego skalenia.

– Nie, dziękuję. Będę łaził w tę i z powrotem jak szalenciec, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Zgoda. Pozwól, że ci opowiem, czego się dowiedziałam – zaproponowała. – Zadawałam K'un-Chien pewne, hmm... kobiece pytania. Za kilka dni dostanę okres i zastanawiałam się, czego tutejsze kobiety używają jako tamponów. Powiedziała, że używają cienkich rolek bawełny robionej przez kobiety-tygrysy dla innych kobiet-tygrysów. Zdziwiło mnie, że wymieniła akurat kobiety-tygrysy, więc zapytałam o kobiety-smoki. Wyraźnie się zmieszała, a potem wybuchnęła śmiechem, myśląc, że żartuję. W końcu powiedziała: „Kobiety-smoki nie krwawią wraz

z księżycem”.

Mason rozdziawił usta i zatrzymał się raptownie.

– No właśnie. – Tree pokiwała głową. – Mnie to też walnęło, jakbym dostała po głowie czymś naprawdę ciężkim i twardym.

– Do cholery, a więc połowa populacji to mężczyźni. Kobiety-smoki nie mają pochwy ani łona, a co za tym idzie, nie doświadczają cyklu miesięczkowego. Przypomniało mi się, co mi mówiłeś o mężczyznach z zablokowanym androgenem – powiedziała Tree. – Mówiłeś, że pierwotna ludzka istota jest rodzaju żeńskiego, a więc bez czynnika hormonalnego, który zmieniłby tę formę, każdy płód rodzi się jako dziewczynka, nawet jeśli posiada chromosomy XY. Powiedziałeś, że kiedy mężczyźni nie mogą odpowiedzieć na własne hormony płciowe, tak naprawdę są kobietami i zwykle odznaczają się nieprzeciętną urodą i wzrostem.

– Kobiety-smoki. Wojowniczkki. Większość z nich przewyższa wzrostem kobiety-tygrysy.

Pokiwała głową.

– A wojowniczkki to wyłącznie smoki, zauważyłeś? Żadna kobieta-tygrys nie zostanie wojowniczką.

– Smoki i tygrysy zaślubiają się między sobą. Wszystkie pary, to pary typu smok-tygrys.

– Zgadza się. Kiedy dzieciaki osiągają wiek dojrzałości, rozpoczyna się separacja: podział na smoki i tygrysy w zależności od tego, czy krwawią co miesiąc, czy też nie.

Mason zataczał kółka, szarpiąc nerwowo swoje gęste kędziory, prostując je i puszczać tak, że sprężynowały miękko.

– W porządku, posłuchaj. Kawalki układanki wpasowują się w swoje miejsca – stwierdził. – Dowiedziałem się, że cesarzowa zjada *Ling-Chih* za każdym razem, gdy zachodzi w ciążę, aby poznać los swych synów. Żadnej innej kobiecie nie wolno używać tego grzyba w tym celu.

– A zatem jesteśmy w domu. To jest właśnie to, co robi ona, a czego nie robi żadna inna kobieta.

– Zgadza się i chyba zaczynam rozumieć działanie tego mechanizmu. Cesarzowa ma uszkodzony gen, tak samo, jak wszystkie tutejsze kobiety, lecz kiedy zachodzi w ciążę...

– Zjada ten grzybek i uaktywnione androgeny powodują rozwój cech męskich.

– Taak albo może jest to po prostu jak gdyby przełącznik. Gen sam w sobie jest w porządku, lecz wyłączony, a *Ling-Chih* działa jak rozrusznik.

– A, może to infekcja wirusowa? – Ten grzyb jest tylko gospodarzem dla wirusa modyfikującego DNA?

– Możliwe. Podoba mi się takie wyjaśnienie. Jakikolwiek by był mechanizm działania, zamiast pseudohermafrodytów, płody XY zmieniają się w normalnych, zdrowych mężczyzn – jak Meng-Po i jego bracia.

Mason ponownie poczuł dreszcz lęku, zdając sobie sprawę z niezwykłych właściwości

Ling-Chih.

– Rozmawiamy o cudownym leku... o czymś niesamowitym. Tree uniosła kciuk lewej ręki, niczym trofeum, i pomachała nim.

– Magiczny szlam. – Kciuk zregenerował się prawie całkowicie: kości, stawy, paznokcie i cała reszta. Geny dla nowej tkanki – uspięne w jej przypadku przez kilka dekad – zostały reaktywowane.

Mason wyszczerzył zęby w uśmiechu, który zgasł po chwili, przyćmiony zmartwieniem. Usiadłszy na ławie, powiedział Tree wszystko, czego dowiedział się od Meng-Po. Łzy zalśniły w jej oczach, kiedy usłyszała okrytą tajemnicą historię K'un-Chien. Na koniec Mason poinformował ją, że za dwie noce on i Domino mają odbyć stosunek płciowy z cesarzową.

– A jeśli ona dowie się, że jestem impotentem...

– To prowadzi do innej wielkiej nowiny, jakiej dowiedziałam się od K'unChien – oświadczyła Tree. – Wyjście stąd.

– Gdzie ono jest?

– Szczelina w skale u podnóża Zachodniej Twarzy, wejście do tunelu. Droga do dżungli.

– Powiedziała ci o tym bez oporów?

– Wyglądała na... zaniepokojoną. Ograniczyła się jedynie do zdawkowej odpowiedzi na moje pytanie.

– Ufam jej. Ona nas nie zdradzi.

– O Boże, odnoszę wrażenie, że prędzej by umarła, niż okazała się nielojalna wobec ciebie czy mnie.

– Ale boję się, że zrobią z nią coś strasznego, kiedy spostrzegą nasze zniknięcie.

– Myślałam, że weźmiemy ją ze sobą.

– Naprawdę? Naprawdę tego chcesz?

– A czyż ty tego nie chcesz?

– No cóż... Bardzo chcę, ale... zachowywałaś się w stosunku do niej... jakby tu powiedzieć... dosyć chłodno.

– Moje uczucia względem tej dziewczyny... – westchnęła. – Ciężko to wytłumaczyć. Nigdy nie wspominałam ci o mojej wizji. Miała podłoże seksualne... Zgodność energii. Czułam taką intensywność tylko w jednym przypadku w całym życiu. – Tree wyglądała na rozmarzoną.

Mason musiał odwrócić wzrok od płomieni, jakie eksplodowały w głębi jej oczu. – Sny mogą być tak podniecające – powiedział. – Kiedyś śniło mi się, że kocham się z delfinem... Ten zapach i smak morskiej wody, śliska mgiełka na gładkiej skórze delfina, lśniące, czarne oczy z jasnymi ognikami... Sny mogą zdawać się realne, pomimo częstego braku logiki.

– Och, wtedy to nie był sen, Mason. To nie sen. – Pokręciła gwałtownie głową. – Szczerze mówiąc, przerażałam się. Od tego czasu opieram się K'unChien.

– Ale... jej się trudno oprzeć, nieprawdaż? Tree uderzyła go w ramię.

– Te słowa powinny wywołać u mnie ukłucie zazdrości. Ale nie wywołują... Ja... Mnie po prostu chodzi...

– Nie musisz przeproszać. Chodzi ci o to, że łatwo ją pokochać. Jest czarująca. Ona nie może przestać być pociągająca, podobnie jak my nie możemy oprzeć się jej wdziękowi.

Kiwnął głową.

– Jeżeli K'un-Chien jest uwodzicielką, to nie jest to uwodzenie diabelskie. Jest anielskie.

– Ma w sobie coś tajemniczego. Tym razem intuicja nie podpowiada mi co. Coś, co dręczy mą duszę. Ona jest inna niż wszystkie kobiety, jakie do tej pory spotkałam.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Urodziła się i wychowywała w kulturze konfucjańskiej. Jej świat jest całkowicie różny od świata którejkolwiek z twoich przyjaciółek, nawet twoich nowoczesnych chińskich koleżanek. Jest córką starożytnej dynastii Ming.

– Nie, nie. Nie o to mi chodzi. Zdziwiła się, gdy nie wiedziałam, że kobiety-smoki nie mają menstruacji. Dorastała z Amazonkami, na miłość boską. Ale to nie o to chodzi.

– W takim razie o co?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Nie mam pojęcia. Ale musimy zabrać ją ze sobą. Tego jestem pewna. Jeżeli się zgodzi.

– Zgodzi się, jeśli jej rozkażę. Jest moją żoną. Według Konfucjusza należy do mnie. Możemy przejść przez mury dzisiaj w nocy i bez zwłoki skierować się do tego przejścia. Będziemy potrzebować żywności i wody. Pochodni do jaskiń. Podarunków dla Yanomorduro.

– Mason, boję się.

– Ja też. – Przytulił ją i poczuł serce łomoczące pod małymi piersiami. Położyła mu głowę na ramieniu, wciskając nos w muskularną szyję.

– Założę się, że Penelopa wachała kiedyś szyję Odyseusza – odezwała się cicho. – To dodaje otuchy.

– Tree, wiesz, że musimy powiedzieć Dominowi. Cofnęła się o krok, nie spuszczać z niego wzroku.

– Nie ufam mu i wątpię, żeby chciał stąd odejść.

– Lecz w dalszym ciągu uważam, że powinniśmy mu powiedzieć. Jeśli uciekniemy bez niego, mogą go ukarać lub zabić w odwecie.

Westchnęła.

– Chyba masz rację.

– Wiesz, że tak jest. Jeśli będzie chciał iść, musimy go zabrać.

Tree miała ten sam wyraz wstępu na twarzy jak wtedy, gdy zatopiła zęby w ciele tarantuli.

Rozdział 22

K'un-Chien stanęła okrakiem nad linią narysowaną kredą na podłodze, rozstawiając gołe stopy na szerokość ramion – jedna stopa równoległe z linią, a druga pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Używając trzech palców, naciągnęła cięciwę i przycisnęła kciuk do szczęki tak, że rzemień wcisnął się w skórę na podbródku, ustach i nosie. Wypuściła powietrze z płuc, a wraz z nim myśli i obrazy. Skoncentrowała się na słomianym celu w kształcie niedźwiedzia. Rozprostowała palce. Rozległ się syk. Strzała pomknęła i zagłębiła się aż po pióra.

– W samo serce! – krzyknął z zachwytem Meng-Po. – Och, szkoda, że nie mam takich umiejętności jak ty.

– Jesteś dużo lepszy niż ja, kiedy byłam w twoim wieku – pocieszyła go K'un-Chien. – Po prostu pamiętaj o tym, co ci powiedziałam: rozprostuj palce, lecz nie szarp łukiem w górę po puszczeniu cięciwy.

Wewnątrz komnaty z połączonych prętów Meng-Po naśladował postawę siostry. Naciągnął łuk, zatknął kciuk pod szczęką. Uwolnił strzałę. Wystrzeliła kilka stóp za wysoko, uderzając w przeciwległą ścianę pałacu z lekkim stuknięciem.

Jęknął.

– Wybacz mi, nauczycielko, że mam tyle samo słomy w głowie, co ten niedźwiedź.

– Nonsens – zaprzeczyła. – Widziałeś, jak szybko pomknęła strzała? Popatrz, ugodziła w ścianę. To duży postęp.

– Tak. Kiedy zostanę cesarzem, będą mnie sławić za walkę z atakującymi ścianami.

Roześmiała się.

– Mały bracie, musisz popracować nad koncentracją. Pamiętaj: łucznictwo to umiejętność zarówno umysłu, jak i ciała. Znowu pozwoliłeś łukowi podskoczyć, kiedy wyzwał swoją moc. Obserwuj moje ramię.

Jednym, płynnym ruchem K'un-Chien wyciągnęła strzałę z kołczanu, nałożyła na cięciwę, przycisnęła do brody i wypuściła ją prosto w serce słomianego niedźwiedzia.

– Wspaniale! – Meng-Po klasnął w dłonie, a Kiki wykonał krótki taniec w kółko.

– Siadaj – poleciła K'un-Chien. – Opowiem ci pewną historię, jaką usłyszałam od naszej stryjecznej babki, kiedy terminowałam u niej łucznictwo. Zilustruje ona istotę koncentracji.

– Wspaniale. Uwielbiam twoje opowieści. – Meng-Po usiadł, krzyżując nogi na miękkim, ręcznie tkanym dywanie, przykrywającym podłogę jego komnaty; sceny na nim ukazywały wojowniczkę wbijającą włócznię w kark niedźwiedzia. Kiki wspiął się na kolana Meng-Po i położył głowę na jego piersi.

K'un-Chien rozpoczęła opowieść:

– Dwie siostry wojowniczkę zapragnęły poznać tajniki łucznictwa, więc wyruszyły do zamku

adeptek łucznictwa. Po długiej wędrówce dotarły do bram zamczyska, rozłożyły na ziemi kir, na którym zaczęły układać podarunki: ryż, śliwowiec, słowiki w klatkach, łuk z polerowanego żółtego cisu i skórzane siodło z uprzężą. Starsza siostra chwyciła drewnianą rączkę i uderzyła w mosiężny dzwon u bramy – ding-dooooonnnng – rozbrzmiał, połyskując w promieniach letniego słońca. Po chwili pojawiły się służki i wniosły podarunki do zamku wraz z prośbą dwóch wojowniczek o nauki arcymistrzynie. Po kilku minutach służące powróciły, niosąc lektykę z białowłosą kobietą. Pomarszczona skóra na twarzy wyglądała na równie stara jak zwój pergaminu, zniszczony przez dotyk rąk dziesięciu tysięcy uczonych. Przez białe włosy, delikatniejsze od pajęczyny, przeświecała blada, gładka czaszka, tak cienka, że pulsowała z każdym uderzeniem serca bardzo starej kobiety.

– Wybacz nam, mistrzyni – odezwała się starsza siostra. – Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że jesteś tak zaawansowana w latach. Proszę, uczynź nam zaszczyt i zatrzymaj nasze dary ku czci twojej. Być może przekazesz je swoim praprapraprawnukom? – dodała, kłaniając się nisko. – Za twym pozwoleniem razem z siostrą oddalimy się teraz.

Stara kobieta uniosła do góry kościsty, powykrzywiany palec.

– Zaczekajcie. – Słaby szept wypłynął ze ściągniętych ust. – Przybyłyście w godzinę mojej śmierci. Ta kapłanka nachylała pochodnię, aby zapalić pogrzebowe kadzidło, kiedy rozległ się dźwięk dzwonu. Może pozostało mi dostatecznie dużo czasu, aby wyuczyć ostatnią uczennicę. – Przerwała zmęczona, z trudem usiłując zaczerpnąć tchu. – Która z was?

Siostry zerknęły po sobie i wstrzymały na moment oddech. Starsza uniosła ramię i wskazała przez rzekę na czarny punkt na białym kredowym urwisku.

– Tamten kruk na skalnej półce – zaproponowała. – Spróbuję w niego wcelować. – Położyła łuk na ziemi i przywiązała nową cięciwę. Następnie nałożyła strzałę, uniosła łuk pod ostrym kątem i naciągnęła cięciwę.

– Powiedz mi, co widzisz – poleciała mistrzyni.

– Widzę poszarpane urwisko skalnych wapieni – odparła starsza siostra. – Powyginane od wiatru sosny, wyrastające osobliwie ze ściany urwiska. Kilka wron ponad sosnami. I jeden duży kruk siedzący na półce skalnej.

– Wypuść strzałę – nakazała stara kobieta. Wojowniczką puściła cięciwę i strzała poszybowała wysokim łukiem ponad rzeką i utkwiała w wystającym pniu sosny.

– Za twym łaskawym pozwoleniem, starsza siostró, czy mogę spróbować? – zapytała druga wojowniczką.

– Oczywiście. Dołóż wszelkich starań. I pospiesz się, mistrzyni odchodzi. – Istotnie, słaba kobieta charczała coraz głośniejsze, oddychając z coraz większym trudem. Młodsza siostra nałożyła strzałę i napięła łuk ze wszystkich sił.

– Powiedz mi, co widzisz? – wyszeptwała siwowłosa kobieta.

– Widzę tylko kruka. Grubego i lśniącego, niebieskawo-czarnego. Widzę jego wielkie czerwone oko o czarnej źrenicy.

– Puść cięciwę.

– Młodsza siostra posłała strzałę, która poszybowała ponad rzeką i uderzyła w wapienną skałę u stóp wielkiego kruka, po czym z brzękiem stoczyła się w dół zbocza. Rozgniewany kruk zaskrzeczał i zmierzwił pióra.

– Podaj mi łuk – Młodsza siostra wręczyła łuk starej kobiecie. – Podnieście mnie – padło kolejne polecenie. Służki pomogły jej stanąć na nogi, podtrzymując w miejscu.

– Pomóżcie mi naciągnąć cięciwę – zwróciła się do sióstr. Jedna pomogła trzymać łuk, druga naciągała cięciwę. Mistrzynie wycelowała.

– Leć!

– Strzała poszybowała ponad rzeką i wbiła się w oko kruka.

– Wielka mistrzyni! – zakrzyknęły zdumione siostry. – Jakim cudem dostrzegłaś z takiej odległości tego kruka?

– Kruka? Jakiego kruka? – zapytała. – Widziałam tylko olbrzymie czerwone oko z czarną źrenicą w środku.

K'un-Chien uśmiechnęła się i ukloniła przed Meng-Po. Złożył dłonie i odwzajemnił ukłon.

– Wyborna opowieść – ocenił. – Koncentracja to podstawa. Wstał, nałożył strzałę, naciągnął łuk, znieruchomiał i puścił cięciwę. Strzała minęła cel o centymetr i rąbnęła w podziurawioną ścianę.

– Widzisz? – odezwała się K'un-Chien – Dużo lepiej. Dużo lepiej.

– O paznokciec wyżej, a ucztowałbym dzisiaj przy słomianej pieczeni. K'un-Chien roześmiała się, poprawiając żółte jedwabne rękawy zawinięte na muskularnych rękach. – Kocham cię, Meng-Po. Zawsze potrafisz mnie rozśmieszyć. Cieszę się z tych odwiedzin.

– Przyjaciel dostrzeże zmartwienie przyjaciela – stwierdził sentencjonalnie. – Chcesz o tym porozmawiać?

Dziewczyna odwróciła wzrok.

– Czy ma to coś wspólnego z naszymi fascynującymi gośćmi?

Skinęła głową, zamykając oczy i zaciskając wargi, aby powstrzymać napływające łzy. Nie potrafiła jednak stłumić żalu. Gorycz eksplodowała w sercu, wyrzucając na zewnątrz potok łez.

Kiki sięgnął przez pręty i pogłaskał K'un-Chien po włosach. Chwyła jego ciepłe czarne palce i jęczała cichutko, łkając. Meng-Po położył rękę na ramieniu siostry.

– Czy mogę ci pomóc? – zapytał łagodnie.

Pokręciła przecząco głową i wydała z siebie okrzyk bóleści. Przez wiele lat otaczała swoje serce ochronnym murem. Teraz mur pękał w wielu miejscach.

– Wybacz mi tę słabość. – Pociągnęła cichutko nosem. – Jestem tchórzem o zajęczym sercu.

– Jesteś najodważniejszą i najsilniejszą osobą, jaką znam. To błogosławieństwo mieć tak wspaniałą siostrę.

Wyczytała troskę w jego oczach i załkała jeszcze głośniejsz; jego jedwabne szaty rozmazały się w żółte plamy. Płacz stanowił gwałtowny upust powstrzymywanych przez wiele lat uczuć. Czowała, że gdyby całkowicie dała się im ponieść, roztopiłaby się w morzu łez, czyli po prostu umarła. Powstrzymała łkanie, biorąc długie, głębokie oddechy.

– Ja... ja sądzę, że May-Son i Tree zamierzają uciec – wyjąkała.

– Sądzą, że przetrwają w górnym piekle? Potrząsnęła głową.

– Powiedziałaś Tree o tym przejściu.

– A łowcy głów, smoki? Ostrzegłaś ich?

– Wiedzą o łowcach głów, lecz są zdecydowani podjąć ryzyko. Jeszcze im nie powiedziałam, że smoki strzegą wyjścia, lecz nie sądzę, żeby to ich powstrzymało. Och, mały bracie, jestem zakochana i to tak bardzo boli.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem. Jesteś zakochana w swym mężu? Więc o co chodzi? Idź z nim.

– Ale nie chcę cię opuszczać.

– Twoja lojalność jest bardziej drogocenna niż góra jadeitów, lecz chcę, żebyś poszła z mężczyzną, którego kochasz. To rozkaz, rozkaz twego przyszłego cesarza. A niewątpliwie i twój mąż nakaze ci podążyć za sobą.

– To o wiele bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażasz. Ja jestem zakochana... również w Tree.

Wzruszył ramionami.

– Co w tym niezwykłego?

– Nie w ich kraju.

– Powiedziała ci to?

K'un-Chien zaprzeczyła ruchem głowy.

– Obawiam się rozmawiać z nią na ten temat, ale wiele potrafię wyczytać z jej twarzy i oczu, ze sposobu, w jaki patrzy na obejmujące się kobiety, z tego, jak stroni ode mnie. Ojciec opowiedział mi wszystko o swoim świecie. Świecie w połowie wypełnionym mężczyznami. Tam nie ma potrzeby, aby kobiety poślubiły inne kobiety.

– Jakże to musi być dziwne, widzieć codziennie pary damsko-męskie tak, jak widzi się latające parami papugi.

– Ojciec uczył, że taki jest naturalny porządek rzeczy. *Tao*, do którego musimy powrócić. Za wszelką cenę.

– Siostrze, czy mogę mówić szczerze? – Ze mną zawsze.

– Chociaż krwawisz wraz z księżycem, rozpoznaję w tobie wiele cech kobiety-smoka.

Jestem świadkiem twego kunsztu w łucznictwie. Nawet Yu Lin nie może się z tobą równać. A zatem wierzę, że ty i Tree mogłybyście stworzyć związek smoka i tygrysa, błogosławiony przez bieguny *yin i yang*.

Westchnęła i potrząsnęła głową. Jak on może zrozumieć mój dylemat, nie znając mojej tajemnicy.

– K'un – Chien, powiedz mi, proszę, co cię trapi.

– Och, jak bardzo chciałabym móc ci to wyjawić.

– Zawsze kryłaś przede mną ten sekret. Twoją najskrytszą tajemnicę. A ja nigdy nie nalegałem, wiedząc, że zachowanie prywatności jest dla ciebie niezwykle istotne, ale od jakiegoś czasu widzę, że ten sekret cię niszczy. Zżera cię do samego rdzenia tak, jak jedwabnik zjada morwowy liść. Myślę, że powinnaś się komuś zwierzyć. Szczerze mówiąc, nalegam, żebyś powiedziała mnie, abym mógł dzielić z tobą ten ciężar.

– Ale obiecałam ojcu, że nigdy nikomu nie powiem. Tylko on i ta stara akuszerka, Zu Chou, wiedzieli o tym. Od najmłodszych lat powtarzał, że nikt nie może się dowiedzieć. – Meng-Po uniósł brwi.

– Cóż takiego może wymagać aż takiej tajemnicy? K'un-Chien zacisnęła usta.

Meng-Po wyprostował się.

– Jako przysły cesarz rozkazuję ci, żebyś mi powiedziała – odezwał się najgrubszym głosem, na jaki mógł się zdobyć. – Moja władza zwalnia cię z tej przysięgi oraz wszelkich obietnic danych naszemu ojcu. Powiedz mi teraz to, co tak skrzętnie skrywasz.

K'un-Chien zaczerpnęła powietrza w płuca.

Rysy Meng-Po złagodniały i chłopiec uśmiechnął się współczująco.

– Musisz być taka samotna... Dla mnie, przebywającego w izolacji, twoja miłość była najśladszą pociechą. – Ucałował gładką, czarną twarz Kikiego. – Twoja miłość i jego. Wyjaw mi to, co musisz odkryć, siostrze. Zrobię wszystko, żeby uprościć twą karmę, oświetlić ścieżkę, po której stąpasz.

– Uprzejmość mego brata łagodzi me kroki, jakbym chodziła po dywanie z kwiatów wiśni. Jednak nie możesz uprościć mej karmy. Mimo to powiem ci i podziękuję przodkom za uwolnienie mnie od ślubów milczenia.

Rozejrzała się po komnacie, zatrzymując spojrzenie na strażniczkach. Kobiety-smoki odpoczywały, nie rozstając się jednak z mieczami, łukami i włóczniami. K'un-Chien zbliżyła się do brata, a on do niej. Wzięła głęboki oddech.

– Ja jestem Lung-Hu – wyszeptwała. – Ja jestem Smok-Tygrys. Ja, Hsiang K'un-Chien, jestem Świętą Hermafrodytą.

Oczy Meng-Po rozszerzyły się.

– Czy to możliwe?

K'un-Chien ponownie zerknęła na strażniczkę.

– Przynieś swój koc. – Powrócił z wyszywanym kocem, a ona chwyciła jeden róg. – Trzymaj mocno swój koniec – poleciała i rozciągnęła za sobą zasłonę. Wolną ręką odwiązała sarong, ukazując nagie ciało poniżej pasa.

Była kobietą, a ponad atrybutami kobiecości – mężczyzną. K'un-Chien zakryła się sarongiem. Meng-Po puścił koc i uklonił się nisko, oddając jej cześć.

– Nie, proszę! – Schwyciła go za rękę. – Żadnych hołdów. Nie między nami.

– Co wy tam robicie? – zapytała strażniczka z nagłym zainteresowaniem. Meng-Po spojrział na nią gniewnie.

– Pograż się w swej nudzie i pozwól przysłemu cesarzowi na tę odrobinę prywatności, na jaką stać go w klatce.

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie – odezwała się strażniczka, odwracając wzrok.

K'un-Chien wstrzymała oddech. Nigdy nie czuła się bardziej wystawiona na ciosy, jakby była przezroczystą istotą. Nie zniosłabym, gdyby mnie odrzucił.

Meng-Po uwięził wzrokiem jej spojrzenie. Po chwili milczenia wyrecytował:

Wspaniałe wino W kubku czy kielichu Smakuje słodko K'un-Chien wciągnęła powietrze w płuca, przyciskając rękę do serca.

– Dla mnie nie robi to wielkiej różnicy – zapewnił Meng-Po. – Wciąż cię Kocham.

Och, chwała przodkom.

– Dziękuję ci, Kochany bracie. – Tym razem pozwoliła łzom spływać po policzkach. Przez długą chwilę obejmowali się, o ile mogli poprzez pręty.

– Dlaczego ojciec nalegał, żebyś utrzymywała to w tajemnicy? – zapytał wreszcie Meng-Po. – Cesarzowa wciąż oczekuje Lung-Hu, zresztą tak jak wszyscy. Dlaczego nie uczyniłaś nic, by zastąpić matkę jako nasza nowa władczyni?

– Wszyscy oczekują Lung-Hu – odpowiedziała. – Ale nie wszyscy oczekują ochoczo. Dla niektórych idea istoty męsko-żeńskej jest odpychająca, a nawet kojarzy się ze złem. Ale ponieważ Matka Synów i jej kult mają tak silne poparcie, pozostałe kobiety kryją swe obrzydzenie. Tylko jeden ojciec występował zuchwale przeciwko narodzinom Smoka-Tygrysa.

– Nigdy mi tego nie powiedział.

– Czy jakkolwiek dorosły będzie dyskutował na takie tematy z pięcioletkiem?

– Nie, oczywiście że nie.

– Zanim kult Lung-Hu stał się dominujący, panowała tu inna szkoła. Kiedy studiowałeś dzienniki Ko T'ung Jena, musiałeś czytać o debacie dwóch szkół?

Tak, Ko T'ung Jen jasno określił, po której stronie stoi – odparł Meng-Po – Szkoła Zewnętrznej Alchemii poszukiwała fizycznej nieśmiertelności poprzez udoskonalenie ciała

ludzkiego – Świętą Hermafrodytę. Szkoła Ko T'ung Jena odrzucała nieśmiertelność ciała i dążyła do oczyszczania wnętrza duszy. Zapalczywie sprzeczał się z tymi, którzy oczekiwali Lung-Hu. – Nasz ojciec zgadzał się całym sercem z naukami Ko T'ung Jena, Wewnętrznej Alchemii, i starał się je wskrzesić.

– Nie rozumiem. Skąd barbarzyńca mógł posiadać taką wiedzę o naszym założycielu?

– Ojciec zawsze interesował się Państwem Środka. Nauczał historii i kultury Chin na uniwersytecie w swej zachodniej ojczyźnie, lecz po śmierci żony zwrócił się w kierunku Wschodu z jeszcze silniejszym duchowym głodem. Przypadkiem natknął się na księgę nauk Ko T'ung Jena...

– *Sutra Złotego Kwiatu!* Czytałem.

K'un-Chien skinęła głową. – Ojciec dostał obsesji na punkcie jej autora i jego nauk. Odkrył, że Ko T'ung Jen potajemnie zaplanował wyprawę do Nowego Świata z ludźmi, którzy pragnęli założyć utopijną kolonię. Ojciec wybrał się w podróż do Chin, aby przestudiować starożytne zapiski dynastii, szukając wskazówek o wyprawie Ko T'ung Jena. Później zorganizował dwie wyprawy w poszukiwaniu tej kolonii i odnalazł nas za drugim razem. Lecz nasza społeczność nie postępowała zgodnie z naukami Ko T'ung Jena. Matki Synów i kult Lung-Hu stały się wszechpotężne. Ojciec robił, co mógł, aby odrestaurować dawny sposób myślenia.

– Innymi słowy, ojciec starał się wskrzesić duchową ścieżkę, w poszukiwaniu której przybył tutaj – zaopiniował Meng-Po. – Czy dostrzegasz krąg karmy? Z czystej konieczności poszukiwacz stał się nauczycielem.

– Widzę to jasno. On również widział. Wierzył, że jego przeznaczeniem jest sprowadzenie nas z powrotem na starą drogę Wewnętrznej Alchemii. Powiedział, że został tutaj wezwany, aby sprowadzić nas z błędnej drogi.

– Dlaczego nazywał to błędną drogą? Cesarzowa uczy, że Lung-Hu jest naszym zbawicielem...

– Znam ten dogmat: Lung-Hu, istota kompletna sama w sobie, która ma nas wybawić od zarazy, jaką jest uzależnienie od płci przeciwnej.

– Czyż nie jest to dobre rozwiązanie problemu?

– Jest również nauka ezoteryczna, o której słyszeli nieliczni: rzeczywistym motywem kultu Lung-Hu jest fizyczna nieśmiertelność.

Meng-Po spochmurniał. – Ale jak?

– Według szkoły Zewnętrznej Alchemii małżeństwo *yin iyang* w jednym ciele generuje siłę życiową, która w sposób nieskończony odnawia komórki. A więc, chociaż cesarzowa sama nie może uniknąć śmierci, wierzy, że pozostawi po sobie rasę nieśmiertelnych.

Meng-Po spojrział na siostrę szeroko rozwartymi oczyma. – Czy ty...

– Nieśmiertelna? Mam nadzieję, że nie. Nie. Ale alchemicy nie mylili się co do jednego: jest

we mnie ciągła generacja energii, tak jakby mój brzuch był rezerwuarem mocy.

– Och K'un-Chien, Lung-Hu. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. Być może zachowywałem się zbyt swobodnie. Okazywałem zbyt mało szacunku.

– Nie zaczynaj od nowa. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jestem K'unChien, taka sama jak zawsze. Nawet nie powinienes o mnie myśleć jako o Lung-Hu.

– Ale nie mogę inaczej. Uczono mnie, że Lung-Hu to nowy porządek świata, coś więcej niż człowiek. Bóg.

– Mój drogi bracie, przez wszystkie lata naszej znajomości czy kiedykolwiek zauważyłeś, że jestem czymś więcej niż człowiekiem?

– Hmm...

– Wierz mi, jestem aż za bardzo ludzka. Czyż nie byłeś przed chwilą świadkiem łez żalu i radości, moich nadziei i obaw?

Meng-Po uśmiechnął się.

– Jest tak, jak mówisz. Nie wydaje się, abyś chadzała ponad chmurami.

– Porównaj poglądy cesarzowej z poglądami Ko T'ung Jena i naszego ojca. Oni postrzegali Lung-Hu jako coś odrażającego, wybryk natury. Uważali społeczeństwo hermafrodytów za zbiorowisko potworów.

Twarz K'un-Chien pociemniała.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że w dniu, kiedy się urodziłam, nie spał przez całą noc, zastanawiając się, czy nie powinien wziąć poduszki i udusić mnie.

Oczy Meng-Po zapłonęły.

– Jak śmiał! – Kiki zeskoczył na podłogę, przestraszony gniewnym wybuchem chłopca.

– O świcie postanowił pozostawić mnie przy życiu, lecz pod absolutnym warunkiem, że moja tożsamość na zawsze pozostanie okryta tajemnicą.

– Kochana siostrzo, nie zapominaj, że nasz ojciec był barbarzyńcą...

– I przez długie lata studiował dzieje założyciela naszej społeczności. Ko T'ung Jen zdecydowanie wierzył, że nadejście Lung-Hu oznacza początek naszego końca.

– Ale... – Meng-Po westchnął. – To przeszłość. Wiele wieków temu. Ile ludzi czuje i myśli w ten sposób teraz?

– Znam przynajmniej jedną osobę w Błogosławionym Mieście, która nienawidzi i straszliwie boi się Lung-Hu, tak bardzo jak ojciec.

Meng-Po uniósł brwi.

– Nazwij ją. Przyślij ją do mnie, a porozmawiam z nią. Siostra spuściła wstydliwie wzrok.

– Nazywa się Hsiang K'ung-Chien.

Rozdział 23

Trzynastoletnia dziewczynka otworzyła pałacową bramę i poprowadziła Masona kamienną ścieżką biegnącą pod zdobionym łukiem do komnaty gościnnej o wysokich oknach, w której znajdowało się wyjście na dziedziniec. Cztery kobiety mydliły i szorowały sobie plecy w parującej kąpieli, piąta pływała nago w prostokątnym basenie. Domino Cruz, wenezuelski zoolog ekipy Harvest, siedział wygodnie na niskim bambusowym stołku z półprzymkniętymi oczami. Miał na sobie jedynie jedwabną przepaskę biodrową. Dwie z jego młodych żon zajmowały się nim: jedna, odziana w różowe kimono, namaszczała mu czarne włosy i brodę olejkim kokosowym, a druga, ubrana w wielokolorowe sari, masowała stopy.

Domino był niskim, krępyim mężczyzną, nie grubym, lecz coś w jego wyglądzie sprawiało, że Masonowi przypominał opasłą, włochatą gąsienicę obżerającą się miękkimi, płatkami różanymi.

– *Amigo! Que tak?* – odezwał się Domino, nie zadając sobie trudu, żeby wstać. – Witaj w Paraiso de la Cruz. Chcesz trochę śliwkowego wina? Strzyżenie? Masaż? Może coś z pieprzykiem? – Mrugnął i ścisnął niewielką pierś kobiety nachylonej przy czesaniu jego gęstej brody.

– Przyszedłem tu, żeby przekazać ci ważną informację – zakomunikował Mason. – I chcę, abyś skupił się nad tym, co powiem. Nie mam zbyt dużo czasu i nie powtórzę tego drugi raz.

Wenezuelczyk odprawił kobiety machnięciem ręki i wstał.

– O co chodzi? Co się stało?

– Tree i ja uciekamy dziś w nocy. Sądzymy, że możesz mieć spore kłopoty, jeżeli nie pójdziesz z nami.

Człowieku, oszalałeś? Nie chcę stąd uciekać. Rozejrzyj się. – Powiódł ręką po zielonym dziedzińcu. Kilkanaście pięknych kobiet klęczało w kręgu na soczyście zielonym trawniku, czesząc długie, ciemne włosy partnerki z przodu. Kilka nastolatek wyglądało na brzemiennie. Jak wszystkie mieszkanki Błogosławionego Miasta, żony Domina przypominały Masonowi kobiety z Karaibów, stanowiące mieszanek krwi europejskiej, afrykańskiej, chińskiej i indyjskiej. Przewagę miała tu krew chińska, lecz Mason wyraźnie dostrzegał wieloetniczne wpływy w kolorze oczu, włosach i kształcie twarzy. Wariacje na wspaniały temat.

– Jestem w Niebie Kociaków, *Tierra de las Conchas*. – Domino zarechotał, łapiąc się za krocze. – Gdzie będzie mi lepiej niż tutaj? Jestem tu kastylijskim królem. Konkwistadorem.

Mason zjeżył się.

– Sięgnij myślą ciut wyżej ponad penis i, do cholery, oceń rozsądnie nasze położenie. Życie Tree jest zagrożone; ja również jestem w niebezpieczeństwie. A jeżeli uciekniemy, pozostawiając cię tutaj, najprawdopodobniej też przestaniesz być bezpieczny.

Domino pokręcił przecząco głową.

– Nie. Nie sądzę. W tym mieście pełnię rolę wielkiego dyrektora banku, banku spermy. Nie zamkną mnie. Kiedy masz pełną stajnię rasowych klaczy, nie pozbywasz się jedyne go ogiera.

– W takim razie coś ci powiem. Za dwa dni, podczas jakiejś uroczystości w świątyni, związanej z pełnią księżyca, oczekuje się, że ty i ja będziemy się pieprzyć z cesarzową.

– Kto tak powiedział?

– Po prostu musisz mi uwierzyć. Mamy ją zapłodnić. Domino zaczął szarpać nerwowo wąsy.

– W porządku. – Potarł dłonią usta. – W porządku. No i co z tego? Będę służyć tej damie – wzruszył ramionami – o ile nie będzie zdejmować maski z twarzy. Słyszałem, że jej twarz to jedna wielka blizna. Ale ciało wygląda całkiem niezłe pod tymi żółtymi ciuszkami. Duże *mamitas*. – Zrobił odpowiedni gest rękami przed klatką piersiową. – Chyba nie podrapie mnie tymi długimi paznokciami.

Mason przewrócił oczami.

– Zawsze byłeś taki romantyczny czy ten pociąg do kobiet kształtował się przez wiele lat?

Domino spochmurniał.

– Co, do cholery? Kto ty jesteś, święty Franciszek?

– Chodzi o to, że jak patrzę na takiego *macho*, chce mi się rzygać. Chyba nigdy nie zrozumie, dlaczego ciągle musisz udowadniać swoją męskość, traktować kobiety jak zabawki.

O czym ty gadasz? Ubóstwiam kobiety. Robienie tego z piękną dziewczyną to jedna z niewielu przyjemności, jakich kiedykolwiek dostąpiłem w życiu. Uważasz za zbrodnię zamięłowanie do seksu? Kim są moje ofiary? – Skinął na krąg klęczących na trawie kobiet; skończyły czesanie i właśnie ozdabiały swoje bujne sploty białymi orchideami i czerwonymi kwiatami lotosu. – Przede mną nikt jeszcze ich nie przeleciał. A powiem ci, że wcale nie wzbraniają się przed jazdą na sztywnym dyszlu, bez blagi. Daję im sporo przyjemności, zapładniam je. Z mojego, a także z ich punktu widzenia świadczę im usługi. A ty chcesz, żebym się czuł winny? Obudź się, *hombre*. Nie mówię jeszcze za dobrze po chińsku, ale atenci mi się grzeją, wszyscy w tym mieście słyszeli już o tobie i twoich nędznych dwóch żonach. Uważają, że jesteś niewybaczalnie egoistyczny. Mason cofnął się krok, zdumiony gniewnym wybuchem Domina.

– Chyba zaszliśmy za daleko.

Brodacz zbliżył się na tyle, że Mason czuł wyraźnie zapach olejku kokosowego lśniącego we włosach i brodzie.

– Wiesz co? Masz w sobie coś, czego nie cierpię – to twoje zachowanie, *gringo*, jakbyś był lepszy ode mnie pod każdym względem. Cóż, pozwól, że coś ci powiem o Domino Cruzie: Jestem jedynym dzieciakiem, z piętnaściorga rodzeństwa, który poszedł do koledżu. Walczyłem cholernie ciężko, żeby zrobić dyplom i wzbić się na wyżyny. I po co? Handlarze narkotyków

z ulic Caracas, jak mój nastoletni brat, zarabiają więcej *dinero* i cieszą się większym poważaniem, mają większy prestiż. – Rozejrzył się po dziedzińcu. – Ale teraz, *amigo*, dostałem własny pałac. Teraz żyję jak szef kartelu. Lepiej. Mam własny harem aniołków. A ty spodziewasz się, że zechcę dać stąd drapaka? To tak, jakby dać nura z chmury, tylko po to, by runąć prosto na ziemię.

– Domino, zacznijmy rozmawiać poważnie. Rozumiem, co czujesz, ale dla twojego dobra, naprawdę uważam, że byłoby bezpieczniej, gdybyś poszedł z nami.

– W dół, do tej pieprzonej dżungli z łowcami głów i bronią? Tak rozumiesz słowo bezpieczniej? *Mi Dio*? Bezpieczniej niż wałkowanie się po wielkim łożu z dziewczętami leżącymi na mnie niczym okłady z ciepłego miodu? Do diabła z tobą! Zostaję. Jeśli cesarzowa zapragnie moich usług, jestem do dyspozycji.

Mason westchnął.

– Zrobisz, jak zechcesz. Życzę szczęścia. – Odwrócił się, zamierzając odejść.

– Zaczekaj chwilę, *amigo*. – Domino położył mu rękę na ramieniu. Mason zatrzymał się i odwrócił twarzą do Wenezuelczyka. – Dziękuję, że przyszedłeś, żeby mnie ostrzec. W porządku? – Wyciągnął rękę. – Bez urazy?

– Bez urazy. – Mason potrzęsnał dłonią Domina; była mała, silna i pełna zgrubień. Gęste wąsy Domina uniosły się, kiedy uśmiechnął się, pokazując ostre białe zęby.

– Posłuchaj, jeżeli nakarmią mną piranie – uśmiechnął się jeszcze szerzej – będę pamiętał, że mnie ostrzegłeś.

Mason skinął głową i odwrócił się w kierunku drzwi. Domino ruszył za nim.

– Hej, *hombre*. Chciałbym ci zadać jedno pytanie. Mason nie zatrzymał się.

– Jak by ci stawał – kontynuował Domino – też byś uciekał?

Mason odwrócił się na pięcie i przez chwilę piorunował go wzrokiem.

– Kto ci o tym powiedział?

– Kilka dni temu wpadłem do was w odwiedziny; akurat braliście gorącą kąpiel i... – Wzruszył ramionami. – Co nieco wpadło mi w ucho.

Mason poczuł silne zażenowanie. Nagle wydał się sobie mały, słaby i pusty. Tak, jakby staczali pojedynek jak jelenie i, zupełnie niespodziewanie, poroże Masona zmiękło jak ugotowany makaron. Nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

– Hej, nie ma problemu, człowieku! – Domino poklepał go po ramieniu. – Tree jest w dalszym ciągu twoją dziewczyną, no nie? Jest ładniejsza niż wszystkie kobiety w tym mieście.

Mason wyszedł pospiesznie, pograżając się w wieczorną mgłę, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 24

K'un-Chien poprowadziła Masona i Tree wzdłuż wewnętrznej strony murów otaczających miasto, do gęstego gaju tropikalnych drzew. Masywne drzewo banyan, którego główny pień dorównywał wielkością niewielkiemu salonowi, wyrastało jak monument tuż obok kamiennej ściany; słoniowe gałęzie zrzucały pionowe odrosty na ziemię, gdzie miały tworzyć kolejne pnie, niczym rzędy kolumn podtrzymujących belki dachowe. W jasnym świetle księżyca szamotane wiatrem liście połyskiwały srebrem niczym ławice ryb.

Nikt nie odezwał się ani słowem od czasu, gdy godzinę temu, tuż po północy, opuścili pałac. K'un-Chien wydawała się Masonowi spięta i smutna. Tego dnia najbardziej formalnie i grzecznie, jak potrafił, poprosił ją, aby pomogła im i towarzyszyła w ucieczce. Wiedział, że rozstanie z Meng-Po będzie dla niej bolesne, ale nie mogła, zgodnie z etyką Konfucjusza, odmówić prośbie męża. Prawdę mówiąc, Mason chciał, żeby zabrała ze sobą również brata, lecz nie udało mu się opracować sensownego planu. Teraz starał się czytać z jej twarzy skąpanej w księżycowej poświacie koloru kości słoniowej, lecz odwróciła się od niego.

K'un-Chien odłożyła łuk i zdjęła z ramion sakwę i kołczan. Zręcznie wspięła się po bocznym pniu drzewa banyan i po poziomej gałęzi, przesuwając ostrożnie stopy, dotarła do głównego pnia. Gdy znalazła się na wyższym poziomie gałęzi, wspinaczka na sam szczyt drzewa stała się równie łatwa jak wchodzenie po drabinie o grubych szczeblach.

Mason dotknął ramienia Tree.

– Dobrze się czujesz?

Odpowiedziała skinieniem głowy, patrząc, jak K'un-Chien wprawnie wchodzi na ogromne drzewo.

– Wygląda na nieszczęśliwą. Mam nadzieję, że postępujemy słusznie.

– Ona i tak jest już banitką. Naprawdę myślisz, że byłaby tu bezpieczna, gdyby odkryli nasze zniknięcie?

Tree potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. To jedyny sposób.

– Poza tym nie sędzę, żebyśmy mieli jakieś szanse bez jej pomocy.

– Zgadzam się, ale, Boże, ona jest rozdarta, jeśli chodzi o Meng-Po. Mason westchnął.

– To niezwykły dzieciak. Gdyby sprawy stały inaczej...

K'un-Chien zrzuciła kilka lin. Mason przywiązał sakwy z zapasami i K'un-Chien wciągnęła je na szczyt drzewa. Z jednego wyjątkowo ciężkiego pakunku dolatywał obrzydliwy smród.

– Co, u diabła, tu zapakowała? – zapytała Tree, marszcząc nos. – Cuchnie jak zgniła ryba.

– Nie martw się, to nie jutrzejszy obiad. To przynęta.

– Przynęta?

– Zobaczysz, jak dostaniemy się na urwisko.

Tree i Mason podążyli śladem K'un-Chien po gładkim czarnym pniu.

Masonowi przydały się umiejętności nabyte podczas szkolenia w Army MedEvac. Siedząc w pobliżu wierzchołka, przytroczył mocną linę do pnia, założył sobie pętlę dokoła pasa, przełożył koniec przez pętelkę do zaciskania, rozwinął całą długość luźno zwisającej liny i zarzucił ją na odległą ścianę. Dotarł do niej po swoim chybotliwym pomoście, a gdy dotknął stopami pionowej ściany, przeniósł ciężar ciała nad biodra i zsunął się na ziemię.

Z dołu asekurował Tree. K'un-Chien zsunęła się na końcu.

Jak się spodziewał, sforsowanie murów miasta nie sprawiło im dużych trudności. Były one strzeżone tylko przy dwóch niewielkich, okrągłych bramach, i to raczej symbolicznie. Kobiety-smoki zakładały, że nie istnieje możliwość ataku z góry, skupiając całą uwagę na groźbie inwazji z dołu: Indianie Yanomorduro obawiali się wojowniczek od zarania kolonii. Jednak, aby zwiększyć bezpieczeństwo, wojowniczkę pozwalały smokom z Komodo wałęsać się i gnieździć w jamach w pobliżu tunelu prowadzącego do serca dżungli. Jak psiarnia w podwórzu, pomyślał Mason, tyle że w tym przypadku strzegące zwierzęta bardziej przypominały dinozaury.

Po godzinie forsownego marszu dotarli do Zachodniej Twarzy. K'un-Chien dała sygnał Masonowi i Tree, aby zostali z tyłu. Sama zbliżyła się do urwiska, postawiła ciężki pakunek na ziemi i wyjęła duży kawał zakrwawionych wnętrzności rybich, które pozbięła z kilku straganów na rynku.

– Brrr – Tree odruchowo zatkała nos. – Przynęta? Na co?

– Pamiętasz nasze spotkanie ze smokiem z Komodo? Tree zadrżała i zbliżyła się do Masona. Objął ją ramieniem.

Wszystko będzie dobrze – pocieszył. – Ona wie, co robi. K'un-Chien wycofała się ostrożnie i cała trójka zamarła w oczekiwaniu. Po kilku minutach dziewczyna zbliżyła się do przynęty, rozglądając się czujnie dokoła.

– Bardzo dziwne – odezwała się, marszcząc brwi. – Powinny tu już być.

– Może jeszcze nie wyniuchały tych smakołyków – podpowiedział Mason. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mają bardzo słaby wzrok, ale na milę wywęszą martwą małpę i idą prosto na padlinę.

Czekali w milczeniu. Mason i Tree usiedli na skalistym podłożu i odpoczywali, podczas gdy K'un-Chien zaczęła się tuż przy urwisku. Po półgodzinie wróciła.

– Coś tu nie tak – oświadczyła. – Jest czternaście smoków, a żaden nie zareagował na przynętę. Nie rozumiem tego.

– Pójdziemy dalej?

K'un-Chien spojrzała przed siebie, błękitne oczy błyszczały delikatnie w bladej poświacie księżycy.

– No, dobrze – zdecydowała w końcu – ale ostrożnie. Smoki wydrażyły wiele płytkich jaskiń w piaskowcu. Zwykle liczymy je, aby się upewnić, że wszystkie zajęte są przynętą, zanim wejdziemy w tunel. Wyjęła strzałę z kołczanu i nałożyła ją na cięciwę. – Idźcie za mną.

Mason nie dostrzegł szczeliny u podnóża urwiska, dopóki prawie na nią nie wszedł. Cienkie pęknięcie wiło się równoległe do zbocza, rozszerzając się w poszarpany otwór, podobny do pyska najeżonego zębami, ciemniejszy niż otaczające skały.

– Zaczekajcie tutaj – poleciła K'un-Chien, przekazując Masonowi łuk z zatkniętą strzałą. Schwycił niezręcznie broń. – Eddiemu by się strasznie podobało – powiedział do Tree, myśląc o swym najstarszym bracie, zagorzałym myśliwym – łuczniku.

– Być może wreszcie zakończyłyby swoją sagę o czarnym niedźwiedziu – stwierdziła Tree. – Mógłby się przechwalać przed kumplami od piwa, że załatwił smoka konwencjonalnym łukiem.

Mason zacisnął szczęki.

– Mam tylko nadzieję, że moje umiejętności nie zostaną wystawione na próbę.

– Sprawdził elastyczność łuku, odciągając w tył cięciwę. Mięśnie przedramienia nabrzmiały i ocenił, że musi to być naciąg równy wadze czterdziestu kilogramów. – Niesamowite. Ta dziewczyna ma ramiona ze stali.

K'un-Chien pochylila się nad szczeliną, by po chwili zeskoczyć na pierwszy skalny stopień. Ujrzeni jej błyszczące oczy ponad występem skały.

– Proszę, podajcie mi pochodnię.

Mason sięgnął po łuczywo, ciekawy, w jaki sposób zamierza je podpalić. K'un-Chien wzięła małą skórzaną sakiewkę zatkniętą za pas i szybkim ruchem wysypała jej zawartość na nasączone rybim olejem szmatki na czubku drzewca. Z jasnym błyskiem srebrnego światła pochodnia wybuchła żółtym płomieniem.

– Sód – wyjaśniła Tree. – Czysty sól. W zetknięciu z powietrzem następuje zapłon.

– Sprytne – przyznał Mason.

Płomień pochodni rzucał migotliwe cienie na granitowe ściany, kiedy K'un-Chien schodziła.

Mason i Tree czekali na górze, rozglądając się niepewnie w obawie, czy nie ujrzą mięsożernych jaszczurów mierzących dziesięć stóp długości. Nie minęło pięć minut, kiedy K'un-Chien zakrzyknęła z dołu. Głos jej miał niepokojące brzmienie, jakby ich ostrzegała. Mason zerknął na Tree i naciągnął łuk.

Tree złożyła dłonie i zawołała, pochylając się nad otworem.

– Co się dzieje? Odpowiedziała im cisza.

– Wszystko w porządku? – wrzasnęła.

Z głębi skalnej pieczary doleciał kolejny stłumiony okrzyk, odbijając się echem od ścian tunelu.

Mason przekazał łuk Tree.

– Ma kłopoty, schodzę. Tree krzyknęła:

– Mason idzie do ciebie!

Przełożył nogi przez krawędź i wtedy dostrzegł podskakujący płomień pochodni.

– Idzie do nas!

Wyjął nóż zza pasa; ostrze błysnęło niczym snop księżycowego światła. Czuł, jak ciało napręża mu się w oczekiwaniu.

Ręka K'un-Chien wychyłała z tunelu tuż obok jego butów. Dziewczyna wrzasnęła z bólu i w tej samej sekundzie Mason usłyszał niskie brzęczenie rozwścieczonych pszczoł.

– *Guang Gong!* – krzyknęła K'un-Chien, patrząc w górę z wyrazem przerażenia na twarzy. – Biegnijcie do wody!

Tree rzuciła Masonowi błyskawiczne spojrzenie.

– Chodź! – Schwyciła go za rękę. – Nie możesz jej pomóc! Biegnij! Podskoczył, złapał ją za rękę i popędzili w kierunku wody. Buczenie głośnie jak odgłos spalinowej piły wypełniało im uszy.

– Nie opędzaj się! – wrzasnął Mason. – I nie krzycz, bo wleczą ci do ust.

Spojrzał za siebie. K'un-Chien wygramoliła się ze skalnej szczeliny. Bardziej słyszał, niż widział kłębiące się wokół niej pszczoły. Oparł się impulsowi, aby pobiec do niej i odpędzić bezlitosne owady.

Trzymał Tree za rękę, gdy biegli ku strumieniowi; biała wstęga lśniła w straszliwej odległości. Pszczoły dopadły również dwójkę uciekinierów, zatapiając w ich ubraniach długie żądła. To nie cały rój – wmawiał sobie Mason. Nie cały rój, tylko kilkadziesiąt pszczoł. Damy sobie radę, o ile tylko nie będziemy ich zabijać. Chciał krzyknąć jakieś słowo otuchy do Tree, lecz wiedział od Wawajeros, że atakujące pszczoły wpadają od razu do ust, żądlać w język i gardło.

Krok po kroku zbliżali się do zbawczego brzegu. Wreszcie pod butami zachlupotało i dali nura głową do głębokiego strumienia.

Mason zacisnął zęby na ostrzu noża, obrócił się w wodzie i popłynął z powrotem do brzegu, gdzie wcześniej dojrzał trzciny. Odciął trzy sztywne łodygi i popłynął do Tree. Kiedy wychyłał ponad powierzchnię, by złapać oddech, nóż wyślizgnął mu się z ust; dał nura pod wodę, lecz wymusnęła mu się spomiędzy palców i zniknęła w ciemnej toni.

Mason podał Tree rurkę długości stopy, przez którą mogła oddychać, nie wynurzając się ponad powierzchnię. Świeżo ścięta trzcina miała silny migdałowy smak. Podniósł głowę, wychylając oczy nad powierzchnię strumienia, i dostrzegł biegnącą w ich kierunku K'un-Chien. Miała zamknięte oczy.

– Tutaj! – krzyknął Mason i poczuł, jak w jednej chwili całe jego czoło pokryło się żądlami, pszczoła ukąsiła go też w wewnętrzną część górnej wargi. – Biegnij za moim głosem!

Czarne plamy pokrywały twarz i tułów K'un-Chien. Po chwili, która wydawała się niezwykle długa, stopy plusnęły w wodę i dziewczyna dała nura głową w dół. Mason podał jej trzcinę. Schwycił ją za rękę i cała trójka, trzymając głowy tuż pod powierzchnią i oddychając przez rurki, zaczęła dryfować z silnym nurtem, podczas gdy armia pszczół zataczała ponad wodą koła, wypatrując swych ofiar.

Dwadzieścia minut później, kilka kilometrów w dół strumienia, Mason ostrożnie wynurzył głowę, starając się zlokalizować pszczoły. Pociągnął K'unChien za łokieć.

– W porządku – powiedział. – Nie ma ich. Dobrze się czujesz?

Twarz dziewczyny zmieniła się w napuchniętą maskę z małutkimi szparkami w miejscu oczu. Kiwnęła potakująco głową i spróbowała odezwać się przez grube purpurowe usta, lecz z opuchniętej krtani wydobył się zaledwie słaby jęk. Głowa zadrżała jej silnie i dziewczyna zaczęła osuwać się pod wodę.

– Cholera. – Mason ujął ją pod pachy i położył na plecach. – Tree, pomóż mi. – Holował K'un-Chien głową w kierunku brzegu, trzymając rękę pod jej brodą. Nogi zemdlonej skręcały wraz z nurtem. – Tree! Ona jest w szoku, pomóż mi, szybko!

Rozejrzał się dokoła.

– Tree? Gdzie jesteś? Tree!

– Mason! – wrzasnęła Tree. – Nie mogę się utrzymać!

Silny prąd zepchnął ją spory kawałek dalej w dół rzeki i teraz z trudem przytrzymywała się krawędzi drewnianej śluzy, która odchodziła pod kątem od strumienia i spadała stromo w kierunku miasta. Biała piana kłębiła się dokoła, tworząc przestwór powietrzny umożliwiający oddychanie. Jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. Mason rzucił wściekle przekleństwo. Ten upust zasiliał gigantyczne koło wodne, które napędzało krosna.

Spojrzał na K'un-Chien, jej bezwładne ręce szarpane przez rwący nurt. Przeniósł wzrok z powrotem na Tree, zobaczył, jak szamocze się i krztusi w kipieli. Serce zacisnęło mu się niczym pięść.

Zdał sobie sprawę, że zanim doholuje K'un-Chien do brzegu, nurt oderwie Tree od ściany i rzuci na pożarcie koła wodnego. Gdyby teraz puścił K'un-Chien, popłynął z całych sił do brzegu i popędził, aby wyszarpnąć Tree ze szponów żywiołu, zanim zdążyłby powrócić do K'un-Chien, jej ciało opadłoby na dno strumienia, a płuca napelniłyby się wodą.

Ból wbił się ostrymi zębami w trzewia. Mogę uratować tylko jedną z nich.

Zamarł. Czas zatrzymał się i nocny koszmar, który od wielu lat spędzał mu sen z powiek, wypełnił wszystkie zmysły. Trzymał ciało Giba, którego głowa spoczywała mu na kolanach, zaskoczony jej ciężarem – jakby dusza zabrała ze sobą całą lekkość ciała.

Zazwyczaj umierający przyjaciel spogląda ostatni raz w oczy trzymającego go kompana i wypowiada kilka słów. Pożegnanie, jedno ostateczne spojrzenie z głębi duszy. Lecz to nie było

Hollywood. W Wietnamie, w ciemnym gąszczu zieleni, Gib nie żył, kiedy Mason odwrócił go na wznak. Mógł z łatwością wetknąć rękę w śliski tunel w klatce piersiowej martwego człowieka. Zapach krwi, prochu i zgniłej od deszczu ziemi tak silnie wypełniał powietrze, że można było go smakować. W uszach dzwoniło mu staccato automatycznej broni. Tam, w ogniu i deszczu, jego najlepszy przyjaciel nie zdążył powiedzieć ani słowa. Ciało Giba wydawało się tak ciężkie, siła grawitacji ciągnęła je do grobu. Gib odszedł. A Mason pociągnął za spust.

Otrząsnął się ze wspomnienia i przez chwilę, pomyślał, że znalazł najlepsze wyjście. Sartre powiedział: Brak wyboru jest wyborem.

Mógł nie uczynić nic. Całą trójkę spotkałby ten sam los; śluza połykałaby ich pojedynczo. Wtedy nie będzie mógł lamentować nad kolejną stratą.

Nie, do cholery, to zbyt samolubne. Musisz dokonać wyboru: Uratować jedną i pozwolić umrzeć drugiej.

Rzucił kolejną wiązaną przekleństw.

I puścił K'un-Chien.

Rozdział 25

– Mason! Nie ruszaj się z miejsca! Złapię Tree!

Mason podniósł wzrok i dostrzegł Domina Cruza. Biegł pędem w kierunku słabnącej kobiety, która trzymała się kurczowo ściany drewnianej pochylni pośród białej kipieli. Mason odwrócił się do K'un-Chien, której głowa opadła pod powierzchnię. Podniósł ją i doholował do brzegu, silnie machając ramionami i nogami. Kiedy wyciągnął K'un-Chien na kamienie, obrócił się i zobaczył Tree leżącą bezpiecznie na brzegu w pobliżu upustu i Domina klęczącego obok niej. Kilkanaście wojowniczek otoczyło jedną parę, a druga, nie mniej liczna grupa, drugą.

Mason skupił uwagę na K'un-Chien. Jęcząc i sapiąc, walczyła o oddech. Przycisnął ucho do piersi dziewczyny. Nie usłyszał dźwięku świadczącego o wodzie w płucach. Uświadomił sobie, że nie zaczęła jeszcze tonąć. Prawdziwym problemem był szok spowodowany ukąszeniami pszczoł – kanały powietrzne w organizmie gwałtownie zamykały się, nabrzmiewając. Żałował, że nie ma przy sobie noża. Pozostało mu zaledwie kilka sekund na otworzenie tlenowego szlaku do jej płuc.

– Masz nóż? – wrzasnął do Domina. Domino potrząsnął przecząco głową.

– Oddycha? – zawołała Tree.

– Tak, ale wkrótce przestanie – odkrzyknął Mason i zwrócił się do grupy wojowniczek. – Pospieszcie się. Pozwólcie mi użyć jednego z waszych sztyletów.

Yu Lin ruszyła ku niemu, wyciągając sztylet z pochwy. – Zabijesz ją?

– Oczywiście że nie – odparł. – Zamierzam ją uratować. Muszę umożliwić dostęp powietrza do płuc.

Yu zatrzymała się, wkładając sztylet z powrotem do pochwy.

– Po co się trudzić? Po pierwsze, pozwoliła utonąć swym braciom, a teraz pomagała wam w ucieczce. Jest okryta hańbą.

– K'un-Chien jest moją żoną, nie zamierzam jej stracić.

– Już ją straciłeś. Jest poślubiona śmierci.

– Mylisz się, mogę ją uratować, jeżeli dasz mi ten sztylet. Proszę.

– Nie. Ona ma umrzeć, to jej zła karma. – Dowodząca Yu odwróciła się i skierowała kroki ku Tree i Domino.

Mason spojrział na ciemniejszą twarz K'un-Chien. Z oczu spozierały przerażające białka.

Pomyśl, człowieku.

Aby właściwie przeprowadzić tracheotomię, należałoby podać środek znieczulający w sterylnych warunkach sali operacyjnej, używając wziernika, skalpela, kilku rozwieraczy, dyktatora oraz plastikowej tuby tchawiczej. W nagłych wypadkach ratowano ludziom życie poprzez wycięcie pionowej szczeliny z przodu tchawicy scyzorykiem albo brzytwą – nawet

zaostrzonym paznokciem. Kłopot polegał na tym, że nie miał pod ręką niczego podobnego.

W świetle księżycy skóra K'un-Chien zaczęła zmieniać barwę na siną.

Myśl, do diabła.

Przypomniał sobie anegdotę o tracheotomii na polu bitwy – lekarz po prostu przepychał grubą igłę przez tchawicę w kierunku płuc. Cała sprawa polegała na tym, aby nie przebić przeciwległej ścianki tchawicy albo nie zboczyć igłą i nie rozszarpać tętnicy szyjnej albo żyły szyjnej.

Obrócił się i na czworakach rwał rosnące w pobliżu rurki wilczomleczy. Sztywna łądyga, której używał jako tuby do oddychania, była przecięta od podstawy pod ostrym kątem; kiedy dźgnął się tym końcem w język, zaczął krwawić. Ale teraz, łamiąc łądygi rękami, nie mógł uzyskać wystarczająco ostrej końcówki. Odrzucił całą garść trzciny i pobiegł do następnej kępy, gorączkowo przełamując je na dwa lub trzy kawałki. No, dalej! Chociaż jedna przyzwoita końcówka! W końcu trzcina przełamała się tak, jak chciał. Ukłuł się w dłoń. Sztywna. W sam raz.

Popędził do K'un-Chien, ukląkł przy jej głowie i przechylił szyję w tył, aby naciągnąć skórę ponad tchawicę. Opuszkami palców wyczuł rowek między sztywnymi, poziomymi pierścieniami tchawicy. Zacerpnął głęboki oddech, aby unieruchomić rękę, po czym nacisnął mocno sztywną łądygą na napiętą skórę. Pojawiły się pierwsze krople krwi, lecz trzcina nie przebiła się przez twardą, elastyczną chrząstkę.

Zrób to, Mason. Nie ma czasu do stracenia!!!

Przystawił zaostrzoną końcówkę trzciny do tchawicy, nakierowując ją ku płucom, zacisnął dłoń w pięść i rąbnął mocno z góry w łądygę. Przebita chrząstka pękła słyszalnie – pyk! Mason skrzywił się i wstrzymał oddech po części, spodziewając się, że z końca pustej łądygi wytryśnie ciemnoczerwona krew żylna. Zamiast tego usłyszał, jak powietrze ze świstem wpada przez sztuczny kanał do płuc. W przeciągu kilku sekund K'un-Chien zaczęła odzyskiwać naturalne kolory.

– Mason, czy wszystko z nią w porządku? – zawołała Tree. Przełknął ciężko ślinę.

– Wkrótce będzie.. – głos mu się załamał – ...w porządku.

– Och, dzięki Bogu – westchnęła Tree i stanęła na chwiejnych nogach tylko po to, by usiąść ponownie. Domino pomógł jej wstać i we dwoje podeszli do K'un-Chien i Masona kłęczącego na kamieniach; dziewczyna miała przeraźliwie spuchniętą twarz, lecz oddychała równomiernie i bez wysiłku.

Mason podniósł wzrok i spojrzał na Domina.

– Dobra, jak to się stało, że spotykamy się tu po środku nocy, *amigo*? Posłuchaj, chyba powinienś mi być wdzięczny, cholera, że tu przyszedłem.

– Och, jestem wdzięczny. Jestem wdzięczny. Ale, co u diabła, wykombinowałeś? Dlaczego

nas śledziłeś?

Domino odchrząknął.

– Myślałem o tym, co mi mówiłeś – o tym, że grozi mi niebezpieczeństwo, jak zostanę sam. Posłuchaj, mówiłem ci, że nie chcę stąd odchodzić...

Mason uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– A więc pękłeś. Poleciałeś do strażniczek.

– Jak już wspomniałem, powinieneś mi dziękować. Gdyby nie ja, już by nie żyła – wskazał na K'un-Chien. – Widziałem, jak ją puściłeś i ruszyłeś po Tree.

– A zatem zdrajca staje się naszym zbawcą – stwierdził Mason. – Cóż za bohater.

– Do diabła z tobą! – Domino odwrócił się na pięcie i odszedł. Tree uklękła obok i położyła Masonowi rękę na ramieniu.

– Kochanie, uspokój się. Wiesz, on ma rację, naprawdę uratował mi życie.

– Płynąłem po ciebie, Tree – odparował szybko niskim głosem. Pocałowała go delikatnie w policzek.

– Wiem. Widziałam. – Szepnęła mu do ucha: – Wiem, że zmagaleś się z okropnym wyborem i zdecydowałeś się ratować właśnie mnie. Boże, wiem, jakie to musiało być bolesne. Teraz czuję się tak głupio. Już nigdy nie będę zazdrosna o K'un-Chien.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się słabo.

– Ale teraz musimy wrócić.

– Nie poddawaj się. Kocham cię... – Dotknęła jego szerokich ramion – tak bardzo. Jeszcze uciekniemy z tego więzienia. Zobaczysz.

Potrząsnął głową z miną straceńca.

– Zapominasz o czymś. Jutro pełnia. Mam randkę, na której mam się kochać z cesarzową. – Zadrzał pod mokrym, przylegającym do ciała podkoszulkiem i szortami. – Jutro o tej porze...

Nie mógł powiedzieć tego na głos. W dniu, w którym się spotkali, cesarzowa zagroziła, że jeśli nie spisze się jako Ta Heng – Wielkie Żdźbło – zostanie wykastrowany. Mógł sobie wyobrazić gniewny błysk w jej oczach, czarny jak szkło wulkaniczne, zniekształcone usta poruszające się za jaskrawą maską. „Osobiście zrobię z ciebie eunucha” – przyrzekła.

Groźba uklęła teraz niczym lodowata brzytwa.

Rozdział 26

Mason usiadł na łóżku i pochylił się nad K'un-Chien. Oddychała równo, a puls bił regularnie. W jej szafce znalazł maść, której etykieta wyraźnie zalecała użycie w przypadku ukąszenia przez pszczoły. Woskowy zielony balsam był dość twardy, więc nałożył go sobie najpierw na dłoń i potarł je o siebie, aby ogrzać go i roztopić do konsystencji miękkiej pasty. Wydzielał przyjemną woń, przypominającą ciepłe piwo. Delikatnie rozsmarował maść na czerwonych bąblach wielkości dziesięciocentówki, które gęsto pokrywały twarz i ręce K'unChien. Następnie usiadł ponownie, zastanawiając się nad komponentami leku i mając nadzieję, że przyniesie ulgę.

W niecałą godzinę później balon na twarzy K'un-Chien zaczął opadać, a rysy dziewczyny odzyskały swój szczególnie, egzotyczny, euroazjatycki czar. Ciekawość Masona związana z ziołowym lekarstwem teraz przeszła w zdumienie: Przy tej maści o działaniu przeciwzapalnym kortyzon wydawał się niczym.

Opuchlizna dróg oddechowych ustąpiła całkowicie. Zadowolony, że dziewczyna oddycha prawidłowo, wyjął łądygę, która do tej pory pełniła funkcję tchawicy. Ostrożnie obmył i zabandażował ranę na szyi. Był przekonany, że szybko się zagoi, ponieważ bandaż ścisnął poszarpane krawędzie otworu. Przed zaśnięciem dał jej jedną z lepkich, czarnych kulek Feniksa, które kazała mu połknąć w dniu, kiedy się spotkali. Domyślał się, że lek działa jak antybiotyk. K'un-Chien potwierdziła wcześniej jego hipotezę, mówiąc: „Pomaga strażnicze pałacu odpędzać najeźdźców”.

Pałac oznaczał ciało. Spojrzał na subtelne rysy jej twarzy. Promienie porannego słońca przeniknęły przez mgły, malując zamknięte oczy muśnięciami pędzla godnymi prawdziwego mistrza.

– Dzieło sztuki, nieprawdaż? – odezwała się miękko Tree, podchodząc z tyłu. Uśmiechnął się.

– Zawsze potrafiłaś czytać w moich myślach.

– Wyjdzie z tego?

– Tak. Już dobrze. Jest bardzo silna.

Tree położyła Masonowi ręce na ramionach i zaczęła masować napięte, rozbudowane mięśnie. Z westchnieniem zamknął oczy i oparł głowę na jej twardym brzuchu.

– Dzięki – powiedział. – Jak wspaniale.

– A jak się czuje lekarz? Dobrze? Pokręcił głową.

– Chyba osiwieję ze strachu przed dzisiejszą nocą.

– Cóż, chyba wymyśliłam już wyjście z sytuacji. Czytałeś wszystkie napisy w skrzyni z lekarstwami K'un-Chien?

– Co tam znalazłaś, „błyskawiczną erekcję”?

– Nieee. Coś takiego. – wręczyła mu tabletkę wielkości zakrętki od butelki. Składała się ze ściśniętych suszonych ziół, purpurowo-szarych jak szałwia. – Na etykiecie widniał napis: „Środek wymiotny.”

– Hej, to wspaniałe. – Usiadł prosto. – Zażyję to, obrzygam cesarzową i zamiast mnie wykastrować, każe mnie na miejscu zaszlachtować.

– Zaczнеш wymiotować i będziesz zwolniony. Nikt nie chce się kochać z kimś, kogo mdli jak nie wiem co.

– Nigdy nic nie wiadomo. Ale masz rację, warto spróbować, niewątpliwie nie mam innego wyjścia.

– A Domino? Jak on do tego podchodzi?

– Do kochania się z kimś, kto rzyga? Nie zwolniłby tempa.

– Daj spokój. Chodziło mi o stosunek z cesarzową.

– Powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, o ile tylko będzie miała torbę na głowie. Nawet wspomniał jej *mamitas*, i to z pewnym entuzjazmem.

– Niesłychane.

K'un-Chien otworzyła szeroko oczy i usiadła, wydając okrzyk strachu. Mason pochylił się nad nią i objął ramieniem.

– Jesteśmy bezpieczni, w domu. K'un-Chien ścisnęła go mocno.

– Och, May-Son – wyszeptwała. – Pierwsza żono. Jak cudownie, że nic wam się nie stało.

Tree ujęła ją za rękę.

– Jak się czujesz? Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jestem wdzięczna, że żyjecie.

– Chodziło mi o to, jak się czuje twoje ciało?

– Zaspane.

– Zamknij oczy i odpocznij jeszcze trochę – poradził Mason. – Tree i ja będziemy przy tobie czuwać.

– A zatem może przeszłam do Wielkiego Przedśionka Przodków? Obydwoje wydajecie mi się tak piękni jak dusze strażników.

Tree uśmiechnęła się.

– Nie umarłaś. Ale przy tym źródle nieźle nas przestraszyłaś. Mason uratował ci życie.

– Tak, ale nie wiń go za to. Wiem, że najpierw puścił mnie i popłynął, aby ratować ciebie.

Mason poczuł ukłucie bólu w sercu.

– Ja... ja... przepraszam. Musiałem wybrać...

– Proszę, nie przepraszaj – powiedziała K'un-Chien. – Oczywiście, nie było wyboru. Tree jest pierwszą żoną. Ja jestem drugą. Mnie się można pozbyć.

– Nie. – Mason pokręcił zdecydowanie głową. – Nie można się ciebie pozbyć.

– Napisano w Analektach K'ung Fu Tse...

– Nie interesuje mnie jego system umiejscawiania ludzi w piramidzie z cesarzem na tronie na samym szczycie. Istoty ludzkie nie rodzą się po to, aby żyć w takim pionowym układzie – jedni traktowani jak wycieraczki, inni wynoszeni ponad chmury. Czyż wszyscy nie wchodzimy do tego świata przez tą samą bramę? Stąpamy po tej samej ziemi, jak równi sobie. Równie warci życia, równie śmiertelni. Nikogo nie można się pozbyć.

K'un-Chien wpatrywała się w niego nie rozumiejącymi oczami. Jej włosy rozsypywały się na czerwony jedwab, spływając z materaca niczym czarny wodospad.

– Pierwsza żono, czy ty również wierzysz w teorię May-Sona? Tree skinęła głową.

– To także moje poglądy. Większość mieszkańców naszego kraju podziela ten światopogląd, chociaż bardzo trudno wprowadzić te wartości w życie.

– To bardzo różni się od sposobu, w jaki mnie wychowywano – powiedziała K'un-Chien. – Ale zaraziłam się waszymi wartościami i wydaje mi się, że nie mogę wypłenić ich ze swego serca. Wolność dla każdej osoby, prawo do tworzenia własnego przeznaczenia – dotknęło mnie niczym magiczne zaklęcie.

– To ironia – stwierdził Mason. – Wielu mieszkańców naszego kraju nie docenia wartości wolnego społeczeństwa, w którym się rodzą. A ty, która wyrosłaś na sztywnej doktrynie K'ung Fu Tse, czujesz, że kiełkuje w tobie ideał wolności osobistej.

– Tao nieba i ziemi jest niezbadane – odrzekła K'un-Chien sennym głosem. – Za twoim pozwoleniem, odpocznę teraz.

– Za czym pozwoleniem?

Uśmiechnęła się i opuściła powieki; gęste rzęsy przypominały miękkie, czarne grzebienie.

– Tak, mężu. Odpocznę teraz, ponieważ ja tego chcę.

Okrągły księżyc zawisł ponad miastem niczym świąteczny, papierowy lampion, kiedy Tree odpowiedziała na ostre pukanie do drzwi. Yu Lin i kilka wojowniczek stało na zewnątrz w lakierowanych zbrojach, połyskujących w księżycowej poświacie.

Yu Lin zwróciła się do Tree rozkazującym tonem:

– Mamy odprowadzić twego męża i ciebie na ceremonię Ho Chi jako specjalnych gości cesarzowej. – Spojrzała ponad ramieniem Tree w głąb sypialni. – Gdzie on jest?

Mason wyszedł chwiejnym krokiem z komnaty, przyciskając bambusowe wiadro do bladych ust. Szara twarz zdawała się pozbawiona krwi. Podniósł przekrwione oczy na dowódczynię straży, po czym zaniósł się głośnym kaszlem, wylewając zawartość żołądka do wiadra z nieprzyjemnym chlustem.

Yu Lin skrzywiła się i przełknęła ślinę z niesmakiem. Tree wycisnęła ściereczkę

w porcelanowej misie z wodą, stojącej na drewnianym podstawku i przyłożyła chłodny kompres do czoła Masona.

– Co mu jest? – zapytała Yu Lin.

– Nie wiem. Wymiotuje od wielu godzin. Teraz pojawiły się już krople krwi. – Zanurzyła ściereczkę w wodzie i przyłożyła sobie rękę do żołądka. – Obawiam się, że jego choroba jest zaraźliwa. Ja sama zaczynam się fatalnie czuć.

Prawie jednocześnie uzbrojone kobiety cofnęły się o krok. Yu Lin spojrzała gniewnie.

– Twój mąż musi dzielić łożę z Matką Synów. To najwyższy zaszczyt. Takie zachowanie z pewnością śmiertelnie obrazi cesarzową. Najbardziej nieodpowiedni moment na chorobę.

Tree skłoniła się składając dłonie.

– Tak mi przykro. Tak jak mówisz, to wielkie nieszczęście. – Wycisnęła ponownie ścierekę i chciała przetrzeć czoło chorego, lecz odsunął jej dłoń i zwymiotował głośno do wiadra. – Mój mąż tak niecierpliwie oczekiwał nadejścia tej wspaniałej chwili, ale, cóż za nieszczęście, nie można powstrzymać tych okrutnych skrętów wnętrzości.

Mason zakasłał słabo, po czym odezwał się chrapliwym szeptem.

– Ja... ja... strasznie żałuję. Ja... och, wybaczone mi... – Chwycił się za brzuch, zgiął się wpół i pospieszył niezdarnie do sypialni. Odgłos gwałtownych wymiotów rozbrzmiał echem w wysokiej komnacie o kopulastym sklepieniu.

– Czy K'un-Chien nie może mu pomóc, nie ma żadnych lekarstw?... – zapytała Yu Lin.

Druga żona pojawiła się w drzwiach sypialni.

– Gdybyśmy byli absolutnymi władcami ciała... Ale tak nie jest, zrobiłam już wszystko, co mogłam dla niego uczynić. Potrzebuje teraz odpoczynku, w przeciwnym razie choroba może zawładnąć jego *eh 'i*, a nawet go zabić.

Tree ponownie skłoniła się przed strażniczką.

– Proszę, przeproś cesarzową w naszym imieniu. Karma rzuciła nas na morze smutnych niespodzianek.

Yu Lin podeszła i zacisnęła żylastą dłoń na nadgarstku białej kobiety.

– Ty sama powiesz o wszystkim cesarzowej. Nie widzę powodu, abyś ty również nie mogła uczestniczyć w ceremonii. Mam rozkaz przyprowadzenia także ciebie. Chodź ze mną. – Pociągnęła Tree ku drzwiom; pozostałe wojowniczkę wyszły przed nimi. Tree spojrzała błagalnie na K'un-Chien.

Dziewczyna ruszyła za nimi.

– A zatem ja również muszę iść, aby towarzyszyć pierwszej żonie jako dobra służka.

Yu Lin zadrwiła.

– Ha, ha! Ty nie jesteś zaproszona. Nigdy cię nie zaproszono na Ho Ch'i i nigdy nikt cię nie zaprosi.

Tree starała się wyrwać z uścisku Yu Lin, lecz bezskutecznie.

– Zaczekaj! – krzyknęła K'un-Chien. – Zgodnie z tradycją kobiety wyżej postawione muszą przyprrowadzić służącą na ceremonię, aby właściwie ukazać swą rangę i pozycję.

– Znajdziemy jej służącą – odparła Yu Lin, ciągnąc swego jeńca do okrągłych drzwi.

– Nie – zaprotestowała K'un-Chien i wcisnęła się przed Yu Lin, blokując wyjście. – Ja jestem jej prawowitą służącą. Jestem drugą żoną.

Stały twarzą w twarz w milczeniu. Dowódca straży była niższa od K'un-Chien, lecz mocniej zbudowana. Oddychała nierówno, a twarz i oczy pociemniały jej wyraźnie. Wojowniczkę odwróciły się natychmiast, wyciągając z pochew ostre miecze.

– Sprzeciwiasz mi się? – zasyczała Yu Lin. – Ty śmieciu, ty zniesławiona szmato! Jaka to władza upoważnia cię, abyś mówiła mi, co mam robić? Powinam kazać zarżnąć cię jak świnię, którą zresztą jesteś.

– To ja ci się sprzeciwiam – odezwała się Tree, czując, jak krew tętni jej w skroniach. – Korzystając z tej samej władzy, kiedy sprzeciwiłam ci się po raz pierwszy: ja również jestem Matką Synów. I ja wybieram drugą żonę na swą służącą, jako świadectwo mojej pozycji. To jest zgodnie z etykietą. Powiedz swoim strażniczkom, żeby schowały miecze: to one postępują niezgodnie z protokołem.

Tree wyszarpnęła rękę, a Yu Lin nie protestowała. Mruknęła jakiś rozkaz do wojowniczek, które posłusznie pochowały miecze do pochew.

Tree wyciągnęła rękę, i ujęła dłoń K'un-Chien; ich długie palce splotły się w gorącym uścisku. Ruszyły ku świątyni miłości położonej w dolinie, zalanej srebrnym mlekiem sączącym się z księżycowej tarczy.

Rozdział 27

Zapach wonnych olejków zalewał Błogosławioną Świątynię niczym niewidzialny płyn. Tree posmakowała bogatą, słodką woń na języku, kiedy weszła do okrągłej komnaty oświetlonej czerwonymi, papierowymi lampionami. W centrum pomieszczenia wypatrzyła fontannę, z której wydobywał się intensywny zapach pojedynczego olbrzymiego kwiatu, przypominającego białą magnolię. Największym kwiatem, jaki знаła, był mierzący metr szerokości, ważący dwanaście kilogramów *Rafflesia arnoldii*. Lecz kwiat tego nieznanego gatunku, rozsiewający woń po całej świątyni, niewątpliwie ważył ponad pięćdziesiąt kilogramów.

Tree wciąż trzymała K'un-Chien za rękę, kiedy zagłębiły się w tę wonną atmosferę i podeszły do niskiej kanapy ze stosem wyszywanych poduszek. Patrząc na łożo miłości, nagle poczuła się tak, jakby znalazło się w niej kilka różnych osób.

Jedna była naukowcem, zafascynowanym możliwością bezpośredniej obserwacji rytuału seksualnego, który praktykowano od wielu wieków w starożytnych Chinach. Wiedziała o ceremonii Ho Ch'i z rozmów z Gibem dotyczących chińskiej historii i filozofii. Ho Ch'i dosłownie znaczyło zjednoczenie oddechów i odnosiło się do zbiorowego uprawiania miłości praktykowanego przez szkoły taoistyczne od czasów dynastii Han. W noc pełni księżyca tancerze świątyni miłości wykonywali tańce smoka i tygrysa, po czym uczestnicy rozpoczynali trwający całą noc maraton seksualny z możliwie największą liczbą kochanków. Ale Ho Ch'i nie miało wiele wspólnego z seksem grupowym, który spotyka się, powiedzmy, w czasie przyjęcia w motelu w Daytona Beach nad Spring Break. Taoiści traktowali te praktyki bardzo poważnie – seks zajmował centralne miejsce w ich filozofii. Wierzyli, że mogą pobudzać energię życia poprzez łączenie *yin i yang*, a zatem odpędzać choroby i żyć długo w pełni sił. Ich ostatecznym celem było oświecenie duchowe – transcendencja ego – poprzez cielesną ekstazę. Za czasów dynastii Song moralisci konfucjańscy zlikwidowali ceremonię Ho Ch'i, a większość wzmianek na jej temat usunięto z zapisków. Lecz tutaj, w społeczności, której nazwę zaczerpnięto z klasycznego taoistycznego podręcznika seksu, Tree była przekonana, że Ho Ch'i będzie czymś bardzo realnym i niezwykłym.

Usiadła ostrożnie na skraju kanapy i w tym momencie poczuła, że zawładnęła nią kolejna osobowość: nieśmiała, przestraszona dziewczynka, bojaźliwa jak nastoletnia dziewczica. Nie puściła ciepłej ręki K'un-Chien, lecz nie śmiała spojrzeć w jej błękitne oczy. Co tu się miało wydarzyć? Czy popadła w obłęd? Czy to możliwe, że ma w tym uczestniczyć?

Gdzieś na dnie jej psychiki znajdował się głód ciała, pragnienie, by pieścić i być piezczoną. Pragnienia te tak wiele lat powstrzymywała z powodu Masona. Dzisiejszej nocy czuła pokusę bardziej emocjonalną niż fizyczną. Miała ochotę dać upust fantazji, zerwać krepujące ją więzy. Tutaj, w całkowicie obcym otoczeniu, gdzie nikt jej nie znał, była wolna i mogła szaleć

w zupełnie niekontrolowany, nierozsądny sposób.

K'un-Chien puściła jej rękę i wstała. Tree schwyciła ją za ramię. Proszę, nie opuszczaj mnie teraz. Potrzebuję cię – oto co chciała powiedzieć. Otworzyła jedynie i zamknęła usta, niespodziewanie zbyt onieśmielona, aby wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo.

K'un-Chien uśmiechnęła się.

– Zaraz wrócę.

Powróciła do komnaty, niosąc garnek parującej wody i filiżankę herbaty. Tree dostrzegła, że inne służące przynosiły swym paniom to samo. K'un-Chien sięgnęła pomiędzy fałdy niebieskiego kimona i wpuściła strączek z nasionkami miłości, okryty futrzastym, różowym nalotem do porcelanowej filiżanki. Gorąca woda stopiła różowy puszek. Goły strączek stał się ciemny i bezbarwny, jego karmazynowy odcień nikał w rumianej poświacie lampionów w pomieszczeniu. Milczały, kiedy strączek namiękał.

Tree poczuła, jak puls wali jej w skroniach.

– Co teraz?

Dziewczyna wyjęła rozmiękły strączek z filiżanki i, ku zdumieniu Tree, wylała płyn na podłogę wyłożoną płytkami. Odgłosy dzwonienia i plusk wody rozbrzmiały w komnacie, gdyż inne służące robiły to samo. K'un-Chien nagryzła skorupkę, w środku której znajdowało się kilka błyszczących białych groszków – Tree domyślała się, że są białe, ponieważ pod czerwonymi lampionami świeciły jak mokre rubiny.

– Nie żuj nasionka miłości – poinstruowała K'un-Chien. – Po prostu włóż je sobie pod język i pozwól, aby się rozpuściło.

Tree poczuła, jak serce stanęło jej na ułamek sekundy. Tak bardzo chciała zapytać: Po co jest to nasionko? Czy naprawdę myślisz, że powinnam to zrobić?

Znała odpowiedź na pierwsze pytanie, a jeśli chodzi o drugie, czuła, jak tkwiąca w niej dziewczica wciąż opiera się temu, czego w istocie tak bardzo pragnęła.

Podłużne nasionko miało gorzki smak. Im dłużej jednak je ssała, tym stawało się słodsze tak, jak daktyl dojrzewający pod językiem, aż usta w końcu wypełniły się słodką śliną. K'un-Chien wyciągnęła otwartą dłoń i Tree wypluła pomarszczone nasionko i zaczęła ssać świeże; z początku gorzkie, potem rozkosznie słodkie. Po kolejnych dwóch poczuła gorąco w ustach. Słodkie nasionko paliło pod językiem. Wtedy jej doznania zmieniły się: nie tylko język – całe ciało płonęło delikatnym, czystym ogniem. Zachichotała, zdając sobie sprawę, że jest tak rozluźniona i miękka jak ogrzewany słońcem cukierek toffi. Wcale jednak nie czuła się rozleniwiona. Zmysły znacznie się wyostrzyły. Dostroiła się do rytmu własnego oddechu, rosnącego i opadającego w głębi płuc niczym morskie fale. Wdech – napełnianie się jasną energią, akceptacja wszystkiego. Wydech – poddawanie się swemu jestestwu, uwalnianie wszystkiego. Aż zlekła się głębokiej i prostej przyjemności oddychania.

Cztery służące wyniosły z komnaty gigantyczny wonny kwiat, a wysoka kobieta w tunice bez rękawów i krótkiej spódnicy wyszła na środek pomieszczenia. Twarde mięśnie rzeźbiły jej ramiona i nogi; wyszywany, zielony smok wił się na piersiach, na białej tunice, splamiony czerwienią światła lampionów. Włosy splecione w tysiące ścisłych warkoczy, opasały jej czaszkę niczym czarny hełm; sztuczna broda stanowiła również istną kaskadę splotów.

Wszystkie oczy zwróciły się ku posągowej postaci i przez chwilę Tree sądziła, że kobieta-smok weszła na środek sceny, aby coś obwieścić. Może dzisiejszego wieczoru pełniła rolę prezenterki: Dobry wieczór, szanowne panie. Witamy w komnacie pieprzenia. A teraz niech rozpocznie się orgia.

Kobieta-smok rozpoczęła osobliwy taniec. Tańczyła tylko oczami. Oczy wysuwały się do przodu i chowały niczym język węża, brwi wystrzeliły ku górze, a na twarzy pojawił się wyraz rozkoszy jak podczas orgazmu. Taniec złożony z drobnych ruchów hipnotyzował i Tree złapała się na tym, że pochyla się do przodu, aby nie uronić żadnego szczegółu, subtelności wyrazu twarzy i układu rąk. Stopniowo choreografię wzbogaciły ruchy szyi, barków i ramion, a potem zaczęły poruszać się biodra. Tree poczuła, jak obezwładnia ją erotyczna potęga i wdzięk tancerki. Efekt istotnie był hipnotyzujący, jak słuchanie tworzącego się bolera, w którym poszczególne grupy instrumentów dodają kolejne warstwy do powtarzającego się motywu, aż każdy najdrobniejszy dźwięk składa się na bogactwo tej symfonii.

Tancerka niespodziewanie wyskoczyła w powietrze, wykonując pełny obrót, a Tree zerwała się z miejsca. Taniec stawał się coraz bardziej gwałtowny, wyrażając teraz agresywną, męską energię smoka – *yang*.

Niespodziewanie tancerka opadła na kanapę i trwała bez ruchu. W czerwonym świetle kropelki potu widniały na skórze niczym krople krwi. Prawie nie obracając głowy, lustrowała pokój niczym jaguar polujący na jelenia.

K'un-Chien pochyliła się nad Tree i szepnęła jej prosto do ucha:

– Teraz wybierze kobietę-tygrysa z widowni, aby wykonała taniec tygrysa. W dwóch szybkich krokach tancerka-smok podbiegła do Tree, schwyciła ją za ręce i zaciągnęła na środek pomieszczenia. Zdawało się, że kobieta-smok wyparowała w tłumie, pozostawiając białą kobietę z wypiekami na twarzy jako nowy cel uwagi. Tree spojrzała na K'un-Chien, szukając wsparcia. Dziewczyna skinęła głową i zamachała do niej lekko.

– Ale ja nie znam tańca tygrysa – syknęła Tree.

Przez widownię przebiegł osobliwy pomruk.

– Ten taniec zależy wyłącznie od ciebie – szepnęła K'un-Chien. – Ty jesteś kobietą-tygrysem, to jest bardzo osobisty sposób wyrażania ekspresji.

Tree uczyniła krok w kierunku kanapy, lecz K'un-Chien gorączkowo pokręciła przecząco głową. Jej duże oczy krzyczały: Ani się waż tego robić – to może cię zabić.

Tree przełknęła głośno ślinę. Co ja tu, u diabła, robię? Nigdy w życiu nie czuła się bardziej onieśmielona. Pod czerwonymi lampionami widziała oczy zebranych utkwione w niej, niczym igły w kompasie wskazujące północ. Wszystkie postacie pochyliły się ku środkowi.

Mój osobisty taniec? Co ja mam robić, zachowywać się jak feministka, być seksy?

Starła się wymyślić jakieś erotyczne ruchy. Przychodziły jej do głowy tylko striptisy, które widziała jako ciekawska studentka drugiego roku Harwardu. Ale nadymanie i oblizywanie warg wydawało się absurdalne po tym pięknym tańcu.

W Nankinie studiowała balet przez osiem lat, zaczynając jako sześciolatnia dziewczynka, lecz wszystkie te wdzięczne ruchy również wydawały się sztucznie wymodelowane i ograniczone. Zaczerpnęła powietrze w płuca i zamknęła oczy.

Tygrys *yin*. Duch kobiety. Tree zdała sobie sprawę, że nigdy nie przestała zastanawiać się, jak to jest być kobietą. W społeczeństwie dwu płci kobiety posiadały pochwy, mężczyźni penisy.

Tutaj, w społeczeństwie złożonym wyłącznie z kobiet, genitalia nie stanowiły rozróżnienia. A więc co znaczy być smokiem lub tygrysem? Kobiety-smoki nie przechodziły menstruacji; to było bardziej niż pewne. Właśnie widziała tancerkę, która emanowała czymś, co Tree określiła, z braku lepszego terminu, męską siłą, teraz ona miała tańczyć z żeńską siłą – lecz nie wiedziała, jak zacząć.

Nagle wszystko stało się jasne: nie chodzi o to, by wiedzieć, chodzi o to, żeby być. Kluczem do autentycznego tańca nie było planowanie właściwych ruchów. Kluczem było być w pełni, pozwolić oddechowi poruszać ciałem, stać się duchem zrobionym z ciała. Wówczas taniec powstanie nie z konwencji i przemyśleń, lecz mistrzowsko, z jej własnego jestestwa.

Tree odzyskała własny rytm oddechu i poddała się radości życia, która ją ogarnęła. Odczuwała ją fizycznie, pozwalając, aby energia witalna przepływała przez jej gardło i twarz. Ku swemu zdziwieniu otworzyła szeroko usta i zaśpiewała pojedynczą czystą nutę. Za nią podążyła następna i jeszcze następna, melodia dźwięcznych tonów, wyrzucanych z głębi duszy. Pieśń była jak gdyby ruchomą energią, najpierw wewnątrz systemu nerwowego, potem wypłynęła na zewnątrz, aż Tree stała się tańczącym instrumentem. Chwilami powracała do świadomości na tyle, aby zdać sobie sprawę, że ruchy, które nią targają, są niesłychanie piękne – najbardziej spontaniczny i wyrazisty balet, jaki kiedykolwiek wykonywała.

Nie zauważyła, kiedy taniec dobiegł końca i wróciła na kanapę, skąd obserwowała ją K'un-Chien. Przód jej kimona mokry był od łez. Tree spojrzała na jej twarz – lekko naznaczoną uządleniami pszczoł, z szyją owiniętą bandażem. Mimo wszystko druga żona była arcydziełem harmonii, co dowodziło, że jej uroda nie jest tylko powierzchowna. K'un-Chien odwzajemniła spojrzenie swymi azjatyckimi oczami i Tree nagle przypomniała sobie przystań w Nankinie, gdzie pływała jako dziewczynka; zobaczyła przejrzystą, błękitną toń, gdzie nigdy nie mogła dotknąć dna. Rozpoznała miłość we łzach K'un-Chien.

Ujęła w dłonie jej twarz i złożyła pocałunek na pięknych, miękkich ustach. Świat rozplątał się w jednej chwili i nie pozostało nic oprócz smaku Perfum Ziemi-Nieba.

Klepanie w ramię stało się boleśnie natarczywe. Obróciwszy się, ujrzała Yu Lin, dowódcę straży, która wyglądała na zupełnie pijaną. Miała na sobie tylko przepaskę biodrową. Jej muskularny tors lśnił od potu. Szorstka blizna znaczyła miejsce, w którym odcięto jej lewą pierś, aby ułatwić strzelanie z łuku.

– Chcę cię, brzoskwinko – odezwała się ochryplym głosem. – Chodź ze mną. Będiesz moją partnerką.

Tree wciąż tkwiła w błogosławieństwie oczarowania i dopiero po kilku sekundach zrozumiała: Yu Lin żąda, by się z nią kochać.

– Ona nazywa się Tree – powiedziała K'un-Chien. – Czy nie widzisz, że jesteśmy razem? Etykieta Ho Ch'i mówi, że nie można przeszkadzać w pieszczotach.

– Ty! – warknęła Yu Lin. – Ośmielasz się pouczać mnie o etykiecie? Nie powinnaś być na Ho Ch'i. Nigdy. Kalasz tę ceremonię swą hańbą.

– A zatem nie możemy w niej uczestniczyć? – spytała Tree.

– Ona jest usunięta! – Yu Lin wskazała grubym palcem na K'un-Chien. – Chcę, żeby stąd natychmiast wyszła.

– K'un-Chien to moja służąca i chcę, aby eskortowała mnie do domu. A zatem ja również opuszczę to miejsce.

Yu Lin zatrzęsała się z wściekłości.

– Wynoście się stąd! – krzyknęła. – Wynocha! Obydwie.

Zastaly Masona zwiniętego na podłodze sypialni. Gdy go obudziły, usiadł, wyraźnie wyczerpany.

– Przepraszam. Chyba się zdrzemnąłem – wymamrotał. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała Tree.

– Jesteś pewna? Uśmiechnęła się do K'un-Chien.

– Jestem pewna.

Mason przenosił wzrok z Tree na K'un-Chien.

– Wygląda na to, że coś mnie ominęło. Coś się wydarzyło w świątyni miłości.

– Tak – przytaknęła Tree.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Tak?

Roześmiała się.

– A jak sobie wyobrażasz, co dzieje się w świątyni poświęconej miłości? Najpierw oglądałam tancerkę – najbardziej erotyczny taniec, jaki kiedykolwiek widziałam. Następnie

przyszła kolej na mnie. Tańczyłam.

– Naprawdę? Strasznie mi się podoba, jak tańczysz.

– To nie ja tańczyłam. Zesztywniałam na oczach wszystkich. Potem ta... rzeka życia, niczym potężna Amazonka, przepłynęła przeze mnie. Nawet gdybym próbowała, nie potrafiłabym się jej oprzeć.

Spoglądał to na jedną, to drugą kobietę i uśmiechnął się lekko.

– Coś czuję w powietrzu i nie chodzi tylko o perfumy. Spłonila się.

Musimy wlać w ciebie trochę wody. Masz spierzchnięte usta. Zmusiła Masona do wypicia czterech filiżanek herbaty, by uzupełnił poziom płynów w organizmie. Usnął pomiędzy dwoma ostatnimi filiżankami. Następnie wraz z K'un-Chien postawiły go na nogi i ściągnęły mu podobne do pizamy spodnie oraz *dhoti* – muślinową koszulę sięgającą do kolan – i zaprowadziły go do łazienki z małym basenem ze stopniami. Umyły go, ubrały w togę, zaprowadziły do łóżka i położyły z wciąż ociekającymi wodą włosami. Spał, kiedy K'un-Chien ostrożnie pogładziła go po twarzy.

– Śpij spokojnie, dobry mężu.

Tree spjrzała na nią zimno i dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo. Tree roześmiała się i duża część nieśmiałości K'un-Chien zniknęła na dźwięk tego śmiechu. Zebrały poduszki, zdobioną kapę, jedwabne prześcieradła i wyszły na dziedziniec pośrodku pałacu. Mieszkał tutaj ojciec K'un-Chien, a ona pokazała Tree sekretne wyjście, które odkryła, będąc małą dziewczynką. W połowie dużego drzewa banyan rozwidlenie dwóch szerokich gałęzi tworzyło gładką, szeroką platformę, lekko wygiętą niczym gniazdo olbrzymiego gołębia. Położyły tam kapę, a następnie ułożyły się na plecach i spjrzały na gwiazdy migocące ponad zielonym baldachimem.

Miliardy diamentów lśniły w sercu nieba.

– Krzyż Południa – odezwała się Tree, wskazując palcem.

– Rydwan Generała Wu – powiedziała K'un-Chien.

Gwiazdy osuwały się powoli za krawędź doliny, niczym lśniący piasek w klepsydrze. K'un-Chien leżała obok Tree, wdychając jej ciepło, aromat włosów i skóry, wspominając jej cudowny taniec. Umierała z pragnienia, by zdjąć z niej ubranie, a następnie okryć delikatnymi pocałunkami od stóp do głów; zapragnęła być mała jak mrówka, by nie ominąć żadnego zakamarka ciała.

Jednocześnie, pomimo obezwładniającej żądz, K'un-Chien nigdy nie czuła się tak rozluźniona. Tree dokonała wyboru. Ona jest teraz ze mną; ta noc należy do nas. K'un-Chien mogłaby czerpać zadowolenie z samego leżenia obok ukochanej i patrzenia w gwiazdy przez wszystkie godziny, aż do końca świata. Tree trzymała ją za rękę; pełnia szczęścia.

Przez długi czas dryfowały w rozjaśnionym morzu Kosmosu. Jakaś żaba śpiewała na

odległość ręki, a świerszcze wtórowały jej niestrudzenie. Liście plotkowały szemrzącym językiem. Szeroka chmura żeglowała, poruszana wiatrem niczym wielomasztowy żaglowiec. K'un-Chien patrzyła, jak koń przeskakuje Wielki Mur. Smok zamienia się tygrysa, tygrys w smoka.

– Pamiętam pierwszy stosunek z Masonem. Był wtedy prawiczkim. Ja nie, lecz wcześniej uprawiałam seks bardziej z ciekawości niż z żądy czy miłości. Była pełnia, lekka, słona bryza od oceanu, spokojnie i jasno. Byliśmy w naszej kryjówce – nie znam odpowiednika w twoim języku – w latarni.

– W latarni ulicznej? To niesamowite.

K'un-Chien bardziej poczuła, niż dostrzegła uśmiech partnerki. Czowała bicie jej serca, silne i miarowe.

– Nie latarni ulicznej – odpowiedziała Tree. – Latarnia morska to wieża z potężnym, obracającym się reflektorem. To sygnał ostrzegający statki przed rafami, przed niebezpieczeństwem.

– To równie niesamowite.

– Byliśmy sami na balkonie tej latarni. Szalenie zdenerwowani. Szalenie uradowani. Obydwoje drżeliśmy i czuliśmy słabość, jakbyśmy nie jedli od bardzo dawna. Rozbieraliśmy się nawzajem, powoli, zmysłowo. Powiedział, że czuje się, jakby odsłaniał dzieło sztuki. Kiedy zobaczyłam, jaki jest duży, westchnęłam; nie wiem dlaczego – to nie rozmiary fizyczne tak mnie podniecały – to bezmiar jego żądy, mego własnego uczucia. Nigdy wcześniej nie czułam w ten sposób pożądania. Mój apetyt był głębszy niż morze otaczające ze wszystkich stron latarnię. Zanurzałam się w nim, oddychając pod wodą. „A więc to jest cała poezja i dramat” powiedziałam do siebie i zrozumiałam wówczas, że moje życie nigdy już nie będzie takie samo. Lecz kiedy spojrzałam na Masona, zawstydził się... Wyczytał pytanie w moich oczach i poczuł, że musi ukryć tę czystą żądzę. Zaczął wciągać spodnie, mamrocząc pod nosem słowa przeprosin.

K'un-Chien odwróciła się do niej, wstrzymując oddech, silnie poruszona historią dwojga kochanków, których sama tak bardzo umiłowała.

– Jak mogłam mu wyjaśnić, że uczucie, które mnie przepełniało, było nieuniknione? – kontynuowała Tree. – Szok spowodowany odkryciem: nagle obudziłam się jako kobieta. Nie mogłam wymówić ani słowa. Chciałam go całą sobą. Ściągnęłam mu spodnie i przyciągnęłam do siebie. Całą noc unosiliśmy się na drewnianym pokładzie między księżycem a morzem, karmiąc swe dusze żarem naszych ciał. – Zwróciła się do K'un-Chien, poświata napływająca z nieba rozbłysła w jej zielonych oczach. – Mason lubi cytować przysłowie: „najlepszą przyprawą na świecie jest głód”.

Z lekkim westchnieniem K'un-Chien schwyła Tree w ramiona i zaczęła całować ją namiętnie w oczy i usta. Tree rozchyliła wargi i dwa języki owinięły się wokół siebie jak łabędzie

szyje. K'un-Chien umierała z rozkoszy, lecz nie potrafiła powstrzymać się od całowania i smakowania słodkiego oddechu białej kobiety. Rozchyliła jej szaty i wsunęła twarz między małe piersi, smakując duchowe pożywienie, o którym usłyszała przed paroma chwilami.

Jęk rozkoszy popłynął w noc, kiedy K'un-Chien dotknęła powiekami jej sterczących brodawek, zwilżając je ciepłymi łzami. Następnie Tree rozchyliła kimono K'un-Chien i jej ręce powędrowały do piersi partnerki. Brodawki złączyły się, jedwab otarł się o jedwab, a rozkosz, jaką czerpały z wzajemnego dotyku, przyprawiała je o drżenie. Dwa serca łomotały niczym jeden podwójny bęben.

Usta Tree dotknęły różowych brodawek K'un-Chien i zassały mocno, jakby ciągnąc pokarm. Gdy K'un-Chien przypomniała sobie, że Tree dorastała bez matki, wzięła ją na kolana jak dziecko. Tree zwinęła się, zamykając oczy, i zaczęła ssać silną, okrągłą pierś, ściskając palcami drugą brodawkę. K'un-Chien głaskała włosy swej kochanki, obserwując jej ssące usta. Brodawki bolały przyjemnie. Gdyby jej miłość była mlekiem, wytrysnęłaby z piersi i nakarmiła cały świat.

Tree odsunęła się od łona K'un-Chien, brodawki nabrzmiały od silnego ssania.

– Przypomniałam sobie matkę – powiedziała. – To wspomnienie jest jak ślad zapachu w pustym, niezamieszkałym pokoju. Nigdy jej nie powiedziałam, że ją kocham...

K'un-Chien przytuliła jej głowę do łona i zaczęła się kołysać, nucąc klasyczną kołysankę Ming. Tym razem to ona poczuła łzy spływające po skórze.

Kilkanaście małp o białych twarzach przekazywało sobie wzajemnie piosenkę; najgłośniejsza grupka okupowała pobliskie drzewo banyan, tuż za zewnętrznym murem pałacu.

W końcu Tree rozluźniła się i K'un-Chien pomyślała, że kochanka uśnie z twarzą wtuloną w jej ciepłe uda.

Zdjęła jedwabną tunikę z Tree i zaczęła całować ją, stopniowo przesuwając usta ku dołowi, powoli, powoli, niczym ślimak schodzący ze świętej Góry Meru, aż dotarła do delty pełnej wdzięcznych kędziorków. Tam pochyliła głowę wciskając nos i usta między śliskie wargi sromowe. Westchnęła i zajęczała. Wszystko było wonią, smakiem i uderzeniami serca. *Wei dao le haoji.*

Wystraszyła się, gdy biała kobieta pociągnęła ją za kimono. Tree chciała dopasować ich ciała i wejść w nią swoim językiem. K'un-Chien była bliska wytrysku; sztywny penis, uwięziony w grubej przepasce biodrowej, boleśnie domagał się wolności. Ale gdyby Tree przypadkiem odkryła jej sekret, prawdopodobnie cała miłość uleciałaby jak dym z ogniska.

Będzie zde gustowana moim ciałem tak, jak mój ojciec. Jestem taka brzydka. Znienawidzi mnie.

– Tree, nie. – K'un-Chien odepchnęła jej rękę.

– Chcę cię posmakować – wyznała. – Uwiodłaś mnie. Dlaczego teraz mnie powstrzymujesz?

– Proszę. Pozwól, że ja ci zrobię dobrze. Nie chcę, żebyś mi się odwzajemniała.

Tree uniosła brwi w zdumieniu.

– Krwawisz z księżycem? To nie żaden wstyd. Będę szczęśliwym wampirem.

Sięgnęła między uda K'un-Chien, lecz napotkała stanowczy opór.

– Nie! Nie wolno ci! – K'un-Chien podskoczyła, z trudem łapiąc oddech. Najwspanialszy kontakt, jaki udało jej się kiedykolwiek nawiązać, rozpadał się w drzazgi, a wszystko przez jej anatomię. Zwiesiła głowę na piersi. – Ja... ja... przepraszam... to moja wina. Nie powinnam cię tu przyprowadzać.

– K'un-Chien, czy gniewasz się na mnie? – spytała Tree, kładąc ciepłą dłoń na ramieniu dziewczyny.

Pod wpływem dotyku K'un-Chien zaczęła drzeć na całym ciele. Pokręciła głową, chcąc powiedzieć: Byłaś wspaniała, lecz ściskanie w gardle było zbyt duże, aby mogła się zdobyć choćby na szept.

– Szszszsz. – Tree przytuliła ją mocno. – Nie rozumiem cię, ale wszystko jest dobrze. – Ich nagie piersi dotknęły się ponownie. Gorąco ciała partnerki przenikało K'un-Chien na wskroś, dochodząc do samego serca. Nie potrafiła powstrzymać wstydu i wybuchnęła płaczem.

– Och, Tree... – odezwała się, pociągając nosem. – Proszę, czy mogę... proszę... – K'un-Chien nie mogła się zdecydować, aby poprosić o to, czego tak gorąco pragnęła: zatuszować ten rozłam. Powrócić w objęcia, które złączyło ich dusze.

– Chodź – powiedziała Tree. – Chcę cię mieć blisko siebie. Chodź do mnie. – Pociągnęła dziewczynę na siebie. K'un-Chien pocałowała krzywiznę brzucha Tree i zatopiła twarz między śliskimi płatkami morskiego brzegu.

Ekstaza. Łomot serc. Muzyka krwi.

Tree zawyła, wczepiając się palcami we włosy kochanki. Oddech zmienił się w ciężkie sapanie. Brzuch naprężył się do granic możliwości; następnie wygięła się w łuk, zamieniając się w jeden drżący mięsień, jakby chciała wejść do ust partnerki. Stłumiła okrzyki, gryząc jedwabną poduszkę. W następnej sekundzie K'un-Chien targnął podwójny spazm rozkoszy tak intensywnej, że oscylowała na granicy bólu. Ona również krzyknęła, wytryskując niczym gejzer.

W osobliwej sypialni świerszczy, żab i gwiazd dwie żony leżały na sobie dysząc. W ogrodowym basenie poniżej drzewa banyan białe lotosy lśniły delikatnie w świetle księżyca.

Rozdział 28

Mason zbudził się z bólem głowy na skalę kaca po butelce tequili. Pocieszał się jednak, że ustąpiły mdłości. Szczerze mówiąc, opróżniwszy dokumentnie żołądek poprzedniego wieczoru, czuł się potwornie wygłodniały. Usiadł na łóżku i dostrzegł Tree leżącą wraz z K'un-Chien na kocu rozłożonym na słomianych matach. Domyślałem się, że coś się tu kroi.

Zastanowił się nad skomplikowanymi uczuciami targającymi nim. Nie był pewien, jak nazwać te nagłe emocje, lecz z ulgą poczuł, że zazdrość stanowi tylko pomniejszy element w tej mieszance, jak czerwona papryka pośród duszonych warzyw. Może mógłby pozostać neutralny wobec rozpoczynającego się romansu; może tak byłoby najlepiej – nie wymagało to reakcji z jego strony – przynajmniej jak dotąd. Westchnął. Najbardziej doskwierało mu zwykłe rozgoryczenie. Niewątpliwie przespał coś szczególnie pięknego.

Poza tym czuł się głęboko zaintrygowany. Zastanawiał się nad alchemią, sprawiającą, że kobieta tak uczuciowa i zmysłowa jak Tree kojarzy się z kobietą tak spontaniczną i zachwycającą jak K'un-Chien: jasny ogień i ciemne kadzidełko.

Chciał zapytać Tree o to doświadczenie – a może uważała ten romans za zbyt intymny, aby o nim rozmawiać? Lepiej będzie powiedzieć coś w rodzaju: Daj spokój, Tree, jesteś moją najbliższą przyjaciółką, możesz mi zaufać. K'un-Chien to moja żona, na miłość boską. Obie jesteście moimi żonami.

Mason westchnął ponownie, dumając nad kosmicznym absurdem swojej sytuacji. Oto stał tutaj, jako mąż dwóch niezwykle pięknych kobiet, które właśnie zapalały do siebie miłością. Czy stali się lubieżnym trio, gotowym na tajemnicze figle pod kołderką? Do diabła, nie. Bo nie chce mi stać.

Zmusił się do ponurego uśmiechu, po czym z dziwnym grymasem na twarzy klepnął się dłonią w czoło.

– May-Son? – K'un-Chien usiadła. – Jak się czujesz?

– Jakby słoń użył mnie jako czopka.

– Boli cię głowa. Ból powoduje brak równowagi w potrójnym palniku. Mogę to zniwelować.

– Potrójny palnik?

Jeden z czternastu kanałów *eh 'i*, przez które krąży energia w ciele. Opuchlizna po uządleniach zniknęła i twarz K'un-Chien odzyskała jasnoróżową barwę. Skład leku przeciwwzpalnego był jedną z wielu rzeczy, o które Mason chętnie by ją zapytał.

– Pokażę ci, poczujesz się znacznie lepiej. – Wspięła się na łóżko i uklękła za nim. Napięcie, jakie czuł w skroniach, zniknęło pod dotykiem jej zręcznych palców.

– Już czuję się lepiej. Ból częściowo minął.

– To jeszcze nie jest właściwe leczenie. Robię to, by zaznajomić cię z dotykiem moich dłoni,

abyś mi zaufała i potrafiła się rozluźnić.

– Hmm, ja naprawdę ci ufam. Całkowicie.

Zeszła z łóżka i usiadła na podłodze przy jego stopach.

– Najpierw będzie bolało, potem poczujesz się jak nowo narodzony. – Uniosła jego prawą stopę i nacisnęła kciukiem bolesny wzniesienie na wewnętrznej stronie podeszwy.

– Au! – syknął Mason. Nie chciał zbudzić Tree. – Jakby grom uderzył mnie prosto w rdzeń bólu głowy.

Nie przestawała naciskać kciukiem. Złapał się obiema rękami za głowę, jakby nie chciał dopuścić do tego, żeby błyskawica bólu przebiła mu czaszkę. Nagle ból zaczął ustępować.

– Naciskasz tak mocno jak przedtem?

– Jeszcze mocniej.

Ból rozpuścił się tak szybko, jak sól w gorącej wodzie.

– Nie boli – stwierdził Mason, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. – Zniknął.

Nacisnęłam *tsubo*, który wysłał posłańca, aby otworzył bramy twojego potrójnego palnika. Zenit jest teraz odblokowany, przywrócony do równowagi. Patrzył na nią z nieukrywanym podziwem.

– Praktykujesz wiele aspektów sztuki medycznej, o których zachodni lekarze, tacy jak ja, nawet nie śnili.

Uśmiechnęła się.

– A czy nie sadzisz, że odwrócenie tego stwierdzenia jest również prawdziwe? Możemy się od siebie dużo nauczyć.

Mason przygotowywał się do zadania kolejnego pytania, które zaprzętało mu myśli, lecz czuł się zbyt onieśmielony.

– Tak, mężu. Pytaj.

– Nie... ja... nieważne. Dziękuję...

– Chciałbyś wiedzieć, czy mam lek na impotencję? Mason o mało się nie zakrztusił.

– A masz?

Wstała z podłogi i usiadła na łóżku obok niego.

– Drogi mężu, musisz zrozumieć, nie jesteś impotentem. Widywałam cię rankami – był sztywny jak pał.

Westchnął i zwiesił głowę na piersi.

– Tak, ale...

– Ale nie jesteś w stanie zmanifestować swej męskości, kiedy kochasz się z Tree.

– Właśnie tak.

– Posłuchaj. Zauważyłam w tobie dwie rzeczy. Po pierwsze, jesteś człowiekiem zdolnym do wielkiego, silnego uczucia. Po drugie, tłumisz swe uczucia, skrywasz na dnie serca. Obawiasz

się smutku, który się w tobie czai, dając mu tym samym moc pustoszenia twego życia i męskości. W przypadku emocji tak silnych jak te, których ty doświadczasz, wysiłek związany z ich ukrywaniem jest zbyt wyczerpujący.

Westchnął głęboko.

– Myślę, że lepiej ująć tego nie mogłaś. – Podniósł rękę i przejechał palcami po czarnych kędziorach, wciąż zaskoczony sposobem, w jaki dziewczyna uwolniła go od bólu głowy.

– Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, jak spychasz te uczucia, jak powstrzymujesz się od spotkania z nimi?

– No cóż, Tree i kilku bliskich przyjaciół oskarżało mnie, że jestem nieczuły. To prawda, że często nie czuję zbyt wiele, ani dobrego, ani złego. Inaczej niż kiedyś. Kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Przez większość czasu czujesz się odrętwiały – powiedziała. – Ale ja pytam się jak? Jak to robisz? Jaki jest mechanizm, który sprawia, że jesteś odrętwiały, nieczuły, gdy smutek przepelnia cię po brzegi?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Jesteś w tym mistrzem – stwierdziła. – Postaraj się teraz. Pomyśl o czymś smutnym, a potem odpędź te uczucia. Obserwuj uważnie i powiedz mi, jak blokujesz emocje.

Bez trudu pomyślał o czymś smutnym. Jedynie cienka grobla oddzielała Mazona od morza niezmiernego żalu z powodu śmierci Giba. Każdy dzień był nieustanną walką z naporem fal, umacnianiem grobli, zatykaniem szczelin. Zaczynał rozumieć, o czym mówi K'un-Chien. Złapał się na tym, że właśnie to robi. Kiedy smutek wypełnił go, umocnił tamę, napinając mięśnie; szczęka, klatka piersiowa, trzewia; zamykał energię wewnątrz szczelnego pudełka, którym było jego ciało. Przystawał oddychać, aby uciszyć morskie fale, aby zatrzymać ruch emocji i życia. Brak rytmu, brak ruchu, brak uczuć.

– Sadzę, że napinam mięśnie, walcząc z... hmm, chciałem powiedzieć energią.

– Tak. Energia. Tym są uczucia – energią, siłą witalną. One płyną.

– Zgadza się. A ja wstrzymuję oddech. To zatrzymuje przepływ. – Westchnął. – Brzmi to sensownie. Dlatego nie doświadczam wzlotów i upadków tak jak w młodości. – Uśmiechnął się krzywo. – Kiedyś byłem całkiem uczuciowym facetem: poetą, kochankiem, idealistą – cały ten nonsens. Życie w znacznej mierze sprawiło, że wszystko stało się płaskie.

– *Tao* ciała i umysłu zawiera prostą regułę: jeśli znieczulamy się na ból, znieczulamy się również na przyjemność. Gdy czujemy radość, musimy otworzyć się również na smutek.

– Tylko dwie możliwości? Otwarcia albo zamknięcia. Wiem, że masz rację, ale jakże bym chciał, żeby tak nie było.

– Co by się stało gdybyś uwolnił swe uczucia, pozwolił im wyrazić się bez żadnych przeszkód, nie tłamsząc ich w piersi?

– Nie. Nie mógłbym. – Mason przesunął dłonią po włosach. – To by... nie mógłbym tego uczynić. – Zadrżał. – To by mnie zniszczyło.

– A jakim kosztem to robisz? Nie jesteś w stanie kochać się z osobą, która znaczy dla ciebie najwięcej na świecie. Twierdzisz, że uwolnienie uczuć zniszczyłoby cię, ale kim jesteś teraz?

– Figura woskowa Masona Drake’a. – Zakrztusił się i automatycznie napiął krtań i mięśnie klatki piersiowej, by uwięzić wewnątrz smutek. – Od Wietnamu czuję, jakby większa część mnie umarła.

K’un-Chien objęła go silnym szczupłym ramieniem.

– Słyszałeś to chińskie przysłowie: „Uczymy się nauczając?”

– *Homines dum docent discunt*, „Podczas nauczania uczymy się”. Seneka, filozof rzymski.

Skinęła głową.

– Powiem ci coś: wydaje się, że tak dobrze pojmuję twoje kłopoty, ponieważ stanowią duplikat moich własnych. Ja również jestem mistrzynią w tłamszeniu emocji i czynię to w ten sam sposób: wyciszając oddech i usztywniając ciało, zamykając je w jaskini mego wnętrza. – Uścisnęła mu ramię. – Nie jesteś odosobniony, mężu.

– Rozumiem. I dziękuję za olśnienie, które mi dałaś. Ale jeśli mam być szczery, zbyt obawiam się mego żalu, aby go uwolnić. Sądzę, że mógłby mnie zabić.

– Obydwoje zabiliśmy siebie, aby powstrzymać żal. Sama nie zdawałam sobie z tego sprawy, aż do ubiegłej nocy. Nie mogłam spać, zastanawiając się, co zrobić z tą nową mądrością.

Mason skinął głową.

– Z radością cię wysłucham, jeśli chcesz o tym porozmawiać. Meng-Po powiedział mi o śmierci twoich braci.

– To powód mego żalu, lecz jest jeszcze coś więcej.

– Pomogłoby ci, gdybyś się tym podzieliła? Co cię tak zraniło? Uśmiechnęła się krzywo.

– Gdybym potrafiła to powiedzieć mężczyźnie, którego kocham, czyż nie byłabym już uzdrowiona?

Serce Masona zabiło szybciej.

– Ja... ja też cię kocham, K’un-Chien. I cieszę się, że wy się spotkałyście. Potrząsnęła głową.

– Nie znasz mojego położenia. Tree też nie. – Łzy rozjaśniły jeszcze bardziej jej oczy. – Bardzo bym chciała pomóc tobie i Tree, abyście do siebie wrócili. Ta miłość była przeznaczeniem.

Mason zacisnął usta.

– Jej będzie lepiej beze mnie. Tylko bym ją ściągał w dół. Coś wydarzyło się w przeszłości, podczas wojny, daleko od domu, i... – Przełknął głośno ślinę i przytrzymał mocno groble, żeby

nie puściła. – Gdybym mógł wrócić i zmienić historię... na dziesięć minut, na pięć minut. Tylko pięć minut życia. To by wszystko zmieniło.

– Chyba mogę ci pomóc – powiedziała, ujmując go za rękę. – To oczywiste, że czujesz ciężar straszliwej winy. I oczywiście nie możesz zmienić przeszłości, lecz możesz do niej powrócić. A tym samym ujrzeć ją jeszcze raz. Często nowa perspektywa wystarcza, aby zrewidować sens swej karmy. Mogę ci pomóc powrócić do przeszłości.

Wzruszył ramionami.

– Co rozumiesz przez „powrócić”?

– *Ling-Chih* – rzuciła. – Możesz zjeść świętego grzyba. Osoby, których orientacja na przeszłość jest silniejsza niż na przyszłość, podróżują zawsze do przeszłości.

– Co można przez to osiągnąć? Przecież to tylko wizje wywołane narkotykiem.

– Nie. Więcej niż wizje. Będziesz musiał sam dokonać podróży, aby zrozumieć prawdę mych słów. To o wiele więcej niż sen czy wizja.

– Posłuchaj, nie chcę cię obrazić, lecz skoro powrót do przeszłości ma tak terapeutyczne działanie, dlaczego ty nie wzięłaś *Ling-Chih* i nie rozwiązałaś własnego problemu?

– Ponieważ moja karma skłania się ku przyszłości. Mam przeznaczenie, do którego wypełnienia zostałam zrodzona. Użyłam grzybka tylko raz. Wtedy zobaczyłam, kim mam się stać.

– To znaczy? Spuściła głowę.

– Tej tajemnicy nie mogę zdradzić ani tobie, ani Tree.

Mason długo wypuszczał powietrze z płuc i opadł na materac z rękami za głową. Bicepsy wbiły się w błękitne prześcieradło.

– Nie chcę powracać do przeszłości, jeżeli nie mogę jej zmienić – westchnął. – Nie chcę znowu patrzeć na to, co zrobiłem.

– Ale ty widzisz swoją „zbrodnię” codziennie. *Tao* wymaga, żeby to, czemu się sprzeciwiasz, zawsze stało przed tobą, jak ręka przed twarzą. Nieustannie powtarzasz, co zrobiłeś; w twym umyśle to nigdy nie ma końca. Dlatego cierpisz. Ale gdybyś mógł zrewidować swoje spojrzenie, ujrzeć swe czyny ponownie i w nowym świetle...

Mason w błysku wyobraźni ujrzał umazaną w błocie twarz Giba, krople deszczu wpadające w otwarte błękitne oczy. Nieruchome spojrzenie nie wyrażało oskarżenia ani żalu, ani pożegnania – Zabiłem najlepszego przyjaciela. Nie można na to spojrzeć inaczej. Zabiłem go. Nie żyje przeze mnie. – Twarz Masona drgała, gdy zaciskał szczęki.

K'un-Chien położyła się obok i przytuliła się mocno do niego, całując go w policzek. Ciepłe piersi pod ciemnym ubraniem napały na jego zębra. Ta czułość jeszcze bardziej utrudniła mu umacnianie brzęgów przeciekającej grobli. Nigdy nie był tak bliski utonięcia w morzu żalu.

Rozdział 29

Kiki podbiegł do prętów i zaczął krzyczeć podekscytowanym głosem, wyraźnie uradowany widokiem Masona. Twarz Meng-Po wyrażała taką samą radość.

– Witaj, witaj, starszy bracie – odezwał się. – Twoje przyjście to radość dla naszych oczu. Twoja wizyta jest jak słońce, które rozprasza mgły.

– Odwzajemniamy te uczucia. W rzeczy samej przyszedłem dzisiaj, ponieważ czułem się smutny i wiedziałem, że mnie rozweselisz.

– Pohandlujemy haiku czy pomalujemy?

– Nie dzisiaj, mały bracie. Gdy jestem w parszywym nastroju, nie mam zbytnej ochoty na komponowanie wierszy czy tworzenie piękna.

– A zatem może poćwiczmy kaligrafię? Czynisz wielkie postępy. Prawie opanowałeś Sześć Reguł Shieh Ho. Teraz nauczę cię Szczipłego Złotego Stylu cesarza dynastii Song, Hui Zonga.

– W tym właśnie momencie Shieh Ho ryczy w Sali Przodków: „O nie! Znowu ten głupi barbarzyńca! Ryba jaskiniowa, bez oczu, bez rąk, mogłaby praktykować moje reguły znacznie lepiej!”

Meng-Po roześmiał się.

– Widzisz, od razu mnie rozbawiłeś. Przez cały dzień się nie śmiałem.

– Taak, szefie – odezwał się Mason w południowym, murzyńskim dialekcie.

– Obydwaś czujemy bluesa. – Zaczął śpiewać „Siedząc na przystani nad zatoką”. Meng-Po słuchał z uwagą. Mason zakończył ostatni wers i zaczął gwizdać melodię, by w końcu ucichnąć.

– Piosenka może być smutna i równocześnie piękna – powiedział Meng-Po.

– Jak wiersz. Jak życie.

– Zobacz, przyniosłem ci prezent. – Mason wyciągnął dysk, który wykonał z drzewa balsa. Wyglądał jak duża, bardzo płytka misa o zaokrąglonych krańcach.

Meng-Po uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Będę go traktował jak największy skarb. Mason roześmiał się.

– Chyba nie wiesz, co zamierzasz traktować jak największy skarb.

– To misa, oczywiście. Ładnie wykonana, ale niewątpliwie zaprojektowana dla ozdoby. Nie pomieściłaby zbyt dużo jedzenia, a płyn wsiąkłby w drewno.

– To nie misa. To latająca zabawka.

W kącikach ust chłopca przyczaił się uśmiech.

– Nabierasz mnie.

– Możesz sprawdzić. Będzie latała. Pozwól – Mason wyciągnął rękę. – Pokażę ci. – Wskazał na przeciwległą ścianę – Widzisz tę książkę na górnej półce? Patrz.

Wygiął nadgarstek i rzucił. Dysk pomknął na półkę i zrzucił książkę na podłogę przykrytą

grubym dywanem. Kiki zapiszczał, klaszcząc w dłonie, i pobiegł, żeby przynieść dysk.

– Wspaniale – przyznał Meng-Po. – Możesz mnie nauczyć?

– Oczywiście. – Mason wziął dysk od Kikiego. – To się nazywa Frisbee. No cóż, szczerze mówiąc, jest to Frisbee z balsy. Prawdziwe Frisbee są wykonane z materiału, który nazywamy plastikiem.

Meng-Po uniósł brwi w zdumieniu.

– Plastikiem?

– Nieważne – Mason machnął ręką. – Od wielu lat bawię się Frisbee. Nie wiedzieć z jakiej przyczyny, zawsze miałem talent do rzucania nimi. Co roku w moim koledżu odbywał się turniej Frisbee, a jedna z konkurencji polegała na rzucaniu do celów zarówno stacjonarnych, jak i ruchomych. Byłem mistrzem Frisbee przez cztery lata z rzędu, aż do zakończenia studiów.

– Plastik? – odezwał się Meng-Po. – A zatem tak to nazywacie. Myślałem, że to talerze. – Podskoczył do góry, zrzucając Kikiego z kolan, i popędził w przeciwny koniec klatki, gdzie otworzył głęboką drewnianą skrzynię. Wrócił po kilku chwilach z naręczem plastikowych dysków w jasnych i fosforyzujących kolorach. – A więc to są Frisbee! – krzyknął.

– Aha – Mason uśmiechnął się kącikiem ust. – Nie zostały zniszczone. Pochodzą ze stacji badawczej, którą nazywaliśmy Tratwą, na szczycie góry, Wojowniczkami mi je przyniosły. Lubię zbierać niezwykle rzeczy. A ten dziwny materiał, z którego wykonane są talerze zafascynował mnie. Plastik. – Meng-Po zgiął Frisbee w rękę i powtarzał nowe słowo: – Plastik. Bardzo dziwne. Piękne kolory.

– Przywiozłem kilkadziesiąt dla Indian Wawajeros, z którymi pracuję każdej zimy. Kilka lat temu nauczyłem ich grać we Frisbee i zwariowali na punkcie tego sportu.

Kiedy Mason po raz pierwszy nawiązał kontakt z plemieniem Wawajeros podczas programu medycznego, mężczyźni ciągle przychodzili do niego z naciągnięciami mięśni, zwichnięciami i złamaniami po brutalnej grze z kijem i piłką, nazywanej *bunjarao*. Najpierw gracze obu drużyn wlewają w siebie litry parującego, czarnego błota, sporządzonego z kawy i gotu-kola, aż zaczną wymiotować. Następnie, gdy kofeina przeniknie do krwi grają przez wiele godzin jak szaleńcy. Mason zdecydował, że potrzebują czegoś łagodniejszego, więc nauczył ich Frisbee. Drużyny, pobudzone kofeiną, szalały, a Mason miał do szycia i leczenia taką samą liczbę poszkodowanych graczy jak poprzednio.

– Pokaż mi jeszcze raz – poprosił Meng-Po. – Wceluj w tył hełmu tamtej strażniczki. – Wskazał, chichocząc. – Nazywa się Pa-Kwo. Posiada niesłychaną umiejętność spania na stojąco, opierając się na włóczni. Widzisz. Z jej równego oddechu można wywnioskować, że teraz śpi.

– Niewątpliwie mógłbym trafić w hełm, ale nie chcę sprawić, by straciła twarz. Mógłbym sobie przysporzyć wroga, a przydałoby się raczej paru nowych przyjaciół.

– Jesteś mądry, chociaż Pa-Kwo jest najsympatyczniejszą strażniczką z tych, które mnie

pilnują. Nie ma tak zajadłego charakteru jak dowódca Yu czy kilka innych. Opowiada mi śmieszne historyjki, wymyśla różne zajęcia, abyśmy obydwój nie nudzili się tak bardzo, by zasnąć na stojąco. Szczerze mówiąc, to właśnie ona przyniosła mi twoje zabawki.

– Cieszę się, że nie wykorzystwała ich jako talerzy.

– Zatrzymała kilka do tego celu. – Meng-Po roześmiał się. – Ja też z nich jadłem. – Odwrócił się, lustrując wzrokiem pomieszczenie. – Wiem, uderz w bociana na tym obrazie na ścianie. Potrafisz? Tego grubego, który leci po lewej stronie.

– Chyba bym potrafił. Ale nie chcę zniszczyć twego obrazu. Ten mi się najbardziej podoba. Jest taki... niewinny. Mam nadzieję, że nie zrozumiesz mnie źle, jeśli powiem, że jest prymitywny i w tym tkwi jego piękno.

– Rozumiem cię w zupełności, ja też właśnie to lubię w tym obrazie. Lecz nie jest mój.

– A czyj? K'un-Chien?

Kiki podskoczył kilkakrotnie, podbiegł do obrazu i klapnął w niego małą czarną łapką o długich cienkich palcach.

– Kiki odpowiada na twoje pytanie.

– Co? – Oczy Masona rozszerzyły się. – Teraz ty mnie nabierasz. Meng-Po potrząsnął głową, szczerząc zęby.

– Kiki to namalował.

Mason wydawał się oszołomiony.

– To niemożliwe – wyrzucił z siebie.

– O tak. Kiki to artysta.

– Jak?... Jak daleko sięga jego inteligencja?

Kiki pobiegł z powrotem na kolana Meng-Po i chłopiec pocałował małąkę mędrca w białe wąsy.

– Ten człowieczek zrobi po prostu wszystko, jeśli podrapiesz go po brzuszku albo dasz mu ciasteczko szczęścia. Ostatnio nauczyłem go pisać własne imię.

– Och, proszę! Muszę to zobaczyć na własne oczy.

– Kiki, weź pędzelek – poprosił Meng-Po. Stworzonko o cyfrowym futerku otworzyło wąskie drewniane pudełko i wyjęło pędzelek do kaligrafowania o grubej rączce, wykonanej z lakierowanego drzewa wiśniowego, zakończonej kępką ludzkich włosów.

– Przygotuję dla niego tusz – zwrócił się chłopiec do swego gościa. – On za bardzo bałagani. – Podniósł przykrywkę kałamarza i dodał trzy kropelki wody. Zmiażdżył czarną pałeczkę na mokrym kamieniu, a następnie dodał szczyptę sproszkowanego cynobru, aby zabarwić płyn na mocno szkarłatny kolor. Potem rozwinął na szerokość ramion gładki zwój pergaminu i ukląkł przed nim.

– Kiki, oto twój tusz. Napisz swoje imię.

Małpka-mędrzec wzięła pędzel i zanurzyła go w szkarłatnym tuszu. Wykonała kilka zamaszystych maźnięć. Na koniec cisnęła na górną część napisu mgłą karmazynowych kropelek.

Meng-Po roześmiał się.

– Zawsze to robi na zakończenie. Próbowalem go tego oduczyć, ale doszedłem do wniosku, że to jego podpis. Podoba mu się to.

– Tu jest napisane – Mason przechylił głowę na lewo – *Kiki Małpa-Mędrzec?*

– Tak. Wszystkie znaki nachylone w lewo. W ten sposób trzyma pędzelek.

– Jestem zdumiony. Różni się od wszystkich zwierząt znanych w moim świecie. Kiki stanowi rodzaj sam w sobie. – Mason pomyślał przez chwilę. – A może chodzi o to, że my, ludzie, nie jesteśmy tak wyjątkowi, jak sądzimy? Myślę, że to właśnie tak bardzo mnie szokuje. Po tym wszystkim, czego nauczyłem się w szkole. My, ludzie, nie jesteśmy sami.

– Ja nigdy nie jestem sam, kiedy jest przy mnie mój przyjaciel Kiki.

Kiki skoczył, złapał Masona za rękę i w zdumieniu przypatrywał się pustej dłoni.

– Oczekuje nagrody – poinformował Meng-Po. – Proszę, daj mu ciasteczko. Uwielbia je.

Mason wziął od chłopca kawałek ciastka.

– Ciasteczko szczęścia?

– Słyszałeś o nich?

– Wielokrotnie je jadłem. Ale... Zawsze sądziłem, że ciasteczko szczęścia nie pochodzi z Chin.

– Istotnie. Mówiono mi, że wynalazł je mój ojciec, lecz najwyraźniej nie jest to zgodne z prawdą, ponieważ jadłeś je wcześniej.

Kiki wziął ciastko i skruszył je ostrymi ząbkami. Wyciągnął purpurowym języczkiem pasek papieru i wręczył Meng-Po. Chłopiec przeczytał.

– Tu jest napisane: *Twoje życie będzie wypełnione cudami.* – Meng-Po wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Mój ojciec przywiózł ze sobą mnóstwo dziwnych pomysłów ze swego kraju. Twierdził, że szukał nas przez większą część życia.

Mason zaniemówił na chwilę.

– Mój Boże – wyrzucił z siebie po angielsku, a następnie dodał po chińsku: – Znasz nazwę jego rodzinnej ziemi?

– Och, tak. Kiki, skąd pochodził ojciec?

– Aaaa-meeee-ryyyy-kkkaaaaa – odpowiedziała małpka-mędrzec.

– Ameryka – powtórzył Meng-Po, wręczając Kikiemu kolejne ciastko.

Mason usiadł, czując zawrót głowy. A więc to tak. Staruszek doznał wreszcie do El Dorado.

Huxley Summerwood – ojciec Tree – również ojciec K'un-Chien i Meng-Po. Tree była ich przyrodnią siostrą. To dlatego błękitne oczy K'un-Chien przypominały Masonowi oczy Giba. Początkowo sądził, że to jej intensywność, ogień duszy, lecz to była tylko część wrażenia. Tak

naprawdę chodziło o rzeczywiste podobieństwo fizyczne. Gib i K'un-Chien mieli tego samego ojca. A Meng-Po był kolejnym cudownym dzieckiem – tak jak jego brat przyrodni. – Jak mogliśmy to przeoczyć? Azjatyckie rysy twarzy, oczy K'un-Chien, egzotyczne tło niezwykłego miasta – przyćmiły oczywistą prawdę.

Jak zareaguje Tree? Właśnie rozpoczęła romans ze swoją przyrodnią siostrą. Rozejrzał się po przestronnej wyłożonej płytkami komnacie w stylu Ming. Czy to robi jakąś różnicę? Teraz – tutaj? Czy normy zachodniej cywilizacji działają tak daleko od kraju? Czy nie byłoby lepiej w ogóle jej o tym nie mówić?

– May-Son, pozwól, że pokażę ci moją kolekcję, a może będziesz mógł mi powiedzieć, co to za rzeczy.

– Co takiego? – zapytał Mason, wciąż oszołomiony.

– Moje rzeczy z zewnętrznego świata. Powiesz mi, co to jest? Skinął głową.

– Oczywiście. Pokaż mi.

Meng-Po podszedł do ciężkiej drewnianej skrzyni. Podniósł uszkodzoną lornetkę i wygiął brwi w łuk w zaciekawieniu.

– Powiększa obraz i przybliża. Patrząc przez te szkła, widzisz to, co znajduje się bardzo daleko – wyjaśnił Mason.

– Aha. Tak myślałem.

– Nie próbowałeś przez nią patrzeć?

– Tak, ale wszystko jest zamazane. Mason wstał.

– Podaj mi ją.

Meng-Po rzucił lornetkę, a Mason złapał ją, wkładając ręce za żelazne pręty. Przyłożył ją do oczu, lecz wewnętrzne soczewki nie miały zawieszania, a mechanizm ogniskujący zaciął się.

– Lornetka – powiedział Mason. – Ta akurat jest uszkodzona. – Potarł zardzewiały numer seryjny; antyczny, holenderski model, używany do celów militarnych, z datą produkcji 1810 roku. Musiała należeć do jakiegoś europejskiego podróżnika, który w zeszłym wieku przekazał swoje geny córkom tej doliny.

– Znasz jej historię, co stało się z właścicielem? – zapytał.

– Powiedziano mi, że należała do kogoś, kto żył tutaj wiele lat temu, długo przed moim ojcem. – Stłumiony głos Meng-Po dotarł z głębi skrzyni. – Wiem natomiast, co to jest – krzyknął chłopiec, wyłaniając się ze skrzyni z długą, metalową latarką w ręku. – To magiczna pochodnia, która płonie zimnym ogniem. Jak świeciła całą noc i cały dzień, płomień wygasł. Możesz odnowić magię?

Baterie, takie komórki do przechowywania energii, wyczerpały się. Nie mogę odnowić hmm... tej magii. – Mason uśmiechnął się, myśląc, jak trudno czasami odróżnić nowoczesną technologię od magii. Sam również miewał takie problemy. Uważał swój komputer, ni mniej ni

więcej, za pudełko pełne małych cudów.

– Co to jest? – Meng-Po podniósł srebrną zapalniczkę do fajki i pstrykał nią, otwierając i zamykając wieczko.

– Mogę zobaczyć? – Mason schwycił zapalniczkę i obrócił ją w rękę. Z jednej strony widniało logo Korporacji Farmaceutycznej Halcyon, a na drugiej wygrawerowano: profesor Barry Levine, dyrektor, HARVEST.

Mason pstryknął zapalniczką i pojawił się błękitny gazowy płomyk.

– Wspaniale! – zakrzyknął Meng-Po.

– Używa się ich do zapalania fajek.

– Do palenia opium?

– Nie. Przynajmniej nie w tym przypadku. Chodzi o aromatyczne liście, nazywane tytoń. Ta zapalniczka należała do starego kolegi. – Mason uśmiechnął się chłodno, przypominając sobie kompana o rozmiarach niedźwiedzia; na tamtym świecie powinny być sklepy z tytoniem, w przeciwnym razie Barry będzie co najmniej nieusatysfakcjonowany.

– Proszę, zatrzymaj ją. Widzę, że ma dla ciebie wartość sentymentalną.

– Tak, to prawda. Dziękuję. – Mason schował zapalniczkę do kieszeni. Meng-Po podniósł kamerę wideo.

– A co to jest?

– Och. Przynieś mi ją, a pokażę ci coś zdumiewającego.

Mason namierzył wizjerem chłopca i nacisnął przycisk RECORD. Po kilku sekundach przerwał nagrywanie, przesunął taśmę, a następnie skinął na Meng-Po, aby popatrzył w okienko. Mason nacisnął PLAY, a Meng-Po podskoczył jak rażony piorunem. Utkwił otwarte szeroko oczy w Masonie.

– Jak ja się tam dostałem? Czy to moja dusza? Proszę, wypuść mnie stamtąd.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć – powiedział Mason. – Nie ma cię tam w środku. To czarne pudełko potrafi jedynie chwytać światło. Te same fale świetlne, które odbijają się od przedmiotów i podróżują w przestrzeni kosmicznej do twoich oczu, są zapisywane w postaci, hmmm... – Jak powiedziec „elektrony” w języku mandaryńskim?

Meng-Po zmarszczył brwi i zagryzł dolną wargę.

– Nie, nieważne – Mason machnął ręką. – Widzisz, obracająca się taśma wewnątrz tego pudełka pokryta jest... no cóż, nazwijmy po prostu tę całą rzecz magią. Tylko twój obraz w postaci odbitego światła zapisany jest w tym magicznym pudełku. Twoja dusza jest bezpieczna i spokojna, Meng-Po. Zaufaj mi.

– Ufam ci – odparł chłopiec, z trudem przelękając ślinę.

– Proszę bardzo, usunę twój obraz z pudełka i nie będziesz już się musiał martwić. – Mason przyłożył kamerę do oka, aby skasować krótkie nagranie. Cofnął taśmę trochę za daleko. To, co

zobaczył wcześniej, sprawiło, że szarpnął się gwałtownie, tak jak poprzednio Meng-Po. Cofając się, Mason wpadł na kanapę miłości i usiadł na niej bezwiednie.

– Co tam jest? – zapytał Meng-Po. – Zrobiłeś się tak blady jak ja.

– Zdawało mi się, że coś zobaczyłem. – Mason przesunął taśmę o kilka minut wstecz, po czym zatrzymał i wcisnął PLAY. Nagranie zostało zarejestrowane w Tratwie. Kamera najprawdopodobniej leżała na podłodze i sceny rozgrywały się pod dziwnym kątem. Górną połowę obrazu zajmowała głowa Lyndy Loyoli; była odwrócona do góry nogami, jakby dziewczyna zwieszała się z sufitu. Olbrzymia harpia albinos siedziała jej na piersiach, rzucając nerwowe spojrzenia czerwonymi, okrągłymi oczami. Wbudowany mikrofon zarejestrował dźwięczny odgłos dzwoneczków przy pazurach, gdy drapieźnik wyrywał kawałki mięsa z twarzy martwej kobiety i pochylał dziób, aby je połykać. Mason obserwował, jak harpia połyka gałkę oczną Lyndy; gardło wybrzuszyło się, gdy oko przesunęło się w dół przewodu pokarmowego. Mason walczył z falą mdłości.

Nagle obok głowy ptaka przeleciał jakiś przedmiot – wyglądał jak aparat fotograficzny. Trzasnął o ścianę z metalicznym łoskotem i spadł na aluminiową podłogę. Biała harpia wzbijała się w powietrze, głośno trzepiąc szerokimi skrzydłami.

Po straszliwym obrazie oszpeconej twarzy Lyndy soczewki kamery uchwyciły na moment wysokie buty i nogawki spodni Domina. Mason usztywnił się i usiadł prosto. To właśnie widział wcześniej: Domino ukląkł na podłodze i rzucił na nią naręcze czterech awaryjnych transponderów Tratwy. Następnie podniósł nad głowę metalową skrzynkę z narzędziami i rąbnął nią niczym młotem kowalskim, rozwalając nadajniki w drobiazgi. Potem zniknął z pola widzenia. Następne buty zarejestrowane przez kamerę należały do wojowniczeki.

To skurczybyk! Mason zacisnął szczęki. Nie wiedział, co to wszystko oznaczało, lecz jedno było pewne: Domino dokonał sabotażu. Obok ciała Lyndy leżącego w kałuży krwi bydlak wykonał swoją brudną robotę, jakby wykonywał obowiązki służbowe – najwidoczniej nie obawiając się niczego – jakby wiedział, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Napędzasz mi strachu, May-Son – odezwał się Meng-Po. – Co widzisz w tym demonicznym pudełku?

Mason podniósł oczy sponad kamery.

– Meng-Po, czy pozwolisz mi je zabrać?

– Proszę, weź. Nie lubię go teraz. Mason nacisnął RECORD.

– Zobacz. Usunąłem twój obraz – zapewnił. – Wybacz, mały bracie, ale muszę skonsultować się z moim kolegą, seniorem Cruzem. Mam do niego kilka pytań.

Mason odwrócił się i wyszedł łukowatym wejściem. Tym razem nie powstrzymał się od biegu. Targała nim bowiem chęć rozprawienia się ze zdrajcą.

Rozdział 30

Domino spał, gdy Mason wtargnął do jego sypialni.

– Rusz dupę z łóżka. Natychmiast! Musimy sobie coś wyjaśnić. Domino podskoczył przestraszony. Z nocnej szafki porwał czerwone spodnie od piżamy i naciągnął je pospiesznie. Trzy nagie kobiety wygramoliły się spod purpurowych prześcieradeł i wypadły zalęknione z komnaty. Domino trzymał kurtkę od piżamy w ręku.

– Jaki masz, do cholery, problem o tak wczesnej porze?

– Oto mój problem. – Mason rzucił kamerę wprost w ręce Domina. – Jesteś w ukrytej kamerze, dupku. Dlaczego, do diabła, rozwaliłeś te nadajniki?

Domino pobladł na twarzy.

– Posłuchaj... ja nie wiedziałem. Mason chwycił go i rzucił na ścianę.

Domino wyjął nóż spod zawiniętej bluzy i przytknął ostrze do brzucha napastnika.

– Wychowałem się na ulicy, pamiętasz? – wysyczał. – A teraz, cofnij się, *hombre*, albo nadzieję cię jak szaszłyk. *Bueno*. Teraz posadź dupę. *Muy bueno*. W porządku... tylko nie odklejaj dupy od krzesła, a ja postaram ci się wyjaśnić, jak rozumowałem tamtego ranka.

Mason usiadł spięty na lakierowanym krześle.

– Dobrze, zamieniam się w słuch. Wyjaśnij mi to.

– Posłuchaj, nie wiedziałem, co jest grane. Wiedziałem tylko, że Lynda nie żyje, a helikopter... Słyszałem wcześniej eksplozję. Myślałem, że jestem sam, nie miałem pojęcia, że przeżyliście, więc przede wszystkim nie robiłem nic, co mogłoby mieć związek z kimkolwiek innym oprócz mnie.

– Rozbiłeś te nadajniki, zaprzepaszczając szansę na ratunek. Tak? Chciałeś po prostu tam zostać i umrzeć?

– Nie, oczywiście że nie. Wiedziałem, że nie umrę.

– Skąd wiedziałeś?

– Bo mam duże *huevos*. – Złapał się za jądra. – W społeczności Amazonek potrzebują facetów, tu nie zabija się mężczyzn. Chyba że zajeżdżą takiego na śmierć.

– Ale... skąd, do diabła, wiedziałeś o Amazonkach?

– Nie wiedziałem... to znaczy, wcześniej nie, dopiero jak samo się okazało. Poskładałem sobie wszystko w głowie. Widzisz, jestem po części Hiszpanem, po części Indianinem. – Pokiwał głową. – Taak, gdybyś pogadał z kimś z mojej rodziny, stwierdzi, bijąc się w pierś, że jesteśmy czystymi Kastyljczykami, jakbyśmy dopiero co przyплыnęli z Madrytu. Śmieszne. Miliony Indian w Wenezueli, ale w jakiś sposób wszystkim przez wieki udało się utrzymać czystą krew hiszpańską – nikt się nigdy nie gził z żadną tubylką. Gówno prawda. – Tak czy siak, moja babka była Yanomamo. Służąca, przywieziona do miasta przez jakiegoś handlarza miedzi

czy kogoś w tym rodzaju. Nigdy nie poznałem całej historii. Opowiadała mi kiedyś legendy ze swego plemienia i sąsiednich plemion, które słyszała w dzieciństwie. Niektóre przerażające – o skurczonych głowach, piraniach i elektrycznych węgorzach. Pamiętam, jak powiedziała: „W dżungli są jedne drzwi do życia i dziesięć tysięcy drzwi do śmierci”.

– Po co mi to wszystko mówisz?

– Opowiedziała mi o tej górze i jej wojowniczkach. Niektórzy Indianie nazywają je *Brujas Amarillas*, *Żółte Wiedźmy*, a inni *Coniupuyara*, co tłumaczy się, jak coś w rodzaju Wielka Pani.

– Wiedziałaś, że tu są? Na Boga, dlaczego nas nie ostrzegłeś?

– Nie pozwalasz mi dokończyć. Nawet nie myślałem, że istnieją naprawdę, nie mówiąc już o tym, że mieszkają na tej górze. Opowieści traktowałem jako swoisty folklor – no, wiesz, mity o żółtych wiedźmach, które schodzą w doliny i wykradają dzieci płci męskiej z indiańskich wiosek. Mnie wydawało się to po prostu seksualną fantazją – całe miasto kobiet tak pragnących fiuta, że muszą porywać chłopców z dżungli.

– Nigdy nie myślałeś, że te historie mogą być prawdziwe?

– Do diabła, nie. Tak jak mówiłem, dla mnie to wszystko było wytworem wyobraźni. Nigdy w to nie wierzyłem aż do chwili, gdy ta harpia zabiła Lyndę i zobaczyłem wojowniczki na grani. Wtedy pojąłem w lot – Amazonki – i zrozumiałem, co to za miejsce... Przyszły, aby mnie porwać, zabrać do raju. Nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy.

– Więc porozbijałeś nadajniki?... Domino zaczerpnął powietrza.

– Przykro mi. Tak jak mówiłem, nie wiedziałem, że będzie miało to znaczenie dla kogokolwiek innego. Sądziłem, że jestem jedyny, który przeżył.

– Ale... wciąż nie rozumiem. Po co zadałeś sobie tyle trudu?...

– Bo Barry kazał zaprogramować te cholerne urządzenia, aby wysyłały sygnał SOS, jeżeli nie były nastawiane co dwadzieścia cztery godziny. Nie znam się specjalnie na elektronice...

– I nie chciałeś, żeby cię odnaleziono?

– Cóż mogę powiedzieć? Mam słabość do kociaków, leniwego życia – a jak się okazało, to miejsce jest bardziej luksusowe, niż sobie wyobrażałem.

Mason pokręcił głową. Nie wiedział, czy nienawidzić, czy raczej współczuć swemu rozmówcy. Biorąc pod uwagę, że facet nie wypuszczał z dłoni noża, doszedł do wniosku, że współczucie będzie bardziej na miejscu. Mason był seksualnym impotentem. Mimo to poczuł, że otwarto mu oczy, aby ujrzeć piękno kobiet w całej okazałości, a seks nieodmiennie stanowił dla niego część tego piękna; niezbędny, jak cukier w ciastku, lecz tylko jeden ze składników całości.

Domino był jego przeciwieństwem. Ten facet miał potencję, i to nie byle jaką – zapłodnił już kilkadziesiąt swoich żon – lecz brakowało mu wrażliwości na wdzięk bogini; co za tym idzie, jego męskość była również niepełna.

– W porządku – odezwał się po długim milczeniu – myślę, że teraz rozumiem. Nie jesteś

sabotażystą, jesteś po prostu facetem, który myśli fiutem.

– Mów za siebie. Za dużo myślisz, dlatego twój fiut się z tobą kłóci.

– Wiesz co, mimo całej miłości do kociaków, wydaje mi się, że nie cierpisz kobiet, a w każdym razie nie masz pojęcia, jak je w pełni kochać.

– Kocham je od pasa w dół, *amigo*, cholernie je kocham.

– A cesarzowa? To znaczy, ciekaw jestem, czy udało ci się z nią kochać? – *Fantastico*. Przyprawiłem ją o dwa czy trzy orgazmy, bez bajeru. Kilka dni przed ceremonią odpoczywałem, no wiesz, więc przez całą noc byłem twardy jak *el toro*. Ma miłe ciało – szkoda tylko tej twarzy. Po prostu skupiłem się na czym innym, wiesz, nie patrzyłem jej w oczy. Nie zdziwiłbym się, jakby się okazało, że ją zapłodniłem.

Mason potrząsnął głową.

– Ty naprawdę jesteś niezły numer, Domino. Ta taśma wideo... powiedz mi prawdę, Lynda cię wcale nie obchodziła, co? Gdzie podział się twój duży nóż, kiedy harpia rozrywała ją na strzępy?

– Pieprz się. – Wenezuelczyk podniósł wymownie środkowy palec, – Byłem pod Tratwą, na ziemi. Fotografowałem jakiegoś małego gryzonia, nowy gatunek – odpowiedział. – Lynda była na górze w laboratorium, gdzie nagrywała kolejną dokumentację na wideo. Usłyszałem, jak rozbił się, a potem eksplodował helikopter. Nawet nie widziałem ataku tego ptaszyska. Lynda krzyczała, więc popędziłem po drabinie, ale spóźniłem się. Wszędzie była krew. Lynda nie żyła. Przewróciła trójnog pod kamerą, a może ja to zrobiłem, nie wiem. Straciłem głowę, człowieku. Chyba wciąż się nagrywało.

– No, dobra, więc nie żyła już. Nie czułeś ani odrobiny współczucia dla tej biednej kobiety? Nie próbowałeś zakryć jej zwłok czy coś podobnego? Na filmie ona tam leży...

Domino wzruszył ramionami.

– Trup to trup. Kim ty jesteś? Jakimś mistykiem?

Odwrócili głowy, słysząc hałas w korytarzu. Kilka wojowniczek wpadło do sypialni z obnażonymi mieczami. Stały jak wryte, spoglądając to na Domina, to na Masona, którzy siedzieli na krzesłach, prowadząc spokojną rozmowę.

– Co tu się dzieje, cudzoziemcze? – zapytała Yu Lin, przykładając czubek miecza pod brodę Masona, tak że musiał wstać.

– Tak mi przykro – odezwał się Domino, kłaniając się z promiennym uśmiechem. – Trochę się posprzeczaaliśmy, to bardzo niegrzecznie z naszej strony. Ale teraz wszystko jest już w porządku.

Mason oznajmił, stając na palcach:

– Proszę, wybaczone zakłócenia *fung shui* społeczności.

– Składamy najpokorniejsze przeprosiny, dowódco Yu – powiedział Domino. – Aby

przywrócić harmonię, wyślę dziś wieczorem trzy młodsze żony jako ambasadorów dobrej woli do twojej komnaty sypialnej.

Yu Lin spojrzała na Domina i cofnęła miecz. Mason zakasłał i przetarł krwawą plamkę na szyi. Yu Lin schwyciła go za ramię i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Nie toleruję nawet drobnych zakłóceń w moim mieście, barbarzyńco. Kolejny raz pokazałeś, że brakuje ci dobrych manier. Jeszcze jedno zamieszanie, a zapłacisz czymś więcej niż tylko draśnięciem na gardle.

Mason uklonił się.

– Tak, dowódco. Zrozumiałem.

Yu Lin skinęła na wojowniczeki, by schowały miecze do pochew, po czym cały oddział wymaszerował z komnaty. Yu zatrzymała się w drzwiach.

– Nie zapomnij przysłać do mnie swoich trzech najmłodszych żon – zwróciła się do Domino.

Ten skinął głową.

– Oczywiście.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

– To suka – szepnął.

Mason wstał, zbierając się do wyjścia, i Domino odprowadził go do drzwi.

– Może powinienem przeprosić – odezwał się Mason – za to, że wparowałem tu w ten sposób – ale, do cholery, naprawdę spieprzyłeś wiele spraw. To mogło kosztować życie Tree i moje, ale cóż, to głupstwo za nieograniczone dostawy kociaków, nie?

– Można łatwo rozwiązać twój problem, *amigo* – odezwał się Domino. – Tree ma zająć w ciążę, w przeciwnym razie ją zabiją. Przyślij ją do mnie. Jedna noc, człowieku, jeżeli naprawdę ją kochasz. – Czarne wąsy nie ukryły szerokiego uśmiechu. – Jedna noc. Uratuję jej życie. Potem przyślij mi tę błękitnooką. Jej życie też uratuję. Jestem do dyspozycji.

Mason zająknął się. Poczuł, jak zapłonęła w nim wściekłość, stłumiona jednak zasłoną wstydu. Tak naprawdę sam myślał już o takim rozwiązaniu i męczyła go świadomość, że może to być jedyne wyjście z sytuacji.

Odwrócił się i wyszedł pośpiesznie, wściekły na wszystkich, a najbardziej na siebie samego.

Rozdział 31

K'un-Chien weszła do parującej łaźni i ujrzała Masona.

– Co się stało? – zapytała. – Wyglądasz na strapionego. Westchnął ciężko.

– Za sześć tygodni Tree zostanie wypędzona, jeżeli jej nie zapłodnię, a mnie wykastrują. A ja nie jestem w stanie jej pomóc jako mąż. Pod pewnymi względami jestem eunuchem.

K'un-Chien podeszła do krawędzi wielkiej wanny i zaczęła masować napięte mięśnie barków i szyi mężczyzny.

– Myślałeś jeszcze o *Ling-Chih*? W ogóle niewiele myślałem od naszej ostatniej rozmowy. Ale... wystarczy, że sobie o tym przypomnę, a czuję strach. Mój żołądek skręca się w węzły.

– Twoja szyja też – dodała, naciskając mocno mięśnie. – May-Son, pamiętasz jak ci mówiłam, że mogę odgadywać twoje problemy, ponieważ są podobne do moich?

Kiwnął głową.

– Byłam jak niewidoma niosąca latarenkę. Jej światło było prawdziwe, lecz ja go nie widziałam.

– Poezja zakorzeniona jest w twojej rodzinie na dobre. – Kiedy to powiedział, przypomniał sobie o więzach pokrewieństwa łączących K'un-Chien i Tree. Ich romans był kazirodztwem. Ja im tego nie powiem. W tym egzotycznym królestwie, tak dalekim od konwenansów zachodniego społeczeństwa, dwóm niewinnym siostronom tulącym się w ramionach nie powinno się mówić, że ich miłość jest zbrodnią.

– Ostatnio zaczęłam rozumieć, czemu nienawidziłam siebie, żyjąc wciąż w przeszłości – zwierzyła się. – Teraz zaczynam żyć prawdą. Po raz pierwszy doprowadziłam do konfrontacji z moim bólem i od tej pory przestał mnie zabijać – dodała. – Teraz zdaję sobie sprawę, że najważniejsze to iść do przodu, a nie stać bezczynnie.

Mason obdarzył ją ciepłym uśmiechem mimo ponurego nastroju, jaki go ogarniał.

– Łatwo spostrzec, że jesteś zakochana, K'un-Chien. Żaden inny lek na świecie nie ma takiej mocy uzdrawiającej. Gdyby lekarze potrafili wpakować do butelek hormony i energię krążącą w ludziach świeżo zakochanych, jeden łyk uczyniłby to, co Jezus zrobił z Łazarzem.

– Kto?

– Zapomniałem, że nigdy o nich nie słyszałaś.

– Czuję się jak feniks – powiedziała. – Samotność wypaliła mnie na proch, lecz teraz mam nadzieję, że pewnego dnia narodzę się na nowo.

– Tak, właśnie o tym mówiłem.

K'un-Chien nie przestawała masować ramion i szyi Masona. Takie silne ręce. Odchylił głowę w tył, kiedy pocierała mu skronie i czołko zwinnymi palcami. Westchnął i przymknął oczy.

Ciepły pocałunek sprawił, że uchylił powieki. Usta rozchyliły mu się w zdumieniu, a K'un-Chien zakryła mu usta swymi wargami. Jej długie włosy spływały kaskadą do wanny i rozpląły się po powierzchni wody. Mason przypomniał sobie, jak będąc małym chłopcem ukrył się w domku o kształcie parasola utworzonym przez płaczącą wierzbę.

Sięgnął i ujął tkliwie w dłonie twarz K'un-Chien, ochoczo odwzajemniając pocałunki. Jej usta wlały nektar na wygłodniały język. Coś w dolnej części ciała poruszyło się i podniosło, twarde i grube jak cios słonia.

Mason pomyślał o Tree. Była trzecim promykiem światła trzypromiennej gwiazdy – Mason, Gib, Tree – przyjaźni będącej esencją jego życia. Po Wietnamie za każdym razem, gdy próbował kochać się z Tree, wdzierały mu się do świadomości wspomnienia związane z Gibem, zdając się pozbawiać ciało wszelkiej energii.

Teraz odczuł gwałtowne pożądanie; nie miał najmniejszej wątpliwości, że będzie w stanie kochać się z K'un-Chien, a mimo to zmusił się do odsunięcia słodczy jej ust.

– K'un-Chien... ja... a Tree? Już dosyć zadałem jej cierpienia. To nie w porządku.

– Rozmawialiśmy o tym z pierwszą żoną. Ona cię kocha. Kocha mnie. Powiedziała mi, że chce, żebyśmy się zbliżyli. Pamiętaj, że ja również muszę zająć w ciążę.

Oddech Masona wyraźnie drżał od wewnętrznego rozdygotania. Od wielu tygodni chciał dotknąć K'un-Chien, przytulić ją. Ale nawet teraz widział w tym dylemat. Jak mógł sobie pozwolić na miłość z K'un-Chien, podczas gdy nie był w stanie kochać się z Tree? Tree dała swe błogosławieństwo, ale co, tak naprawdę, będzie czuła?

Mason przełknął głośno ślinę. Pocałunki K'un-Chien rozgrzały mu krew w żyłach; była gorętsza niż parująca woda.

– Ale... Tree będzie zazdrosna.

– Ona chce, żeby to zaszło między nami. Prosiła, abym się z tobą kochała.

– Czuję... proszę, nie zrozum mnie źle, K'un-Chien, ale... żałuję, że to nie ona. Chcę ją zapłodnić, w przeciwnym razie stracę ją i będę musiał wysłać do Domina.

K'un-Chien pokręciła głową.

– Nie możesz tego zrobić. Twoje serce jest wytatuowane na jej sercu. A ja też chcę urodzić dzieci.

Dłonie tańczyły na jego zarośniętej klatce piersiowej, palce pieściły brązowe brodawki. Jęknął cicho. Tak bardzo chciał ją przyciągnąć do siebie, zagłębić się w jej pięknym ciele.

Wstał i odwrócił się. Woda spływała mu z piersi dużymi kroplami. Poderwał K'un-Chien z podłogi i zaniósł na kanapę. Czuł zdecydowane, a równocześnie subtelne zaokrąglenia jej piersi. Żadne z nich nie poruszyło się. Chciał po prostu leżeć obok niej jak najdłużej, rozkoszując się tą chwilą. Nie myśląc. Złożywszy otwarte usta na jej wargach, wdychał słodki oddech głęboko w trzewia, upajając się nim raz za razem.

Mokre włosy zakryły jej połowę twarzy, zgarnął je palcami i łagodnie odsunął na plecy. Jej na pół przymknięte szafirowe oczy lśniły orientalnym wdziękiem. Wsunęła nos między ciemne kędziory na piersiach, zaciągając się głęboko. Jednocześnie jej zapach, niczym ciepłe masło i piżmo przyprawił go o zawrót głowy i zawładnął duszą. Serce uderzyło mu mocniej.

– Jedną chwilę – odezwała się K'un-Chien, wstała i przemierzyła pokój. Powróciła do łóżka, niosąc dwie purpurowe jedwabne chusty. Jedną związała swe długie włosy w turban. Drugą zwinęła kilkakrotnie i zaczęła zawiązywać mu na oczach jak przepaskę.

Mason uśmiechnął się, lecz ściągnął zdecydowanie materiał.

– Chcę cię widzieć. Jesteś taka piękna.

– Nalegam. To przez skromność. Proszę. Będę bardziej rozluźniona podczas pierwszego stosunku z mężem.

W przypiływie żądy Mason zapomniał, że K'un-Chien jest dziewicą. Teraz ten fakt podziałał na niego jak solidny haust whisky, zapierając mu dech. Ogarnęło go ogromne podniecenie, ale świadomość, że jest pierwszym męskim kochankiem K'un-Chien, podsycała ekscytację i ośmielała. Penis nabrzmiał mu do granic wytrzymałości, podskakując za każdym uderzeniem serca.

– Zakryj mi oczy – powiedział. – Szybko. Tak bardzo cię pragnę.

Z przepaską na oczach Mason poczuł, jak materac ugiął się pod ciężarem ciała jego partnerki. Nagie ciała zetknęły się ze sobą. Przesuwała się po jego klatce piersiowej, aż jej pachnące łono znalazło się o cal od jego ust. Ciepłe masło i piżmo.

Schwycił ją za kształtne biodra i zanurzył twarz w ogrodzie namiętności. Jęki rozkoszy wypełniły powietrze. Pulsowanie w penisie zmieniło się w silne tętnienie. Czuł, że lada moment może wybuchnąć. W przypiływie nagłego impulsu zapragnął przyszpilić jej ramiona do materaca i zagłębić się w niej do granic możliwości, poczuć, jak miażdży jej kości łonowe; przypomniał sobie jednak, że jest dziewicą, i postanowił działać jak najdelikatniej.

Całował i ssał piersi K'un-Chien, a ona mruzczała gardłowo. Jej piersi wydawały się jego ustom i dłoniom mniejsze niż wcześniej oczom. Przyciskała naprężone brodawki do języka kochanka. Jego palce sięgnęły między uda, zanurzając się w gorącej, śliskiej powodzi. Teraz czuł bicie jej serca przy swoim sercu. Dwa splecione ciała lśniły od potu.

– K'un-Chien, tak strasznie tego pragnę, pozwól mi cię wziąć. Teraz. – Jęknął głośniejsz, kiedy uniosła biodra, aby wślizgnął się do środka. – Szszszszz. Przestań. Jeszcze się nie poruszaj – poprosił. – Niech złapię oddech, w przeciwnym razie eksploduję.

Odoczywali w głębokiej więzi przez chwilę, która zdawała się wiecznością. Mruczenie nieprzerwanie wydobywało się z jej gardła. Po kilku długich oddechach rozpoczęli na nowo miłosne zmagania.

– Och, K'un-Chien, tak wspaniale pachniesz, twój zapach wypełnia cały pokój.

Mason zaczął się poruszać, z początku powoli, podnosząc się i zataczając koła w wonnym powietrzu. Zbierając się, gęstniejąc w chmury, stopniowo osiągając coraz wyższe poziomy rozkoszy. Błyskawica mknąca coraz wyżej nad morzem. Coraz goręcej. Coraz silniejszy zapach. Dwa serca dudniące jak grom na chmurnym niebie. Jego ciało coraz bardziej nabrzmiało deszczem. Czuł, że przychodzi moment, kiedy chmura eksploduje, rozlewając ciepłe wody. Grzbiet i dolina, grzbiet i dolina, rytm morza pod narastającą górą deszczu.

K'un-Chien wzdrygnęła się i wypchnęła biodra do przodu, wgniatając swe ciało w ciało Masona. Jęki przeszły w głośnie okrzyki:

– Och, och, och... ooooooooooch! – Wessała powietrze w usta i wygięła się w łuk, wczepiając się w niego palcami. Wtedy rozpętała się burza wewnątrz Masona, pędzący monsun z przeraźliwą błyskawicą, która przecięła mu ciało od palców po czubki włosów.

– Och, Mason, tak bardzo cię kocham... tak bardzo, tak bardzo...

Mason zerwał przepaskę z oczu. Tree wcisnęła mu twarz w szyję i załkała cicho.

– Tree – wyszeptał szorstko. Zerwał turban z jej głowy i brzoskwiniowe loki opadły luźno na twarz.

Kochali się tak namiętnie jak kiedyś w przeszłości. Wdzięczność zmieszała się z żalem. Wiedział, że magia przepaski ponownie nie zadziała.

Rozdział 32

Dwie kobiety stały na środku komnaty wewnątrz stupy o złotym sklepieniu. Azjatka przyprowadziła tu Tree, aby pokazać cudowną akustykę porównywalną z sercem spiżowego dzwonu. K'un-Chien trzymała pod każdą pachą owinięte suknom zawiniątko.

Pokrywający podłogę dywan utkano w ośmiokątny wzór przedstawiający osiem głównych znaków odpowiadających głosce *Ching*, chińskiej księdze przepowiedni. Poza granicami mandali na dywanie ujrzała przeróżne zwierzęta z chińskiej mitologii.

K'un-Chien uklękła i położyła pakunki na podłodze. Zsunęła jedwab z cytry o siedmiu strunach nazywanej *qin*. Kryształki kwarcu, wtopione w lakierowane drewno, służyły do oznaczenia układu palców. Dziewczyna wyjęła mały, ceramiczny kamerton z fałd ubrania i zagrała Żółty Dzwon – podstawową nutę chińskiej, cztero tonowej skali muzycznej. Dźwięk zawisł w powietrzu, niczym unoszące się nasionko.

– Teraz wiem, o co ci chodziło – odezwała się Tree, po czym przyłożyła dłoń do ust, kiedy dźwięk jej głosu wtargnął brutalnie w uszy. Wyszeptała: – Rozumiem, o co ci chodziło z tą akustyką.

K'un-Chien obracała drewniane kołeczki, strojąc jedwabne struny. Tak jak wszystkie ważne instrumenty, ta cytra również została nazwana: Wiatr w Dziesięciu Tysiącach Wąwozów. K'un-Chien zagrała kilka akordów, zadowolona z brzmienia.

– Zaśpiewaj Piosenkę Rybaka – poprosiła Tree. – Tę, którą lubi Mason.

– Niestety, mój słaby głos nie jest dla delikatnych uszu – powiedziała K'un-Chien, okazując właściwą sobie skromność. Do etykiety należało, aby Tree ponowiła prośbę.

– Niestety, mój słaby słuch nie potrafi odróżnić głosu słowika od gekona – powiedziała Tree. – Proszę, zaśpiewaj. Masz naprawdę ładny głos.

– Analekci powiadają, że muzyka jest równie ważna dla człowieka jak jedzenie. – K'un-Chien pochyliła lekko głowę. – Byłoby niegrzecznie z mojej strony, gdybym pozwoliła ci odejść bez posiłku.

Biała kobieta uśmiechnęła się.

– To jedna z niewielu nauk K'ung Fu Tse, z którymi zgadzam się całym sercem.

Czułe palce dotknęły strun cytry; powietrze wypełniło się mezzosopranem, dźwięczną melodią o rybaku znad Jangcy, który złowił zaczarowaną rybkę, która zmieniła się w pannę. Kopulaste sklepienie potęgowało dźwięki, które zataczały kręgi, i po chwili muzyka zawładnęła całym pomieszczeniem. Z wnętrza drugiego zawiniątka zadźwięczały czyste tony, dźwięcząc głosem K'un-Chien.

Dziewczyna obserwowała swoją słuchaczkę i uśmiechnęła się na widok zdumienia na jej twarzy.

– Co tam jest?

– Odpakuj. To podarunek dla ciebie.

Tree odwinęła zawiniątko i wyjęła z niego drewniany instrument, pusty w środku przypominający lutnię, lecz z większym pudłem rezonansowym. Spojrzała pytająco.

– Jaka muzyka sprawia, że lutnia zachodzi w ciężę? – zapytała. K'un-Chien roześmiała się.

– Połóż ją na podłodze przed sobą, tak jak ja moją cytrę.

Tree uklękła przed instrumentem. W głębokim pudle rezonansowym ujrzała rząd kryształów kwarcu o stopniowo zwiększających się rozmiarach. Szarpnęła grubą, basową strunę. Większe kryształy zadźwięczały współczująco, wydając czysty ton. Dotknęła cienkiej struny, a małe kryształki zawtórowały. Następnie wzięła akord i odpowiedział jej wielopoziomowy, harmonijny dźwięk. We wspaniałej akustyce złotej kopuły K'un-Chien czuła, jakby nuty grały na jej skórze.

Tree zerknęła na nią, uśmiechając się szeroko.

– Pięknie. Jak się nazywa?

– Kryształowa lutnia. Nazwałam ją Głos Góry. Grałam na niej od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. Zawsze była moim ulubionym instrumentem.

Ich oczy spotkały się w miłosnym spojrzeniu, uczuciu silnym, a zarazem delikatnym. K'un-Chien przełknęła ślinę. Tree nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Miała na sobie karmazynowa tunikę ozdobioną wyszywanymi brzoskwiniami; złociste owoce odzwierciedlały kolor jej włosów. K'un-Chien poczuła nagły dreszcz pożądania i ta energia przepłynęła między nimi jak wspólny oddech.

Tree uniosła brwi i przyłożyła rękę do ust.

– Co się stało? – spytała K'un-Chien.

– Moja wizja – odparła. – *Ling-Chih*. Właśnie taką miałam wizję. K'un-Chien przytaknęła całym swym ciałem.

– Ach, tak...

Tree sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

– To takie dziwne...

– Ale dlaczego? Dla mnie to dziwne, że czuję się tak szczęśliwa.

– Ale ja próbowałam... – Tree potrząsnęła głową. – Jak *Ling-Chih* mógł sprawić, aby to się stało?

– *Ling-Chih* tego nie sprawił. Tylko otworzył ci oczy na przyszłość.

– Ale ja próbowałam się temu przeciwstawiać. Jak to się mogło stać wbrew... Byłam chłodna. Stroniłam od ciebie.

– Zwykle dopada nas przeznaczenie, którego za wszelką cenę staramy się uniknąć.

Tree przełknęła z trudem ślinę.

– Nie chciałam się w tobie zakochać. Nie w ten sposób. – Poderwała się na nogi i wybiegła

pod łukiem stupy.

K'un-Chien patrzyła za nią. Słowa zawisły w przestrzeni niczym dźwięki melodii.

Tree mnie kocha, zdała sobie sprawę i jej serce zaśpiewało w piersiach jak drgający kryształ.

Rozdział 33

Mason ukląkł na podłodze pałacu przed zwojem ryżowego pergaminu, ćwicząc Złoty Styl kaligrafii cesarza Hui Zenga ze starożytnej dynastii Song. Oddychając równo w rytm maźnięć pędzla, starał się malować płynne, wdzięczne znaki tak, jak pokazał mu Meng-Po. Usiadł, odsuwając się od swego dzieła, i chmurnie popatrzył na sztywne znaki, które maszerowały po pergaminie. Maszerowały. Nie tańczyły. Gdyby kaligrafia była muzyką, te znaki brzmiałyby równie sztywno jak wojskowy marsz. Kaligrafia Meng-Po brzmiałaby natomiast tak płynnie i żywo jak brazylijska samba.

Zaczął od nowa. Ideogram, który nieustannie ćwiczył, był chińskim odpowiednikiem słowa „wybaczenie”. Tworzyło się go ze znaku „działanie” napisanego ponad znakiem odpowiadającym słowu „serce”. Wybaczenie było aktem serca. Zdecydował się ćwiczyć pisownię właśnie tego słowa, traktując tę czynność jako sposób medytacji nad jego znaczeniem. Nie ma nic biernego w wybaczeniu, tyle wiedział na pewno. Musiałby dokonać niezwykłego wysiłku, aby wybaczyć samemu sobie. I próbował. Dla dobra wszystkich. Próbował.

Wina i smutek tłamsiły życie jak mokry piach gasi ogień. Nie potrafił się z tym pogodzić. I nie chciał. Wybaczenie wymagało sięgnięcia do samej głębi duszy, ponieważ tkwiło w poczuciu winy, jaką obarczał siebie za śmierć Giba. Chociaż próbował wiele razy, nie udawało mu się wykonać tego skoku. Nie potrafił wyrwać się poza racjonalizm, który podpowiadał mu logicznie, że należy winić siebie. To on pociągnął za spust. Gib leżał pod gradem kul. To była wina Masona. Jak mógł o tym zapomnieć?

Silniejsze więzy łączyły go z Gibem niż z braćmi. Krew jest gęstsza niż woda, lecz duch przenika głębiej niż krew. Rzadkim i cudownym błogosławieństwem jest znalezienie przyjaciela, którego dusza uszlachetnia twą własną duszę – w którego towarzystwie czujesz się większy, jaśniejszy, lepszy. Prawdziwa rozmowa, nie rzucanie komunałów o telewizji, sporcie czy samochodach – taki skarb niósł ze sobą Gib. A kiedy Mason zakochał się w jego siostrze, ten dźwięczny, czysty akord na trzy nuty, miał brzmieć wiecznie.

Ostrożnie oderwał dolną część ryżowego papieru. Zmiał mokrą jeszcze kaligrafię i cisnął na bok. Papierowa kula dołączyła do stosu poprzednich.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak Meng-Po porusza pędzlem, pozornie nie wkładając w to najmniejszego wysiłku. Chłopiec wyglądał na spokojnego i skupionego na pracy, gdy na twarzy malował mu się subtelny uśmiech Buddy. Meng-Po tak bardzo przypominał młodego Giba. Czasami Masona ogarniał smutek, który nie pozwalał mu doczekać końca lekcji. Wtedy przeproszał i wychodził. Ostatnio zauważył, że rodzi się w nim uczucie podobne do tego, jakim darzył Giba i Tree, uczucie miłości do Meng-Po i K'un-Chien. Mięśnie naprężyły się na samą myśl. Przerząła go ewentualność tak silnego zbliżenia emocjonalnego do kogokolwiek.

Niebezpieczeństwo. Co się z nimi stanie, jeżeli odwzajemnią te uczucia?

Nagle drzwi komnaty rozwarły się z trzaskiem i na progu stała roztrzęsiona Tree. Łzy spływały jej po policzkach. Rzuciła się na łóżko i załkała cicho, kryjąc twarz w jedwabnej poduszce.

Mason poczuł skurcz w żołądku. Oho, następna runda. Czy powinien coś powiedzieć? Podejść do niej? A może po prostu zostawić ją w spokoju?

Wstał, podszedł do łóżka, usiadł i zaczął głaskać ją po zgrabnych plecach. Tree bąknęła coś niezrozumiale.

– Nie słyszę cię – powiedział. Odwróciła na bok mokrą od łez twarz.

– Mówiłam, że został nam już tylko miesiąc. Jeżeli do tego czasu nie zajdę w ciążę...

– Tree, już przerabialiśmy ten temat. Co chcesz, żebym zrobił? Pociągnęła nosem.

– Czego chcesz? Chcę, żebyś się ze mną kochał tak jak wtedy, kiedy myślałeś, że to K'un-Chien. Kochaj się tak ze mną. Codziennie, co noc, aż zajdę w ciążę.

– Kochanie, bardzo bym tego chciał, ale po prostu nie potrafię. Oboje wiemy, co się wtedy dzieje. Ile razy już próbowaliśmy? Straciłem rachubę.

– Nie zaszkodzi próbować.

– A jednak szkodzi. Rani uczucia i dobrze o tym wiesz. Unieszczęśliwia nas oboje.

Jej gniewne spojrzenie złagodniało, a potem odwróciła wzrok.

– To prawda – przyznała.

– Posłuchaj – odezwał się delikatnie. – Oboje jesteśmy temu przeciwni, ale wiemy, co musisz uczynić. Idź do Domina.

Cisnęła mu piorunujące spojrzenie.

– Taak, no cóż, tyle że „my” nie musimy się pieprzyć z tą świnią. – Rozplakała się. – Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś – wyrzuciła z siebie. – Ty, mój rycerz. Czy wiesz, czym by to dla mnie było? Najcholerniejszym z cholernych upokorzeń.

– Samuraje uważali, że śmierć jest lepsza od upokorzenia, ale nie sądziłem, że podzielasz ich poglądy.

– Na miłość boską, człowieku, nie chcę mieć jego dziecka, Chcę twojego dziecka, naszego dziecka.

Podniósł ręce w geście bezradności.

– Zjedz jeszcze raz nasiona miłości – rzuciła z nadzieją w głosie.

– To był koszmar. Mówiłem ci. Spotęowało wszystkie moje uczucia, włącznie z tymi najgorszymi. Ogarnęła mnie panika, myślałem, że znów jestem w Wietnamie. Strasznie ciężko się kochać, kiedy ogarnia człowieka przerażenie, które odbiera oddech.

– Ta cholerna wojna się skończyła, Mason. Ty wciąż błądasz się po tamtej dżungli, zagubiony.

Wstał zdenerwowany.

– Nie wiesz, jak tam było. Wałęsałaś się wtedy koło Harwardu, brzdąkając na gitarze, ćwicząc jogę, jedząc kielki. Ja byłem tam. Wpychałem kciuk w dziurę w sercu pewnego faceta, żeby życie nie umykało mu wraz z wypływającą krwią. Nie odchodzi się od takiego miejsca, żeby napić się coli albo obejrzeć film. To wszystko łapie potem za dupę jak najgorszy koszmar. Przygwaźdza do ziemi i dusi.

Wstała i chwyciła Masona za rękę.

– Przepraszam, kochanie, przepraszam. Daj spokój. Nie sprzecajmy się. Połóż się tu ze mną, proszę. Chcę cię dotykać. Przytul mnie.

Na twarzy mężczyzny pojawił się ponury uśmiech.

– Mówisz: „kochajmy się, nie walczmy ze sobą”. Szkoda, że nie zastosowałem się do tej maksymy. Szkoda, że nie pojechałem do Vancouver, jak Mack i John. Ale nie, ja musiałem jechać tam, gdzie Gib. I wysłałem go w miejsce, do którego nie mogę za nim pójść.

Tree spochmurniała, pociągając nosem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nieważne. – Mason odwrócił się.

Przylgnęła do jego ręki i wyprostowała się, spoglądając mu prosto w twarz.

– Mason, co rozumiesz przez to, że wysłałeś Giba gdzieś, gdzie nie możesz za nim pójść?

Zacisnął szczęki.

– Przestań. – Pokręcił głową.

– To jakaś tajemnica, prawda? Twoja tajemnica.

– Przestań, Tree. Nie powinnaś tego wiedzieć.

– Mason, powiedz mi. Muszę to wiedzieć. To cię pożera. Jak czarny robak szaleństwa.

– Proszę cię... daj temu spokój.

– Co się stało z Gibem? Byłeś tam. Jak zginął?

– Na miłość boską, Tree, dlaczego mi to robisz?

– Powiedz mi, a nie będzie już co ukrywać. Zrzuć z siebie ten pancerz. Żadnych strasznych tajemnic. Dowiem się prawdy i znowu będzie jak kiedyś.

– Nie mogę. – Poczul dławienie w gardle. – Potrzebuję cię. Potrzebuję twojej miłości, Tree. Nie mogę cię też utracić.

– Utracić? Kochanie, jestem tutaj. To ja za tobą chodzę. Zostanę przy tobie. Jeśli tylko chciałbyś być ze mną, otworzyć się przede mną, dzielić ze mną swój ból.

– Nie! – Zrzucił jej rękę ze swych ramion. – Puść, brakuje mi powietrza. Puść mnie. – Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, zgięty wpół, jęczący.

– Mason, odwróć się, nie możesz przed tym uciec. Musimy porozmawiać. Najwyższy czas, żebyś mi to wyjawiał.

Nie zatrzymał się. W klatce piersiowej czuł wielkie napięcie i myślał, że eksploduje mu w środku.

– Mason! – krzyknęła. – Dobrze, pójdę do Domina. Jeśli tak ma być. Pójdę do niego. Słyszysz? Pójdę dziś wieczorem.

Kiedy doszedł do kolistego wejścia, ugiął się jeszcze bardziej pod wpływem bólu. Wyszedł na zewnątrz i zaczął biec w deszczu, potykając się co chwila. Gdybym powiedział jej prawdę, znienawidziłaby mnie; ale jeżeli jej nie powiem, i tak ją stracę. Tak czy owak, był przegrany. Prawie całkiem zniszczył to, co uważał za najcenniejsze. Jestem szaleńcem, który spryskuje środkiem zabijającym chwasty ogród różany.

Czarne chmury rozwarły się i chlusnęły zimnym, ulewnym deszczem. Świat lkał. Ale on nie mógł ryzykować uronienia choćby jednej łzy. Gdyby pozwolił jej umknąć i potoczyć się, zniszczyłaby groblę strzegącą wejścia do serca i utonąłby w bezlitosnym, gorzkim morzu.

Przystanął po środku bulwaru i opadł na kolana w płytkiej kałuży, pochłonięty walką z rozdzierającym bólem.

K'un-Chien, gdzie jesteś? Proszę. Wezmę ten grzyb. Tylko mi pomóż. Pomóż mi odżyć ponownie. Chcę być z Tree. Pragnę jej. Boże, bądź litościw, pragnę jej z całej duszy.

Rozdział 34

K'un-Chien zaparzyła Masonowi zielonej herbaty w czarnej filiżance. Siedział owinięty dwoma tunikami, chociaż już dawno przestał odczuwać chłód. Mimo to dygotał wyraźnie.

– Nie jestem pewien, czy dobrze robię – wyznał. – A jeżeli się nie uda? Nie, o to się nie lękam – dodał. – A jeżeli się uda? Jeżeli rzeczywiście powrócę do Wietnamu? Nie wiem, jak stanąć twarzą w twarz z przeszłością.

– Nie wiesz, jak to zrobić teraz, kiedy siedzisz na łóżku w tym pokoju. Ale kiedy odbędziesz podróż do przeszłości, okaże się, że po prostu staniesz z nią twarzą w twarz. To będzie jedyna rzeczywistość. Ty naprawdę będziesz tam, nie tutaj.

– To było piekło. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej chcę, to powrócić tam i przeżywać wszystko na nowo.

– Zważ, że powrócisz do przeszłości z mądrzejszą duszą. Nie będziesz niedoświadczonym, młodym mężczyzną, jakim wtedy byłeś. Ujrzysz wszystko oczami dojrzałszymi. Na nowo ocenisz swe czyny.

– Co się wtedy stanie?

– Nie wiadomo, jaki będzie rezultat. Wiemy tylko, że *Ling-Chih* otworzy okno. To, co zobaczysz... ma związek z twymi własnymi oczami.

Mason sięgnął i ujął jej dłonie.

– Boję się.

– Rozumiem. Dlatego właśnie musisz odwiedzić poprzednie życie. Aby stanąć w obliczu tego, co cię tak bardzo zraniło.

– Przytulisz mnie na chwilę?

Objęła go czule, a on z rozkoszą zagłębił się w ciepło jej ciała. Gdyby mógł zawsze czuć się tak bezpiecznie, słysząc równomierny oddech na swym policzku. Lecz musiał powrócić na wojnę, która zabiła jego duszę. Musiał powrócić do dżungli, do pewnej nocy, której nienawidził bardziej niż czegokolwiek innego i której straszliwie się lękał. Jedyne wyjście to przejść przez to jeszcze raz.

Po chwili położył się na plecach na kanapie. K'un-Chien podniosła wieczko pojemnika wykonanego z grubego zielonego bambusa; drażniący, słodki zapach wymknął się natychmiast na zewnątrz. Miedzianą łyżeczką zagarnęła odrobinę jasnożółtego szlamu.

– Pamiętaj, poczujesz, jakby cię coś paliło, topiło. Przez kilka oddechów wyda ci się to bolesne. Rozluźnij się. Pozwól, żeby spokojnie się roztopił w ustach.

Zaczerpnął głęboki oddech.

– Jestem gotów.

K'un-Chien pokryła mu miejsce nad sercem żółtym szlamem. W przeciągu kilku sekund

poczuł na języku zwyczajny aromat grzybów. Dziewczyna uniosła mu głowę i położyła ją sobie wygodnie na kolanach, kojąc skronie dotykiem zwinnych palców. Zamknął oczy, kiedy poczuł, jak głowa robi mu się niesłychanie lekka, odnosząc jednocześnie wrażenie, że unosi się ponad materacem.

Szarpnął głową, kiedy w środku mózgu buchnęły płomienie. Czuł fizyczny dotyk ognia.

– Odrpęż się teraz – powiedziała delikatnie K'un-Chien. – Zacznie topić twe myśli. Pozwól, aby ogniste światło wypaliło wszelkie granice.

Od czerwieni poprzez pomarańcz, żółć i dalej do błękitu, płomień nabierał mocy. Niebieski kwiat światła rozszerzał się, tryskając iskrami na swych krańcach, a następnie rozpraszając się w skomplikowaną geometryczną symetrię, niczym kalejdoskop zwrócony ku niebu pełnemu fajerwerków. Masonowi towarzyszyło osobliwe doznanie, że nie znajduje się wewnątrz ciała, ale raczej że to jego ciało tkwi w obrębie jakiejś rozszerzonej świadomości.

Nagle nie potrafił odnaleźć swego ciała. Uwolnienie od napięcia związanego z postacią fizyczną przypominało zrzućenie z nogi przyciasnego buta – dusza wyskoczyła i zapłonęła, a ognista poświata całkowicie przyćmiła mu umysł.

Następnie doznał uczucia podróży do wewnątrz, cofania się do jakiegoś odległego, wewnętrznego punktu z niewiarygodną prędkością. Potem, zupełnie zniemacka, przyszedł czas na przejrzystą wizję:

Ciemna, deszczowa, bezksiężycowa noc w dżungli. Ucisk apteczki przyprowadził go o pęcherze na ramieniu. Zatrzymał się na środku szlaku wiodącego przez plantację kauczuku – pozostałość kolonii francuskiej. Zdjął plecak. Po raz trzeci spróbował ochronić obolałe miejsce złożonym podkoszulkiem. Gib, dowódca plutonu, został w tyle, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Kiedy zatrzymał się, aby pomóc Masonowi zarzucić z powrotem plecak, otaczające ciemności zamieniły się w jednej chwili w oślepiającą jasność, jakby ktoś umieścił włącznik światła na pobliskim drzewie kauczukowym. Straszliwa fala uderzeniowa rąbnęła Masona prosto w twarz. Zatoczył się, wpadając w błoto, czując swąd przypalonych brwi. Jakiś żołnierz, leżący tuż koło niego w błocie, próbował krzyczeć; brzmiało to jak gulgotanie.

Mason zaczął gramolić się na nogi i w tym samym momencie nastąpiło kolejne uderzenie, tym razem niewidzialny młot rąbnął go w lewy bark, odwracając o dziewięćdziesiąt stopni tak, że ponownie wpadł w błoto. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że dostał serią z broni maszynowej, a wraz z nim wielu innych kolegów z plutonu. Wpadli w zasadzkę Wietkongu. Jako lekarz nie miał przy sobie żadnej broni.

Ostrzał słabł, kiedy Mason poderwał się ponownie, dostrzegając niemalże w tej samej chwili kształt w czarnym kombinezonie, wybiegający spoza drzew prosto na niego. Ogień z broni maszynowej napastnika wydawał się ognistymi wybuchami w kształcie gwiazd. Mason

obserwował, jak głowa atakującego zniknęła w ciemnym wodnym pyłe. Nagle Gib pojawił się u jego boku, wystrzelając salwę za salwą w poruszające się wśród drzew postacie. Łuski, kawałki drewna, błoto fruwające we wszystkich kierunkach. Czarna noc zmieniła się w piekło hałasu.

– Mace! Weź karabin Bobby’ego! – krzyknął Gib w ogólnym chaosie. – Weź jego broń!

– Jestem lekarzem! – odkrzyknął Mason.

– Łap ten pieprzony karabin! To rozkaz. Potrzebuję siły ogniowej, natychmiast, albo wszystkich nas powystrzelają.

Mason zwrócił się do miejsca, gdzie leżał Bobby Smith; wciąż głośno rzeził i pluł krwią. Mason szarpał się przez jakiś czas, starając się zabrać M-16, lecz Bobby nie zwalniał śmiertelnego uścisku. Mason rozwarł mu palce i wyszarpnął broń w chwili, gdy chłopak przestał rzezić.

Zerwał się na nogi, nie bardzo wiedząc, co zrobić z M-16. Jako konsekwentny przeciwnik wszelkiej broni nie przeszedł żadnego szkolenia w posługiwaniu się nią. Spojrzał w dół i przeładował. Kawałek kory drzewnej przeleciał ze świstem, uderzając go w nos. Łzy przesłoniły mu widok. Zamrugał oczami i potrząsnął głową, rozpryskując krew, sączącą mu się z nosa na policzki.

Nacisnął spust i przeciął na pół drzewo kauczukowe. Nacisnął ponownie i usłyszał krzyk. Postać w czarnym kombinezonie szarpnęła się w tył i upadła. Pocisk z moździerza eksplodował na lewo i ściana lawy błysnęła czerwienią, przesłaniając mu świat. Kiedy doszedł do siebie, klęczał w błocie. Czarne kombinezony nadbiegały ze wszystkich stron. Mason strzelił z pozycji klęczącej i kolejne dwie postacie upadły. Usta napęliły mu się krwią z nosa, lecz nie odczuwał bólu fizycznego. Nigdy w życiu nie był bardziej przerażony.

W pewnej chwili podczas tej czarnej ulewy terkotanie broni i wybuchy granatów ustały. Małpy, papugi i ludzie wrzeszczeli i płakali. Wszędzie unosiła się woń prochu, wilgoci i krwi. Monsunowy deszcz nie zelżał ani trochę.

Podniósł z ziemi apteczkę, zawlókł się do tych nielicznych, którzy przetrwali, i aplikował im zastrzyki z morfiny przez nasączone krwią mundury khaki. Tommy, trzymając słuchawkę jedyną pozostałą ręką, wzywał przez radio helikopter sanitarno-ewakuacyjny. Mason zawiązał mu opaskę zaciskającą na nadgarstku, dał dwa zastrzyki morfiny i wrócił poszukać Giba.

Prawy policzek jego przyjaciela był rozorany do samej kości; strumień krwi sączył mu się z ust na brodę.

– Ze mną wszystko dobrze – zapewnił dowódca. – Zobacz jak inni.

– Już patrzyłem. Przeżyli tylko Tommy, Clark i Frog.

– Kurwa mać. – Gib zakasłał. – Kurwa mać.

Mason rozpiął jego kurtkę; rana na ramieniu i dłoni nie wyglądała groźnie.

– Masz, cholera, szczęście. Wyjdiesz z tego. Ale niewątpliwie pojedziesz z tym do domciu. Prawdopodobnie będziesz się musiał nauczyć malować lewą ręką.

Gib uśmiechnął się krzywo.

– Wracasz ze mną, stary. W barku nie masz dziury od kuli, ale bilet do Frisco.

– Taak. Bilet zaczyna mnie palić jak skurczybyk. – Mason wpakował Gibowi w ramię dawkę morfiny, a drugą strzykawkę zaaplikował sobie.

Po minucie Gib westchnął.

– Ech, Mace, jesteś świetnym konowalem, ale wszawym strzelcem.

– Dzięki Bogu – odparł. Kiedy środek uśmierzający ból zaczął działać, jęknął lekko, czując znaczną ulgę.

– Człowieku, wyglądasz paskudnie – stwierdził Gib. – Dobrze, że Tree kocha cię za twój wdzięk osobisty.

Kiedy Gib wypowiedział ostatnie słowo, jakiś żółtek poderwał się z pobliskiej sterty trupów pośród potrzaskanych drzew kauczukowych. Chwiejnie rzucił się w ich kierunku, strzelając z niestabilnie trzymanego karabinu. Klęcząc, Mason poderwał broń ku górze, aby odparować atak. Gib usiadł prosto i wystrzelił z pistoletu. Pocisk trafił w prawy bark i Mason zatoczył się. Wpadając w błoto, nacisnął spust w chwili, gdy padał.

Gib wydał z siebie głośny, gardłowy dźwięk.

Kiedy Mason podniósł się na nogi, napastnik leżał martwy, lecz Gib również. Mason zastrzelił Giba dwoma albo trzema kulami, strzelając wprost w niego.

– Gib! – wrzasnął. W klatce piersiowej jego przyjaciela ziała dziura, mokry lej mięśni i płuc. Krople deszczu zalewały błękitne oczy. Mason wzdrygnął się gwałtownie, jakby chciał cofnąć duszę miliony kilometrów od tego miejsca.

Wtem poczuł na języku wilgotną ziemię i przypomniał sobie o *Ling-Chih*. W przerwie między dwoma uderzeniami serca otwarło się okno; umysł przepłynął przez nie. Poczuł, że jest w punkcie, z którego rozchodzą się różne przyszłości, wiele ścieżek prowadzących w dal od tego momentu podczas ulewy w dżungli.

Mógł obwiniać się za śmierć Giba. Musiałby zamknąć wszystkie uczucia w ich źródle, w sercu, i przekreślić pozostałą część swego życia, aby poradzić sobie z poczuciem winy. Znał już konsekwencje takiej drogi: poprzednio wybrał właśnie ją.

Teraz ujrzał inną ścieżkę. Uprzytomnił sobie, że niezdarnie posługiwał się bronią, ponieważ szkolono go na lekarza, a nie żołnierza. Strzelił do Giba i zabił go. Ale to, co się stało, wiązało się bezpośrednio z wojną, nie z nim samym – i nie musiał, nie powinien podchodzić do tego personalnie. Na wojnie młodzi ludzie giną w niezliczonych tragicznych okolicznościach – niektórzy zostają zabici przez swych najlepszych przyjaciół.

Po raz pierwszy poczuł głębokie współczucie dla siebie. Komu należała się litość, jak nie

człowiekowi ze złamanym sercem?

Nagle powrócił do swego rannego ciała, pokrytego błotem. Wybuchnął płaczem, przyciskając czoło Giba do swego czoła, całując brata po raz ostatni. Podniósł głowę, spoglądając w bezksiężycowe niebo i wykrzyczał imię swego najlepszego przyjaciela.

– Nigdy cię nie zapomnę! – wrzeszczał z całych sił.

Z gwałtownym szarpnięciem tama w klatce piersiowej rozpadła się na drobne części i uczucia popłynęły powodzią ku życiu, rozlewając się niezmiernym, bezbrzeżnym morzem.

Łzy zmieszane z kroplami deszczu trysnęły na zwłoki Gibraltara Edwarda Summerwooda, jakby obmywały ciało, przygotowując je do godnego pochówku.

Rozdział 35

Służąca otworzyła drzwi pałacu Domina i wprowadziła Tree do środka. Wewnętrzne ściany miały perłowy odcień; Tree odniosła wrażenie, że wkracza do gigantycznej muszli. Malowidła i pergaminy w stylu Ming zdobiły ściany, a porcelanowe wazony i posągi stały rzędem na dekoracyjnych piedestałach.

Domino, z obnażonym torsem, siedział przy obszernym stole, popijając wino ryżowe prosto z białej porcelanowej karafki. Miał na sobie czarną przepaskę biodrową, zza której wystawał nóż w pochwie. Młoda dziewczyna w karmazynowym kimonie stała obok, wachlując go szerokim jedwabnym wachlarzem. Podniósł głowę, słysząc kroki swego gościa. Rozjaśnił się, ukazując duże, białe zęby pod czarnymi jak węgiel wąsiskami.

– No, no, kogo my tu widzimy? – Lekko się zachwiał, wstając od stołu. Był krępy i trochę spasiony. Tłuszcz obrastał grube mięśnie i kości. Z szyi zwieszał się wisiołek, z miniaturową sceną erotyczną, wielkości srebrnej dolarówki – książkę w miłosnych uściskach z trzema kurtyzanami.

– Witaj. – Wykonał głęboki ukłon i natychmiast postąpił krok w przód, aby odzyskać równowagę. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Tree spojrzała mu prosto w oczy.

– Obydwoje wiemy, dlaczego tu jestem.

– Och, ale moje uszy pragną usłyszeć, jak to mówisz. Westchnęła.

– Chcę, żebyś mnie zapłodnił.

– Rozumiem – odezwał się. – Mason cię zawiódł.

– Nie mieszajmy go to tego. To sprawa między tobą a mną. Potrzebuję twojej pomocy.

Roześmiał się grzmiącym basem.

– Ty mnie potrzebujesz? – Opadł z powrotem na krzesło przy stole i pociągnął tęgi łyk wina prosto z butelki, po czym zaproponował jej w niemym geście. Odmówiła ruchem głowy.

– Piękna *gringa*, *taka* jak ty, ze Stanów Zjednoczonych Przywilejów, potrzebuje pomocy takiego nędznego szczura jak ja? Jakie to dziwne. Jesteśmy, można powiedzieć, z różnych brzegów rzeki. A mimo to mówisz, że mnie potrzebujesz. Do czego ten świat zmierza?

– Po co wywlekać nasze pochodzenie społeczne? Nigdy nie przywiązywałam do tego wielkiej wagi. Czy kiedykolwiek doświadczyłeś na własnej skórze, że mam wobec ciebie jakieś uprzedzenia – wobec kogokolwiek – z uwagi na status społeczny?

– Oczywiście, że nie, *gringa*. Nie musisz myśleć o takich błahostkach. Ty zawsze żyłaś na czubku piramidy – powiedział. – Nikt już wyżej nie zasiada. Kobiety takie jak ty zawsze były nieosiągalne dla facetów takich jak ja.

– Przykro mi, że twoje życie było ciągłą walką. To prawda, mój ojciec był zamożny. Ale tak

naprawdę nie mamy wpływu na okoliczności naszych narodzin, czyż nie?

Upił trochę wina.

– Chciałbym usłyszeć, jak prosisz mnie o to, czego chcesz.

– Już to zrobiłam. Już ci powiedziałam, że chcę, żebyś mnie zapłodnił.

– Ach, ale ty to mówisz. Ja chcę, żebyś mnie poprosiła, tak jak o przysługę. Westchnęła.

– Proszę, Domino, senior Cruz, czy możesz się ze mną kochać? Potrząsnął przecząco głową.

– Nie.

– Co takiego?

– Nie, nie będę się z tobą kochał.

– Chcesz, żebym cię błagała? Czy właśnie tego oczekujesz?

– Wcale nie. Po prostu chcę widzieć choć odrobinę uczucia. Nie lubię kochać się z marionetkami. Wróć, kiedy będziesz bardziej do życia i w lepszym humorze. – Odprawił ją machnięciem ręki.

– Dlaczego tak bardzo mi to utrudniasz? Potrzebuję twojej pomocy. Proszę cię o pomoc. Mam teraz dni płodne, to moja ostatnia szansa. Wygnają mnie z tej doliny i zginę, jeżeli przed następną pełnią nie zajdę w ciążę.

– Ach, tak. Jesteś rozgniewana. *Bueno*. To przynajmniej dodało trochę ciepła i barwy twojej twarzy. Zobaczmy teraz trochę ognia poniżej pasa.

Tree wzruszyła ramionami.

– Chcesz... o co ci chodzi? Mam ci powiedzieć, że cię kocham? Roześmiał się, połyskując białymi zębami na tle smagłej twarzy.

– Miłość? Miłość nie jest warunkiem koniecznym do porządnego pieprzenia. Ale bez odrobiny lubieźności po co w ogóle się trudzić? Wróć, kiedy nie będziesz potrzebowała moich usług, ale kiedy będziesz chciała mojego fiuta. – Wstał od stołu i skierował się ku drzwiom.

– Nie mogę – odezwała się. – Teraz mam dni płodne. Nie zatrzymał się.

Pospieszyła za nim i schwyciła go za ramię.

– Mam owulację. Potrzebuję cię teraz.

Zrzucił jej rękę stanowczym ruchem.

– Posłuchaj, cały harem moich żon czeka na mnie niecierpliwie. Niektóre z nich też są akurat płodne. Też chcą zajść w ciążę. Jest tu mnóstwo kobiet, które pragną Domina. Będziesz musiała ustawić się w kolejce.

– Ty arogancki, podły skurczybyku! – Wysforowała się do przodu, zagradzając mu drogę. – Próbujesz wyładować na mnie złość całej klasy społecznej, do której należysz.

Próbował ją ominąć. Odepchnęła go mocno, tak że zatoczył się bo tyłu. Wybuchnął śmiechem.

– Taak! To dopiero werwa! Pokaż, jaka z ciebie kocica. – Zamachnął się i uderzył ją

w twarz. – Lubisz na ostro?

Zaczęła okładać go pięściami. Schwycił ją za nadgarstek i wykręcił rękę do tyłu. Popchnął ją przez drzwi do sypialni, aż upadła twarzą na wielkie łóżko. Zwalił się na nią.

– Auuu, złamiesz mi rękę! – wrzasnęła. – Złaż ze mnie!

– A, teraz robi się interesująco – wysapał, przykładając usta do jej ucha. Cuchnął alkoholem.

– Widziałaś kiedyś, jak to robią koty?

Wiła się pod nim, więc przygniótł jej ramiona i głowę przedramieniem.

– Kocur bierze kocicę od tyłu – wysapał. – Gryzie ją w szyję, mocno, ona z nim walczy, aż do chwili, kiedy on skończy, co ma do zrobienia, sycząc i warcząc.

Tree naparła na niego z całej siły od tyłu.

– Złaż, do cholery!

– Coś taka rozgniewana, *gringa*? Myślałem, że tego właśnie chciałaś.

– Rozmyśliłam się. Wolałabym umrzeć, niż to z tobą robić. A teraz, do cholery, puszczaj mnie!

– Doskonale – powiedział, dysząc ciężko. – Teraz, kiedy ty nie chcesz, ja chcę. Zjadę cię, Tree. Zerznę cię tak, że nie zostanie na tobie sucha nitka. Wsadzę ci kutasa tak głęboko, że natychmiast ożyjesz i wrzaśniesz jak kocica.

– Złaż ze mnie, ty chory sukinsynu! – Wykręciła głowę, żeby ugryźć go w twarz, ale zdążył się odsunąć. Szamotała się pod nim z całych sił, lecz nie potrafiła zrzucić z siebie jego cielska.

– Taak, walcz ze mną, tak, dobrze. To coś, do czego nie mogę zmusić moich żon. To małe dziewczynki, one nic nie rozumieją. Poddają się wszystkiemu. Ale ja lubię to robić ostro, tak jak ty, co?

– Jak powiem Masonowi, zabije cię.

– Za co? Za uratowanie ci życia? Przy nim byłaś skazana. Obydwoje macie u mnie dług.

Udało mu się wyszarpnąć szarfę od jej tuniki i teraz podciągnął luźną tkaninę do góry. Nie miała nic pod spodem. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezsilna.

– No, dobra, księżniczko, teraz dam ci całego *chilli*. Wczuj się, jak głęboko wchodzi *senior chilli*.

Tree poczuła, jak włożył jej penis od tyłu. Krzyknęła, nie z bólu, lecz z wściekłości i upokorzenia. Łzy paliły jej oczy. Chrząknęła, mocując się, żeby wyjść spod niego.

– Ujeżdżaj tę klacz, *guacaro*! – krzyczał, śmiejąc się bezczelnie.

Tree obróciła się na bok i szarpnęła do przodu. Członek Domina wyślizgnął się z niej. Mocowała się, aby spod niego wyjść, lecz przyszpilił jej ramiona, rozciągnął ją na materacu i ponownie włożył penis. Zaczął pompować gwałtownie, poruszając całym ciałem tak, że jego miednica i biodra wciskały jej pośladki w łóżko. Ukryła twarz w pościeli i rozplakała się, czując się gwałcona i bezradna.

– Przeżyję to – wmawiała sobie. Przeżyję to.

Wtedy powietrzem targnął ryk wściekłości, dorównujący furii, jaka targała jej trzewiami. Przez sekundę myślała, że ten głos zawrzał i wydostał się prosto z jej płuc. Potem rozpoznała grzmiący bas Masona.

– Domino! Złaż z niej, do cholery!

Głowa Domina odskoczyła w bok od silnego kopniaka i mężczyzna spadł z łóżka na podłogę.

Tree zeskoczyła z materaca i opasała się kimonem.

Mason wetknął rękę pod szyję Domina, poderwał go na nogi i rąbnął go pięścią prosto w twarz, rozwalając mu nos z trzaskiem.

Wenezuelczyk zatoczył się na ścianę. Krew buchała mu strumieniami z nosa. Złapał się za pochwę przy pasie i wyciągnął nóż, lecz w tej samej chwili Mason kopnął go w krocze. Nóż wylądował z brzękiem na podłodze, a Domino, zgięty wpół, postąpił krok na przód, jęcząc chrapliwie.

Mason schwycił Tree za rękę i wyprowadził na zewnątrz w mglisty chłód. Następnie odwrócił ją ku sobie i pocałował czule, jego szare oczy błyszczały, mówiąc językiem, który jej oczy zrozumiały natychmiast.

Rozdział 36

Mason zaniósł Tree po wapiennych schodkach wprost do ogromnej wanny. Zdjął z niej delikatnie tunikę i z czułością umył jej ciało mydłem jaśminowym i delikatną myjką. Czuły dotyk pomógł zmyć napięcie i uraz po wstrętnym zajściu z Dominem. Nie pytał o nic, a ona nie chciała do tego wracać. Zachowywał się jak dawny Mason, czytając w jej sercu, robiąc wszystko to, co powinien. Umył jej włosy i zapytał, czy chciałaby zostać sama.

– Nie, dobrze mi z tobą takim, jaki teraz jesteś – odpowiedziała. – Co się stało, Mason? Twoje oczy lśnią pełnią życia.

Zaczerpnął głęboki oddech.

– Tree, muszę ci coś powiedzieć. Moją tajemnicę.

– Tak, kochanie, musisz mi to powiedzieć – poprosiła. – Dla twego dobra. – Poglądziła go po policzku zewnętrzną stroną palców a on ujął jej dłoń, ucałował i... wybuchnął płaczem. Mason płakał! Tree poczuła, jakby słońce wyszło z głębi jej serca. Całowała spływające mu po policzkach łzy. Słony smak nigdy nie wydawał jej się równie słodki.

– W tę noc, kiedy zginął Gib – zaczął szeptem, po czym umilkł. Otworzył nabrzmiałe oczy i spojrzał na nią, dygocząc na całym ciele. – Posłuchaj, to będzie dla ciebie ciężkie. Bez względu na to, jak zareagujesz, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham. Tak bardzo, Tree. Znowu potrafię czuć. To nie jest przypominanie sobie, co do ciebie kiedyś czułem. Kocham cię teraz. I jeśli... jeśli ty... Posłuchaj, chcę, żebyś wyładowała na mnie swą złość, chcę, żebyś mnie biła, bij mnie pięściami, tylko nie... proszę, nie znienawidź mnie.

– Nie zamierzam cię znienawidzić, głuptasie. – Tree również płakała. – Nigdy nie mogłabym cię nienawidzić. Ty również jesteś moim bratem. Nie wiesz, że już dawno temu domyśliłam się twej tajemnicy?

– Ty wiesz?

Nic nie wiem. Nie wiem, co się wydarzyło. Gib zginął, a ty obwiniasz siebie o jego śmierć. Najgorsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć to ta, że w jakiś sposób doprowadziłeś do jego śmierci. Zabiłeś go. To najgorsza rzecz, jaką sobie możesz wyobrazić, i myślę, że o to chodzi. Tylko taka tragedia mogłaby do tego stopnia złamać ci serce.

Mason wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, płacząc niemo. Drżącym głosem opowiedział jej o tej czarnej nocy w monsunowym deszczu, kiedy kołysał jej brata na kolanach.

– Och, Tree! Tak bardzo go kochałem. Nie miałem nawet możliwości się z nim pożegnać.

Tree łkała wtulona w jego szyję.

– Tak mi przykro, kochanie, tak przykro.

– Obawiałem się... Gdybyś się dowiedziała... – Ścisnął ją tak mocno, że zabrakło jej powietrza w płucach. – Tak bardzo nie chciałem cię utracić.

– Szszszszsz. Najdroższy. Za to nie można nienawidzić, to coś, co łamie mi serce, ale bardzo ci współczuję, Mason, bardzo mi przykro, że musiałeś czegoś takiego doświadczyć.

– Proszę powiedz... że... mi wybaczasz.

– Nigdy cię nie winiłam – odparła, całując jego czarne kędziory. – Ale wybaczam ci. Spójrz na mnie, Mason, spójrz na mnie. – Szukała jego spojrzenia. – Wybaczam ci, kochanie. Słyszysz?

– Ale... – Sprawiał wrażenie zdumionego.

– Mason, a gdybym to była ja? Gdybym zabiła Giba w wypadku samochodowym? Czy nienawidziłbyś mnie?

Pokręcił głową, patrząc na nią dużymi, szarymi, mokrymi od łez oczami.

– Posłuchaj prawdy: Dusza Masona Drake’a jest niewinna – powiedziała, akcentując wyraźnie każde słowo. – Nikt cię nie wini. A już najmniej Gib. On cię kocha, tak jak zawsze.

Przylgnął twarzą do jej łona i załkał głośno i głęboko. Po jakimś czasie rozluźnił się i uspokoił. Tree ucałowała go w głowę, dziękując całemu światu, że jej ukochany odrodził się na nowo.

Podniósł twarz ku górze i ucałował ją namiętnie w usta.

Poderwał ją z wody i zaniósł do sypialni, gdzie ostrożnie położył na łóżku. Woda kapiała z jej jasnych, falujących włosów. Miał na sobie mokre *dhoti*. Pośrodku luźnych spodni wykwitł nagle sztywny, wysoki maszt.

Kochali się tak, jak nakazywała im miłość. Głód jest najlepszą przyprawą. Wkrótce przenieśli się, błogo wygłodniali, do rajy apetytu.

Tree spała smacznie. Delikatne wzniesienia jej piersi podnosiły się i opadały w ciemności. Mason nie spał. Leżał na wznak na zmiętym prześcieradle, rozkoszując się wspaniałym wieczorem i osobistym zwycięstwem nad smutkiem. Nie, nie zwycięstwem nad smutkiem, lecz zakończeniem wojny ze smutkiem. Wreszcie zaakceptował śmierć Giba i odzyskał wewnętrzny spokój: mięśnie, kości, całe jego człowieczeństwo zyskały harmonię. Na zewnątrz odgłosy nocnego chóru leśnych stworzeń i odległego wodospadu wypełniały zieloną dolinę.

Leżenie u boku Tree, po namiętnych chwilach, było czystą słodyczą – w swoisty sposób wydawało mu się równie poufałe jak sam akt miłości. W ciągu tych ośmiu lat od rozvodu kochał się z wieloma kobietami, lecz nigdy z żadną nie spał. Zawsze wstawał i szedł do domu wypaść się we własnym łóżku.

Spanie z Tree oznaczało dzielenie z nią przestrzeni snu. Przytulanie się w chłodne noce albo dotykanie koniuszkami palców w parne wieczory. Ich śpiące ciała wzbogacały się nawzajem. Teraz mógł znowu rozkoszować się bliskością ukochanej.

Przesunął dłonią po gładkiej krzywiznie jej brzucha, zatrzymując się w futerku kędziorków, wciąż mokrym po miłosnej uczcie. Leciutko gładził palcami maleńkie loczki. Tree uśmiechnęła

się, przysuwając bliżej.

– Kochanie, jesteś taka piękna – wyszeptał. – Taka delikatna.

Przypomniawszy sobie naukową nazwę maleńkiej poduszczeni tłuszczu ponad kością łonową: *Mons veneris* – wzniesienie Wenus. Doskonałe. Dlaczego jednak nasi przodkowie zajmujący się anatomią poprzestali na tej odrobinie poezji? Innym wspaniałym cechom nadali tak przyziemne nazwy.

Pochwa. Oznacza po łacinie pochwę na miecz. Tak czy owak, zimne słowo na coś tak śliskiego, miękkiego i przyjaznego. Hiszpański slang określał waginę jako *lapapaya*. Miało to wyraźną poetycką wymowę, zważywszy na podobieństwo tego narządu do otwartej papai: różowa pochwa lśniła jak tropikalny owoc; zapach i smak papai, i kobiet należą do tej samej grupy aromatów.

Gruzoły Bartholina. Ponura nazwa na określenie drobniutkich gruczołów kobiecych, które sprawiają, że robi jej się wilgotno podczas silnego podniecenia. Kaspar Bartholin, duński anatom, nazwał te twory własnym nazwiskiem. Dlaczego nie mógł nazwać ich bardziej romantycznie, mitycznie? W jakikolwiek inny sposób, tylko nie Bartholina. Co prawda, i tak dobrze, że nie nazywał się Lipschitz.

Umysł Masona wałęsał się dalej, przystając obok różnych spraw; nie martwiły go już wspomnienia związane z Gibem i z radością przywoływał w pamięci dawne, dobre czasy.

Za każdym razem, kiedy wyobraził sobie Giba, towarzyszyło mu dziwne doznanie. Nikt nigdy tak bardzo jak K'un-Chien nie przypominał mu przyjaciela.

Tak, Meng-Po był podobny do Giba pod względem intelektualnym i artystycznym. Tree była zmysłowa i emocjonalna jak Gib. A K'un-Chien? Czuł, jakby emanowała jakąś męską cechą. Dziwnie się czuł, myśląc o tym. Ale mimo największych starań nie potrafił odrzucić tych myśli. Wydawały się prawdziwe. K'un-Chien była ładna. Była też przystojna. Bezsprzecznie posiadała element męskości – i dlatego przypominała mu Giba. To niezwykle. Czy dlatego postrzegał w niej pewne cechy męskie, że była wysoka i silnie umięśniona, czy też ze względu na jej odwagę? Gdyby tak, jego rozumowanie pachniałoby fałszem. Tak jakby nie istniały silne, odważne kobiety. Joanna d'Arc mierzyła tylko sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Widział Wietnamki rozmiarów dzieci ze szkoły podstawowej, niosące na plecach dwoje dzieci podczas ucieczki z płonącej wioski.

Nie. Zdecydowanie nie chodziło o cechy fizyczne K'un-Chien. Szczerze mówiąc, Tree była nieco wyższa i naturalnie umięśniona, a przecież wyjątkowo kobieca. K'un-Chien natomiast wydawała się w pewien sposób męska duchem.

Z drugiej jednak strony ta męskość nie eliminowała kobiecości. K'un-Chien miała więcej wypukłości niż Tree, potrafiła być spontaniczna, wysmukła, szykowna, prawdziwy wamp.

Uśmiechnął się na porównanie, jakie przyszło mu do głowy: K'un-Chien była jak delfin.

Niektóre zwierzęta wydawały mu się kobiece. Na przykład koty. Nawet kocury wydawały się damskie.

Inne zwierzęta pasowały do męskości. Psy, nawet suki, miały więcej cech męskich, agresywnych.

Ale delfiny – samice czy samce – były androgenami natury. Każdy z nich posiadał cechy obu płci.

Uśmiechnął się na to wyobrażenie. Pasowało. Delfiny były jak K'un-Chien.

Przyznał przed samym sobą, że kocha się w niej. Postanowił nawet, że porozmawia o tym z Tree. Bardzo delikatnie, dyplomatycznie. Oczywiście, nie ulegało wątpliwości, że Tree pozostawała na pierwszym miejscu. Nie chodziło też o to, że mu nie wystarczała; zmysłowa kochanka, taka jak ona, mogła zaspokoić każdego.

Chodziło o to, że... cóż... znać K'un-Chien oznaczało kochać ją. Była jak drogocenne skrzypce, których nigdy nie wyjęto z futerału, które czekały, aby usłyszeć swą muzykę.

– May-Son? – Doleciał go szept z ciemności w nogach łóżka.

– K'un-Chien, właśnie o tobie myślałem.

– Czy mogę... – zawahała się. – Nie zdejmować ubrania. Po prostu spać koło mego męża?

Odsunął prześcieradła i weszła do szerokiego łóża. Przytuliła się do Masona. Jej włosy pachniały olejkiem cytrynowym. Uśmiechnął się w ciemności; leżał między swymi dwiema żonami, umysł oscylował między jawą a snem, serce między miłością a pożądaniem.

Rozdział 37

Cesarzowa Fang-Shih spojrzała na wulkaniczne obrzeża doliny, stojąc u podnóża Zachodniej Twarzy. Wicher jęczał delikatnie pośród wysokich turni, wtórując żalobnym tonom bambusowego fletu. Smutna muzyka poranka i przejmująca mżawka sprawiły, że ogarniał ją bardziej ponury nastrój niż zwykle. Wszystko pachniało zimnymi skałami – nawet blade słońce.

Zdawało się, że wątpliwość, która od wielu miesięcy zaprzętała jej umysł, wreszcie znalazła punkt oparcia: Czyżby gorzkie poświęcenie było nadaremne?

Odkąd sięgała pamięcią, wychwalano jej urodę. Pozostałe dzieci zawsze utrzymywały pewien dystans, krok lub dwa, co świadczyło o tym, że ona, Fang-Shih, była szczególnie czarująca i pewnego dnia niewątpliwie zostanie wybrana na Matkę Synów. W końcu została wyniesiona ponad wszystkie inne kobiety w Jou P'u T'uan.

Później, kiedy miała siedemnaście lat, na rok przed ceremonią wybierania, przybył do Jou P'u T'uan ten niezwykle barbarzyńca, Huxley Summerwood. Mówił ich językiem i znał doskonale ich zwyczaje. Nawet wziął udział w Debacie Dwóch Szkół i publicznie wystąpił przeciwko kultowi Lung-Hu.

Huxley zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia; był to czas, gdy jej twarz przypominała twarze z klasycznych malowideł. Mimo że był cudzoziemcem – a może właśnie dlatego – zakochała się w nim. Miłosne zabawy z kobietami smokami nie mogły się równać z intensywnością pożądania i przyjemności, jakie czerpała ze współżycia z Huxleyem – jej Ta Heng, Wielkim Żdźbłem.

Później została nową cesarzową.

Teraz, stojąc w mżawce, Fang-Shih wzdrygnęła się na potworne wspomnienie nożycozębnych ryb tnących jej twarz niczym ostre brzytwy. W przeciągu kilku uderzeń serca jej piękność, której nikt nie mógł dorównać, została rozerwana na strzępy. Lecz dzięki straszliwemu poświęceniu otrzymała moc rodzenia synów i ponownie została wyniesiona ponad wszystkie inne kobiety w Jou P'u T'uan, tym razem za dary jej łona.

Huxley nie ukrywał obrzydzenia, uczucie miłości zniknęło bezpowrotnie. Mimo to wykonywali swoje obowiązki i cesarzowa zaszła w ciążę. Zjadła grzyb *Ling-Chih* i dowiedziała się, że urodzi Świętą Hermafrodytę – kolejny powód, dla którego jej mąż miał się czuć wyalienowany.

Wierzyła, że urodzi Lung-Hu, lecz tak się nie stało.

Po pierwsze zrodziła – co było wyjątkowo niepomyślne – tylko córkę. Niepotrzebnie. Wszystkie kobiety-tygrysy w mieście rodziły córki.

Potem, w ciągu czterech lat, urodziła trzech synów. To cudowne wydarzenie okazało się jednak wybuchem światła poprzedzającego gęsty mrok, tak jak lampa rozpala się gwałtownie

ostrym płomieniem w chwili, gdy wypalają się ostatnie krople oliwy. W tym samym, złowrogim dniu zginął jej mąż, a dwaj starsi synowie utonęli.

Teraz było już za późno, by zaczynać od nowa. Czuła się wyczerpana, zbyt stara na więcej dzieci. Nawet ten człowiek-koziół, Domino, nie zapłodnił jej. Okres panowania dobiegał końca.

Kiedy była dziewczynką, jej piękno emanowało siłą, lecz jako cesarzowa nigdy nie potrafiła odczuć uroku władzy. Nie odnalazła radości we władaniu społecznością kobiet, które zazdrościły jej zdolności do rodzenia synów, płaszcząc się jednocześnie przed nią, w duchu dziękując przodkom, że nie widziały jej oblicza ukrywającego się za maską.

Wraz z końcem jej urody nadszedł koniec miłości. Nawet kiedy synowie byli mali, przerażała ich jej oszpecona twarz, więc nigdy nie zdejmowała maski w ich obecności. Lecz jakże wielką czerpała przyjemność z karmienia piersią swoich maleństw – w takich chwilach zdawało się, że cała jej karma była tego warta.

Na duchy wszystkich przodków, jak bardzo brak mi moich synów!

Nigdy nie ośmieliła się zdjąć maski przy Huxleyu. On z kolei, dla wzbudzenia w sobie żądz, zażywał nasiona miłości za każdym razem, gdy mieli odbyć stosunek. Mimo to odwracał wzrok, napotykał jej spojrzenie. Cienka porcelana oddaliła ich dusze na dziesięć tysięcy mil.

Uwięzione za sztuczną twarzą serce czuło niezmierną, duszącą samotność. Wielokrotnie w przeciągu tych lat była wdzięczna masce, gdyż ukrywała skrzętnie łzy.

Fang-Shih westchnęła, czując gorącą łzę spływającą po zdeformowanej bliznami twarzy.

K'ung Fu Tse, Wielki Nauczyciel, nauczał w Analektach, że piękno fizyczne jest zaledwie powierzchowną cechą. Lecz on nie miał blizn zamiast twarzy. Czy piękno leżało wyłącznie we wnętrzu? Jak to się więc działo, że te rany werżnęły się w jej serce?

– Czy coś cię gnębi, cesarzowo? – Głos Yu Lin wyrwał ją z zadumy. – Chyba nie bawisz się zbyt dobrze na tym polowaniu.

– Wszystko dobrze. – Cesarzowa podniosła głowę i zaczęła obserwować dwie harpie, kołujące nad urwiskiem w poszukiwaniu zera. Bez trudu dostrzegła swego ptaka – czarno-białe pasy na skrzydłach i ogonie; błękitnoszary łeb i białe piersi. Ptak Yu Lin był całkowicie biały, albinos.

– Cały ranek spoglądasz w dół – stwierdziła wojowniczo.

– Przyznaję, że dryfuję dzisiaj jak statek bez żagli.

– Całe miasto wie już, że nasienie tego barbarzyńcy nie zakiełkowało w tobie – poinformowała Yu Lin. – Musisz spróbować ponownie, może z tym większym mężczyzną, May-Sonem.

– Tak – odezwała się znużonym głosem cesarzowa. – Powinam spróbować za kilka dni, kiedy znów będę płodna.

Patrzyła, jak harpie szybują wzdłuż zbocza, niemalże dotykając czubkami skrzydeł górnych

półek skalnych.

– Ten barbarzyńca, May-Son – odezwała się. – Wydaje się niespokojny, nieujarzmiony, jak nowo schwytyany drapieżnik.

– W rzeczy samej. Być może, należałoby użyć tych samych metod, aby go obłaskawić: zawiązać mu smycz u nogi i trzymać w zaciemnionej komnacie, nie pozwalać jeść inaczej jak z ręki i nie zdejmować mu kaptura z głowy, aż będzie gotów to robić. – Yu Lin roześmiała się z własnego żartu.

– Zaczynałam już dawać wiarę pogłoskom, że nie jest do tego zdolny – powiedziała cesarzowa. – Ale teraz jego pierwsza żona oczekuje dziecka.

– Wierzysz, że mogłaby urodzić syna? Rzuciła jej szybkie spojrzenie zza maski.

– Jeżeli inne posiadają taką moc, jaki jest sens mojego poświęcenia? – Zsunęła maskę. – Czy to tylko dekoracja?

Yu Lin odwróciła wzrok.

– Wybacz, Matko Synów. Wydam rozkaz, aby May-Son został przyprowadzony do twej sypialni, wykąpany i namaszczony wonnymi olejkami. Przygotuję dość nasion miłości, aby żądza nie opuszczała go od zmierzchu do świtu, a potem do południa. Jeżeli jego rozmiary odpowiadają żywiołowości, zdoła wypełnić jałowe łono bliźniakami.

Cesarzowa włożyła maskę, nie spuszczając z Yu Lin gniewnego wzroku.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że moje łono jest jałowe?

– Nic podobnego nie mówiłam. Zażartowałam tylko z jego rozmiarów. Myślę sobie, że nie ma w mieście studni, której dna by nie dosięgnął.

– *Tao* właściwie rozporządza *yin dlayang*. Obydwie jego żony to wysokie donice, które przyjmą bez trudu głębokie korzenie.

Cesarzowa wyobraziła sobie K'un-Chien. Uroda dziewczyny spędzała jej sen z powiek, przypominając, co straciła. Jej córka okazała się piękniejsza, niż ona była kiedykolwiek. K'un-Chien odziedziczyła błękitne oczy po ojcu, lecz miały ciemniejszy odcień, niczym nocne niebo.

Kiedy Huxley powiedział, że urodziła córkę, poczuła się głęboko upokorzona. Z początku odczuwała w stosunku do K'un-Chien obojętność. Córka po prostu nie przedstawiała żadnej wartości dla Matki Synów. Pozwalała Huxleyowi wychowywać dziewczynkę przez wiele lat i starała się jak najmniej o niej myśleć. Jednak owego tragicznego dnia, kiedy córka ocalała, podczas gdy synowie utonęli, obojętność zmieniła się w nienawiść.

Jakie to dziwne! Teraz wydawało się nieuniknione, że K'un-Chien zostanie nową cesarzową. Fang-Shih przestała wierzyć, że kiedykolwiek zostanie matką Lung-Hu. Uznała, iż źle zinterpretowała swoją wizję. Lung-Hu prawdopodobnie zostanie zrodzony z jej córki – a zatem tylko pośrednio z niej.

– Czy mam wydać rozkaz? – zapytała Yu Lin.

– Jaki?

– By przyprowadzono do ciebie tego mężczyznę, kiedy będziesz miała płodne dni.

Cesarzowa spuściła wzrok, nie odzywając się ani słowem.

– Pani?

– Nie – odrzekła stanowczym głosem. – Nie. Właśnie w tym momencie zdecydowałam, że tego nie chcę. Nadszedł czas wyboru nowej cesarzowej.

– Jesteś gotowa stanąć do wyborów?

– Do tej pory byłam gotowa – odpowiedziała. – Teraz K'un-Chien jest gotowa. Yu Lin zmarszczyła brwi.

– Co?...Ona ma zostać cesarzową?

– Czy potrafisz znaleźć kogoś piękniejszego? Yu Lin zawahała się.

– Ale...

– Jest moją córką. A zatem obowiązek spada na nią. Najprawdopodobniej jest jej przeznaczone zrodzić Lung-Hu.

Świdrujące w uszy staccato kak-kak-kak-kak-kak ściągnęło oczy rozmawiających ku górze. Dwie harpie zbliżyły się do stadka szarych gołębi. Ogromne ptaki spadły jak błyskawice na stado i każdy schwycił jednego gołębia w swe ostre szpony.

Czarno-biała harpia zawróciła w kierunku ręki cesarzowej okrytej grubą rękawicą, lecz albinos, porzuciwszy swoją ofiarę, zabił drugiego gołębia, a wypuściwszy i tego, zabijał kolejne. Zabił sześć gołębi, zanim stado udało się umknąć w gąszcz eukaliptusów. Szare pióra opadały powoli, poruszane wiatrem jak jesienne liście.

Cesarzowa podniosła odzianą w skórzaną rękawicę pięść na wysokość barku i podparła ramię specjalną laską. Harpia nadleciała, upuściła ofiarę na piach, wyhamowała uderzeniami szerokich skrzydeł i przysiadła na rękawicy. Służąca podbiegła do gołębia i szybko pocięła niewielkie ciało na kilka części. Cesarzowa karmiła harpię, wczepioną w swoją „grzędę”, żelaznym uchwytem.

Harpia – albinos powróciła na skórzaną rękawicę Yu Lin. Nie przyniosła ofiary i łakomie spozierała na gołębie mięso, którym cesarzowa karmiła z ręki swego ptaka. Była to samica, która trzykrotnie przewyższała rozmiarami czarnobiałego samca cesarzowej.

– Białe Ostrze zabija dla zabawy, jak zwykle – stwierdziła smutno cesarzowa. – To nie jest dobra cecha, powinnaś ją tego oduczyć.

– Dlaczego? To właśnie ja ją tego nauczyłam.

– Gdyby wszystkie harpie zabijały w ten sposób, wkrótce zabrakłoby im pożywienia.

– Ale inne harpie nie są takie jak moja. Spójrz na swoją, zadowolona się jednym gołębiem.

– Tak powinno być, taki jest naturalny porządek. Te, które nie są zadowolone z porządku

rzeczy, dowódco Yu, są niebezpieczne.

– Białe Ostrze szuka czegoś więcej niż pożywienia – powiedziała Yu Lin, głaszcząc czupurny grzebień harpii. Białe pióra rozchodziły się promieniście jak płatki kwiatu od korony otaczającej czerwone oczy i bezbarwny dziób. Yu Lin wyjęła z torby kawał suszonego mięsa leniwca i nakarmiła drapieżnika. Było to ulubione pożywienie harpii.

Yu Lin uśmiechnęła się do ulubienicy.

– Wie, że jest cesarzową nieba; chce, aby wszystkie inne ptaki to uznawały.

– Ta ambicja... Czy ty również tego ją nauczyłaś? Yu Lin utkwiała wzrok w cesarzowej.

– Urodziła się z nią. Popatrz na jej rozmiary. Spójrz na ogniste spojrzenie.

– Tak, widzę doskonale jednym okiem – przyznała cesarzowa. – Kiedyś powiedziałeś, że istnieją tylko dwa rodzaje stworzeń...

Yu Lin skinęła głową.

– Drapieżniki i ofiary. Czyż tak nie jest?

– Powiedz mi zatem, co się dzieje, gdy spotkają się dwa drapieżniki?

– Wówczas przekonują się, że są dwa rodzaje drapieżników – odpowiedziała bez zastanowienia Yu Lin. – Silniejsze i słabsze.

Yu Lin machnęła w górę pięścią w rękawicy, wyrzucając w powietrze Białe Ostrze. Harpia zaskrzeczała i spłoszyła ptaka cesarzowej. Wzbiły się szybko ponad urwisko. Większy drapieżnik przepędził mniejszego, który wkrótce zniknął za krawędzią.

Rozdział 38

W poranek, w który miała się odbyć ceremonia wyboru, chłodne mgły przesłoniły pola poza kamiennymi murami miasta. Tunika Tree przylgnęła do skóry, a mglista wilgoć zmieniła jasne włosy w płataninę loków przypominających złote sprężynki.

Niemalże wszyscy mieszkańcy zebrali się na dużej skalistej równinie poza murami miasta. Na niewielkim wzgórku wzniesiono pałac. Tree, Mason i K'unChien stali niedaleko budowli, aby móc rozmawiać z Meng-Po, któremu po raz pierwszy od sześciu lat pozwolono opuścić złotą klatkę.

– May-Son, zapomniałem już, jak piękny jest świat – mówił Meng-Po. – Kształty, smaki, zapachy. Każdego dnia malarstwem i poezją starałem się je wyrażać, lecz teraz widzę bezsens mych wysiłków. Jak mogłem zachować coś tak nieogarnionego w obrębie mej pamięci?

– Cieszę się z twojej radości – zapewnił Mason. – Bardzo się cieszę.

Tree martwiła się o K'un-Chien. Nie miała wątpliwości, że dziewczyna przewyższa urodą wszystkie kobiety w mieście – mimo ogromnego tłumu czarujących niewiast, które zgromadziły się na skalistym polu. K'un-Chien wyróżniała się spośród nich, jak rzadko spotykany błękitny diament, na tkaninie usłanej rozmaitymi klejnotami.

Mason stał po środku, trzymając obie żony za ręce.

– Boję się, Mason – odezwała się Tree po angielsku.

– Ja też, kochanie. Lecz pamiętaj, piękno jest względne, a nikt inny nie kocha K'un-Chien tak bardzo jak my.

Ostatnie kilka tygodni były błogosławnym czasem pojednania Tree i Masona. Zaszła w ciążę, co dało im drogocenny czas na zaaranżowanie ucieczki. Mason poprosił Tree o rękę, wtedy wyznała, że w głębi serca nigdy się z nim nie rozwiodła.

– Zawsze pozostałeś tym jedynym – przyznała. Oczy mężczyzny wypełniły się łzami, ponieważ jego serce tętniło teraz życiem, doświadczając wszystkich możliwych uczuć.

– Przez te kilka minionych dni poznałem prawdy, które poprowadzą mnie dalej przez życie – powiedział jej pewnego wieczoru, kiedy wrócili do domu z długiego spaceru. – Lata całe zmagalem się, aby ochronić miłość, lecz miłość tak naprawdę nigdy nie jest bezpieczna. Miłość jest raną, nie blizną. Miłość jest pęknięciem w membranie naszego życia, przez które przedostaje się sens istnienia: radość i ból. Jeśli rana się zasklepi, miłość ginie. Lekarstwem na wrażliwość jest odrętwienie i śmierć. Teraz czuję, jakbym narodził się na nowo.

Przytulił się wtedy do niej i wyszeptał wprost do ucha, między pocałunkami:

– Lecz teraz jestem przy tobie bezbrony. Możesz mnie pić jak wino.

– Mmmmm – mruknęła – czy to poetyckie oświadczyzny? – Rozchyliła tunikę, osuwając się na kolana.

Teraz, kiedy znów mogli się kochać, zastanawiała się, w jaki sposób przez tak długi czas zdołała wytrzymać bez zapachu swego mężczyzny, tak bardzo przypominającego jej rosnące ciepłe ciasto; ciężaru przygniatającego ją ciała; szarych oczu, które pieściły spojrzeniem, prowokując wilgoć między udami. W momentach szczytowych na twarzy Masona pojawiał się wyraz bezgranicznej rozkoszy, będący lustrzanym odbiciem wyrazu jej twarzy. Uwielbiała tę twarz, jego i jej, tę samą. Osiem lat wytrwale czekała, aby ujrzyć spojrzenie pełne ekstazy.

Z wdzięcznością uściśnęła jego silną dłoń.

Nie zapomniała jednak o niebezpieczeństwie, jakie niesło wyzwanie rzucone cesarzowej: „Ja również jestem Matką Synów”. Dziecko musi być chłopcem, w przeciwnym razie zginie wraz z maleństwem w dzień jego narodzin.

Cóż za ironia! Wiele lat temu, przed Wietnamem, kiedy po raz pierwszy rozmawiali z Masonem o wspólnych dzieciach, postanowili, że nie będą chcieli znać płci dziecka przed jego przyjściem na świat. Woleli doznać całkowitego zaskoczenia. Teraz ucałowałyby ultrasonograf, gdyby tylko mogła się dowiedzieć, czy to chłopiec.

Żartowali sobie z metod przepowiadających płeć dziecka. Gdy wahadełko obraca się wokół brzucha – będzie chłopiec, jeżeli wahadełko kołysze się w linii prostej – dziewczynka. Jeśli brzuch matki jest bardziej spiczasty – chłopiec, jeśli bardziej zaokrąglony – dziewczynka. Każda z takich przepowiedni sprawdzała się w pięćdziesięciu procentach.

Statystyka medyczna okazywała się bardziej godna zaufania. Mason powiedział jej, że najlepszą wskazówką jest rytm serca dziecka: średnio puls oscyluje między 120 a 160 uderzeń na minutę; przy wolniejszym tętnie – 120-130 – zwykle rodzili się chłopcy; przy szybszym – 150-160 – dziewczynki.

– Sprawdza się mniej więcej w siedemdziesięciu procentach przypadków – wyjaśnił. – Kłopot w tym, że bez stetoskopu nie uda mi się usłyszeć bicia serca dziecka przed trzydziestym tygodniem życia płodu. Do tego czasu twój brzuch urośnie na tyle, że ucieczka stanie się praktycznie niemożliwa.

Obydwoje starali się określić dokładnie dzień, w którym zaszła w ciążę, ponieważ płeć dziecka można było przewidzieć z dużym prawdopodobieństwem, na podstawie okoliczności poczęcia. W przypadku chłopców poczęcie powinno nastąpić w trakcie owulacji przy głębokim włożeniu penisa w momencie wytrysku, któremu towarzyszył orgazm kobiety; w przypadku dziewczynek stosunek powinien mieć miejsce kilka dni przed jajczkowaniem, przy płytkim wniknięciu penisa w momencie wytrysku i bez orgazmu u kobiety. Oni jednak kochali się tyle razy, na słomianych matach, w gorącej kąpieli, na drzewie banyan, na trawie na dziedzińcu – dysząc, śmiejąc się, pijani przepelniającą ich energią. Któż potrafiłby stwierdzić, kiedy doszło do zapłodnienia?

Czynniki zdawały się przemawiać za synkiem: w dniu, kiedy po raz pierwszy odbywali

stosunek, Tree czuła po lewej stronie lekkie klucie związane z jajczkowaniem; miała kilka orgazmów, a w przypadku Masona nie mogło być mowy o płytkiej penetracji.

Tree położyła ciepłą rękę na nowym życiu zamkniętym w obrębie jej łona. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że udało im się spółdzić chłopca. Oczywiście, nie mogli być pewni w stu procentach. Czas upływał niesłychanie szybko. Musieli znaleźć sposób wydostania się z tej doliny. I to jak najszybciej.

Tree zerknęła przez Masona na K'un-Chien. Jakże by pragnęła, aby jej niespotykana uroda nie manifestowała się tak wyraźnie.

Ta noc z K'un-Chien na drzewie banyan była słodka – nie, była czymś więcej; stanowiła prawdziwą komunie. Miłość i żądza, przepelniające tę dziewczynę, były pierwotne i wypływały z głębi duszy, a Tree wciąż odczuwała wobec niej niewytłumaczalne przyciąganie, podobne do magnetyzmu wytwarzającego się między kobietą i mężczyzną.

Od czasu pojednania Tree i Masona dynamika niecodziennego trójkąta uległa zmianie. K'un-Chien pod względem emocjonalnym odsunęła się na stosowny dystans. Sprawiała wrażenie szczerze szczęśliwej, że coś takiego dokonało się między dwiema ukochanymi przez nią osobami, lecz jednocześnie nie udawało jej się ukryć samotności. Tree czuła, że rani K'un-Chien, i nawet zaproponowała Masonowi, aby okazjonalnie włączać drugą żonę do stosunków seksualnych. Żadne z nich nie czuło się jednak w pełni do tego gotowe.

Dzisiejszego dnia K'un-Chien miała na sobie jedwabną tunikę zapinaną na guziki aż pod szyję wysokiego kołnierza. Włosy spływały jej na gładki materiał niczym obsydian; gładka, porcelanowa skóra, lśniące, błękitne oczy. Rysy twarzy będące mieszanką Wschodu i Zachodu. Tree jęknęła głucho. Co mogło uratować K'un-Chien przed okrutnym obrzędem?

Wybranka miała przejść ceremonię poświęcenia podczas następnej pełni; w przeciągu kilku sekund fizyczne piękno miało zamienić się w czerwoną kipieli i pokarm dla ryb.

– *Mis amigos.*

Odwróciwszy się dostrzegli Domina, który torował sobie ku nim drogę przez tłum. Złamany nos wydawał się teraz większy i bardziej spłaszczony niż przedtem, lekko przechylony w jedną stronę.

– O, cholera! – bąknął Mason, jeżąc się.

K'un-Chien przyłgnęła do Tree, zasłaniając ją swoim ciałem.

– Czego, u diabła, chcesz? – zapytał Mason. – Nie mogę uwierzyć, że masz czelność pokazywać się komukolwiek z nas.

– Muszę pogadać z naukowcami o sprawie wybitnie naukowej – wytłumaczył krępy mężczyzna. – Ale najpierw, Tree, pozwól, że cię przeproszę...

– Nie waż się odzywać! – syknęła jak wąż gotujący się do ataku.

– Byłem bardzo pijany, wiesz o tym.

- To nie jest wytłumaczenie.
- Szczerze mi przykro. Żałuję tego z całego serca.
- Pomińmy to. Więcej o tym nie wspominaj.
- Zgoda. Zapomnijmy o tym. To w ogóle nie miało miejsca – przytaknął skwapliwie.
- Do diabła! – krzyknęła Tree. – To się stało. Nigdy tego nie zapomnę! Ja po prostu nie chcę

o tym mówić. Rozumiesz?

Domino podniósł ręce nad głowę.

– Rozumiem.

– Wątpię, czy to możliwe. Mason patrzył gniewnie na Domina.

– Posłuchaj, człowieku, powiedz, o co idzie, i spieprzaj.

– Dobrze, już dobrze. Chodzi o te małpy. – Wskazał w kierunku krzeselka w kształcie litery

U, na którym siedział Meng-Po z Kikim na kolanach. – Przyjrzałeś im się dobrze?

Mason skinął głową.

– No i co?

– Jak to co?... *Mio Dio*, to najbardziej zaskakujące odkrycie od czasu teorii Darwina.

– Nowy gatunek – przyznał Mason.

– To najmniej ważne – przerwał Domino. – Nie tylko nowy gatunek naczelnych.

Przyglądałeś się dłoniom? To są paznokcie, a nie pazury.

– Tak jak lemury potto i lori – skontrolował Mason. – Też mają paznokcie.

– To prawda, lecz one mają przeciwnie skierowane kciuki i duże paluchy u nóg, do wspinania się po drzewach. W tym przypadku jednak przyjrzyj się lepiej rąkom i nogom. – Domino postąpił krok w kierunku Kikiego, a małpka-mędrzec wgramoliła się na głowę Meng-Po, wyraźnie obawiając się nieznanego.

– Tak mi przykro – odezwał się Meng-Po w języku mandaryńskim. – Kiki jest nieśmiały wobec obcych.

Tree zauważyła, że dłonie i stopy małpki przypominają dłonie i stopy ludzkiego dziecka.

– To nie jest mieszkaniec drzew – ciągnął Domino. – Nie ma ogona. Wszystkie małpy w Nowym Świecie mają chwytne ogony. Tylko szympan, goryl, orangutan... nieważne, pochodzące ze Starego Świata, nie mają wykształconych ogonów. Ten małuch chodzi po lesie jak szympan – wskazał palcem rezolutną małpkę. – A teraz patrzcie, coś wam pokażę.

Wyjął z kieszeni garść rodzyneków. Kiki nie zrezygnował jednak z bezpiecznego miejsca na głowie Meng-Po.

– Widzieliśmy, jak się porusza – powiedział Mason. – Do czego zmierzasz?

– Wszystkie wielkie małpy kołyszą się na boki przy chodzeniu – stwierdził Domino. – Tylko u ludzi budowa miednicy pozwala na prosty chód, bez kołysania. Te małpy-mędrce chodzą tak jak my.

Tree była zafascynowana Kikim, lecz nie podobało jej się, że Domino podziela jej zainteresowanie.

– I są o wiele inteligentniejsze niż szympany czy goryle – dodał.

– Ten jest bezsprzecznie inteligentny – zgodziła się Tree. – Nie ufa ci pod żadnym względem.

– Dużo o tym myślałem – ciągnął Domino. – Posłuchajcie, my, ludzie, mamy wspólnego przodka z małpami Starego Świata – zarówno ludzie, jak i małpy ewoluowały od jakiegoś naczelnego ssaka typu lemura, żyjącego koło czterdziestu milionów lat temu. Potem linie ewolucyjne człowieka i małpy rozszczepiły się i poszły oddzielnie, jakieś sześć milionów lat temu. – Mimo to gibbony, orangutany, goryle i szympany należą wciąż do naszych najbliższych kuzynów w świecie zwierząt. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent materiału genetycznego szympanów pokrywa się z naszym. Są nawet bliższe ludziom pod względem genetycznym, niż większości innych małp.

– No, dobra. Do czego zmierzasz? – spytał Mason.

– Słyszałeś o Lucy? – spytał Domino. Mason skinął głową.

– Podobno to nasza wspólna matka?

– Tak. *Australopithecus afarensis* – powiedział Domino. – Była mniej więcej tej samej wielkości, a jej sprawność umysłową można porównać z inteligencją szympana. Jedyna cecha bardziej zbliżająca ją do człowieka niż szympana to fakt, że chodziła prosto, nie kołysząc się z boku na bok. Lecz te małpy-mędrce poruszają się jak ludzie i równocześnie są pieprzonymi geniuszami – powiedział z naciskiem Wenezuelczyk. – Jedna z moich żon powiedziała, że ta małpa potrafi nawet napisać swoje imię. – Domino wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Ale to jeszcze nie jest najbardziej niesamowite.

– A zatem co? – spytał Mason.

– Ogień. Na wolności używają ognia – rzekł Domino. – Na wolności. Nie nauczyły się, więc tego od człowieka. Koloniści dostrzegli w nocy, w lesie ogniska i zbadali sprawę. Tak właśnie natknęli się na małpy-mędrców. Do cholery, one używają ognia!

Tree była szczerze zdumiona.

– Tego nie wiedziałam.

– Ja też nie – przyznał Mason.

– Jedna z moich żon mi o tym powiedziała. Ma taką starą samicę o imieniu Guan In.

Kiki wydał delikatny odgłos, przypominający miauknięcie, na dźwięk imienia swej matki. Tree zauważyła jego reakcję, lecz nie zwróciła na to uwagi Domina.

– Co ty chcesz nam powiedzieć? – zapytał wprost Mason. – Uważasz, że Kiki to pewnego rodzaju brakujące ogniwo?

– Nie tyle brakujące ogniwo, co trzecia, nieznana gałąź naczelných. Małpy, ludzie i te małe

dzieciaki. Trzy typy – stwierdził Domino. – Nadaję temu gatunkowi nazwę *Proto Hominidae Cruzanus*.

– Rzygać mi się chce. – Tree splunęła na ziemię obok jego stóp.

– Ten gatunek ma charakter całkowicie endemiczny. Prawdopodobnie występuje tylko w tej dolinie – kontynuował nie spieszący Domino. – Moje żony mówią, że jest ich teraz bardzo niewiele, a na wolności nie ma ich wcale.

– To straszne – stwierdził Mason. – Zastanawiam się, co moglibyśmy zrobić w tej sprawie?

Tree zobaczyła nadchodzącą cesarzową i podświadomie usztywniła się. Wbiła łokieć między żebra swego partnera.

– Już mnie tu nie ma – syknął Domino. – Nie chcę, żeby mnie widziała – dodał, po czym wtopił się w tłum.

Cesarzowa skierowała kroki ku niewielkiemu pałacowi w centralnej części wzgórza i stanęła twarzą do zgromadzenia. Miała na sobie karmazynowa lakierowaną maskę z czerwonymi włosami, które spływały jej po plecach. Tłum jak na komendę padł płasko na ziemię.

Klasnęła w dłonie, a wszyscy wstali i zakrzyknęli chórem:

– Matka Synów!

Rozdział 39

Cesarzowa milczała chwilę, po czym przemówiła:

– Dwadzieścia słońc temu, w Roku Węża, na tym samym polu, spotkał mnie najwyższy zaszczyt, jaki może spotkać kobietę-tygrys a w Jou P'u T'uan. Zostałam wybrana na Naczynie Synów. Jako, że jestem za stara, aby rodzić kolejnych synów, moim obowiązkiem jest wybrać następczynię. Nową cesarzową. A zatem w obecnym Roku Psa wzywam wszystkie kobiety-tygrysy, aby stanęły w rzędach po dwanaście przed tym pałacem, aby oczekiwać mojego wyboru.

Kobiety-tygrysy nerwowo wypełniły polecenie. Na scenie zaczął grać kwartet *sheng*; każdy z muzyków wdmuchiwał i zasysał powietrze z ustnych bambusowych organków, składających się z ustnika połączonego z siedemnastoma rurkami. Wieloakordowa melodia, której towarzyszyły dźwięki cymbałków, bębnów i dzwonków, przypominała odgłosy czołowego zderzenia dwóch ciężarówek, załadowanych kobzami.

Jakaś młoda, ziewająca kobieta minęła Tree, mocno kuśtykając. Żadna inna nie zachowywała się równie nonszalancko, kiedy zdążały, aby zająć miejsce w rzędzie. Z tłumy rzucono kilka ostrych słów, kiedy trzy przyjaciółki nie zgodziły się, aby ktokolwiek je rozdzielił; wszystkie były bardzo ładne, bardzo młode i bardzo przerażone; trzymały się razem. Tree przytuliła K'un-Chien, zanim odeszła, aby dołączyć do pozostałych.

Około trzystu kobiet-tygrysów, od najmłodszych nastolatek do dziewcząt w wieku dwudziestu pięciu lat, ustawiło się w szeregach niczym oddziały wojska na paradzie. Cesarzowa i główny dowódca, Yu Lin, oraz cztery wojowniczkki, kobiety-smoki, zeszły ze wzgóрка. Cesarzowa trzymała w ręku pojedynczy, w pełni rozkwitły, czerwony kwiat lotosu. Przechadzała się powoli wśród zdenerwowanych kobiet, zatrzymując się do czasu do czasu, aby przyjrzeć się bacznie twarzom i figurom, po czym szła dalej. Kilkakrotnie chwytła kandydatkę za podbródek i obracała jej twarz to w tę, to w drugą stronę, jakby oceniała ładny, porcelanowy wazon, szukając ewentualnych defektów. Po każdym krótkim skinieniu cesarzowej wojowniczkki wyprowadzały kobiety, które stawały nieopodal, spoglądając z dumą i przerażeniem zarazem.

Świta dotarła do K'un-Chien i Tree wstrzymała na chwilę oddech. Yu Lin bez wahania silnym szarpnięciem za rękaw wyciągnęła dziewczynę z rzędu. K'unChien dołączyła do pozostałych finalistek, lecz cała grupa odsunęła się od niej.

Stała samotnie. Tree przeszło przez myśl, że wygląda na dzielną i dystygowaną.

I zbyt piękną.

Wybory odbywały się dalej, aż grupa finalistek liczyła już około dwudziestu kobiet. Teraz ustawiono je w dwóch rzędach. Cesarzowa i Yu Lin zatrzymywały się przed kandydatkami, przypatrując się im uważnie. Każda z nich drżała pod uważnym wzrokiem niegdyś

najpiękniejszej dziewczyny w mieście, która teraz skrywała zeszpeconą twarz za maską.

K'un-Chien była oceniana jako ostatnia. Nie sprawiała wrażenia zalęknionej, lecz śmiałej. Przerastała o głowę swoje rywalki i zdaniem Tree świeciła wręcz oślepiającym blaskiem. Tree ludziła się, że ta różnica, tak oczywista dla niej, nie przykuwała uwagi cesarzowej, oceniającej K'un-Chien.

Większość kobiet została odłączona od grupy i umknęły, wyraźnie uszczęśliwione, wtapiając się w niemy tłum, gdzie mogły odetchnąć spokojniej. Pozostały cztery, a pośród nich K'un-Chien.

– Mason – wyszeptała Tree, zagryzając dolną wargę.

Trzymaj się. – Ucisnął jej dłoń. – Musimy czekać na ostateczny wybór. Cesarzowa cofnęła się i zlustrowała wszystkie naraz, po czym zredukowała grupkę do dwóch: K'un-Chien i jeszcze jednej.

Dziewczyna, wyraźnie młodsza od dziewiętnastoletniej K'un-Chien, nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Miała klasyczną urodę kurtyzany z dynastii Ming: bladą cerę, czarne włosy, ozdobione barwnymi grzebieniami i spinkami, lśniące oczy tak czarne, że Tree nie potrafiła wyodrębnić granicy między tęczówką a źrenicą, drobniutkie usta o ciemnoczerwonych wargach. Jej ciało tchnęło harmonią zmysłowych krzywizn, niczym rzeźbiona muzyka.

Tree przeniosła wzrok z młodej dziewczyny na K'un-Chien i przyłożyła dłoń do brzucha. Ryby nożycozębe miały zniszczyć jedną lub drugą nieskazitelnie piękną twarz.

Cesarzowa wpatrywała się w obie kobiety przez jakieś dziesięć minut. W końcu odprawiła jedną z nich delikatnym machnięciem ręki i podała wybrance czerwony kwiat lotosu.

K'un-Chien zamknęła oczy i wyciągnęła po niego rękę.

Rozdział 40

– Stójcie! – krzyknęła Tree, wychodząc naprzód. Yu Lin zagroziła jej drogę.

– K'un-Chien nie może zostać wybrana. Jej piękno nie jest nieskazitelne. Cesarzowa zmarszczyła brwi.

– Niech podejdzie.

Yu Lin spojrzała na Tree gniewnym wzrokiem, lecz odsunęła się na bok.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, barbarzyńska kobieto – wycodziła władczyni. – Lecz skoro już je wypowiedziałaś, dlaczego twierdzisz, że jej piękno nie jest nieskazitelne?

– Każ jej rozpiąć kołnierzyk – powiedziała Tree. – Zrozumiesz, o co mi chodzi. Ma na szyi paskudną bliznę.

Kobieta w masce skinęła na K'un-Chien. Dziewczyna posłusznie rozpięła kołnierzyk.

– Rozsuń materiał, niech spojrzę – padł suchy rozkaz.

K'un-Chien wykonała polecenie. Na gładkiej skórze widniała wyraźna, różowa blizna wielkości pięciocentówki. Cesarzowa cofnęła się wstrząśnięta.

– To niemożliwe. Coś tu nie tak.

– Jestem zmuszona zgodzić się z tą nieokrzesaną kobietą – odezwała się Yu Lin. – K'un-Chien nie może zostać nową cesarzową. Jej piękno jest skażone. To poświęcenie nie byłoby czyste, bogowie czuliby się oszukani.

– Ale... to niemożliwe – zająknęła się cesarzowa. – Wizja pokazała, że Lung-Hu zostanie zrodzony przeze mnie. Przez wiele lat błędnie sądziłam, że chodzi bezpośrednio o mnie, ale to nie była moja karma. Jestem już za stara. Czas na nową krew. Moją następczynią musi zostać K'un-Chien, moja jedyna córka. W ten sposób Lung-Hu zostanie zrodzony przeze mnie. Żadna inna kobieta nie może wypełnić przeznaczenia.

– A zatem ceremonia była wyłącznie na pokaz? – spytała Tree oskarżycielskim tonem. – Cały czas wiedziałaś, że wybierzesz K'un-Chien?

– Zamknij się! – syknęła Yu Lin. – Wtykasz nos w nieswoje sprawy. To nie powinno cię interesować.

Mason postąpił krok do przodu i ujął dłoń Tree.

– To nasza sprawa, skoro wybierasz do ceremonii poświęcenia moją drugą żonę.

W kącikach ust Yu Lin pojawił się uśmiešek.

– Czekać. Jest wyjście z sytuacji, pani. Twoja wizja wciąż może się ziścić. Ten barbarzyńca właśnie podał nam rozwiązanie zagadki. On jest twoim zięciem z uwagi na małżeństwo z K'un-Chien, a ponieważ jest mężem również białej kobiety, ona jest twoją synową. Tak więc jest członkiem twojej rodziny, jest ci winna posłuszeństwo. Wizja *Ling-Chih* może odnosić się do tej przybłedy, chociaż nie płynie w niej twoja krew.

Tree dostrzegła okrucieństwo w uśmiechu Yu Lin i poczuła lodowaty chłód. Nie o to jej chodziło.

Cesarzowa spojrzała na białą kobietę przez otwór w masce.

– Jej piękno jest ujmujące. Gdybym potraktowała ją jako odpowiednią kandydatkę, doszłoby do wyboru pomiędzy trójką: Tree, K'un-Chien i tą młodą dziewczyną.

– Spójrz na jej włosy – odezwała się Yu Lin. – Takie złote pukle muszą przykuć uwagę bogów. Nawet jej oczy dorównują blaskiem oczom K'un-Chien. Złożenie bogom podarunku w postaci jej piękna byłoby jeszcze większym poświęceniem.

Cesarzowa w milczeniu wpatrywała się w Tree. Czas dłużył się niemiłosiernie. Połączone guziki na żółtej tunice przedstawiały walczące ogiery. Przez mgnienie oka dwa konie zdawały się przysiądać na zadach, gryźć i kopać.

– Niech zatem tak będzie – zdecydowała w końcu. – Moja synowa o brzoskwiniowych włosach zostanie cesarzową i nową ofiarą.

Kobieta w masce podała Tree czerwony kwiat lotosu.

Rozdział 41

Mason wyszedł przed Tree.

– Do diabła z tobą!

Dwa miecze wyslizgnęły się z pochew i zatrzymały tuż przed jego gardłem. Wspiął się na palce, odchylając głowę w tył.

– Wybacz mi nietakt, ale pragnę cię zapewnić, że mylisz się co do pierwszej żony – odezwała się spokojnym głosem K'un-Chien. – Zapomniałaś gdzie ukrywa swą brzydotę? Przyjrzyj się jej piersiom. Są naznaczone brązowymi plamkami jak rozprysnięte błoto.

– Teraz sobie przypominam. Nasze pierwsze spotkanie. – Cesarzowa skinęła głową. – K'un-Chien ma rację.

Yu Lin szarpnięciem rozchyliła kimono Tree i oczom wszystkich ukazały się piersi pokryte drobnymi piegami. Zmarszczyła brwi.

– Jak porowata glina. Cesarzowa spochmurniała.

– Nie możemy jednak wybrać K'un-Chien. Ta blizna również czyni ją niedoskonałą.

– Mam najlepsze rozwiązanie – odezwał się głośno Meng-Po, podchodząc do grupki kobiet. Stał przed nimi w żółtych jedwabnych szatach, wyglądając i przemawiając bardzo dojrzałe, jak na swoje lata. – Poślubię kobietę, którą właśnie odprawiłaś jako drugą najpiękniejszą. Tę cudną dziewczynę o białej skórze i karmazynowych ustach. To uczyni z niej twą synową, matko, członkinię twego rodu. Uczyni z niej nową cesarzową. Takie postępowanie pozostanie w zgodzie z twoją wizją. Przeznaczeniem mojej pierwszej żony będzie zrodzenie Lung-Hu.

– Tak – przytaknęła skwapliwie matka. – Cudownie. To najlepsze wyjście. Jesteś niezwykle mądry, mój młody synu.

Jest jednak jeden warunek – Meng-Po podniósł rękę. – Chociaż nie stałem się jeszcze mężczyzną, od tego dnia nie będę już mieszkał w tej przeklętej odosobnionej klatce. Będę żył jak wolny człowiek w moim pałacu, z moją żoną i będzie mi wolno chodzić po dolinie, w obręb i poza granicami murów. Cesarzowa zawahała się. Meng-Po skrzyżował ramiona na piersiach.

– Rzekłem – zakończył władczym tonem.

Niech tak się stanie. – Cesarzowa w końcu wyraziła zgodę. Wojowniczkę odsunęły ostrza mieczy od szyi Masona. Wezwano z tłumu młodą kobietę.

– Jak cię nazywają? – spytała cesarzowa.

– Hsiao Pi – odpowiedziała drżącym głosem dziewczyna.

– Hsiao Pi, poślubisz mego syna, cesarza. To mój ostatni rozkaz jako twej władczyni. Od dzisiaj ty sama będziesz cesarzową. – Kobieta w masce wysunęła rękę z czerwonym kwiatem lotosu. – A przy następnej pełni księżyca zostaniesz poświęcona. Niechaj ofiara z twego drogiego piękna będzie dla nas wszystkich dobrą wróżbą.

Hsiao Pi przełknęła głośno ślinę i drżącymi palcami ujęła czerwony kwiat. Czerwone niczym krew płatki trzepotały na wietrze jak serce Tree.

Rozdział 42

Mason popędził przez trawiasty dziedziniec, przewrócił niską ławkę i schwycił Frisbee cał od ziemi. Kiki zapiszczał jak zardzewiałe wrota, głosem wyrażającym zachwyt.

– Kiepski rzut, wspaniały chwyt! – krzyknął z uznaniem Meng-Po.

– Czynisz postępy w rzucaniu – zaopiniował Mason – ale pamiętaj: wypuszczaj talerz z rozprostowanej ręki.

Mason rzucił do chłopca jasno-pomarańczowy talerz, który przeleciał ponad Kikim. Małpka-mędrzec podskoczyła, próbując go przechwycić, lecz wylądował w dłoni Meng-Po. Chłopiec złapał dysk, nie przesuwając stóp. Kiki zapiszczał ponownie i wykonał kilka piruetów.

Posługujesz się Frisbee tak, jak K'un-Chien łukiem – przyznał Meng-Po. – Zawsze trafiasz do celu. Strzały czy Frisbee wysyłane z moich rąk latają jak motyle.

– Wypuszczaj dysk płasko, a polecą prosto przed siebie – poradził Mason. – Odchylił go trochę, a natychmiast skręci.

– Tak, z pewnością masz rację, lecz moje palce nie słuchają mej woli. Meng-Po rzucił i dysk skręcił w powietrzu, potoczył się po moście w kształcie półksiężyca i wpadł z pluskiem do stawu.

Mason rozejrzał się w poszukiwaniu długiego patyka.

– Hmm, chyba przydałby się pies myśliwski.

– Jakaś służąca do odnoszenia?

– Pies – powtórzył stanowczo Mason. – Szczerze mówiąc, cała sfora takich psów, które lubią pływać i łatwo można je nauczyć aportowania przedmiotów z rzeki. Mój brat był zagorzałym myśliwym i prowadził hodowlę psów myśliwskich rasy labrador, które przynosiły mu kaczki ze stawu.

– Czytałem o psach i widziałem rysunki – pochwalił się Meng-Po. – Tutaj polujemy na kaczki przy pomocy harpii.

Mason wzdrygnął się.

– Widziałem wasze harpie w akcji.

– Może moglibyśmy nauczyć Kikiego aportować.

– Potrafi pływać?

– Małpy-mędrce na wolności zamieszkują tereny przy strumieniach. Pływają na tyle szybko, że bez trudu łowią ryby. – Meng-Po obrócił się do swego małego przyjaciela. – Kiki, widzisz Frisbee? Widzisz? Popłyn, weź go i przynieś Masonowi.

Kiki dał nura do stawu, zanim Meng-Po zdążył skończyć zdanie. Popłynął z zaskakującą zwinnością, wykonując rękami i nogami ruchy żabki. Dotarł do Frisbee, schwycił go w zęby i ruszył z powrotem do brzegu. Czerwonawe futerko przyłgnęło mu do skóry niczym mokra

glina udekorowana białą brody. Popędził ze swą zdobyczą przez mostek do Masona i zaczął skakać podekscytowany u jego stóp.

– Kiki, chcesz się nauczyć rzucać Frisbee? – zapytał Mason w języku mandaryńskim.

Kiki zapiszczał jak dziecko na kolejce górskiej. Mason roześmiał się.

– To chyba znaczy „tak” – Ukląkł obok małpki-mędrca. Futerko pachniało jak sierść mokrego psa. – Proszę bardzo. Trzymaj w ten sposób. Dobrze. Oooo! Schwyć trochę mocniej, jest dla ciebie dość ciężki. W porządku? Teraz go wypuść. Najpierw poćwiczmy tylko sam ruch. – Trzymał ramię Kikiego, instruując go kilkakrotnie, jak rzucić.

– Tym razem, kiedy wyprostujesz ramię, wypuść talerz – polecił. – Gotów? Kiki zamachnął się zręcznie.

– Rzucaj!

Kiki wypuścił Frisbee, który poleciał prosto do stawu. Małpa zeskoczyła z mostu i aportowała dysk prosto pod nogi Masona.

– Następnym razem wyprostuj ramię do góry. Spróbuj przerzucić dysk za staw.

Kiki rzucił Frisbee w kierunku stawu i popędził, zanim talerz plusnął w wodę. Zanurkował i po chwili był już z powrotem.

Meng-Po roześmiał się.

– Myśli, że gra nazywa się „wylawianie Frisbee z wody”.

Z pałacu Meng-Po wyszła Hsiao Pi, niosąc tacę z filiżankami wypełnionymi jaśminową herbata. Chłopiec popatrzył na swą żonę z nieukrywanym uczuciem. Mason przeszedł przez most, aby się do nich przyłączyć.

– Dziękuję ci, Hsiao Pi – odezwał się Meng-Po, podając gościowi filiżankę, po czym wziął swoją i usiadł na ogrodowej ławce.

– Proszę, usiądźcie – wskazał im miejsca.

Mason usiadł obok niego, lecz Hsiao Pi stała. Kiki ocierał się mokrym futerkiem o jej okryte kimonem nogi, zupełnie jak kot.

– Proszę, wybaczcie, tak mi przykro, ale muszę doglądać prac w kuchni – wyjaśniła Hsiao Pi, odwróciła się i podreptała z powrotem do budynku.

– Jestem pewien, że nienawidzi mnie za to, że uczyniłem z niej nową cesarżową – powiedział Meng-Po. – I oczywiście nie winię jej za to. Lecz ona nie zdaje sobie sprawy, że nigdy nie pozwolę, by została złożona w ofierze. Musimy obmyślić plan, aby bezpiecznie przewieźć ją do twojej ziemi.

Mason pochylił się bliżej.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. To prawdziwy powód mojej dzisiejszej wizyty.

– Tak podejrzewałem, ale czekałem na odpowiedni moment. Mason schwytał chłopca za rękę.

– A co z tobą? Co się z tobą stanie?

– Mnie nie stanie się nic złego, nie martw się. Będę jedynym mężczyzną, jaki pozostanie w mieście. Moje życie jest nadzwyczaj cenne, aż za bardzo.

– Jest tu również Domino. Może spróbować narzucić swoją władzę, bądź co bądź, nie jesteś jeszcze dorosłym mężczyzną.

– Nie. Domino chce odejść wraz z wami.

– Naprawdę? Od kiedy?

– Powiedział mi, że miał przerażającą wizję. Wziął *Ling-Chih*, aby zajrzeć w przyszłość i to, co zobaczył, zupełnie wyprowadziło go z równowagi. Chce stąd uciec, aby umknąć przed przeznaczeniem.

– Jakim przeznaczeniem?

– Nie chciał wyjaśnić. Był błądy i wstrząśnięty. Lecz zapewniał, że bardzo chce uciec, i zaofiarował się pomóc w ucieczce Hsiao Pi.

– Kiedy rozmawialiście?

– Wczoraj po południu, po ceremonii. Przyszedł do mnie prywatnie i odbyliśmy tę rozmowę w ścisłej tajemnicy.

– Ale... skąd wiedział, że chcesz uratować Hsiao Pi? Meng-Po splonął się.

– Powiedział, że wyczytał to w moich oczach, ze sposobu, w jaki na nią patrzę. Był pewien, że będę chciał coś takiego uczynić.

Mason pokiwał głową i otoczył chłopca ramieniem.

– Tak, nietrudno dostrzec, że jesteś zakochany, Meng-Po – przyznał. – Nie martwię się o seniora Cruza. Mam tylko nadzieję, że można mu ufać.

Obydwoj zapomnieli o herbacie i rozmawiali o swoim położeniu.

Guan Di – Bogowie Wojny – były większe od zwykłych pszczół i bardziej agresywne niż szerszenie; w odpowiedniej ilości ich jad paraliżował przeponę w przeciągu kilku minut, doprowadzając do uduszenia ofiary. Zatem problem ucieczki z doliny wiązał się z pokonaniem pszczół, które zbudowały olbrzymi ul w jedynym wyjściu z doliny, prowadzącym do leżącej poniżej dżungli.

– To już miało miejsce wcześniej – powiedział Meng-Po. – W końcu wojowniczkę wypędzą je ogniem. To samobójcza misja. Otrzyma ją zniesławiona kobieta-smok, która za wszelką cenę będzie chciała odzyskać twarz.

– Kiedy? Kiedy to się wydarzy?

– Obawiam się, że zbyt późno dla nas – stwierdził Meng-Po. – Z punktu widzenia Yu Lin nie ma pośpiechu: większość żon Domina jest brzemienna. Wojowniczkę zostawią pszczoły w spokoju, aż nadejdzie czas, aby kobiety-smoki znów najechały wioski tubylców, aby porywać chłopców. To może nastąpić za wiele, wiele miesięcy.

Mason zmarszczył brwi i wypuścił ciężko powietrze Czy istniał sposób, by wypędzić dymem te małe skurczybyki tak, by samemu nie zostać pokąsanym?

Nagle doznał olśnienia. Dwutlenek węgla.

– Mój Boże, gaśnice – wyrzucił z siebie po angielsku. Meng-Po zamrugał oczami, nie rozumiejąc.

Kiedy Mason był małym chłopcem, jego starszy brat dorabiał sobie, zbierając i sprzedając szerszenie firmie farmaceutycznej, która produkowała szczepionkę na bazie jadu owadów. Korzystał z prostej, lecz skutecznej metody: nocą, kiedy szerszenie zbierały się w swych dużych gniazdach wzdłuż rzeki Burnt Mili Creek, dryfował z nurtem łodzią rybacką z gaśnicą wypełnioną dwutlenkiem węgla i szklanym jednogalonowym słojem wyposażonym w duży papierowy lejek. Kiedy napotkał gniazdo szerszeni, ustawiał dzban i lejek poniżej otworu u podstawy gniazda i kierował gaśnicę na gniazdo. Zimny gaz błyskawicznie obezwładniał szerszenie, które wypadały wprost do szklanego słoja. Po powrocie do domu zamrażał owady w plastikowych torebkach, pakował je w suchy lód i wysyłał do New Jersey. Firma farmaceutyczna kupowała szerszenie na funty. Mason błagał brata, aby zabrał go ze sobą na łowy, lecz matka nigdy nie wyraziła zgody.

– Na Tratwie, no, wiesz, ta stacja badawcza, gdzie pracowaliśmy wraz z Tree, są pewne rzeczy, które, jak sądzę, pozwoliłyby nam unieszkodliwić pszczoły – powiedział Mason. – Mógłbyś wysłać po nie wojowniczeki.

– Oczywiście. Mówiłem ci, że przynoszą mi różne przedmioty: Frisbee, tę straszną kamerę...

– Tak, tak. To dobrze. Musisz je niezwłocznie wysłać.

– Po jakie przedmioty?

– Nazywamy je gaśnicami. Jasnożółte metalowe zbiorniki z czarnym gumowym węzłem i specjalnym wylotem. Rozpryskujesz zawartość, aby ugasić ogień. Daj, narysuję ci. – Mason naszkicował palcem na piasku.

Chłopiec roześmiał się.

– Nie muszę zatem wysłać wojowniczek. – Wstał i zniknął w pałacu, by wrócić po chwili w hełmie strażackim, z dużą żółtą gaśnicą sięgającą mu do piersi.

Mason podbiegł do niego.

– Wspaniale! – zakrzyknął, biorąc do ręki ciężki, aluminiowy zbiornik. – Masz tego więcej?

– Chyba trzy. Chciałem spytać cię, do czego służą.

– Służą do tego, abyśmy przedarli się przez pszczelich strażników ku wolności. Dzisiejszej nocy. – Mason odwrócił zbiornik, skierował czarną końcówkę na staw i nacisnął rączkę. Zimna biała mgiełka wyfrunęła na zewnątrz na kilkanaście stóp. Duża wałka spadła na powierzchnię stawu i natychmiast została połknięta przez pomarańczowo-niebieską rybę.

Mason i chłopiec wymienili spojrzenia, zdając sobie sprawę, że planowana ucieczka oznacza

rozstanie.

Meng-Po złapał Masona za rękę.

– Bardzo bym chciał ci towarzyszyć, starszy bracie, lecz mam tutaj wiele obowiązków.

Mężczyzna przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

– Młodszy bracie, niczego nie pragnę bardziej, jak zabrać cię ze sobą do mojej ojczyzny.

Ale... rozumiem twoją sytuację. – Przysiadł na ławce. – Spocznij tu obok mnie.

Meng-Po, westchnąwszy głęboko, opadł ciężko na ławkę.

– A teraz, proszę, wysłuchaj mnie uważnie – zaczął Mason. – Są pewne podstawowe rzeczy, o których musisz wiedzieć. Żadna dziewczyna nie musi przechodzić przez ceremonię poświęcenia. Możesz mieć synów ze wszystkimi swoimi żonami.

Brwi Meng-Po wygięły się w łuk.

– Wszystkie moje przyszłe żony mogą mieć synów?

– Oczywiście.

Mason dokładnie wyjaśnił mechanizm zapłodnienia oraz planowania płci. Położył nacisk na konieczność, aby wszystkie ciężarne kobiety spożyły *Ling-Chih* w ciągu pierwszych sześciu tygodni od poczęcia w celu naprawienia karmy, która doprowadziła do powstania miasta Amazonek.

Rozdział 43

Mason zajrzał uważnie do jaskini u podnóża Zachodniej Twarzy. Ciężka gaśnica zwieszała mu się z ramienia na grubym sznurze, a czarną końcówkę trzymał w wyciągniętej przed siebie ręce. K'un-Chien i Tree również niosły gaśnice, zamocowane na podobnej linie.

– K'un-Chien, czy mówiłaś, że jest czternaście smoków? – Chodziło mu o wielkie jaszczury, zwane smokami z Komodo, gnieźdzące się w wy drapany eh pazurami skalnych jamach w pobliżu przejścia do dżungli.

– Dokładnie czternaście.

– No cóż, nie może ich być teraz więcej niż dwanaście – stwierdził, wskazując na dwa duże cielska, leżące jeden na drugim tuż przy otworze w kształcie poszarpanych ust. Z jednego pozostał szkielet, drugi poruszał się, zżerany przez tysiące białych robaków.

– Najwidoczniej próbowały wejść do jaskini, aby się ogrzać. – K'un-Chien pokiwała głową.
– Pszczoły je zabiły.

Domino jęknął.

– *Mierda?* – O Boże, uważajcie – szepnęła Tree. Hsiao Pi patrzyła z przerażeniem w oczach.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszył ją Mason. – Przebrniemy przez te pszczoły.

– Nie chcę opuszczać Jou P'u T'uan – powiedziała drżącym głosem.

– Chcesz zostać poświęcona i do końca życia nosić maskę na twarzy? Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Posłuchaj, na ziemi, do której cię zabieramy, jest tylu mężczyzn, ile kobiet – wyjaśnił. – Wielbiciele będą stawać w kolejce u twych drzwi, błagając o twoje względy.

– Meng-Po mówił mi o tym. – Spojrzała smutno i wybuchnęła płaczem. – Nie wiedziałam, jak bardzo mu na mnie zależy.

Mason otoczył ją ramieniem i zerknął na Tree, która podeszła i zaczęła pocieszać dziewczynę.

Mason pochylił się i zszedł na pierwszą półkę skalną, trzymając w górze pochodnię zrobioną z nasączonej oliwą słomy.

– Brrr. Widzę jeszcze jednego martwego smoka. Oooo, jeszcze jeden.

– Czyli razem cztery – podsumowała Tree. – A pszczoły?

– Ani śladu.

– Na razie – pocieszyła go.

– Wierz mi, mam uszy i oczy otwarte.

Zgodnie z planem Mason miał zejść do tunelu z przygotowaną gaśnicą i wytropić ul. Jeżeli *Guan Di* zachowywały się jak inne pszczoły, to znaczy spały w nocy, wytryskiem dwutlenku węgla, mógł za jednym zamachem unieszkodliwić całą ul. K'un-Chien miała trzymać się tuż za

nim, by w razie potrzeby wesprzeć atak swoją gaśnicą. Hsiao Pi i Domino podążali za K'un-Chien, a Tree miała ubezpieczać tyły.

Pomimo nieudanej pierwszej próby ucieczki przed miesiącem, ponowna przeprawa przez mury miasta i piesza wędrówka do zachodniej ściany nie kosztowała ich zbyt wiele trudu. Ul wiszący w jedynym przejściu do dżungli eliminował potrzebę dodatkowej ochrony.

Mason zszedł na następną półkę i natrafił butem na wpół zgniłą padlinę smoka. Podeszwa zagłębiła się w zgniłym mięsie, jakby nastąpił na wilgotny ser.

– Obrzydlistwo. Te stwory po śmierci śmierdzą jeszcze gorzej. – Tłusty, żółty płomień pochodni migotał na tle nieregularnych granitowych ścian. – W porządku, K'un-Chien. Idę dalej.

Dziewczyna zeskoczyła za nim na skalną półkę.

– Idę za tobą, May-Son.

Po kilku krokach zatrzymali się, czekając na pozostałych. Cała piątka posuwała się powoli wąskim tunelem, który był domem śmiercionośnych owadów.

Jak dotąd nie najgorzej, pomyślał Mason, schodząc po stromym zboczu. Żółta kula pochodni rzucała światło na sześć czy siedem stóp przed nim. Królestwo za mocniejsze światło.

Odwrócił się i spojrzał na K'un-Chien.

– Ile jeszcze? – wyszeptał.

– Jakies sto kroków – odparła cicho. – Do miejsca, w którym tunel skręca na lewo.

Ruszył niepewnie.

– Wciąż ani śladu pszczół. – Jego głos zaskrzypiał dziwnie, więc odchrząknął. – Wciąż ani śladu pszczół – powtórzył. – Gdzie jest Tree?

– Ubezpieczam tyły. – Zamachała pochodnią. Zatrzymał się na zakręcie.

– Oho, słyszę brzęczenie.

– *Caramba*, o tej porze powinny chrapać! – syknął Domino. Mason wziął głęboki oddech.

– Co o tym sądzisz, Tree?

– Myślę, że za późno na odwrót – szepnęła. – Idziemy. Mason podniósł wyżej czarną końcówkę gaśnicy.

– Uwaga – odezwał się w dialekcie mandaryńskim.

– Jestem przy tobie – powiedziała K'un-Chien. – Gotowa.

– No, to idziemy – zdecydował Mason, skręcając za załom. – O, cholera. – Olbrzymi ul rozciągał się na kilka metrów od ziemi do stropu i był dwa razy taki szeroki. Wewnątrz szarych ścian rozbrzmiewało przyprawiające o ciarki brzęczenie.

– Załatwię was, do cholery! – Mason postąpił krok w kierunku imponującej konstrukcji i strzelił zimną, białą mgłą, do której po chwili dołączyła się mgła z gaśnicy K'un-Chien. Pszczoły poderwały się z dna ula. Biała mgła powstrzymała większość z nich jeszcze w powietrzu, zaczęły spadać na granitowe podłoże.

Jakiś owad zatopił żądło w czole Masona inny ukąsił go w kark.

– Au! – wrzasnął. – Pamiętajcie, żeby nie rozgniatać pszczół!

Domino i Hsiao Pi przykucnęli pod grubą derką. – W porządku, po prostu zabijajcie te małe cholerstwa! – krzyknął stłumionym głosem Domino. – Żądła nas jak cholera.

Tree skierowała strumień na kilkanaście pszczół. Tysiące czarnych kształtów pokryły podłogę w pieczarze. Nie przestawali rozpryskiwać białej piany po ulu i coraz więcej zimnej mgły wypełniało pieczarę. Nagle płomień pochodni Masona zamigotał i zgasł, a pomieszczenie pogrążyło się w półmroku.

– O cholera! – wrzasnął. – Przestańcie rozpylać!

Wydał rozkaz zbyt późno. Pochodnia Tree zgasła i w pieczarze zapanowałyby kompletne ciemności, gdyby nie nikłe światełko gorejące na czubku pochodni K'un-Chien. W następnej sekundzie lodowata mgła pochłonęła i ten płomień. Ul, oddalony od Masona o pół metra zniknął w ciemności.

Hsiao Pi wrzasnęła spod koca.

– Szszszszsz! – uciszył ją Mason. Dziewczyna rozplakała się na głos.

– Domino, ucisz ją! – nakazała Tree.

Mason wstrzymał oddech. Spod koca dobiegało pełne przerażenia sapanie.

– *Mierda* – wymamrotał Domino.

– Uciszcie się wszyscy – zasyczał Mason.

W ciszy doleciał ich odgłos skapującej wody. Kap, kap, kap. Mgła skraplała się na ścianach tunelu, a ze środka ula dolatywało głębokie, gniewne buczenie.

Rozdział 44

Mason ustawił końcówkę gaśnicy w kierunku, z którego dochodziło buczenie i opróżnił zbiornik długim, zimnym podmuchem.

Nasłuchiwał, czekając w ciemnościach. Gniewny odgłos nie milknął.

– Do cholery! – zaklął. – Pszczoły w głębszych partiach ula muszą być odizolowane od zimna.

– A te na podłodze? – zapytała Tree. – Jak długo będą sparaliżowane?

– Trudno stwierdzić – odparł. – Zawracamy. Musimy wracać i wydostać się stąd.

– May-Son, możemy iść dalej – odezwała się K'un-Chien. – Znam drogę w dół.

– Po ciemku? – jęknął Domino.

– Tak, nawet po ciemku. To przejście jest w niektórych momentach strome, lecz względnie proste. Tunel skręca raz w lewo, tuż przed wyjściem, a potem znów w prawo.

– No, dobrze – odrzekł Mason. – Ty prowadzisz. Zwiążemy się liną z naszych szelek na gaśnicy i w ten sposób nikt się nie odłączy.

– Świetny pomysł – pochwaliła Tree. – Pospieszmy się.

Odwiązali liny i owinęli się nimi wokół pasa, podając sobie po omacku końcówki, dopóki wszyscy nie byli przywiązani.

– Auuu, jakaś pszczoła wbiła mi żądło w plecy – krzyknęła Tree. – Auuuu! – wrzasnęła. – Pełno pszczół, pomóżcie mi!

Mason, skracając linę, podskoczył do Tree.

– Daj mi swoją gaśnicę – rzucił.

– Weź ją, pospiesz się.

Złapał ciężki zbiornik. Przez chwilę szukał po omacku rękojeści.

– Uruchomiłem ją, Tree. Gdzie jesteś?

– Tutaj – jęknęła. – Rozpylaj dalej. Jezu! W porządku, odpadają.

– Nic ci się nie stało? – zapytał Mason.

– Chyba nie.

– Miejmy nadzieję, że to były nowe pszczoły z głębi ula – odezwał się Mason – a nie te cholery z podłogi, bo oznaczałoby to, że się budzą.

– Pod stopami mamy ich tysiące – powiedziała Tree.

– Popryskaj podłogę, K'un-Chien – powiedział nagle Mason. – Opróżnij swój zbiornik. Ja na chwilę odczepię się od liny. Mam pewien pomysł.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Tree. Mason odłączył się od pozostałych.

– Idźcie za K'un-Chien. Zaczniście schodzić.

– Mason! – zawołała Tree.

– Idź. Dołączę do was.

Wysunął rękę przed siebie, aż namacał szorstką powierzchnię ula. W dotyku przypominała zamoczony karton. Ukłął i lewą ręką przesunął wzdłuż krawędzi ula, po czym położył się na plecach i wślizgnął się pod niego, poszukując wejścia.

Znalazł. Okrągły otwór wielkości spodka. Jakaś pszczoła użądliła go w palec, kiedy macał otwór wlotowy. Ścisnął ją w pięści. Nie musiał już teraz uważać. Wsunął końcówkę gaśnicy możliwie jak najdalej do otworu, tak że cała ręka zniknęła we wnętrzu ula.

Ostre ukłucia bólu raziły mu ramię na całej długości, kiedy opróżniał zbiornik z dwutlenkiem węgla.

Nastawił ucha. Buczenie ustało całkowicie, lecz usłyszał czyjś oddech w ciemnościach.

– Kto to? Mielicie iść.

– Bez ciebie nie – rzekła Tree. – Wysłałyśmy Domina z Hsiao Pi.

– Pośpieszmy się. Podwiąż się do liny i chodź z nami – usłyszał głos K'unChien.

Wkrótce dołączyli do pozostałych. K'un-Chien wysforowała się na początek. Związani jak alpinieści schodzili ostrożnie w dół, podpierając się lewą ręką o chłodną, wilgotną ścianę tunelu. Tym razem Mason ubezpieczał tyły. Mimo przenikliwego chłodu krople potu spływały mu po klatce piersiowej i plecach.

Gdzieś z przodu K'un-Chien krzyknęła z bólu.

– Pochylcie głowy po skręcie w lewo – ostrzegła. – Sufit ostro się tu obniża.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, usiedli na skalistej podłodze, żeby chwilę odpocząć. Tree ujęła Masona za rękę. Czuł się wyczerpany bardziej psychicznie niż fizycznie.

– Tree, jak tam?

– Dam radę.

– Hsiao Pi? – zapytał. – Jak się czujesz?

Gdzieś w ciemnościach po prawej stronie usłyszał pociągnięcie nosem, po którym nastąpił cichutki płacz.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – dodała im otuchy K'un-Chien. – Jeszcze jakaś godzina.

– Wspaniale – sapnął Domino. – Kolejna pieprzona godzina w tym grobowcu. Lewe oko tak mi spuchło, że nie mogę go otworzyć, a przez te cholerne ciemności nie mogę stwierdzić, czy w ogóle widzę prawym. A jak zjem jeszcze jedną pajęczynę, to chyba się porzygam.

– Hej, ja nie wpadłem w ani jedną – odezwał się wesoło Mason. – Dzięki, że torowałeś mi drogę.

– Pieprz się, *compadre*.

– Powiedz mi, Domino, co sprawiło, że zmieniłeś zdanie co do pozostania w tym mieście? – zapytał. – Jeszcze miesiąc temu było ci rozkosznie jak karaluchowi w słoju z galaretką.

– Moja przyszłość nie rysowała się zbyt dobrze.

– Miałeś nieciekawą wizję po tym grzybku?

– Taak, można by powiedzieć, że widziałem własną śmierć. Gdybym został w mieście, miałem zginąć wskutek porażenia prądem. Zobaczyłem to bardzo wyraźnie, czułem prąd i całą resztę.

– Porażenie prądem? – zapytała Tree. – Przecież tam nie ma elektryczności.

– Mówię wam, co czułem i widziałem. Porażenie prądem. Może błyskawica czy coś w ten deseń? Byłem mokry, jakbym tonął w deszczu. Mięśnie mi zeszywniały, płuca miałem twarde jak stal. Serce przestało bić. – Głos Domina załamał się. – Musiałem stamtąd uciekać.

Meng-Po pozostał zatem jedynym mężczyzną w mieście – pomyślał Mason. – Już nie ma bractwa dwóch. Jeden pustelnik.

– Chodźmy dalej – ponagliła K'un-Chien, wstając. Mason pomógł Hsiao Pi dźwignąć się na nogi.

– Jeżeli tak czujesz się bezpieczniej, możesz trzymać mnie za rękę – wyszeptał.

– Tak, bardzo bym chciała – odrzekła Hsiao Pi. – Dziękuję ci.

Tunel był stosunkowo prosty, lecz w kilku miejscach natrafili na niebezpieczne stromizny. K'un-Chien odwracała się wtedy twarzą do ściany i ześlizgiwała się pierwsza, a następnie pomagała pozostałym. Po półgodzinie stromizna znacznie się zmniejszyła. Mason odwiązał linę i poniósł Hsiao Pi na plecach.

Po długiej wędrówce w ciemnościach K'un-Chien oznajmiła, że dotarli do ostatniego zakrętu.

Słabe światło księżyca stopniowo rozpraszało mrok. Mason wyszedł z tunelu i stanął na skalnej półce, kilkadziesiąt metrów ponad wierzchołkami drzew. Półksiężyc wisiał na niebie, zmieniając baldachim tropikalnego lasu w srebrno-zielony dywan. Lekki wiaterek poruszał zielony krajobraz.

– Cudownie – odezwał się głośno. Wspaniale było znaleźć się wreszcie poza tunelem. Zauważył, że tu, u podnóża tepui, temperatura była o jakieś dwadzieścia lub więcej stopni wyższa niż wysoko, w chmurnym lesie u góry. Płaskowyż tepui pachniał mokrymi skałami, grzybami i deszczem; podłoże doliny – wodospadem i gajami drzew banyan; aleje miasta przesycone były zapachem wonnych olejków. Tutaj, w gęstej dżungli, powietrze tchnęło ciepłą, wilgotną wonią piór, sierści i zgnilizny.

Las żył śpiewem ptaków, żab, owadów. Mason usłyszał pomruk dużego kota polującego poniżej.

– Co to było? – zapytała Tree.

– Prawdopodobnie jaguar – odpowiedział.

– Są niebezpieczne?

Bardzo, jeżeli idzie się samemu. Przy tyłu osobach raczej nie. Domino powiódł wzrokiem po

niezmierzonej masie zieleni rozciągającej się aż po horyzont.

– K'un-Chien, w którą stronę jest najbliżej do rzeki?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nigdy w życiu nie zeszałam z tej góry – wyjaśniła prosto.

– *Caramba*. Wydawało mi się, że mówiłaś, że znasz ten cholerny tunel.

– Tylko kobiety-smoki korzystały z tego przejścia, aby najeżdzać wioski i porywać chłopców. Ojciec uprzedzał mnie, że pewnego dnia może mi się przydać znajomość tej drogi i pokazał narysowaną przez siebie mapę tunelu.

Domino spochmurniał.

– Cholera – wycedził i zwrócił się do Tree: – A ty wiesz może, gdzie się znajdujemy?

– Nie patrz na mnie – odparła. – Ja zgubiłabym się z mapą i kompasem. Zero poczucia kierunku.

– Mam w głowie całkiem niezły obraz tego rejonu – pocieszył ich Mason. – Jeszcze od ostatniego lotu helikopterem. Na zachód są dwie albo trzy rzeki, które zbiegają się w główną drogę wodną. – Wskazał półksiężyc wiszący na niebie jak amulet z kości słoniowej. – Księżyc zachodzi, więc tam jest zachód. Podążymy za nim ku rzece.

Domino poruszył się niespokojnie.

– *Vamanos*.

– Zaczekaj – zgasił go Mason. – Hsiao Pi jest wyczerpana. Odpoczniemy tu do rana. Na tej półce skalnej będziemy bezpieczni.

– Jaguary nam nie zagrażą? – spytała Tree.

– Myślałem o Yanomorduro.

Domino otworzył szeroko oczy i złapał Masona za rękę.

– Yanomorduro? Kpisz sobie? To łowcy głów, na miłość boską.

– Zgadza się – Mason skinął głową, spoglądając poniżej na lekko falującą dżunglę. – Patrzymy teraz na dach ich domu.

Rozdział 45

Gdy tylko zrobiło się jasno, ruszyli w dół, schodząc z półki skalnej. Po godzinnym marszu na zachód koszula khaki przyłgnęła do pleców Masona niczym mokra skóra. Wydawało się, jakby cała dżungla pociła się: wilgoć parowała z gąbczastego kompostu pod ich butami; z każdej paproci, każdego liścia i drzewa kapiała rosa.

– Przerwa na wodę! – zawołał Mason.

Usiedli na przesyconym wilgocią podłożu i sączyli wodę z ceramicznych dzbanków. Jakaś ara zaskrzeczała w poszyciu nieopodał i Domino zeszywniał przerażony.

– Coś taki nerwowo? – rzucił kpiąco Mason.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie chciałbym, żeby jacyś pieprzeni Indianie skrócili mnie o głowę.

– Szczerze mówiąc, nie skrócą cię o całą głowę – zaproponował Mason. – Starannie ściągną ci skórę z czaszki, a potem nałożą ją na czaszkę małpy pająka. Następnie zmniejszą naciągniętą skórę, gotując ją przez wiele godzin w specjalnym roztworze.

Domino spojrział z obrzydzeniem i odwrócił wzrok.

Mason uwielbiał torturować w ten sposób Wenezuelczyka. Nie wybaczył mu napastowania Tree i nie zamierzał wybaczyć w nadchodzącym tysiącleciu.

– Poza tym rząd twojego kraju ogłosił, że łowcy głów postępują wbrew prawu – ciągnął. – Powiesz im, że jesteś gliniarzem, Policia Especial.

– Pieprz się, *amigo* – odwarknął Domino. – Tak jakbyś sam się nie bał. – Ściągnął z głowy płócienny kapelusz i trzepnął nim o kolana. Krople potu pofrunęły w powietrze.

– Dość tego – przerwała Tree. – Jezu, tu jest wystarczająco gorąco. Nie musicie jeszcze podgrzewać atmosfery.

Mason zerknął na Tree. Wilgoć rozprostowała jej loki tak, że opadały bezładnie na spocone czoło.

– Największe niebezpieczeństwo czeka nas nie ze strony łowców głów – ostrzegł spokojnym głosem. – Odwodnienie. Tracimy płyny w takim tempie, że musimy dojść szybko do rzeki, w przeciwnym razie naprawdę znajdziemy się w opałach.

– Hsiao Pi, jesteś gotowa do dalszej drogi? – zapytała Tree w dialekcie mandaryńskim.

Hsiao Pi skinęła głową.

K'un-Chien złapała ją za rękę, wstała i pociągnęła na nogi.

– Chodźmy.

Maczeta, która została przyniesiona przez wojowniczkę z Tratwy, Mason wycinał tunel w płataninie zieleni. Posuwali się zastraszająco wolno. Oceniał, że do późnego popołudnia oddalili się od wylotu tunelu nie więcej niż trzy mile. Tree i K'un-Chien niosły na zmianę Hsiao Pi, podczas gdy Domino taszczył łuki, kołczany i plecak z własnymi zapasami. Tepui majaczyło

gdzieś za ich plecami ponad wierzchołkami drzew; gigantyczny, ciemny piedestał, kryjący w swym wnętrzu, w pokrytej chłodnymi mgłami dolinie, wielką tajemnicę.

Mason zatrzymał się i otarł pot spływający mu do oczu; wydmuchał nos, aby usunąć z nozdrzy słoną wodę. W następnej chwili poczuł zapach rzeki.

– Czuję wodę – odezwała się w tej samej chwili Tree.

– Miejmy nadzieję, że nadaje się do picia – powiedział Mason. – Nasze pojemniki są prawie puste. – Rąbał paprocie i pnącza z wigorem i po dziesięciu minutach gęste zarośla otwarły się niespodziewanie na mulisty brzeg rzeki. Woda miała kolor whisky.

Oblizął spieczone wargi.

– Wartki nurt – powiedział głośno. – To dobrze. Możemy zbudować tratwę. Rzeka zanieśie nas na północ, czyli tam, gdzie zmierzamy.

– Nie powinniśmy zagotować tej wody? – zapytała Tree.

– Tak byłoby najbezpieczniej – odpowiedział – ale tylko Indianie potrafią rozpalić ogień w tej wilgoci. Mnie nigdy nie udało się tego dokonać.

– Ja wypiję ją bez pieprzonego gotowania – powiedział Domino. – Skoro możecie pić wodę z mojego *barrio*, możecie wypić wszystko. – Zdjął z pleców torbę i postawił ją na brzegu. Poślizgnął się na mule i wpadł do wody.

– *Esfrío!* – zakrzyknął, śmiejąc się w głos. – Chyba spływa z tej góry.

– Zimna? – zapytała Tree. – Ja też idę.

Po kolei zsuwali się po śliskim brzegu i nurkowali w wodzie, śmiejąc się i chlapiąc. Mason odetchnął swobodniej, gdy chłodna woda przyniosła ukojenie. Fala ulgi po straszliwej spiekocie sprawiła, że świat zawirował mu przed oczyma. Obrócił się na plecy i przepłynął w płytkiej wodzie do zanurzonej Tree, która próbowała ochłodzić przegrzany mózg. Pocałował ją i wyszeptał:

– Chyba odkryłem nowy rodzaj orgazmu. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Pamiętasz wtedy z kostkami lodu...

Roześmiał się głośno, spojrzał jej głęboko w oczy i złożył kolejny pocałunek na ciepłych ustach.

Wtedy jakiś słaby głos wypowiedział jego imię.

Obydwoje spojrzeli w górę. Hsiao Pi zanurzała głowę pod wodę, a następnie zarzucała długimi włosami jak biczem. K'un-Chien i Domino zajęci byli zabawą w wodzie.

Mason zmarszczył brwi i spojrzał na Tree.

– Ja też to słyszałam – odezwała się.

Wspięli się na brzeg i podeszli do bagaży. Zawiniątko, które niósł do tej pory Domino, wilo się na ziemi.

– Mmmay-son. Mmmay-son – doleciał ich stłumiony głos z wewnątrz.

Rozdział 46

Mason poczuł ucisk w żołądku. Pospiesznie rozwiązał zawiniątko i oczom jego ukazał się Kiki, małpka-mędrzec. Futerko stworzonka było mokre i matowe od potu; oczy patrzyły niemo ku górze.

– Mmmay-son – zajęczał.

Mason odwrócił błyskawicznie głowę i spojrzał na pluskającego się w rzece roześmianego Domina.

– Ten skurczybyk! Zabiję go! Tree schwyciła go za rękę.

– Przestań. Zajmij się Kikim. Potrzebuje twojej pomocy. Mason spojrzał na małpkę.

– Przynieś wody. Szybko. Weź to. – Podał jej porcelanowy pojemnik.

– Och, mały Kiki. Tak mi przykro – odezwała się współczującym głosem Tree i odbiegła w kierunku rzeki.

Mason przycisnął ucho do białego futerka na piersiach Kiki'ego. Serduszko było nieregularnie.

– Zostań tu, mały. Wszystko będzie dobrze.

Lepiej, żeby było. Lepiej, żeby, do cholery, wszystko było dobrze. Mason nigdy nie czuł takiej wściekłości. Jakby ktoś zranił mu maleńkiego synka. Czuł, że mógłby sam uciąć głowę Domina i odpowiednio ją spreparować.

Tree stanęła u jego boku.

– Przyniosłam ci wodę, Kiki – powiedziała łagodnie. – Proszę. Napij się. Mason uniósł głowę małpki-mędrca, a Tree przyłożyła mu naczynie do ust.

Gdy woda dotknęła czerwonego języka, maluch zakrztusił się i zaczął pluć. K'un-Chien uklęknęła koło przyjaciela swego brata.

– O, nie. Biedny Kiki.

– Nie pije wody – stwierdziła ze zgrozą Tree.

– Małpy-mędrscy zlizują rosę z liści – wyjaśniła K'un-Chien i przysunęła pasmo ociekających wodą włosów do ust Kikiego. – Proszę. Weź, słodki Kiki. Tak cię kocham. Meng-Po cię kocha. Proszę, napij się tej wody.

Na dźwięk imienia jej brata Kiki poruszył się.

– Tak, Meng-Po cię kocha – powtórzyła. – Meng-Po cię kocha, Kiki. Małpka-mędrzec zaczęła ssać wodę kapiącą z jej włosów.

Masonowi bardziej niż kiedykolwiek Kiki przypominał teraz stuletniego starca z długą, siwą brodą. Małpka gasiła pragnienie w burzy mokrych włosów pięknej młodej dziewczyny, która spoglądała na nią z ujmującą tkliwością. Mason modlił się w duchu, aby ta magia rodem ze świata baśni wlała życie w drobne ciało.

Tree zaczęła cicho łkać.

– Dojdzie do siebie?

– Nie wiem – odpowiedział Mason. – Boże. Był uwięziony w tym tobole przez całą drogę w tej spiekocie. – Niech to diabli. – Jakiś głos dobywający się z jego wnętrza przywoływał na myśl wszystkie przekleństwa, znane byłemu żołnierzowi. Domino słono za to zapłaci.

Mason ustawił menażkę ponad głową K'un-Chien i połał delikatnie włosy.

– Meng-Po cię kocha, Kiki – powtarzała nieustannie K'un-Chien; kojąco, monotonicznie jak mantrę. Tree zmoczyła rękę w chłodnej wodzie i pogładziła głowę małpki. Czarne powieki zatrzepotały.

– Chyba odzyskuje przytomność – stwierdził Mason. – Przenieśmy go do rzeki. Obniżymy w ten sposób temperaturę jego ciała.

Kiedy zimna woda obmyła małe ciało, stworzenie otworzyło duże bursztynowe oczy.

– Mmmay-son – odezwał się. – Taaa-reeee.

– Och, ty kochane maleństwo. Jesteśmy tu z tobą – pocieszyła go. Mason odwrócił się i rzucił gniewne spojrzenie na Domina, który stał po pas w wodzie, trzymając ręce na biodrach.

– O co chodzi? – zapytał, podnosząc dłonie ku górze. – Dlaczego się tak na mnie gapicie? Przywlokłem tę małpę. Nic jej się nie stało. Posłuchaj, Mason, to najważniejsze odkrycie, jakiego kiedykolwiek dokonano w dziedzinie ewolucji, kiedykolwiek, słyszysz mnie? Słyszysz? To więcej niż „Pochodzenie gatunków” Darwina. Serio. Zatrząsie całym światem.

– Twój drogocenny okaz omal nie wyzionął ducha od gorąca, ty dupku – wycedził Mason przez zaciśnięte zęby.

– Taak, no cóż, może postąpiłem trochę głupio – przyznał Domino. – Ale daj spokój, obydwójecie jesteście naukowcami. Spójrzcie z innej perspektywy. Zrobiłem to dla dobra nauki.

– Przestań pieprzyć, zrobiłeś to z własnych, egoistycznych pobudek – Mason zacisnęła pięści.
– Kiki to najlepszy przyjaciel Meng-Po. Czy choć przez chwilę o tym pomyślałeś? Złamałeś serce temu chłopcu.

– Pieprz tego dzieciaka, dobra? Moje powody są o wiele ważniejsze niż jakieś tam zranione uczucia.

Dość tego! – Mason trzema susami doskoczył do Domina i rzucił się na niego, powalając do wody. Wywłócił go za kołnierz na powierzchnię i rąbnął w twarz tak silnie, że tamten zachwiał się i ponownie wpadł do rzeki. Mason ruszył za nim i znowu wywłócił go na brzeg. Krew wymieszana z wodą sphywała po podbródku Domina. Mason wykręcił mu rękę do tyłu, lecz w tym samym momencie Tree złapała jego rękę.

– Przestań, zabijesz go!

– O to chodzi. – Mason dyszał ciężko.

– Myślisz, że to coś pomoże? – krzyknęła.

– Może wyleczę się z wrzodów.

– Puść mnie – poprosił Domino.

Mason popchnął go mocno, tak że Wenezuelczyk wpadł do wody i usiadł na dnie. Woda sięgała mu do brody. Spuścił głowę i opłukał twarz z krwi. Cienka strużka czerwieni zawirowała, uniesiona przez nurt.

– Musiałem to zrobić. Inaczej nie warto by było wracać do tego świata – wyznał Domino, wpatrując się w wodę. – Nie chciałem stamtąd odchodzić, nie chciałem.

– Więc po co to zrobiłeś? – zapytał Mason. – Nikt cię tym razem nie zapraszał.

– Mówiłem ci... to porażenie prądem. Gdybym został...

– Więc dlaczego zamiast Kikiego nie zabrałeś złota czy torby pełnej diamentów? – nie przestawał indagować Mason. – Cała dolina to jeden wielki skarbiec klejnotów.

– Diamenty czynią jedynie bogatym – odpowiedział szczerze Domino. – Bogactwo nie wystarczy. Mam kuzyna, który jest bogaty, bo przemycza kokainę. Jest z tej samej *barrio*, co ja. Ma kupę szmalu, to fakt, ale nie może pokazać się w przyzwoitym towarzystwie. Nie jest szanowany ani wpływowy poza tym gettem szczurów, którym szefuje. Ja skończyłem koledź, ciężko pracowałem na szacunek...

– Jesteś ceniony w swej dziedzinie – przyznał Mason. – Barry nie przyjmował amatorów do swej ekipy.

Domino pokręcił głową.

– Nic wielkiego: publikacje, referaty na konferencjach. Chciałem czegoś ponadczasowego: moje nazwisko pojawia się na egzaminach do liceów, jestem częścią historii, jak Darwin. Tobie też się może udać, człowieku. Wszyscy razem odkryliśmy ten gatunek, zgadza się?

– W jaki sposób odebrałeś Kikiego Meng-Po? – przerwała Tree. Wzruszył ramionami.

– Nic prostszego. Powiedziałem mu, że jego ulubieniec choruje. Jestem zoologiem, więc wiem, jak go wyleczyć.

– Ty cały czas nic nie kapujesz! – krzyknął Mason. – Wszystko zrujnowałeś. Nie mogę pozwolić, żebyś zabrał Kikiego. Wracam.

– Mason, co ty mówisz? – Tree spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie mogę pozwolić, żeby Meng-Po utracił Kikiego. Wiem, co to znaczy stracić najlepszego przyjaciela.

– Ale nie możesz zawrócić – nalegała Tree. – A pszczoły? Poza tym, jeśli wrócisz do miasta, te cholerne baby obedną cię ze skóry.

Mason wypuścił powietrze z płuc. Nie mógł odmówić logiki jej słowom. Kopnął z furją w wodę, pryskając prosto w twarz Domina.

K'un-Chien podeszła do nich wodą, tuląc Kikiego do łona jak dziecko.

– Nie mogę pozwolić, żeby Kiki został skradziony memu bratu – powiedziała. – Muszę

z nim wrócić.

– Czuję tak samo – powiedział Mason. – Ale zapomniałaś o pszczołach?

– Mogę wziąć ze sobą drewno do podpalenia w tunelu, aby odpędzić pszczoły dymem.

– Zabiją cię, zanim rozpalisz ogień – wtrąciła Tree.

– Tak, to prawdopodobne – przyznała dziewczyna. – Lecz Kiki jest mały, bardzo zwinny i szybki. Ma gęste futerko, a poza tym mogę go dodatkowo okryć swoją koszulą. Może zaczekać daleko w tunelu. Kiedy rozpalę ogień, dym zabije bądź przegoni większość pszczoł, wtedy on przebiegnie. Zna drogę do domu.

– Nie, K'un-Chien. Nie wolno ci tego robić – zaprzeczyła Tree. – Mason, powiedz coś. Ona nie może tego zrobić. Zginie.

Mason westchnął ciężko. Męski duch, który widział w K'un-Chien – ta cecha, która przypominała mu Giba – doszedł teraz w pełni do głosu. Nie prosiła o pozwolenie i nie było sposobu, aby jej zabronić. Ona wróci. Wiedział o tym. Była wolna.

Twarde rysy twarzy K'un-Chien złagodniały nagle.

– Muszę wyznać, że nigdy nie zamierzałam towarzyszyć wam przez całą drogę – powiedziała miękko. – Jestem pewna, że nie pasuję do waszej ziemi. Nawet nie pasuję do swojej. A więc tak będzie najlepiej. Teraz mogę zrobić coś pożytecznego, zamiast czekać na śmierć.

Mason dostrzegł smutek i miłość wypełniające jej oczy. Odwróciła się szybko i ruszyła do brzegu.

Patrzył, jak odchodzi, przygnieciony ogromnym poczuciem winy. Zdał sobie sprawę, że oboje z Tree nie rozumieli, jak bardzo ich miłość raniła K'un-Chien. Jak mogli być tak ślepi? K'un-Chien nie znane były pojęcia monogamii czy zachodniej moralności. Odbierała ich stosunki jako odrzucenie jej osoby. Dlaczego nie umieli spojrzeć na sytuację z jej punktu widzenia? Powinni byli zaprosić ją do małżeńskiego łóżka. Do diabła z tym, co dobre, a co złe. Miłość to miłość. Miłość jest jedynym nakazem moralnym. Teraz stało się to dla niego oczywiste; dostrzegał prawdę z ogromną jasnością.

Tree ujęła dłoń Masona. Płakała.

– Kochanie, zawaliliśmy sprawę – odezwała się. Przełknął grudę, która urosła mu w gardle.

– Teraz i ja to wiem.

– Kochasz ją? – zapytała, pociągając nosem.

Nie potrafił odpowiedzieć. Odprowadzał wzrokiem oddalającą się postać. Tajemnicza dusza. Prawie nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Przez ostatnie miesiące jego serce wyzdrowiało i powiększyło się. Teraz było w nim dość miejsca dla obydwu żon, lecz jak to wyjaśnić Tree?

– W porządku. Wiem, co czujesz – powiedziała. – Dopiero teraz, tak naprawdę

zrozumiałam, jak bardzo ją Kocham.

Ruszyli w kierunku brzegu.

– K'un-Chien! – zawołał Mason. – Musimy porozmawiać we trójkę. Proszę cię. Mamy ci coś ważnego do powiedzenia.

Powietrze przeszył przeraźliwy wrzask bólu.

Mason obrócił się błyskawicznie. Domino zerwał się na nogi i ponownie wrzasnął z bólu i strachu.

– Ratunku!

Mason pobiegł brzegiem w jego kierunku. Domino rzucił się w przód i wtedy czarne węże wodne, trzy czy cztery, zakotłowały się wokół jego nóg niczym długie, lśniące wstęgi. Domino wydał głośny dźwięk przypominający charczenie i zeszywniał, szarpiąc się na wszystkie strony. Z rozpostartymi na boki ramionami i rozczapierzonymi palcami runął plecami do wody, sztywny jak manekin.

Stopy Masona dotknęły wody i w tej samej chwili targnął nim silny wstrząs. Stał jak wryty, próbując złapać równowagę i nie wpaść do rzeki pchany siłą rozpędu. Kilkanaście stóp dalej, pod wodą, oczy Domina wyszły prawie na zewnątrz. Zaciśnięte zęby nadawały makabryczny wygląd masce śmierci, na twarzy porażonego prądem.

Tree wciągnęła Masona za pas z powrotem na mulisty brzeg. Zgiął się w pół, opierając ręce na kolanach, dysząc ciężko. Utkwili wzrok w zatopionych zwłokach spoczywających na dnie rzeki.

– To nie... węże – odezwał się, sapiąc ciężko. – To elektryczne węgorze.

Rozdział 47

Nurt włożył martwe ciało powoli w dół rzeki, poruszając bezwładnymi kończynami.

– Jezu – jęknął Mason i spojrział na Tree. – A ja mówiłem... że go zabiję. Nie mówiłem poważnie. A przynajmniej tak myślę.

– Nie mogłeś mu pomóc. – Tree złapała go za rękę.

Przypomniawszy sobie, co czytał na temat *Elektrophorus electricus*, węgorza elektrycznego. Dorzecza Amazonki i Orinoko stanowiły ich jedyne środowisko naturalne. Jeden węgorz mógł wytwarzać pole elektryczne do 600 woltów – dość silne, aby porazić człowieka. Kilka węgorzy z łatwością powstrzymało pracę serca Domina.

Przypomniawszy sobie chińskie przysłowie: często znajdujemy swe przeznaczenie, kiedy przed nim uciekamy.

– Ta wizja wywołana grzybkiem przyprawia mnie o gęsią skórę – wyznał Mason. – Domino wiedział, że to nadchodzi... ale jak? Jak to, u diabła, działa? Czego możemy się dowiedzieć o czasie i przestrzeni?

– Usiądź tu przy mnie. – Tree ujęła jego dłonie. – Moja wizja również się sprawdziła. Zobaczyłam, że pokocham K'un-Chien w... w sensie seksualnym, jako kochankę. Ale to nie to, o czym pewnie myślisz.

– Chyba rozumiem. Jest piękną kobietą, wy dwie razem jesteście jak łabędzie siostry...

– Nie, nie o to chodzi, to nie lesbijska żądza. Czuję do niej coś zupełnie innego. Albo właściwie... To bardziej przypomina... – Tree wzięła kolejny głęboki oddech. – Nie potrafię tego wyrazić, ale czuję do niej taki sam pociąg, jaki czuję do ciebie. Wiem, że to brzmi dziwnie. Czy dostrzegłeś kiedykolwiek męską naturę K'un-Chien? Ona mnie pociąga tak jak mężczyzna.

– Jednakże potrafi być taka kobieca. Mnie zdecydowanie pociąga jako kobieta. Z drugiej strony... Tak, niewątpliwie czułem w niej męską energię. Na przykład teraz. Nie można jej powstrzymać przed powrotem.

– I nie tylko chodzi o odwagę...

– To prawda. Obydwoje znamy odważne kobiety, silne kobiety. – Uśmiechnął się. – Właśnie na taką patrzę. Masz rację, to coś więcej – stwierdził z przekonaniem. – Prawie od początku byłem tego świadom.

Wzruszyła ramionami.

– Nazwijmy to męskością, nie widzę lepszego określenia.

– Tak, ale jednocześnie kobiecość. A może nie dostrzegasz w niej kobiecości?

– Żartujesz sobie? Spójrz na nią.

K'un-Chien usiadła wyżej na brzegu, kołysząc Kikiego w ramionach jak dziecko, śpiewając mu cichutko; Hsiao Pi leżała na plecach, opierając głowę na kolanach K'un-Chien.

– Jest tak kobieca jak każda madonna czy kobieta wamp, jaką widziałam – oświadczyła Tree – a równocześnie taka męska...

Przestali rozmawiać i spojrzeli badawczo na obiekt swych rozważań.

– O, mój Boże! – Tree jęknęła głucho. Oczy rozszerzyły jej się znacznie i zakryła obiema rękami twarz.

– Do cholery – westchnął Mason. – Teraz mnie olśniło.

– Ona jest Lung-Hu. K'un-Chien – Lung-Hu.

– Jak mogliśmy tego nie odgadnąć? – Świat po raz drugi zawirował mu przed oczami, gdy zmuszał umysł do analizowania gmatwaniny sprzecznych uczuć.

Kiki zasnął, wtulony pyszczkiem w K'un-Chien. Mason próbował sobie wyobrazić penis pod tymi matczynymi piersiami. Pochwę i łono. Mogła zajść w ciążę; te piersi stałyby się ciężkie i obolałe od nadmiaru mleka. Mogła również zapłodnić Tree. K'un-Chien była Hermesem i Afrodytą w jednym. Teraz wydawało mu się to od początku takie oczywiste – dynamiczna mieszanka przeciwieństw. Lecz jak objąć umysłem takie zjawisko? K'un-Chien wyszła daleko poza granice ludzkiej biologii, która ewoluowała przez miliony lat. Mieszkańcy Błogosławionego Miasta oczekiwali Lung-Hu jak zbawiciela. I może mieli rację.

– Tree, jak... co... – Nabrał powietrza w płuca. – Co o tym myślisz?

– Czuję się kompletnie zdezorientowana... jakby ktoś wsadził mi łyżeczkę prosto w serce i gwałtownie zamieszał.

– Ja również.

– I taka bezbronna. Obawiam się, że jeżeli nie powiem albo nie uczynię właściwej rzeczy, odczuję ból, wraz z tobą i K'un-Chien.

– To takie nierealne – odezwał się, nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Zastanawiam się, w jakiej baśni albo micie teraz żyjemy.

– Wciąż ją kochasz?

– Jest hermafrodytą, Tree. Ona – on – ma penis.

– Wciąż ją kochasz, Mason? – A ty?

– Chcę, żebyś odpowiedział pierwszy.

Mason patrzył, jak K'un-Chien śpiewa swą pradawną, chińską kołysankę, kołysząc Kikiego. Małpka-mędrzec zasnęła smacznie, oparta o jej pierś, otoczona szczupłymi, muskularnymi ramionami.

Przełknął głośno ślinę.

– Lękam się.

– Nie pytałam, czy się lękasz – nalegała. – Ja również się lękam. Powiedziałeś mi wcześniej, że ją kochasz. Pytam cię, czy nadal ją kochasz?

– Jakie to będzie miało znaczenie, jeśli powiem, że tak?

– Czy uczucia muszą mieć etykiety z nazwą?

Mason obserwował K'un-Chien, która tkliwie ucałowała śpiący pyszczek Kikiego. Podniosła oczy i ich spojrzenia spotkały się. Jeśli oczy są oknami duszy, jej duszę musi obmywać ciemnoniebieskie światło.

Mason położył dłoń na sercu, aby biło równomiernie.

– Kocham ją – wyszeptał. – I nic nie mogę na to poradzić. Kocham ją.

– To dobrze – zapewniła z przekonaniem Tree. – Ja również. Mason spuścił oczy.

– Tree, jest coś, o czym musisz wiedzieć... Twój ojciec... – Zawahał się.

– Co z moim ojcem?

– Udało mu się, odnalazł tę kolonię. Mieszkał w tym mieście aż do dnia, w którym zabiły go pszczoły i utonęli bracia K'un-Chien. – Podniósł oczy i spojrzał na nią. – Tree, ci chłopcy byli jego synami. K'un-Chien jest jego dzieckiem.

Tree pobladła.

– K'un-Chien i Meng-Po? Skinął głową.

– Twoje przyrodnie rodzeństwo. Utkwiła wzrok w K'un-Chien.

– Dlaczego zwlekałeś aż do tej chwili, żeby mi to oznajmić? Mason przecesał dłonią włosy.

– Kiedy się dowiedziałem, ty i K'un-Chien już, no wiesz... byliście w sobie zakochane. Biorąc pod uwagę dziwne okoliczności, w jakich się znaleźliśmy, nie uważałem, żeby to robiło specjalną różnicę.

– Chcesz powiedzieć, że w tej sytuacji pojęcie kazirodztwa straciło rację bytu?

Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czy K'un-Chien wie o tym? Mason pokręcił głową.

– Ani Meng-Po. Przepraszam. Nie wiedziałem, jak zareagować. Może powinienem był powiedzieć ci wcześniej.

– Tak sądzisz?

– W kulturze dynastii Ming, a jest to jedyna kultura znana K'un-Chien, mąż zwykle poślubiał kilka siostr i wszyscy dzielili łożę małżeńskie – zaczął. – Przypominasz sobie kolekcję twego ojca?

– Pamiętasz, jak przyłapał nas na oglądaniu?

– Te drzeworyty z Tajemnic Komnaty Jadeitowej. Tam kobiety nie były tylko biernymi obserwatorkami stosunków, kochały się ze sobą nawzajem i ze swym mężem.

– Czyli twierdzisz, że kiedy wejdiesz między wrony...

– Mówię tylko, że możesz patrzeć na ten szczególny związek przez pryzmat zachodniej moralności albo spojrzeć zupełnie inaczej. Czy wiedziałaś, że wśród kilku tysięcy rozmaitych kultur, jakie poznali antropologowie, więcej niż cztery piąte było poligamicznych, a jedna na pięćdziesiąt praktykowała wielomęstwo – jedna żona z dwoma lub więcej mężami, zwykle

braćmi.

– Niesamowite. Czuję się, jakbym dopiero co zeszła z pokładu „Mayflower.” Nie jestem purytanką. Ale to mi nie pomaga. Wciąż nie wiem, jak do tego podchodzić. – Potarła dłonią czoło. – K’un-Chien jest moją przyrodnią siostrą. Na miłość boską, Mason, czy jeszcze coś chowasz w zanadrzu?

Mason spojrział na K’un-Chien. Kołysała teraz Kikiego i Hsiao Pi na kolanach; obydwójce spali, a ona głaskała ich delikatnie po włosach, cynamonowych i czarnych.

– A więc co robimy, Tree?

– Trzeba zwrócić Kikiego Meng-Po. Wrócimy razem z K’un-Chien.

– Zwariowałaś? Powiedziałaś, że mnie zabiją, i miałaś rację. Zabiją nas oboje.

– Jesteś gotów na rozstanie z nią? Chcesz, żeby umarła pokąsana przez pszczoły? Musimy jej powiedzieć, że znamy jej tajemnicę i że mimo wszystko ją kochamy.

– Dobrze – zgodził się Mason. – Posłuchaj. Wspólnie wypędzimy dymem te pszczoły; przekonamy, żeby wróciła z nami, aby zbudować tratwę i popłynąć rzeką ku ziemiom Wawajeros.

– Żeby wróciła z nami? Gdzie? Do Kalifornii? – naskoczyła na niego. – Zastanów się. Kontrola paszportowa. Biurokracja. Cechy fizyczne. Jej sekret wyszedłby na jaw. Media pożarłyby ją żywcem.

– Co zatem proponujesz?

– Mason, jestem gotowa zostać tutaj, w Błogosławionym Mieście, o ile tylko będę tu z tobą i K’un-Chien.

– Ale Yu Lin każe nas zabić. A Hsiao Pi zostanie poświęcona.

– Meng-Po jest teraz cesarzem. K’un-Chien jest długo oczekiwanym Lung-Hu. Może ujawnić swą tożsamość, a ja mogę odkryć swoją – jako jej siostry przyrodniej. Nie zrobią nam krzywdy, kiedy prawda wyjdzie na jaw. A teraz, kiedy jest tu Lung-Hu, nie ma potrzeby poświęcania Hsiao Pi.

Schwycił ją za ramiona, wpatrując się bacznie w jej twarz.

– Masz chęć mieszkać w Jou P’u T’uan przez resztę życia?

– Właśnie się dowiedziałam, że mam tam rodzinę.

– Pytam poważnie.

– Nie wiem, co zamierzam robić przez resztę życia, wiem, czego chcę dzisiaj. Dzisiaj nie mam zamiaru pozostawić K’un-Chien. Nie możemy tak po prostu jej porzucić, pozwolić odejść i zginąć.

Mason spojrział na K’un-Chien, która wciąż z zamkniętymi oczami delikatnie kołysała śpiących, przytulonych do jej kolan.

– Co do jednej rzeczy jestem w tej chwili przekonany – odezwał się. – Dom mój tam, gdzie

moje serce. Nie zamierzam cię po raz kolejny opuścić, Tree. Dopóki będziemy razem, Jou P'u T'uan będzie Shangri-La.

Rozdział 48

Zamknawszy oczy, pogrążona w półśnie, K'un-Chien pozwoliła swym myślom i uczuciom dryfować z rzeką. Czuła, jak serce Kikiego bije równo z sercem Hsiao Pi, tworząc duet małych bębenków pozostający w zgodzie z tętnieniem w jej piersiach. Kiki pachniał mokrym futrem, a jego oddech dzikimi winogronami, które stanowiły podstawę jego pożywienia. Hsiao Pi pachniała potem, imbirem i jaśminem.

Smutek i radość przenikały ją jak dopływy tej samej rzeki uczuć.

Tree – nigdy nie przestanie jej kochać. Mason – nigdy go nie zapomni. Mimo że oni nie odwzajemniają jej uczuć. Mimo że nigdy nie ujrzy ich rodzinnej ziemi. Modliła się, aby wkrótce dotarli do domu i żyli długo, i szczęśliwie, kochając się, otoczeni gromadką synów.

Nieodwzajemniona miłość była czymś strasznie bolesnym, lecz nie była czymś, z czym nie można sobie poradzić. Należało jedynie kultywować to uczucie, nie poddawać się współczuciu dla samego siebie. Musiała dokonywać świadomego wyboru i nieustannie kierować swą miłość ku nim, a nie wymagać tego samego od nich.

Przypomniała sobie starą legendę o młodym mężczyźnie, który pokonał ból nieodwzajemnionej miłości. Był biednym drwalem, który zakochał się w córce cesarza, kiedy przypadkiem napotkał ją kąpiącą się w rzece. Wyznał jej swą miłość z tak gorliwą szczerością, że wzruszyła się do łez.

– Kochany, dopiero na cmentarzu będę mogła się z tobą połączyć – powiedziała, chcąc w ten sposób powiedzieć, iż tylko śmierć może zrównać księżniczkę i drwala. Lecz młody mężczyzna wziął jej słowa dosłownie i poszedł na cmentarz, aby tam oczekiwać swojej ukochanej. Dzień po dniu czekał na nią cierpliwie, myśląc o niej nieustannie, rozkoszując się wyobrażeniem jej wspaniałej figury i innych przymiotów. W końcu zaczął odczuwać wdzięczność wobec jej przodków, dzięki którym ona przyszła na świat. Wdzięczność rozszerzyła się na wszystkie sfery istnienia, które dały życie umiłowanej istocie, aż wreszcie wydało mu się, że jego ukochana jest w rzeczywistości wszechświatem.

K'un-Chien stwierdziła, że nie zdoła się tak zapamiętać jak ów młody bohater z baśni, lecz dziękowała przodkom za Tree i Masona i wielbiła życie, które ich z nią zetknęło.

Wiedziała, że okoliczności działają na jej korzyść, dając uczucie ulgi i spokoju. Tree i Mason nigdy nie dowiedzą się, że ona jest Lung-Hu. Jej ostatnie wysiłki nie pójdą na marne – zwróci Kikiego bratu, którego serce zapewne pęka z tęsknoty za przyjacielem.

Otworzyła oczy i zerknęła na Tree i Masona, pochłoniętych żywą rozmową. Westchnęła. Złączyć się z kochankiem tak poufale, by duch poślubił ciało. To utopia, gdziekolwiek by miała miejsce.

Budda nauczał, że żądza jest cierpieniem: Ugaś wszelką tęsknotę, a uwolnisz się od

nieszczęścia. Prawdziwa zasada, lecz bardziej sucha niż pergamin, na którym została napisana.

K'un-Chien знаła słodsza prawdę, prawdę miłości-żądzy krążącej wszędzie na świecie, w najdrobniejszych żyłkach liścia, w złotych żyłach górskich. Dawała światu wilgoć, ożywiając go tym samym. Znała tę siłę od czasu, gdy była dzieckiem, na długo zanim poznała seks i płęć. Miłość-żądza obejmowała zarówno mężczyznę, jak i kobietę, lecz wykraczała poza istotę ludzką. Była naturą, siłą życiową wszechświata. Życie nie ustawało w swej erotycznej grze. Na niebie i ziemi rozgrywały się takie akty miłości, jakich ludzie baliby się, złęknieni, że się rozplyną albo rozerwą na strzępy; że ich odczucia wybiegną poza wszelkie granice.

Chmury burzowe wiszą nisko na niebie, tworząc elektryczny całun, aż ziemia zaczyna pragnąć nieba, a niebo straszliwie pragnie się rozładować. Chmury gęstnieją i ciemnieją, przetaczając się ponad spragnionymi polami. Wtedy żądza nabiera takiej siły magnetycznej, że nic nie zdoła rozdzielić ziemi i nieba. Żądza wystrzeliwuje ku niebu, a chmury klękają, składając ziemi ognisty pocałunek. Deszcz wyrывa się z niebios i spada na liście, trawę i ogrody. A małe dziewczynki w Jou P'u T'uana tańczą nago na ulicach, pluskając się w kałużach, podczas gdy ich matki śmieją się, zalewane strugami wody.

K'un-Chien odczuwała kosmiczny taniec polaryzacji w obrębie własnego ciała i umysłu, odczuwała go dokoła siebie. Ale dopiero, gdy spotkała Tree, znalazła się dolina, do której mogła przelać deszcz z burzowej chmury; dopiero gdy spotkała Masona, znalazła górę, która mogła ją zgłębić.

Budda miał rację: żądza jest bólem. Miłość jest raną. Ale K'un-Chien uśmiechnęła się teraz, smakując wino smutku wraz z ambrozją radości. Biedny Budda nie miał języka, którym mógłby to wszystko smakować.

K'un-Chien podniosła wzrok, słysząc zbliżające się kroki. Mason i Tree usiedli po obu jej stronach i ucałowali ją w policzki.

– Moja droga żono – odezwał się delikatnie Mason. – Musimy z tobą porozmawiać.

– Mamy ci coś ważnego do powiedzenia – zakomunikowała Tree. K'un-Chien dostrzegła miłość lśniąca w ich oczach i w tej samej sekundzie świat wydał jej się o niebo słodszy.

Rozdział 49

W drodze powrotnej wzdłuż wyrąbanego szlaku K'un-Chien miała ochotę klaskać w dłonie i wykonywać piruety, jakie uwielbiał robić Kiki na znak radości. Czowała się taka lekka i pewna, że mimowolnie spojrzała w dół, upewniając się, czy stąpa po ziemi, czy unosi się w powietrzu.

Mason i Tree wyznali jej miłość. Postanowili pozostać w Zaginionym Mieście, aby być z nią. Co więcej, obydwójce odkryli jej tajemnicę, a mimo to nie odeszli.

– Postąpiłbym nieuczciwie, gdybym nie przyznał, że czułem się zmieszany żądzą, jaką czułem do ciebie – powiedział Mason. – Lecz obiecuję: moja miłość jest trwała. Należysz do mnie, K'un-Chien, a ja do ciebie.

Tree mówiła mniej niż Mason, lecz spojrzenie i dotyk powiedziały K'un-Chien to, co chciała wiedzieć. Nie wątpiła w miłość-żądź Tree. Z drugiej strony biała kobieta była wyraźnie zasmucona odkryciem, że obie miały tego samego ojca – zaskakująca wiadomość, która przyniosła K'un-Chien niewysłowioną radość. Siostry poślubione przez tego samego mężczyznę – idealny związek.

Teraz musiała przeprowadzić ich przez terytorium pszczoł i ogłosić, że jest Lung-Hu. Jeśli znajdzie taka potrzeba, przemaszeruje przez miasto nago, aby udowodnić wszystkim, kim jest naprawdę. Świętą Hermafrodytą.

Cuchnący odór zgniłego mięsa wtargnął brutalnie w nozdrza. Zmarszczyła brwi i przystanąła.

Mason wciągnął nosem powietrze.

– Co, u diabła?

– Cicho – ostrzegła. – Smoki z góry. Polują na nas. – Oddała Kikiego Hsiao Pi. – Tree, zaopiekuj się nimi.

Tree otoczyła ramieniem dziewczynę i małąkę. We troje zeszli ze szlaku w gęste zarośla.

K'un-Chien nałożyła strzałę na cięciwę i podniosła wzrok akurat w chwili, gdy czarny smok wyłonił się z cieni na ścieżce tuż przed nią. Obnażając kły i sycząc, zaszarżował z otwartym pyskiem w trójkątym łbie. Z tak bliskiej odległości strzała trafiła prosto w gardło, wbijając się po sam belt. Gigantyczny gad stanął jak wryty, po czym opadł na bok, drapiąc się zaciekle po szyi sierpowatymi pazurami, odrywając sobie kawałki mięsa od ciała.

Za pierwszym smokiem pojawiły się kolejne dwa. Zaatakowały.

– Strzelaj do tego po prawej! – wrzasnął stojący za nią Mason, napinając swój łuk.

Jej strzała z żelaznym grotem roztrzaskała czaszkę jaszczura; powietrze wypełnił nieprzyjemny gruchot łamanych kości. Strzała Masona świsnęła wysoko ponad celem. K'un-Chien uskoczyła w bok, gdy jaszczur przemknął obok, pędząc w kierunku Masona. Naciągnęła łuk na wycucie, nie spuszczając oczu z szarżującego gada. Mason ujął łuk jak pałkę

i grzmotnął nim w potężne szczęki smoka, który kłapnął paszczą o cal od jego nóg. Mason odskoczył w tył, potknął się i upadł na ziemię. W tej samej chwili strzała trafiła smoka między łopatki, przyszpilając mu serce do ziemi.

Mason gramolił się na nogi.

– Uwważaj! – wrzasnął nagle. – Jest ich więcej.

K'un-Chien odwróciła łuk w bok, kucnęła i wraziła strzałę w otwartą paszczę szarżującego smoka; grot przebił podniebienie, wchodząc miękko w mózg. Nogi ugięły się pod zwierzęciem, siłą rozpędu przewróciło ją na plecy. Wywalony jeźor smoka opadł na jej przedramię niczym obwisły pejcz, kiedy odsuwała martwego potwora.

Mason wybiegł do przodu i włócznią przebił kolejną bestię, wrzeszcząc przy tym gardłowo.

K'un-Chien z trudem wstała na nogi i dostrzegła pierwsze wojowniczkę na szlaku za Masonem. Trzy kobiety, idące przodem, miały na smyczy z kolczatką czarne smoki. Yu Lin, spoglądając groźnie, podążała za nimi z obnażonym mieczem w dłoni.

Wojowniczkę przystanąły, przepuszczając swego dowódcę. Twarda czarna zbroja ze skóry chrzęściła głośno, kiedy postawna kobieta szła, stawiając długie, zamaszyste kroki. Odepchnęła Masona silnym ruchem ramienia.

– Mam rozkaz od cesarza, aby zabić zdrajcę, który wykradł mu ulubione stworzenie – ryknęła prosto w twarz K'un-Chien. – Gdzie jest Domino?

– Domino nie żyje – odpowiedziała zapytana. – Właśnie wracaliśmy, aby zwrócić Kikiego memu bratu, kiedy nas zaatakowałaś.

– A jak zamierzaliście ominąć pszczoły w tunelu? – zapytała Yu Lin. – Zabiły dwie z moich wojowniczek, kiedy wypędzałyśmy je dymem.

– K'un-Chien była gotowa ryzykować życie, aby zrobić, co należało – odezwał się Mason. – Czy tego nie widzisz?

Yu Lin odwróciła się do niego i wymierzyła mu cios w skroń ręką miecza. Skrzywił się i osunął na kolana.

– Milcz, barbarzyńco. Gdzie jest Kiki? Chcę zobaczyć tę małą bestię. Tree wyłoniła się z zarośli.

– Mam go tutaj – powiedziała. – Cały i zdrowy.

– A gdzie nowa cesarzowa?

Hsiao Pi wyszła zza pleców Tree i stanęła na wąskiej ścieżce.

– Jestem tutaj, dowódcu Yu Lin. Nic mi nie jest.

Yu Lin podeszła, pobrzękując zbroją, do młodej dziewczyny i spojrzała na nią groźnie.

– Powiedz mi prawdę, cesarzowo. Czy oni cię porwali, czy też sama uciekłaś z miasta?

Hsiao Pi zerknęła na Masona z wyraźnym strachem na twarzy.

– Ja zabrałem ją wbrew jej woli – odpowiedział za nią Mason. – Hsiao Pi i pozostałe osoby

nie mają z tym nic wspólnego.

Yu Lin zgromiła go nienawistnym spojrzeniem.

– Cudzoziemcze, kazałam ci milczeć. – Uniosła miecz ponad głowę. – Tylko w jeden sposób można zamknąć ci usta.

– Stój! – wrzasnęła K'un-Chien. – Jestem Lung-Hu. Spójrzcie na mnie wszyscy. – Rozchyliła sarong. – Jestem smok-tygrys – powiedziała, ściągając przepaskę biodrową. Wszyscy zamarli na widok podwójnych narządów płciowych – męskich na górze, żeńskich poniżej.

Wojowniczkę otworzyły usta ze zdumienia i cofnęły się, bełkocząc coś niezrozumiale. Oczy Yu Lin wyszły na wierzch.

– Kiedy byłam dzieckiem, nakazano mi skrywać prawdę – wyjaśniła, zasłaniając się sarongiem – lecz jako dorosła osoba przekonałam się, że nie można uciekać przed własnym przeznaczeniem. Jestem Lung-Hu, Święta Hermafrodyta.

Wojowniczkę padły na kolana, oddając jej najpokorniejszy pokłon.

– Wstawajcie, głupie! – ryknęła na nie Yu Lin. – Wstawajcie i otwórzcie oczy. Zobaczcie, co macie przed sobą: niezwyklego potwora. – Piorunowała K'unChien gniewnym wzrokiem. – Nie ma czegoś takiego jak Święta Hermafrodyta. Hermafrodyta to nic świętego, to paskudztwo. Ja też długo oczekiwałam twojego przyjścia, z tego powodu... – Yu Lin zamachnęła się ponad głowę trzymanym oburącz mieczem.

– Teraz uwolnię mój lud od przekleństwa – krzyknęła – zabijając to wynaturzone stworzenie!

Rozdział 50

– Nie! – wrzasnęli jednocześnie Mason i Tree.

Z ramionami wyrzuconymi do góry Yu Lin zeszytywniała, miecz wyslizgnął się z jej dłoni i upadł na ziemię. Zwróciła ku Masonowi twarz, na której malowała się mieszanina zaciekawienia i zaskoczenia, opadła na ziemię, opierając się na rękach i kolanach. Sięgnęła za siebie i palce wymacały strzałę o bawełnianej lotce sterzącą między łopatkami.

– Yanomorduro! – krzyknął Mason. – To zasadzka!

Jedna z wojowniczek padła twarzą w dół obok Yu Lin. Kolejna wydała z siebie krótki okrzyk, kiedy kolejna strzała ugodziła ją w rękę.

– Puśćcie na nich smoki! – ryknęła Yu Lin. – Szybko!

Kilku tubylców, uzbrojonych w łuki i dmuchawki, wyskoczyło z dżungli wprost na ścieżkę. Twarze, włosy i tułowia mieli wysmarowane czerwonym pigmentem ze zgniecionych nasion *urucu*. Głowę przywódcy przyozdabiał pióropusz z błękitnych i żółtych piór ary. Przyłożył do ust długą na sześć stóp dmuchawę. Strzała K'un-Chien ugodziła go w piersi, chrząknął głucho, po czym zwałił się jak kłoda. Kolejna strzała przebiła gardło innego wojownika; kiedy runął na ziemię, brzeszczot na całą długość wyszedł mu z tyłu szyi. Dwa czarne smoki zaatakowały trzeciego Indianina, powalając go na ziemię i odrywając mu ramiona.

Hsiao Pi wrzasnęła przeraźliwie, kiedy wojownik Yanomorduro schwycił ją z tyłu i ściągnął ze ścieżki. Mason podniósł miecz Yu Lin i popędził za nimi. Skoczył na plecy porywacza, przewracając go na Hsiao Pi, po czym wbił ostrze w szyję napastnika u podstawy czaszki i wykręcił ostro. Zrzucił ciało z Hsiao Pi i postawił ją na nogi.

Kiedy powrócili na miejsce bitwy, Indianie uciekali w popłochu. Narzecza Yanomorduro i Wawajero należały do tej samej grupy i Masonowi udało się odróżnić dwa słowa powtarzane przez łowców głów: *Tepui Dsiju* – więdźmy z gór.

Trzy wojowniczeki leżały rozpostarte na ziemi obok ciał pięciu napastników i tyluż gigantycznych gadów. Yu Lin, osiem wojowniczek i kilka smoków przeżyło wraz z Masonem i pozostałymi.

Yu Lin wyrwała sobie strzałę z pleców, lecz nie pozwoliła K'un-Chien ani Masonowi zbadać rany. Podarła tunikę w szerokie pasy i ciasno obandażowała sobie muskularny tors. Krew pojawiła się na bandażu, lecz nie przeciekała przez niego, a z zachowania Yu Lin Mason wywnioskował, że grot strzały przebił jedynie grubą tkanę mięśnia. Istniało prawdopodobieństwo, że szybko z tego wyjdzie.

Wojowniczeki zostawiły martwe towarzyszek na placu bitwy. Yu Lin nie pozwoliła się nieść na noszach, więc dwie wojowniczeki podpierały ją z każdej strony podczas powrotnej drogi do miasta.

Kiedy zbliżyli się do okrągłej, bambusowej bramy, w murach Jou P'u T'uan zapadł już zmrok.

K'un-Chien kroczyła na przodzie grupy wdzięcznym, a zarazem władczym krokiem pasującym do półbogini, powracającej do swego królestwa, aby stanąć w obliczu przeznaczenia.

Rozdział 51

Ostatni dzień trwającego tydzień świętowania przeciągnął się do późnej nocy. Sztandary trzepotały radośnie, tu i ówdzie rozbrzmiewały dźwięki rogów, którym cymbały i duże bębny wtórowały rytmicznie, prowadząc setki nóg i klaszczących dłoni uczującego tłumu. Woń ryżowego wina mieszała się ze śmiechem i kolejnymi pucharami, które przechodziły z rąk do rąk, zamieniając się w śpiew i taniec na ulicach miasta. Meng-Po i Kiki przytulali się, całowali, tańczyli i bawili wesoło wraz z Hsiao Pi, Tree i Masonem.

Włosy K'un-Chien, splecione w tysiąc czarnych warkoczy i ozdobione purpurowymi orchideami, tęczowymi wstęgami i maleńkimi srebrnymi dzwoneczkami wyglądały imponująco. Miała na sobie czarną jedwabną tunikę ozdobioną kryształkami kwarcu i czerwonymi kwiatami lotosu oproszonymi złotym brokatem. Ponad piersiami biały tygrys otaczał zielonego smoka wewnątrz symbolu *yin-yang*. Był to najbardziej urzekający strój, jaki Mason kiedykolwiek widział, wspanialszy niż jakikolwiek ubiór wystawiony na pokaz w muzeum garderoby, za szkłem i pod okiem strażników. K'un-Chien i jej niezwykła tunika uzupełniały się wzajemnie, dodając sobie urody i majestatu. Strój kończył się u góry wysokim kołnierzem w stylu mandaryńskim, wyszywanym złotym haftem, a ucinął na wysokości barków, uwydatniając jej muskularne ramiona, połyskujące złotymi bransoletami nad bicepsami i nadgarstkami.

Hsiao Pi ujęła Meng-Po za rękę. Mason uśmiechnął się, patrząc w ich oczy: w tych ciemnych oknach duszy młoda miłość rozkwitła strzelistym płomieniem wraz z pierwszymi fajerwerkami, które eksplodowały na niebie.

Pod jaśniejącym od wystrzałów nieboskłonem barwny pochód przemaszerował ku spokojnemu jezioru w centrum gaju drzew sandałowych. Świętujący spuścili na czarną taflę wody niezliczone ilości kolorowych papierowych lampionów; ogniki dryfowały, niczym lśniące planety w kosmosie.

Meng-Po wyrecytował jednym tchem:

Księżyc na wodzie Płynie z lampionami Znika bez śladu Mason patrzył, jak rozświetlane płomykami świec stateczki płyną popychane lekką bryzą. Jeden lampion, wypełniony podgrzanym powietrzem, uniósł się kilka stóp nad powierzchnię, zanim buchnął płomieniami i zatonął w jeziorze przy wtórze skwierczącego syku.

Widok ten przypomniał mu o Tracie – konstrukcji napełnionej gorącym powietrzem. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Rozdarcia w dolnej części materiału oznaczały, że tylko górna powłoka mogła zatrzymywać gorące powietrze; udźwig będzie za słaby, aby unieść Tracę w powietrze. Ale gdyby odcięli balon od gondoli? Papierowy lampion unoszący się ponad jeziorem przywołał obraz balonu ulatującego bez ciężkiej gondoli. Tylko kilku pasażerów

podróżujących w nylonowej siatce – uszkodzona powłoka mogłaby mieć dość siły, aby ich unieść.

Tree objęła Masona w pól i przyciągnęła do siebie.

– Hej, kochany – odezwała się słodko – co robisz dziś po ceremoniach?

– Jestem z tobą przez całą noc. Ty mi powiedz.

– Domyśl się.

Wzruszył ramionami, udając niewiniątko. Zmrużyła powieki.

– Będziemy się kochać tak, jak sobie nigdy nie wyobrażałeś.

Jej słowa przemawiały bezpośrednio do jego ciała tak, jakby dotknęła go między nogami.

Poprawił tunikę.

Każdy oddech wiatru przynosił silną woń drzew sandałowych. Patrzył, jak K'un-Chien spaceruje majestatycznie niczym księżyc pomiędzy kwitnącymi drzewami i odczuł mieszanek żądz, jaka nie dawała mu spokoju od czasu, gdy zdał sobie sprawę z jej prawdziwej natury.

– A K'un-Chien? – zapytał po chwili. – Zupełnie nie wiem, co powinienem myśleć o uczuciach z nią związanych. To znaczy, jako mężczyzna, jako mąż.

– Co powinieneś myśleć? Zapomnij o tym, co powinieneś. Zдай się na uczucie, ja przynajmniej staram się tak robić.

– Nie jestem pewien, co czuję. Na pewno zdezorientowanie. Zbyt wiele rzeczy odczuwam jednocześnie – powiedział. – Wiem, że kocham ją, jako osobę, co do tego nie mam wątpliwości. Mam nadzieję, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

– Tak, wie o tym.

– I naprawdę myślę, że powinniśmy ją... włączyć do...

– Tak zrobimy. Przez cały tydzień wszyscy troje rzucamy sobie nawzajem tęskne spojrzenia. Energia seksualna powoduje, że nasze oczy wysyłają iskry. Czekaliśmy już dostatecznie długo. Dzisiejsza noc będzie tą nocą. – Tree wsunęła rękę między fałdy jego szat. – Tak jak powiedziałam. Będziemy się dziś kochać tak, jak ci się nigdy nie śniło.

Rozdział 52

Nad pałacową łaźnią zawisła gęsta, gorąca para. Mason, Tree i K'un-Chien siedzieli na skraju basenu, dyndając nogami w gorącej wodzie. Potem, jak na komendę, jednocześnie zrzucili z siebie odzienie i wskoczyli do wody.

To Tree wpadła na pomysł, żeby zacząć od gorącej kąpieli. Wykazywała się w tych sprawach dużą bystrością. Mądra jak bogini miłości – pomyślał Mason. Ucieszył się, ponieważ to preludium dawało możliwość oswojenia się z nową sytuacją. Co chwila zerkał na swoje żony; jedna ulepiona z posypanego cynamonem śniegu, druga wyrzeźbiona z jasnego mahoni. Z preludium czy bez niego czuł się tak onieśmielony jak przed pierwszym stosunkiem – to dziwne uczucie, które pojawia się, kiedy bezradność miesza się z agresywną żądzą.

Postępował zgodnie z zaleceniem Tree – słuchał prawdziwych uczuć, odrzucając to, co „powinien” i „nie powinien” niczym uschłe liście.

Tree zwróciła się do K'un-Chien i ucałowała ją w czoło. Dziewczyna zamknęła oczy, aby przyjąć to błogosławieństwo. Usta Tree pieściły oczy, nos, by w końcu napotkać drugie usta. K'un-Chien przyciągnęła ją bliżej, aż ich piersi przylgnęły do siebie namiętnie. Unosząca się nad wodą para wirowała wokół ich nagich ciał. Mason zaczerpnął głęboki oddech i wilgotne gorące powietrze polechtało mu płuca.

Tree wyciągnęła ku niemu rękę. I chociaż krew tętniła mu w uszach, wyszeptał:

– Pozwól mi popatrzeć. Nigdy nie obserwowałem, jak powstaje na płótnie arcydzieło malarstwa.

– Jeszcze przez dłuższą chwilę rozkoszował się widokiem dwóch ciał otwierających się na siebie niczym kwitnące irysy. Uczucie wyostrzyło mu wzrok tak bardzo, że dostrzegał każdy włoszek na ramionach K'un-Chien i perełkę śliny w kąciку rozchylonych ust Tree.

Sięgnął ku nim, jak słońce wysuwa promienie, aby wziąć w objęcia dwie bliźniacze planety.

Twarz Tree zarumieniła się. Członek Masona zeszytywniał, poruszając taflę wody. K'un-Chien była żywym ucieleśnieniem magii. Nawet w jej oczach dostrzegał odzwierciedlenie swej męskości, a poniżej pasa była tak męska jak on sam. Mimo to K'un-Chien była również kobietą, równie kobiecą i bujną jak Tree.

Uświadomił sobie, że K'un-Chien wie, czego doświadczać jej partnerzy. Pocałował jej zgrabną szyję i złote piersi. Pachniała jak balsam i ciepłe ciasto. Dwie pary dłoni zaczęły odgrywać na nim subtelną melodię na cztery ręce. Nie pamiętał, kiedy wyszli z kąpieli i podążyli do szerokiego łóża. Zapisał mu się w pamięci jeden moment – gdy padli na jedwabne prześcieradła, w doskonałej harmonii głodu i zaspokojenia przy wtórze cichych jęków.

Później rozpoczęli balet, jakiego żadne z nich nie doświadczyło nigdy dotąd.

Kiedy Mason był małym chłopcem, uczono go, że ciało jest tylko łupinką bez życia,

ożywiana przez duszę, czyli ducha w maszynie. W miarę nabrzmiewającej rozkoszy te nauki okazywały się coraz bardziej bezużyteczne i nieprawdziwe. Doświadczył głębszej prawdy: ciało jest czymś więcej niż łupinką, nawet czymś więcej niż świątynią z wieczną lampką migoczącą w samym środku. Ciało żyje wewnątrz duszy. Nie było żadnej granicy, miejsca, gdzie kończył się duch, a zaczynała materia. Duch śpiewał całym ciałem. Rozkosznie. Wszystkie części były równie dobre i ważne.

Mason słyszał muzykę, która porwała go swym szalonym rytmem, i chociaż rozum nie podpowiadał mu – on tańczył. Łagodnie lub agresywnie, poruszał się z pierwotnym wdziękiem. Przy Tree i K'un-Chien ciało jego duszy dzieliło się z nimi w taki sposób, jakiego nigdy nie potrafiłby opisać, nawet sobie samemu.

Wstał świt, malując płynnym światłem nagie postacie. K'un-Chien nie zamknęła oczu. Nie chciała zasnąć i zbudzić się z cudownego snu.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy przerażał ją fakt, że Mason i Tree odkryją tajemnicę i odsuną się z obrzydzeniem. Jednak zaakceptowali ją w najbardziej dogłębny i poufały sposób. Teraz patrzyła na nich z wielkim oddaniem.

Zeszłej nocy, kiedy weszła do łazienki wraz z mężem i pierwszą żoną, jej serce poczuło się kruche jak bańka mydlana, a jednocześnie niezniszczalne jak diament. Silna energia przepływała przez ich ciała, jeszcze zanim zrzucili z siebie ubrania i ujrzeli swoją nagość.

K'un-Chien wpatrywała się w twarz śpiącej Tree, przypominając sobie błogosławieństwo jej ust na swoich ustach. Dotknęła czoła, oczu, warg w miejscach, gdzie Tree złożyła na nich pocałunek. Tak jak Żółty Dzwon przewodził całej chińskiej orkiestrze, tak te pierwsze pocałunki zawierały zapowiedź przyjemności, która miała nadejść. K'un-Chien rozchyliła usta, aby posmakować te pocałunki. Niech ten smak pozostanie na zawsze – pomyślała – nawet jeśli oznacza tylko tę jedną chwilę zawieszoną w czasie.

Wtedy poraził ją błysk. Nikt jej nie ostrzegwał, że orgazm mógłby ją uśmiercić, strawić niczym feniksa. A z każdą kolejną falą rozkoszy umierała ponownie, nie będąc w stanie znieść jej intensywności. Po każdej śmierci wstawała z popiołów, aby oddawać się seksualnej grze, która podniecała i mieszała męskie i żeńskie energie krążące w obrębie jej ciała.

W pewnym momencie przypomniała sobie, jak przyszpiliła ramiona Tree do materaca i wzięła ją zachłannie, napierając na nią głęboko całym ciężarem; Tree jęczała i drżała z rozkoszy; wtedy Mason wtargnął w nią od tyłu i zrozumiała, co odczuwa Tree. Kiedy Tree usztyniała się i wydała przejmujący krzyk, a Mason szarpnął się nieświadomie i jęknął, K'un-Chien nagle wytrysnęła w gwałtownym przypiływie ekstazy, osiągając bliźniacze orgazmy.

Noc trwała bardzo długo. Uśmierceni falami nieposkromionej rozkoszy, rodzili się ponownie, aby kochać się dalej.

– Miłość jest raną, o Budda-san. – Ból, jaki odczuwała od pocałunków kochanków zapierał dech w piersiach.

W rozkosznym gniazdku między miękką i gładką Tree a twardym i owłosionym Masonem, K'un-Chien zamknęła powieki i zasnęła spokojnym snem.

Tree zbudziła się szczęśliwa. K'un-Chien spała wtulona między nią i Masona. Spojrzała na nich z ogromnym uczuciem. Zeszłej nocy wydarzyło się coś zaskakującego, jakby zbudziwszy się ze snu, odkryła nagle, że potrafi, ni stąd, ni zowąd, grać na tubie, mówić po hindusku i fruwać. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę: Po raz drugi w życiu prawdziwie się zakochała, prawdziwą miłością, żądzą; najpierw był Mason, teraz K'un-Chien.

Cóż za taniec odtańczyliśmy ubiegłej nocy?

Dawno temu przekonała się, że przeróżne pozycje miłosne nie są, same w sobie, kluczem do cudownego upojenia.

Kluczem jest energia; siła emocjonalna. Kiedy była potężna, zwyczajny pocałunek zdawał się gorętszy niż podniecenie płynące z niezwykłego układu ciał. Z drugiej strony, energia porusza, a więc, kiedy ktoś się poddaje jej sile, wyobraźnia podpowiada coraz dziksze pozycje. Zakamarki jej ciała rozbrzmiewały muzyką i tańcem z zeszłego wieczoru.

Wyjrzała przez wysokie okna sypialni. W makrokosmosie nic nie uległo zmianie. Ziemia obracała się po swej orbicie wokół Słońca. Lecz cud zachwiał jej własną orbitą. Granice życie rozszerzyły się, robiąc miejsce dla jeszcze jednej ludzkiej duszy, która wzbogaciła jej serce ogromną radością.

Jakby wleciała w tamtą noc jako maleńki ptaszek śpiewający w chmurnym lesie, a zbudziła się chmurnym lasem śpiewającym w maleńkim ptaszku.

Rozdział 53

Odziana w zbroję kobieta, która pojawiła się w wejściu sypialni, stanęła jak wryta, wyraźnie zmieszana.

– Słucham? – odezwała się Tree. Leżąc obok niej w łóżku K'un-Chien uniosła głowę.

– Pani, przybyłam, aby obwieścić pilną wizytę Fang-Shih, byłej cesarzowej, matki Lung-Hu. K'un-Chien zeskoczyła na podłogę i naciągnęła tunikę.

– Mason, wstawaj, ubieraj się – Tree zaczęła szarpać półprzytomnego mężczyznę. – Mamy gościa. – W końcu usiadł prosto z artystycznym nieładem na głowie. Wstał i zaczął wkładać spodnie i koszulę. Wojowniczką wpatrywała się dużymi oczami na jego poranną erekcję.

Fang-Shih ukazała się w drzwiach tuż za służącą i ominąwszy ją, weszła do pokoju. Miała na sobie królewską żółtą tunikę i białą ceramiczną maskę.

– Słuchajcie mnie, wszyscy troje – odezwała się bez wstępów. – Nie macie dużo czasu.

– Co się stało? – spytała Tree.

– Idzie tu Yu Lin wraz z wojowniczkami.

K'un-Chien podbiegła do ściany i zdjęła wiszący tam łuk i kołczan pełen strzał.

– Ale czemu? – spytał Mason.

– Ponieważ jest Yu Lin – odezwała się Fang-Shih. – Ponieważ nienawidzi Lung-Hu, ponieważ nienawidzi mnie. Zamierza zabić nas obie.

– Nie rozumiem – Tree pokręciła głową. – Sadziłam, że ta społeczność od wielu lat oczekiwała przyjścia Smoka-Tygrysa.

– Nie wszyscy mnie akceptują – wtrąciła K'un-Chien. – Nie wszystkim podoba się społeczeństwo hermafrodytów.

Ona ma rację – stwierdziła Fang-Shih. – Yu Lin otwarcie przeciwstawiła się władzy, a wiele wojowniczek opowiedziało się po jej stronie. Walczą teraz na ulicach ze strażniczkami Meng-Po. Nie ma czasu na dalsze wyjaśnienia. Musicie stąd natychmiast uciekać.

– Ale... dokąd możemy pójść? – zapytała Tree, bezradnie rozkładając ręce.

– Wróćcie ze mną do pałacu. Te, które są lojalne...

Brzęk mieczy, okrzyki i jęki świadczyły, że fala zamieszek dotarła do bram pałacu. Wojowniczka odwróciła się i bez namysłu popędziła, aby dołączyć do walczących.

– Za późno, za późno – stwierdziła Fang-Shih. – To znaczy, że mój pałac został opanowany. Lojalne strażniczki bronią teraz wejścia, ale nie uda im się powstrzymać naporu.

– Szybko, uciekniemy przez dziedziniec! – krzyknął Mason. – A potem po banyanie przez mury. Chodźmy! – Podbiegł do szafki wypełnionej lekami K'un-Chien i zaczął wrzucać ziołowe mieszanki do torby utkanej z bambusowych pędów. Pojemnik z *Ling-Chih* był wciąż owinięty i związany liśćmi bananowca. Wrzucił kilka plastikowych Frisbee dla

Wawajeros, których miał nadzieję wkrótce spotkać. Przewiesił tobolek przez ramię i pospieszył za pozostałymi.

K'un-Chien podsadziła Tree na niższą gałąź drzewa, skąd łatwo było się dostać na pozostałe, jak po drabinie. Tree zaczęła przesuwając się w bok wzdłuż gałęzi, przeszła na mury, po czym zeskoczyła na ziemię.

– Fang-Shih, teraz twoja kolej – rzucił Mason.

– Ja zostaję tutaj, zięciu.

– Matko, nie – poprosiła K'un-Chien. – Proszę, chodź z nami.

– Dokąd? Do ziemi barbarzyńców? Jak będą mnie traktować, kobietę z tak obrzydliwą twarzą, na ziemi, gdzie każda kobieta może rodzić synów?

– Chodź z nami – nalegał Mason. – Mamy chirurgów, którzy mogą odtworzyć ci twarz.

– I odtworzyć piękno, z którym przyszedłam na świat? Nie. Należę do tej ziemi. Idźcie. Bądźcie zdrowi.

K'un-Chien spojrzała na matkę.

– Uciekajcie już. Pospieszcie się – ponaglała Fang-Shih.

K'un-Chien wyciągnęła rękę, aby podnieść ceramiczną maskę, lecz matka schwyciła ją za nadgarstki.

– Proszę – odezwała się K'un-Chien. – Pragnę spojrzeć na twarz mej matki. Ręce Fang-Shih zadrżały, po czym zwolniły uścisk.

K'un-Chien zdjęła maskę.

Łzy płynęły wzdłuż bruzd i narośli pokiereszowanej skóry. K'un-Chien pochyliła się i ucałowała spływające po bliznach słone strużki.

Rozdział 54

– Gdzie, do diabła, idziemy? – wrzasnęła Tree, biegnąc szeroką aleją.
– Spodziewają się, że umkniemy do dżungli – odrzyknął Mason. – Tym razem zmierzamy na wierzchołek góry.

– Oszalałeś?

– Mam pewien pomysł. Wiem, jak naprawić balon. – On jest do dupy.

– Górna powłoka jest w porządku... tak myślę. – Ale...

– Możemy zlecieć z góry. To jedyny sposób. Wyjaśnię ci, jak już dotrzemy na miejsce.

– O ile nam się uda. To kilka kilometrów, a za parę minut zaczną nas ścigać.

– Ale będą szukać w niewłaściwym kierunku, a to da nam czas. Przedostali się przez zewnętrzne mury miasta na tę stronę doliny, po której grzmiał potężny wodospad. Po piętnastominutowym biegu w korytarzu z zielonym baldachimem gałęzi i pnączy przebyli płytką rzekę pod wodospadem i wpadli do olbrzymiej jaskini. Przeciwległa ściana pieczary zwiężała się w tunel biegnący ku górze na szczyt. Mason zapalił trzy pochodnie, używając zapalniczki Barry'ego.

Przed południem, po pięciu godzinach żwawego marszu, wspięli się na wierzchołek, z którego w odległości zaledwie kilkuset metrów dostrzegli przenośną, nadmuchiwaną stację badawczą – Tratwę. Sapiąc i pocąc się obficie, przebyli resztę drogi do drabiny biegiem, po czym padli bez tchu na ziemię. Odpoczywali tylko chwilę.

– Tree, wejdź po drabinie, sprawdź palniki i zbiorniki z propanem. Muszę obejrzeć liny mocujące gondolę.

– A co ja mogę zrobić? – zapytała K'un-Chien.

– Pokażę ci, jak wejdziemy po drabinie – odpowiedział Mason. – Idź pierwsza.

Piasta stacji badawczej podtrzymywała laboratorium o ścianach ze szklanego włókna. Mason przeszedł przez uchylne drzwi i wspiął się po aluminiowej drabinie na dach. Wyciągnął balon z płóciennego rękawa.

– K'un-Chien, wejdź do środka, zdejmij toporek ze ściany i poodcinaj te liny. Rozumiesz? Tu i tu, i tu – biegną dookoła. Odetnij wszystkie. Ja przymocuję do balonu nylonową siatkę, do której wejdziemy. Nie chcę, by cokolwiek innego było przyczepione do balonu.

K'un-Chien wróciła po chwili.

– Nie ma żadnego toporka na ścianie. Cholera. Meng-Po je ma.

– To zrób, co ci przychodzi do głowy. Bylebyś poodcinała te liny. Balon może unieść tylko nas troje.

– K'un-Chien, proszę. – Tree wystawiła głowę z laboratorium i podała plastikową torebkę pełną skalpeli z nierdzewnej stali. K'un-Chien natychmiast zaczęła nacinać nylonowe liny.

Puściły wszystkie prawie jednocześnie.

Masonowi ścisnęło się serce, kiedy rozpostarł balon na całą długość sześćdziesięciu metrów. Większość dziur znajdowała się u podstawy powłoki, lecz jedno rozdarcie rozciągało się ku górze na jakieś trzydzieści metrów. Materiał mógł rozpruć się dalej pod ciśnieniem podgrzanego powietrza. Albo nie udałooby im się wzlecieć, albo, co gorsza, balon rozleciałby się w powietrzu. Za krawędzią tepui zielony dach tropikalnego lasu znajdował się trzy tysiące metrów poniżej.

Tree wyszła z laboratorium.

– Palniki wyglądają w porządku. Mamy dwieście dwadzieścia galonów płynnego propanu, co wystarczy mniej więcej na cztery godziny lotu. Jak wam idzie?

Mason spojrział na dół, po czym podniósł wzrok z powrotem na Tree. Zobaczyła rozpruty materiał.

– Będzie dobrze – zapewnił.

– Skąd taki optymizm?

– Dziś jest szczęśliwy dzień, to nasza rocznica.

– Nasza rocznica jest w styczniu.

– Chodzi mi o rocznicę pierwszego pocałunku. Tamtej nocy poszedłem do domu i miałem mokry sen. Zaznaczyłem to w kalendarzu. Potem, za każdym razem, kiedy spotykałem cię w hallu, musiałem zakrywać krocze kurtką dżinsową, żeby nie znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

Roześmiała się.

– Nabierasz mnie?

– Trochę. Z tym kalendarzem.

K'un-Chien prawie skończyła odcinanie lin mocujących stację badawczą do balonu. Mason zaczął przywiązywać luźne liny do nylonowej sieci, rozciągającej się między neoprenowymi pontonami.

– Tree, masz jeszcze jakieś skalpele? – zapytał.

– Całe mnóstwo.

– Świetnie. Przynieś nam po jednym – poprosił, a następnie zwrócił się do K'un-Chien: – A teraz odetniemy sieć od pontonów.

Manipulowali zręcznie skalpelami, przesuwając się po ośmiokacie, i po kwadransie balon i sieć leżały oddzielone od reszty konstrukcji. Mason zabezpieczył końcówki nylonowych żyłek, zaciskając je przewodem.

Potem wspólnie pomogli Tree ustawić silnik ze śmigłem, napędzany gazem, w pobliżu podstawy balona. Szarpnęła za żyłkę i silnik ożył, wypluwając silny strumień powietrza w kierunku powłoki.

– K'un-Chien, pomóż mi przytrzymać wlot do balonu tak, żeby cały czas był otwarty –

rzucił Mason.

Stali po przeciwnych stronach balonu, który powoli zaczął się napęcznieć, z początku obwisły i miękki, stopniowo twardniejąc i stając się coraz bardziej lotny.

Tree przyczepiła trzy palniki z propanem do aluminiowej konsoli.

– Odsuńcie się.

Podpaliła palniki i trzy płomienie, wysokie na dwa metry, wystrzeliły wprost do wnętrza powłoki, wydając przy tym ogłuszający hałas. Kiedy podgrzane powietrze dostało się na górę, powłoka podskoczyła, przyjmując stopniowo kształt kuli.

Mason ucieszył się.

– Widzicie? Wszys...

Trrrrrrrrrach. Dźwięk rozdieranego materiału uciął zdanie w pół słowa.

– Cholera. To skurczybyk – wyrzucił z siebie.

– Myślałam, że ten materiał jest odporny na rozprucie – odezwała się Tree.

– Bardziej wytrzymały. Nic nie jest odporne na rozprucie. A tym bardziej przy takim rozdarcu.

– Zobacz, przestało! – krzyknęła Tree. – Nie przedrze się przez linę ładunkową. Rozprucie zatrzymało się na poziomym szwie, wzmocnionym skórzaną łata, lecz zaledwie dwadzieścia pięć metrów od korony. Balon zatrzęsł się i ponownie zaczął pęcznieć.

Tree patrzyła na potężną dziurę.

– Gdybyśmy wypuścili powietrze, moglibyśmy spróbować zacerować rozprucie przewodem.

– Nie uda się. – Mason pokręcił głową. – Ten materiał jest wystawiony na naprężenie setek kilogramów ciśnienia powietrza na centymetr kwadratowy. Poza tym nie ma czasu na opróżnianie i powtórne napęczniecie.

Tree jęknęła.

– Taak – Mason usiadł i zaczął zdejmować ciężkie buty o wysokich sztylpach. – Zdejmijcie buty. Wyrzucicie dodatkowe zbiorniki z propanem. Wyrzucicie wszystko, czego można się pozbyć. Muszę poprawić te liny, by podnieść nas równo do góry.

Tree rozwiązała sznurowadła i jednym szarpnięciem zrzuciła swoje trapery, a K'un-Chien wyrzuciła za balustradę ciężki drewniany łuk i dwa kołczany pełne strzał. Mason przerzucił trzy aluminiowe zbiorniki z paliwem i dopiero wtedy zajął się przecinaniem i ponownym wiązaniem lin, łącząc balon z siecią.

Po kilku minutach pożerania gorącego powietrza balon zaczął szarpać linami, ciągnąc do góry.

– Ty pierwsza, Tree. Wskakuj – powiedział Mason. – Ty następna, K'unChien. – Wszedł do sieci na końcu, trzymając się porzuconej butli, podczas gdy Tree ścisnęła wyzwalacz palnika i długi, żółty płomień wdarł się do otwartego wlotu przechylonej kuli.

Balon pofrunął ku górze na jakieś sześć metrów ponad przypominającymi słupy głazami, na których spoczywała Tratwa. Mason wydał z siebie radosny okrzyk, lecz w tym samym momencie powłoka przesunęła się, wypływając z siebie gorące powietrze i balon raptownie zaczął opadać na ziemię.

– Trzymaj się, Tree, zaraz walniemy! – rzucił i otoczył ją swoim ciałem, aby złagodzić siłę uderzenia, kiedy balon zaczepił o wysoki, granitowy monolit, po czym sunął wzdłuż skały, unosząc się parę metrów nad ziemią.

Tree powiodła lękliwie oczami po horyzoncie.

– Nadchodzą!

Yu Lin stanęła na wierzchołku pobliskiej grani. Smukłe i silne uda napinały się pod pancerną spódniczką, zielona tunika trzepotała na szerokich ramionach i napiętym brzuchu, kiedy zbiegała z górskiego grzbietu na czele kilkunastu wojowniczek – kobiet-smoków.

Balon uderzył w skałę, chrzęszcząc i chrobocząc przeraźliwie. Tree szarpnęła spustem palnika, otwierając go maksymalnie, i trzymetrowe płomienie buchnęły wprost do powłoki. Balon poderwał się, przefrunął nad granitową ścianą, lecz po chwili zawisł w powietrzu, po czym opadał konsekwentnie do wysokości mniej więcej dwóch metrów, gdzie zaczął leniwie dryfować dalej.

– Za duży ciężar. Nie może unieść nas we trójkę – powiedziała nagle K'unChien i bez ostrzeżenia zeskoczyła na piach poniżej. Balon podskoczył na piętnaście metrów i przybliżał się ku krawędzi góry.

– Nie odlecimy bez ciebie! – zawołała Tree.

– Musicie! – odkrzyknęła K'un-Chien. – Po raz kolejny popełniłam błąd, sądząc, że mogłabym tak po prostu uciec przed swym przeznaczeniem. Lecz nawet sam wiatr spycha mnie z powrotem prosto przed jego oblicze.

Tree za wszelką cenę chciała wyskoczyć, lecz Mason schwycił ją za ramię.

– Przestań. Skręcisz sobie kark. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie możemy zrzucić jej liny? Czegokolwiek? Czegokolwiek!

– Jesteśmy za wysoko i wlatujemy coraz wyżej.

K'un-Chien była bezbronna. Masonowi i Tree pozostało tylko patrzeć bezradnie, szybując w napowietrznej sieci, jak zabójcy, nisko pod nimi, błyskawicznie zbliżają się do swojej ofiary.

Rozdział 55

Yu Lin wyjęła miecz z pochwy i powoli, prawie jakby od niechcienia, zbliżyła się do K'un-Chien. Podniosła rękę w ciężkiej rękawicy z czarnej skóry. Jej oddział zatrzymał się w stosownej odległości.

Yu Lin roześmiała się grubym głosem.

– Mistrzynie łuku nie ma ani łuku, ani strzał? Czym staje się smok-tygrys bez skrzydeł i kłów? Czy jesteś teraz zwyczajną śmiertelniczką, hermafrodyto?

– Jestem tym, kim jestem – padła sucha odpowiedź. – Twoje czy moje słowa niczego tu nie zmieniają.

– Ho, ho, filozofka. Filozofowie słyną z tego, że godnie umierają.

– Ja nie chcę umrzeć, Yu. Chociaż był czas, kiedy z radością powitałabym śmierć; tak jak ty mnie teraz nienawidzisz, tak ja nienawidziłam siebie. Ale żyłam i pokochałam, i nauczyłam się wielu rzeczy.

– A zatem, zanim cię uśmiercę, potworze Hsiang, może zaszczycisz nas jakimś żalobnym wierszem albo może jakimś klejnotem twych nauk?

– Doskonale – rzekła K'un-Chien. – Uczyłam się sztuki wojny Sun Tzu oraz Trzydziestu Sześciu Strategii. Mistrz Sun zalecał badanie wroga, czekanie na najlepszy moment do ataku, a następnie działanie z zaskoczenia.

Yu Lin okazała zirytowanie.

– To nakazuje zdrowy rozsądek.

– A czy wiesz, którą ze strategii uważa za najbardziej użyteczną?

– Proszę oświeć mnie.

– Ostatnią, trzydziestą szóstą.

– To znaczy?

– Prześcignięcie wroga. – K'un-Chien odwróciła się i puściła pędem w kierunku wysokich, najeżonych skalistymi zębami głazów.

Yu Lin ruszyła za nią. Wojowniczkę rozdzieliły się i pobiegły w dwóch kierunkach, aby otoczyć zbiega.

K'un-Chien wdrapała się na wierzchołek jednej ze skał i skryła za nią, kucając na wąskiej półce oczekując Yu Lin i wsłuchując się w kroki swej prześladowczyni.

Gdy ją ujrzała, schwyciła granitowy kamień wielkości ziemniaka i wskoczyła na wierzchołek głazu. Schowawszy miecz do pochwy, Yu Lin zaczęła wspinać się po stromym zboczu w ślad za uciekinierką.

Dostrzegła K'un-Chien. Czarne oczy rozszerzyły się ze zdumienia; spróbowała przytrzymać się krawędzi, drugą ręką wyjmując miecz z pochwy. Na taki moment czekała K'un-Chien.

Zamachnąwszy się mocno, cisnęła kamieniem z bardzo bliskiej odległości. Pocisk ugodził w górną część klatki piersiowej Yu Lin, odrzucając ją w tył. Wyrzuciła miecz w powietrze, kiedy, rozpaczliwie wymachując rękami, próbowała odzyskać równowagę. Miecz z brzękiem spadł ze skalistego zbocza, a za nim potoczyło się muskularne ciało Yu Lin. Runęła na wznak u podnóża wysokich gładów z szyją wykręconą pod niemożliwym kątem.

K'un-Chien usłyszała kroki zbliżających się wojowniczek, chrzęst piachu za swymi stopami. Zaczerpnęła głęboki oddech i odwróciła się powoli, zrezygnowana, gotowa stanąć przed obliczem śmierci.

Meng-Po, trzymając gotowy do strzału łuk w dłoniach, prowadził oddział kilkudziesięciu kobiet-smoków, wspinając się po mniej stromej części skalistego zbocza.

– Zwycięstwo, K'un-Chien! – krzyczał. – Zwyciężyliśmy! Pokonaliśmy Yu Lin.

K'un-Chien pobiegła w dół po gładach, aż w połowie zbocza padła w objęcia brata – cesarza łuczniaka.

– Spójrz w górę – odezwał się, pokazując palcem. – Lecą nasi przyjaciele. Podniosła wzrok. Tree i Mason spoglądali w dół z sieci, w której podróżowali jak w hamaku zawieszonym trzydzieści metrów ponad ziemią.

Czworo przyjaciół w milczeniu pomachało do siebie serdecznie. Balon wzniósł się jeszcze wyżej i złapał wiatr, który szybko zniósł go na północ, daleko ponad krawędź świata K'un-Chien.

Rozdział 56

Mason uściskał rękę Tree, kiedy tepui umknęło niczym pokryty rdzą statek sunący po białym morzu. Zapłakała cicho w jego ramionach. Balon żeglował niczym łódź ratunkowa pośród flotyli letnich chmur.

Mason patrzył w kierunku góry kryjącej Jou P'u T'uan i jego mieszkańców, rasę zwaną przez Indian Eldorado. Według hiszpańskiego odkrywcy Orellany były to Amazonki. Według profesora Summerwooda byli to utopiści z czasów dynastii Ming, którzy założyli kolonię w Nowym Świecie na długo przed przybyciem pierwszych Europejczyków. Dla Masona, byli to Meng-Po i Kiki, Hsiao Pi i cesarzowa. A złotem Eldorado była K'un-Chien.

Misja naukowa Harvest – mająca na celu zbadanie tepui Kameleona i odkrycia roślin i zwierząt o właściwościach mogących pchnąć na nowe tory rozwój medycyny – przyniosła wyniki przechodzące jego najśmielsze oczekiwania. Do torby uplecionej z pędów bambusa Mason powrzucał mnóstwo ziołowych medykamentów K'un-Chien – wspaniały podarunek dla nowoczesnej zachodniej medycyny. A ukoronowanie stanowił cudowny grzyb, *Ling-Chih*.

Gdyby farmaceuci poznali tajniki hodowli lub syntezy zawartej w grzybie substancji stymulującej geny – domyślał się, że był to jakiś rodzaj retro wirusa – sukcesy w leczeniu oparzeń, amputacji i tym podobnych, przekroczyłyby najśmielsze marzenia nowoczesnej medycyny.

Odkrycie kosztowało wiele istnień ludzkich. Harpia straciła helikopter, zabijając czterech kolegów i współpracowników Masona. Inna harpia zabiła Lindę. Domino również zapłacił najwyższą cenę.

Mimo to Mason zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie całkowity koszt odkrycia. Kiedy tylko dostarczy naukowcom z Halcyon swoje zdobycze, pojawią się pytania. A odpowiedzi doprowadzą do Błogosławionego Miasta. Wtedy kolejne grupy badawcze przybędą na tę górę, niczym stado szarańczy, wraz z antropologami, dziennikarzami, ekipami telewizyjnymi, działaczami politycznymi z Wenezueli. Policją. Misjonarzami katolickimi. Za nimi pojawią się przedstawiciele Nowego Wieku. Nagłówki „National Enquirer” będą krzyczyć: NOSTRADAMUS PRZEWIDZIAŁ USYTUOWANIE MIASTA! Jou P'u T'uan stanie się nowym Machupicchu.

Nie, postanowił Mason. To byłoby gorsze, niż mógł sobie wyobrazić.

– Tree, nie możemy wziąć tych rzeczy, tych leków, ze sobą. Po prostu nie możemy.

– Czytasz w moich myślach, kochanie.

Wypuścił powietrze z płuc w długim, ciężkim westchnieniu.

– Do cholery z tym. – Otworzył torbę, wyjął trzy Frisbee, a następnie wyrzucił całą zawartość za burtę.

– Przepraszam, zachodni świecie – powiedział, patrząc, jak gałązki, liście i proszek odlatują na skrzydłach wiatru. – Przepraszam. Mam nadzieję, że postępuję słusznie. – Czarne, gumowe kulki z dna torby przeleciały przez chmury.

Tree położyła mu rękę na ramieniu.

– To dobrze, że nie wyruszyła z nami. Jej pojawienie się doprowadziłoby do takiego samego zamieszania.

– Wiem o tym – Mason pokiwał smutno głową. – Wszystko ułożyło się najlepiej, jak mogło. – Podniósł bambusowy pojemnik, owinięty szerokim liściem zawierający *Ling-Chih*. – A co z tym? – zapytał. – On nie jest zrobiony przez ludzi jak tamte proszki, kulki Feniksa...

– I co?

– No cóż, może po prostu powiemy, że znaleźliśmy grzyb po zejściu z tej góry.

– Ale...

– Pomyśl o cierpieniu, które mógłby złagodzić. Na przykład człowiek ze zmiądzoną ręką w wypadku samochodowym. Chirurdzy amputują kończynę, a facet hoduje sobie nową. Czyż to nie cudowne? A jakie przyniosłoby pieniądze; mógłbym zrobić dużo dobrego na tym świecie z takim majątkiem.

– Ale pamiętaj, że to nie tylko lek. To wyrocznia. Widzisz swą przyszłość... – Mów dalej.

– Wymień dziesięć znanych ci osób, które potrafią, w sposób wiarygodny, przewidzieć przyszłość.

Mason wziął głęboki oddech i uśmiechnął się kwaśno.

– Wymień choć trzy.

– Nie, masz słuszność. Zrobią z tego lek i rozpoczną dystrybucję do milionów lekarzy na całym świecie. Niebawem każdy zwyczajny człowiek będzie miał do niego dostęp. Dzieciaki, przestępcy, obłąkańcy... Społeczeństwo wykroczy poza wszelkie bariery.

– Wyrzuć go. Należy wyłącznie do Jou P'u T'uan. Mason cisnął zawiniątko.

– Mam teraz to, od czego zaczynałem – odezwał się, podnosząc plik Frisbee. – Ja i moje latające zabawki.

– Nie zapominaj o mnie – wtrąciła Tree, zamykając mu usta pocałunkiem. Odwzajemnił pocałunek. Jego serce znów było żywe i w dobrej kondycji.

Balon wpłynął niespodziewanie w wielką dziurę między chmurami, przez którą widzieli wyraźnie baldachim lasu tropikalnego. Żołądek Masona ścisnął się gwałtownie.

– Niesamowite – jęknęli jednocześnie.

– Wciąż nabieramy wysokości? – zdziwiła się Tree.

– Nie, nie sędzę. Chyba powoli opadamy. Przedtem patrzyliśmy na las z zaledwie trzydziestu metrów ponad górą. Musisz pamiętać, że tepui miało trzy tysiące metrów wysokości. Dlatego teraz widok jest zupełnie inny.

– Dziękuję bardzo, ale chyba nie będę się wczuwać w znaczenie tych liczb. Mason wyjął z kieszeni kompas.

– Wciąż zmierzamy na północ. To świetnie. Kiedy dojrzymy jakąś dużą rzekę, prawdopodobnie będzie to Caroni. Przepływa obok kilku wiosek Wawajeros – wyjaśnił weselszym głosem. – Wylądujemy możliwie jak najbliżej rzeki. Moi przyjaciele dadzą nam czółno z wydrążonego pnia i jedzenie, pomogą dostać się dalej na północ do Ciudad Guayana – tam jest radio plus pas startowy.

– Lecimy straszliwie wysoko.

– Wszystko w porządku. Ta sieć nas utrzyma – Chwycił nylonową siatkę. – Szczerze mówiąc, powinniśmy dodać trochę gorącego powietrza. Nie znam tego terenu. Ale niewątpliwie nie chcielibyśmy rąbnąć w jakieś inne tepui.

– Skoro tak mówisz... – Tree wyciągnęła rękę ku zaworowi palnika. Głośny trzask sprawił, że obydwójce podskoczyli.

Oczy Tree rozszerzyły się.

– Co to było?

Mason podniósł wzrok i spojrzał na czerwono-biało-niebieską powłokę.

– Cholera, znów się drze?

Powietrze rozdarł mrozący krew w żyłach skrzek. Dochodził z lewej strony, wysoko ponad balonem. Wyciągnęli szyje i wtedy dostrzegli źródło hałasu: nad nimi kołowała harpia, majestatycznie poruszając gigantycznymi skrzydłami. Promienie słoneczne odbijały się od białych piór albinosa.

Harpia wydała z siebie długi, gniewny okrzyk, zawisła nieruchomo w powietrzu i złożyła skrzydła.

Runęła na nich jak lśniąca białe ostrze.

Rozdział 57

Harpia wysunęła szpony na ułamek sekundy przed uderzeniem. Mason instynktownie dał nura w bok. Drapieżnik uderzył w balon, wyrwijąc dziurę w powłoce, a następnie zakręcił, i odleciał, trzepocząc skrzydłami.

– Trafiła tam, gdzie już i tak było uszkodzenie – zawołał Mason. – Myślę, że nic nam nie grozi.

Ptaszysko wzbiło się wysoko i zawisło w bezruchu, przesywając powietrze świdrującymi skrzekami.

– Mogłabym znieawidzić ten gatunek – stwierdziła Tree.

Harpia powtórzyła atak. Szpony wdarły się w inną część powłoki i tym razem potężny kwadrat dakronu zaczął trzepotać jak naderwana łąta na kolanie. Balon szarpnął się i zaczął opadać.

– Odlatuj! *Zu kall Zu kall* Nie jesteśmy na twoim cholernym terytorium! – krzyknęła Tree, po czym schwyciła jeden ze skalpeli i zaczęła wymachiwać nim w kierunku harpii, która wzbijała się ponad chmury, zataczając leniwe spirale.

Mason szukał czegoś nerwowo – czegokolwiek, czym można było rzucić, jakiejś broni. Lecz przecież wyrzucili cały zbędny balast za burtę. Złapał Frisbee. Bezużyteczny. Nagle stopą w skarpecie trafił na zestaw skalpeli. Myśl zaświtała mu w głowie.

– Tree, szybko! Skalpele! Rób to, co ja. Przygotujemy jej małą niespodziankę.

Odwrócił do góry nogami pomarańczowy dysk, po czym wbił skalpel w krawędź. Po przeciwnej stronie wbił drugi skalpel dla zachowania równowagi.

– Kabel! – krzyknął. – Kabel!

– Tam, przy twoich nogach.

Szybko zabezpieczył skalpele za pomocą przewodu i podniósł wykonaną przez siebie broń – talerz najeżony z dwóch stron ostrymi jak brzytwa ostrzami wystającymi na pięć centymetrów.

– Niezły pomysł – przyznała Tree. Oderwał spory kawał przewodu.

– Masz. Przymocuj je ściśle.

Z przeraźliwym skrzekiem harpia uderzyła w balon. Szpony przecięły główną linę mocującą i jedną z lin podtrzymujących sieć, która osunęła się o metr w dół z tej strony.

– Trzymaj się! – zakrzyknął Mason, kiedy oboje zaczęli ześlizgiwać się w kierunku obniżenia. Jedno z ostrzy w dysku zatopiło się głęboko w dłoni Masona, lecz dudnienie w uszach neutralizowało ból.

Podziękowania

Autor dziękuje Adrianowi Mendezowi, przyrodnikowi, za działającą na wszystkie zmysły wędrówkę po mglistym lesie w Monteverde na Kostaryce; Bobowi i Marcy Lawton, odpowiednio botanikowi i biologowi, za skierowanie mnie ku badaniom biogeografii tepui i hermafrodytów; Rayowi Bamfieldowi, terapeutcie i masażystcie za usunięcie dotkliwego bólu w ręce, który często nie pozwalał mi pisać na maszynie; Danny'emu Barorowi, mojemu agentowi za wspianą reklamę oraz Nickowi Austinowi za wnikliwość i poczciwe usposobienie. Bez ich pomocy ta powieść nie trafiłaby do rąk czytelników.